



SYRENY

MORDERCZY
ZEW KRWI

KRZYSZTOF
BEŚKA



OFICYNKA
WYDAWNICTWO



SYRENY

KRZYSZTOF
BEŚKA



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Copyright © Oficynka & Krzysztof Beśka, Gdańsk 2021

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2021

Opracowanie redakcyjne: zespół

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © Paradise studio / shutterstock

© josuedersoir / pixabay

ISBN 978-83-66899-90-2



www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek

DZIEŃ PIERWSZY

1

Ale masz brzydkie cycki – pomyślał.

Adresatką była kobieca postać na cokole. W lewej ręce trzymała tarczę, w prawej unosiła miecz. Jakby groziła nim tym, którzy myślą podobnie albo zakłócają jej spokój. Sobota była deszczowa, więc na nadwiślańskich bulwarach ludzi pojawiło się niewiele. Ale już niedziela przywitała miasto pięknym słońcem i bezchmurnym niebem, a lewy brzeg Wisły szybko się zaludnił. Zabawa rozkręcała się coraz bardziej z każdą godziną.

Mężczyzna oparł się plecami o mur i spojrzał pod nogi. Stał w miejscu, gdzie powinna tryskać fontanna. Ale było sucho. Może ktoś zapomniał odkręcić kurek, a może coś się zepsuło? Mdlilo go trochę i coraz bardziej kręciło się w głowie. A przecież nie wypił dużo. W pewnym momencie, spodziewając się protestów współbiedniaków, oddalił się pod pozorem skorzystania z toalety, a tak naprawdę – zmył się po angielsku. Wiedział, że nie będą mu mieli tego za złe, a może nawet zapomną. Jednak zamiast zejść do metra albo złapać taksówkę, a w ostateczności ruszyć w stronę miasta piechotą, zaczął się włóczyć. W efekcie stracił zupełnie poczucie czasu i nie zdążył na ostatnie metro. A z niedzieli zrobił się poniedziałek.

Parcie na pęcherz było coraz mocniejsze. Pomyślał o nieczynnej fontannie i o tym, że można ją wyręczyć. Mimo że na bulwarach było już prawie pusto, był zbyt dobrze wychowany, aby to zrobić. Postanowił wejść pod most, a następnie zejść niżej, nad sam brzeg, i tam oddać dług naturze. Łatwe to nie było, zważywszy na promile, które w sobie miał. Ale się udało.

Znalazłszy się w ustronnym, jak sądził, miejscu, rozpiął rozporek. Po chwili strumień moczu zaszemrał na kamieniach.

– Ofiara spełniona – rzekł do siebie, otrząsając przyrodzenie z ostatnich kropel. – Czas do domu!

Pozostało wdrapać się z powrotem na murek, nie nabić sobie przy tym guza, a potem to już łatwizna. Na taksówkę miał jakieś zaskórniaki. I może ten czas spędzony nad rzeką, na świeżym powietrzu, sprawi, że kac będzie rano mniejszy.

Wtem jego wzrok natknął się na coś majaczącego niewyraźnie w półmroku. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakaś gałąź albo kawałek deski. Dotknął tego czegoś czubkiem buta. Miękkie. Po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz. Znów poczuł mdłości, jednak tym razem nie zdołał już nad nimi zapanować...

Ostrzegawczy terkot poprzedził zamknięcie drzwi. Koła potoczyły się po szynach. Stary wóz tramwaju numer 33, jadącego z Mokotowa na Młociny, zaczął się rozpędzać po prostym odcinku ulicy Broniewskiego. Był poniedziałkowy poranek, zbliżała się ósma.

Po kilkunastu sekundach tramwaj zaczął hamować przed przystankiem Włociańska. Po chwili zatrzymał się, drzwi się otworzyły. Nikt nie wysiadł, nikt nie wszedł do środka. Sygnał ostrzeżenia.

– Czekaj, no, kurwa! – dobiegły naraz krzyki z zewnątrz. – Czekaj!

Do wagonu wpadło dwóch młodych ludzi. Kilkoro pasażerów podniosło wzrok, ale równie szybko go opuściło.

– No jedź, dziadek – ponaglił motorniczego ten, który wskoczył pierwszy. – Zapierdalaj!

Był ostrzyżony do skóry i ubrany w bluzę z białym kapturem oraz krótkie spodni. Nie trzeba było się zbyt długo i nachalnie przypatrywać, by stwierdzić, że nie są zbyt czyste. I że najprawdopodobniej jeszcze wczoraj miał je na sobie młodszy brat tego osobnika. Drugi chłopak, niższy, ubrany podobnie, beknął. Po chwili sięgnęli do kieszeni bluz, skąd wyciągnęli puszki z piwem.

– Co za chamstwo! – skwitowała to pod nosem jakaś starsza pani.

Jeden z młokosów, przypadkiem albo umyślnie, rozlał nieco piwa na podłogę, drugi potoczył wzrokiem po rzędzie krzesełek, zapewne w poszukiwaniu kogoś, komu by wyczyn jego kamrata nie przypadł do gustu. Nikogo takiego nie znalazł, więc przeniósł spojrzenie na drugi rząd.

– Co się gapisz, kurwa?! – rzucił do mężczyzny siedzącego w połowie długości wagonu, który rzeczywiście jako jeden z nielicznych miał podniesioną głowę.

– Słucham? – zapytał uprzejmie pasażer, przyłożywszy otwartą dłoń do ucha.

– Pytam, co się gapisz, parowo jedna!

Motorniczy, do którego nie mogły nie docierać głosy z wagonu, nacisnął hamulec, ale nie z powodu szykującej się awantury – tramwaj po prostu zbliżał się do kolejnych świateł. Przeciążenia spowodowały, że wyższy z zakapiorów zachwiał się, a z jego puszki wylało się nieco piwa, tym razem niezamierzenie. Odwrócił się i lekkim skosem ruszył w stronę kabiny.

– Te, uważaj, dziadek! – krzyknął. – Browca mi rozlałeś!

Tymczasem drugi młokos nie spuszczał z oczu mężczyzny, z którym „nawiązali kontakt”. Być może w ich oczach dobrze rokował. A może decyzja już została podjęta?

Tramwaj przejechał pod estakadami Trasy Armii Krajowej, pokonał rondo i zatrzymał się na przystanku przy parku Olszyna. Kilkoro pasażerów z czołowego wagonu wyszło, a wraz z nimi dwaj krewcy młodzieńcy.

– I chwała Bogu – powiedziała ta sama kobieta, która zwróciła uwagę na chamstwo.

Samochody zatrzymywały się przed czerwonym światłem i przecinającym w tym miejscu jezdnię torowiskiem. Dzwon na wieży pobliskiego kościoła zaczął wydzwaniać ósmą. Zaterkotał sygnał ostrzegawczy, zamknęły się drzwi.

Nagle rozległ się trzask. Na podłogę między pierwszymi a środkowymi drzwiami posypały się kryształki szkła. Sekundę później przez rozbitą w drobny mak szybę do

środka wpadł blaszany kosz na śmieci. Pasażerowie, którzy siedzieli w przedniej części wagonu, zerwali się z siedzeń. Na szczęście nikt nie został uderzony przez kosz. Wszyscy w ciągu kilku sekund znaleźli się w tylnej części wagonu.

Z kabiny wychynął motorniczy. Wcałe nie był dziadkiem, a poza tym sprawiał wrażenie spokojnego. Najpierw popatrzył na kosz, który jeszcze przez chwilę toczył się po podłodze. Może usiłował sobie przypomnieć, co o takich przypadkach mówi regulamin: jechać dalej z wybitą szybą czy nie ruszać się, co oznaczało zablokowanie drogi innym tramwajom. I czy wypuścić ludzi, czy trzymać drzwi zamknięte? Co stwarzało większe zagrożenie? Potem przeniósł wzrok na winowajców. Jeden z nich z wykrzywioną gębą pokazywał właśnie wszystkim środkowy palec.

Niestety jego towarzysz nie był już tak miły – usiłował wydobyć z betonowej obudowy kolejny kosz.

– Policję trzeba wezwać! – zawołał ktoś.

Pasażerowie z przerażeniem patrzyli na to, co się dzieje. Bandzior widać nie mógł sobie dać rady z drugim koszem, bo zawołał do kamrata o pomoc. Jakiś młody chłopak, siedzący przy tylnych drzwiach wagonu, filmował wszystko telefonem. Aż wargę przy tym przygryzł, tak się starał. I pewnie już się nie mógł doczekać, aż wrzuci filmik do sieci.

Jesteś na urlupie, jesteś na urlupie – powtarzał sobie w myślach mężczyzna, który wcześniej w tak lekkomyślny sposób ściągnął na siebie uwagę bandytów.

Był mocno po czterdziestce, miał ciemne włosy, choć skronie rozjaśniała mu już siwizna. Na twarzy ciemniał kilkudniowy zarost, chociaż i tam można było się dopatrzeć siwych włosków. Oczy miał podkrążone, a kąciki ust mu opadały. Wyglądał na niewyspanego.

Od pół godziny jesteś w Warszawie! – przekonywał sam siebie.

Ale widać bezskutecznie.

– Nic dwa razy się nie zdarza – sapnął i dźwignął się z miejsca.

Był dość wysoki, nawet dobrze zbudowany, choć napis na podkoszulku zniekształcała nieco wypukłość między linią piersi a pasem. Nosił czarną skórzaną kurtkę i dżinsy. Na siedzisku położył turystyczną torbę.

– Niech pan otworzy drzwi – rzekł do motorniczego.

– Po jaką cholere? – sarknął tamten.

– A po taką, że trzeba ich uspokoić.

Nie było chyba w tym momencie osoby, która by na niego nie patrzyła. Nie z podziwem ani wdzięcznością. Z przerażeniem. Tak się patrzy na szaleńców, stojących na dachu wysokiego budynku samobójców.

– Niech pan tego nie robi! – zawołała kobieta, która wcześniej wszystko komentowała.

– Jest pan sam, a ich dwóch – przyszedł jej w sukurs motorniczy. – W dodatku są pijani...

Mężczyzna przełknął ślinę. Czyżby zmienił zdanie?

– Proszę otworzyć drzwi – powtórzył bez złości.

Tramwajarz wrócił do swojej kabiny i spełnił prośbę. Mężczyzna wyszedł na przystanek. Kilkoro pasażerów skorzystało z okazji i również opuściło wagon.

Wszystkie drzwi, także w drugim wagonie, były już otwarte. W tym samym momencie bandyci uporali się z koszem. Przed kolejnym rzutem niższy wysypał jednak wszystkie śmieci na chodnik.

– Koniec zabawy – powiedział spokojnym głosem śmiałek. – Połóż to.

– Nie wcinaj się, parowo! – prychnął wyższy chuligan. – I odsuń się. Dystans społeczny ma być.

Ale mężczyzna nie ruszył się z miejsca.

– Połóż kosz na ziemię – powiedział tak samo głośno jak przed chwilą.

Perswazja odniosła skutek, ale tylko połowiczny. Tamten cisnął koszem w głąb wiaty przystankowej. Wszystkiemu przyglądali się nieliczni pasażerowie, zarówno ci stojący na przystanku, jak i siedzący w wagonach. Za unieruchomionym tramwajem oczekiwały już dwa inne.

– Koniec występów na dziś – powiedział mężczyzna.

– Koniec? Chyba twój! – ryknął niższy zakapior i runął na niego z impetem.

Śmiałek gibnął w bok, po czym precyzyjnym uderzeniem trafił bandziora w nos. Widząc to, drugi z dresiarzy cofnął się o krok, ale tylko po to, by sięgnąć do kieszeni spodni. W jego ręku coś błysnęło – trzymał w dłoni wąski, typowo bandycki nóż. Jakaś kobieta krzyknęła.

– Mówiłem, żebyś się nie wtrącał – syknął uzbrojony bandyta. – Takich jak ty trzeba eliminować jak bezpańskie kundły. Jednego po drugim!

Adrenalina, wypity alkohol, a może i jeszcze coś – wszystko to znalazło ujście. Osobnik w białej bluzie z kapturem ruszył na przeciwnika. Ten jednak kopnięciem, równie dokładnym jak wcześniejszy cios, wytrącił mu nóż z ręki. Po chwili bandyta otrzymał precyzyjne uderzenie w żołądek. Gdy skulił się z bólu, mężczyzna kopnął go z całej siły, bezbłędnie trafiając w krocze. Następnie szybkim ruchem wydobył z kieszeni plastikowe taśmy, które okazały się jednorazowymi kajdankami, i z wprawą połączył nimi ręce obu oprychów z ławką wiaty. Filmujący wszystko komórką chłopak robił prawdopodobnie zbliżenie, bo aż język wystawił.

Mężczyzna wrócił do wagonu, chwycił za ucho swojej torby. Już miał wyjść, ale jego uwagę zwrócił nastolatek, ten, który nagrywał całe zajście.

– Nagrało się? – zapytał.

Niepodejrzewający niczego chłopak podał mężczyźnie komórkę. A ten od razu umieścił ją w wewnętrznej kieszeni kurtki i rzekł:

– Przykro mi, panie Vega, ale nie wrzucisz do netu nowego filmiku.

– Ale... przecież... – próbował protestować młody.

– Odbierzesz telefon w komendzie przy Perzyńskiego – odrzekł twardo mężczyzna, po czym zarzucił pasek torby na ramię i opuścił tramwaj.

3

Kwadrańs później przekręcił klucz w zamku i wszedł do mieszkania. Położył torbę na podłodze, zwał buty. Poczul znajomy, miły zapach. Wszystko było tak, jak być powinno

w chwili powrotu z podróży. Oprócz tego, że wciąż cały się trząśł, nogi miał jak z waty, a podkoszulek mokry od potu. Choć równie dobrze mógł być mokry od krwi.

– Ostatni raz to zrobisz, stary durniu – rzekł do swojego odbicia w lustrze.

Plus tego wszystkiego był taki, że uświadomił sobie, iż może jeszcze nie jest z nim tak źle, a niedawny powrót na siłownię i treningi krav magi przyniosły pożądany efekt.

Wszedł do pokoju i wyjrzał przez okno. Z ulicy Rudnickiego skręcał w Kochanowskiego autobus. Kto wie, może było to 122, do którego zamierzał się przesiąść na Sadach Żoliborskich, żeby uniknąć spaceru przez osiedle z ciężkim bagażem. Słoiki z konfiturami mamy swoje przecież ważyły. Jednak nie chciało mu się czekać na przystanku. Wstał bardzo wcześnie i marzył tylko o tym, by napić się kawy.

W efekcie wdepnął w kłopoty. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło – wezwany na miejsce patrol zajęł się szkodnikami, a opróżniony z pasażerów tramwaj numer 33 odjechał do zajezdni.

Mogłem już nie zabierać zabawki temu smarkaczowi – pomyślał jeszcze.

W tej samej chwili odezwał się telefon, ale jego.

– Pewnie chcę to sprawdzić – mruknął, ujrawszy na ekranie znajomy numer. Nie czekając, aż osoba po drugiej stronie coś powie, rzucił: – Tak, to byłem ja. Możecie im przypierdolić jeszcze raz ode mnie na pamiątkę...

– Nadkomisarz Konstanty Podbiał? – usłyszał obcy, oficjalny, a w dodatku kobiecy głos.

Chyżbym się pomylił? – pomyślał. Nie było już jednak czasu, aby jeszcze raz przyglądać się numerowi, z którego dzwoniono.

– Tak. Dzień dobry – bąknął. – Przepraszam, myślałem, że to kolega.

Dłuższą chwilę słuchał.

– Ale ja jestem jeszcze na urlopie, dopiero jutro rano... – powiedział.

W ostatnim, niedokończonym zdaniu wyraźnie zabrzmiała rozpacz. Rozpacz nastolatka zaklinającego się na wszystkie świętości, że nie miał nic wspólnego z wybrykiem, którego dopuścili się jego koledzy.

– Wiem, wiem, że braki kadrowe i tylu ludzi na L4 – tym razem westchnął i przewrócił oczami. – Tak, oczywiście. Czekam.

Rozłączył się i rzucił telefon na łóżko, chociaż powinien na podłogę, wziąwszy przedtem porządny zamach. Zakrył oczy dłońmi. Po chwili zaczął się trząść i mogło się wydawać, że to płacz. Kiedy jednak odsłonił twarz, pojawił się na niej, błady, bo błady, ale jednak uśmiech.

Może jeszcze zdążę wziąć prysznic – pomyślał, zdejmując w końcu podkoszulek.

Wycierał jeszcze głowę, gdy odezwał się domofon.

– Tak? – rzucił do słuchawki. – Może wejdiesz na górę na kawę?

Wciąż miał nadzieję, że powód, dla którego ściągają go z urlopu, jest błahy. Taki, którym mógłby się zająć średnio rozgarnięty absolwent szkoły w Szczytnie albo Legionowie. A jeśli już o takim mowa, to lada dzień mógł się Podbiał spodziewać

nowego współpracownika. Bo robić naprawdę nie było komu! Stara wiara, czyli wszyscy ci, z którymi przed dziesięcioma laty zaczynał służbę w Warszawie, rozeszła się na cztery strony świata.

Musiał i Konieczko byli już od dawna na „emce” i bawili wnuki, a może już nawet nie, bo dzieci też rosną. Tymon Nowak, najbliższy współpracownik Kostka (obaj od początku konsekwentnie unikali słowa „partner”), uznał w końcu, że z polską policją mu nie po drodze. W poszukiwaniu siebie wyjechał z dziewczyną do Indii. Zawsze miał takie zapędy, bo i mięsa nie jadł, nie chciał się strzyc i nosił się jak lach ostatni. Ale Podbiał wcale by się nie zdziwił, gdyby któregoś dnia spotkał Tymka na kolejnej ulicznej demonstracji. I to po przeciwnej stronie, z antyrządowym transparentem w rękę! Służył jeszcze Andrzej Rudzki. Dostał gwiazdkę, był teraz całym komisarzem. Obrósł w piórka i trzymał się tej roboty, bo miał na utrzymaniu rodzinę.

– Coś małego – sprzecyzował właśnie on, gdy Podbiał otworzył drzwi mieszkania.

– Już wstawiam wodę – rzekł Kostek.

– Dopiero przyjechałeś? – Rudzki wskazał ruchem głowy na torbę.

– Nie da się ukryć. Od czwartej na nogach.

Postanowił, że nie będzie się chwalił poranną przygodą w tramwaju. Czasem bywał przesądny i wierzył, że jeśli się będzie zanadto puszył, to zaraz noga mu się powinie.

Szybko przygotował kawę.

– Przepraszam, ale cukier się skończył – powiedział.

– Nie słodzę. – Andrzej uśmiechnął się.

Pili na stojąco, wyglądając przez okno. Podbiał bardzo lubił ten widok z najwyższego piętra na północne dzielnice Warszawy. Poza tym mieszkanie zostało mu jako jedyna pamiątka po żonie, aktorce Katarzynie Rawskiej. Im więcej lat mijało od ich rozvodu, tym z większym sentymentem wspominał ich krótkie, burzliwe małżeństwo. Naprawdę nie było takie złe. Nawiasem mówiąc, to właśnie ona, Kaśka, załatwiła mu swoimi kanałami przeniesienie z Olsztyna do stolicy.

– Co słyhać w firmie? – zapytał Kostek.

– Poproszę o inny zestaw pytań – odrzekł Rudzki.

– Rozumiem.

– Dopij i lecimy, zanim zlecą się sępy. – Komisarz wychylił filiżankę i odstawił ją na parapet.

4

– Dziennikarz? – Pan prezes machnął ręką, co mogło oznaczać zarówno najwyższą pogardę, jak i podziw. – Kiedyś „Superaka” kupowałem codziennie, a żona, panie, to z kolei te bardziej kolorowe. O gwiazdach znaczy. „Życie na Gorąco”, „Rewię” i takie tam.

Siedzącemu przed nim mężczyźnie ciepło się na sercu zrobiło. Poczuł lekką nadzieję, że wszystko rozstrzygnie się w ciągu kilkunastu następnych sekund.

– Ale u mnie to się trzeba znać na robocie, panie. – Prezes tym razem ręce rozłożył szeroko. – Fach mieć konkretny. Gryzipiórkiem to dzisiaj może być każdy. Wystarczy, że

ma laptopa i połączenie z internetem. Patrz pan na tych wszystkich... blogierów. Ledwo to od ziemi odrosło, już kasę trzepie! Parę zdjęć zrobi, filmik nakręci i już reklamodawcy ustawiają się do niego w kolejce. Moja córka od zawsze chciała zajmować się modą. Będę musiał jej przypilnować.

Pogroził palcem. Nie wiadomo, czy córce, czy temu, kto miał czelność zapytać go o robotę. Żeby jeszcze z ulicy przylaźł i dupę zawracał. Ale przecież umawiali się telefonicznie na rozmowę. I to aż dwa razy.

Kandydat na pracownika powoli wstał z krzesła.

– W takim razie dziękuję za spotkanie i poświęcony czas – rzekł spokojnym głosem, zmuszając się do uśmiechu.

– Ale pan się chyba nie obraziliś, co?

– Skąd. Nie ma problemu.

Prezes zaszeleścił dokumentami na biurku, jakby czegoś szukał. I tak rzeczywiście było, bo zaraz capnął jakąś kartkę i przebiegł po niej wzrokiem.

– Operator wózka widłowego – przeczytał w końcu. – Praca fajna, bo na miejscu, w Warszawie. Nie trzeba nigdzie dojeżdżać.

– Świetnie – ucieszył się petent. – Biorę.

– Ale trzeba mieć uprawnienia. – Boss spojrzął na mężczyznę spod oka.

– Znajdą się. Różne rzeczy się w życiu robiło, nie?

– W takim razie jesteśmy w kontakcie, panie... – Znów zanurkował w porzrzuconych papierzyskach, tym razem po to, by odnaleźć CV kandydata.

– Horn. Tomasz Horn.

Minutę później znalazł się na ulicy. Poprawił plecak, odwrócił się i ogarnął spojrzeniem siedzibę firmy. Robiła nawet korzystne wrażenie. Tyle lat mieszkał na Pradze, a nawet nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia. Szkoda tylko, że nigdy tu nie wróci. Wsunął ręce w kieszenie, czubkiem buta kopnął kamyk i ruszył Jagiellońską na południe, powolnym krokiem człowieka, któremu nigdzie się nie spieszy.

Jeszcze do niedawna był redaktorem jednej z największych gazet w Polsce. Miał ponad czterdzieści lat i w oczach wielu był mistrzem w swoim fachu. Ale byli też tacy, co mieli go za... emeryta. Wiele było prawdy w tym, co powiedział tamten człowiek. Że dziennikarzem może być dzisiaj każdy. Po co komu takie dinozaury jak on? Już dawno myślał o tym, żeby się przebranżowić, ale zawsze odkładał ostateczną decyzję.

Aż przyszedł rok, o którym na pewno nie zapomną historycy. Wieszcząc katastrofę na rynku prasy, kierownictwo dziennika zaczęło robić porządki. Tu obniżyli pracownikom pensje o dwadzieścia procent, tam nawet o połowę. A niektórym w ogóle podziękowano. Był wśród nich także i Tomasz. I kto wie, czy nie było tak, jak mówiono: że zaraza jest tylko pretekstem, by pozbyć się ludzi, a ci, co mieli zostać, z tej wdzięczności godzili się zapieprzać za dwóch.

Początkowo się nie przejął, bo przecież z niejednego pieca chleb jadał i nieraz dostawał wypowiedzenia. Nie tu, to tam. Nie drzwi, to okno. Zawsze jakoś spadał na cztery łapy. Na szczęście nie miał rodziny na utrzymaniu. Potem jednak zaczęła do niego dochodzić groza sytuacji. Przecież tak jeszcze nie było! Ech, czymże przy tym były jego niegdyś przygody, rozwiązywanie kryminalno-historycznych zagadek.

Zatrzymał się na płycie przy pomniku Kościuszkowców. Żołnierz w rogatywce wyciągał rękę w kierunku lewobrzeżnej Warszawy. Jakby chciał jej dotrzeć, a coś mu w tym przeszkadzało. Wtedy tym czymś była wielka polityka, niedokończony podział świata. A teraz? Czy dla kogoś takiego jak Horn było w tym mieście jeszcze cokolwiek do roboty?

Kwadrans później szedł mostem Świętokrzyskim. Z racji wczesnej pory, bo zbliżała się dopiero zima, na bulwarach po lewej stronie rzeki było niemal pusto. Prócz jednego miejsca, niemal pod samym mostem. Gdy Tomasz Horn ujrzał policyjne mundury, jego serce zaczęło bić szybciej. Przyspieszył kroku. Najwyraźniej coś się tam stało. Może kolejna demonstracja, niekoniecznie antyrządowa, ale ekologiczna? Choć dla ludzi myślących różnicą nie było.

Wreszcie znalazł się na placu, nad którym górował pomnik warszawskiej syrenki. Stąd było widać trochę więcej. Prócz mundurowych kręcili się tam również mężczyźni w cywilu. Na dachu jednego ze stojących dalej dwóch radiowozów obracały się niebieskie światła. Zupełnie jak jeszcze niedawno, gdy łapano spacerowiczów i rowerzystów.

– Proszę stąd odejść – zawołał do niego posterunkowy w furazerce.

– A co się stało? – chciał wiedzieć Horn.

– Trwają czynności procesowe. Proszę się oddalić. – Policjant wskazał nawet kierunek, w którym natręt powinien się udać.

Wtedy Horn się najeżył.

– Jestem dziennikarzem. – Zdecydowanym gestem sięgnął po legitymację prasową, którą jeszcze miał i nie miał zamiaru oddać, bo jej posiadanie ułatwiało wiele spraw, po czym przedstawił się, pomijając jednak tytuł gazety. – A pan posterunkowy nazywa się...?

Znów poczuł znajome emocje. Właściwie to nie miał pewności, czy gra jest warta świeczki, a tak naprawdę guza, ale stało się. Tak, to była ta jego słynna wrodzona skłonność do pakowania się w kłopoty. Mógł jeszcze machnąć ręką i sobie iść, może nawet tam, dokąd mu ten szczył kazał. Pewnie nie będą go gonić, bo przecież nie niegrzecznego nie powiedział. Chociaż cholera ich wie.

Od strony rzeki nadchodził jakiś facet w cywilu.

– Panie komisarzu! – zawołał posterunkowy.

– Co jest? – Oficer spojrzął w ich kierunku.

Zaraz się poskarżył jak pani w przedszkolu – pomyślał ze złością Tomasz.

Oficer zbliżył się. Wtedy Horn przymrużył oczy. Nie, nie mógł się mylić!

– Kostek... – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Tomek Horn – ucieszył się Podbiał, do podwładnego zaś rzucił sucho: – W porządku, posterunkowy. Ten pan był umówiony.

Kiedy oddalili się od cerbera, komisarz, chichocząc, wyjaśnił:

– Nie miał na tyle rozumu, żeby zostać ministrantem. – A potem zapytał, już poważniejszym tonem: – Co tu robisz?

– Dostałem z samego rana cynk, że coś się stało nad rzeką – skłamał Horn, ale tylko w pierwszym zdaniu. – Jestem co prawda na wylocie, ale może udałoby się coś napisać do innego tytułu. Albo do jakiegoś portalu. Wiesz, jak jest...

– Tak mi się wydaje – mruknął policjant. – Pokażę ci, co znaleźliśmy. Mam nadzieję, że nie zrobi ci się słabo. I pamiętaj, że to tylko po starej znajomości.

– Jasne, komisarzu!

– Już „nad” – sprostował Kostek Podbiał.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Dawno się nie widzieliśmy.

Do Horna dopiero w tej chwili zaczęło docierać, że najprawdopodobniej znajduje się na miejscu przestępstwa. I jeszcze te obawy Podbiała, czy się aby nie porzyga. W swojej wieloletniej pracy nieraz już widział nieboszczyków, ale nigdy nic nie wiadomo.

Policjant być może wyczuł wahanie starego znajomego, bo zaczął sam mówić:

– Mamy ciało kobiety. Natknął się na nie w nocy jakiś birbant, ale dopiero nad ranem, jak już doszedł do siebie, zadzwonił na policję. Być może bał się, że pijanemu nikt nie da mu wiary albo że jego samego będziemy ciągać...

– A będziecie? – wszedł mu w słowo Tomasz.

– Pewnie, że tak. Gość musi być przesłuchany. Fotki też obejrzy. A właśnie, *a propos* fotek. Zesrał nam się aparat. Przysłali jakiegoś nowego, który nie potrafi sobie z tym poradzić.

– Kolejny, dla którego nie starczyło miejsca przy ołtarzu? – przypomniał sobie dziennikarz.

– Żebyś wiedział.

Horn zatrzymał się. Zdjął plecak i z tajemniczym uśmiechem zaczął w nim grzebać. Po chwili wyjął, niczym magik królika z kapelusza, pięknego, choć wysłużonego nicony.

– Widzę, że naprawdę jesteś gotów szukać tematów na ulicy – rzekł z podziwem Kostek.

Po chwili Horn wręczył sprzęt zdezorientowanemu młokosowi w żółtej kamizelce z wypłowiałym napisem „TECHNIK KRYMINALISTYKI”. Jednocześnie szukał wzrokiem ciała, ale nigdzie go nie było. Dopiero gdy fotograf zeskoczył z murka, za którym była Wisła, zrozumiał.

– Utopiła się? – próbował zgadywać.

Ostatnio często wyławiano ciała. A to zdarzył się wędkarz, który miał pecha, a to ktoś, kto po raz pierwszy dosiadł skutera wodnego (a w dodatku zrobił to po kilku głębszych), wreszcie samobójczyni, której nikt nie zdążył powstrzymać przed skokiem z mostu. Zazwyczaj jednak ciała wypływały na wysokości Tarchomina.

– To nie jest wykluczone – odparł Kostek. – Na razie mamy za mało danych, żeby to stwierdzić. Podejrzewam, że nawet patolog będzie miał niezłą zagwozdkę.

– Dlaczego?

– A dlatego, że mamy tylko część ciała. A dokładnie nogi.

– To skąd wiadomo, że to babka? – prychnął Horn, czym zwrócił uwagę kilku innych mężczyzn, którzy kręcili się w pobliżu.

Podbiał pociągnął znajomego za rękaw, ale bynajmniej nie w kierunku rzeki.

– Nie mów, że nie odróżnisz nóg babki od nóg faceta – zachnął się.

– Że ogolone? – Horn wzruszył ramionami. – Znam facetów, którzy też to robią. Poza tym znam też kobiety, które...

Policjant aż się wzdrygnął.

– Daj już spokój – uciął. – Tak czy siak, jesteśmy pewni, że to kobiece nogi. Na szczęście są... podpisane i dzięki temu będzie łatwiej znaleźć właścicielkę. A teraz pan redaktor weźmie kajecik i ołówek. Dam oświadczenie.

– Jakiś ty łaskawy, że nie każesz mi biegać do Pałacu Mostowskich – zdziwił się Tomasz Horn, chyba nawet bardziej niż słowom znajomego policjanta o „podpisanych” kończynach.

– Jeszcze byś zabłądził.

5

Kornelia wyjęła z torebki lusterko i przyjrzała się swojemu odbiciu. Nie była niewolnicą dobrego wyglądu, nie drżała ciągle o swój *make up*. Problem w tym, że malowała się od święta i nie była pewna swojej ręki. A nic gorszego, jak chodzić wśród ludzi przez pół dnia ze szminką na zębach czy z nierówno rozłożonym podkładem. To już lepiej w ogóle się nie paćkać.

Była jednak kobietą, i to całkiem atrakcyjną, i raz na jakiś czas, szczególnie wtedy, gdy mogła poświęcić tej czynności więcej niż dwadzieścia sekund, lubiła zrobić użytek z kosmetyków, z reguły otrzymanych w prezencie pod choinkę lub na urodziny czy imieniny (więcej okazji na razie nie było, bo ósmego marca w jej otoczeniu traktowano jako archaiczny przeżytek). Tak samo jak raz na jakiś czas zamiast dżinsów i sportowych butów lubiła włożyć szpilki i sukienkę.

– Czy coś podać? – zapytał ją kelner.

– Nie, jeszcze chwilę – odparła. – Czekam na kogoś.

– Rozumiem. – Chłopak skinął głową i oddalił się.

Od strony wejścia do kawiarni dobiegły głosy i śmiech. Kornelia spojrzała w tamtym kierunku. Wśród gości nie znalazła osoby, na którą czekała. I to już od ponad kwadransa!

Nie cierpię ludzi, którzy się spóźniają – pomyślała.

Rozległo się przeciągłe syczenie ekspresu do kawy, któryś z baristów rzucił kilka obcych, włosko brzmiących słów. Kelner odebrał tacę z zamówieniem. Życie kawiarni „W Biegu Cafe” na rogu Marszałkowskiej i placu Zbawiciela toczyło się normalnie.

Kornelia Banaś, dwudziestoczteroletnia naturalna blondynka o długich, prostych włosach, wzrost średni, oczy niebieskie, znaków szczególnych brak, rzadko bywała w takich miejscach. Kiedy ją o to pytano, tłumaczyła się nadmiarem dymu tytoniowego. Gdy jakiś czas temu ustawowo zakazano palenia w kawiarniach, już jakoś nikt Kornelii o to nie pytał.

– Jestem, już jestem. Przepraszam! – usłyszała znajomy głos, któremu akompaniowało tupanie szpilek.

Kornelia wymownie spojrzała na zegarek.

– Dwadzieścia jeden i pół minuty spóźnienia – przywitała dziewczynę, która właśnie, stojąc obok jej stolika, rozplątywała się z paska torebki i kabła słuchawek.

Nikt, kto znałby Monikę Banaś, bo tak nazywała się przybyła, nie zdziwiłby się takim widokowi. I pewnie jeszcze dodałby do tego komentarz w rodzaju: w tym

szaleństwie jest metoda. Wreszcie dziewczyna zajęła krzeselko naprzeciwko i splotła przed sobą dłonie; ktoś, kto dopiero teraz zacząłby się jej przyglądać, pomyślałby, że spędziła w tej pozycji co najmniej pół godziny.

– Słucham – powiedziała.

– To raczej ja słucham – sprostowała Kornelia.

Nie było już po niej znać zdenerwowania. W końcu rodzina powinna się wspierać, a już na pewno wybaczać. Spóźnienia też.

– No masz, zupełnie zapomniałam, że to ja chciałam się z tobą spotkać, siostra! – zaśmiała się młodsza o dwa lata Banasiówna. – Co pijemy? Mają tu niezłe frappé. A przynajmniej mieli jeszcze niedawno. Ja stawiam.

Niecałe dziesięć minut później kelner przyniósł tacę z zamówieniem. Za oknami kawiarni przejechał tramwaj w stronę centrum. Chodnikami wzdłuż wąskiego gardła Marszałkowskiej między placami Konstytucji a Zbawiciela spieszyli dokąds przechodnie.

– Tak, to musi być grubsza afera – powiedziała Kornelia, mieszając kawę długą łyżeczką.

– Dlatego od razu pomyślałam o tobie. Musimy to koniecznie sprawdzić.

– Musimy?

– Ty i ja. Jak najszybciej!

– Wolałabym, żebyś się już w to nie mieszała – odparła twardo starsza z sióstr.

– Dlaczego?

– Bo mogą cię rozpoznać.

– Jak chcesz. – Monika spuściła wzrok, jednak tylko na chwilę. – Ale przecież zawsze potrzebny jest ktoś, kto będzie czekał na dole w samochodzie z uruchomionym silnikiem, prawda?

Kornelia tylko westchnęła. Tak, kiedyś miały swoje małe i większe tajemnice, powierzały sobie najszybsze sekrety, rozmawiały o facetach. Jednym z filmów, które obie lubiły i wiele razy oglądały, był *Thelma i Louise*. A potem przyszło dorosłe życie. Szare jak te kamienice po drugiej stronie ulicy.

– Tak. Ktoś taki jest potrzebny – rzekła z rezygnacją. – Możesz mi pokazać ten wycinek?

Monika wyciągnęła z torebki ogłoszenie z gazety. Kornelia wzięła karteluszek do rąk. Po chwili wyjęła komórkę i wybrała numer. Niepodejrzewająca niczego Monika w spokoju śledziła jej poczynania. Zaczęła wymachiwać rękami dopiero wtedy, gdy usłyszała:

– Dzień dobry, ja w sprawie ogłoszenia o pracę... Tak, mogę przyjechać. Za pół godziny? Żaden problem. W takim razie do zobaczenia.

Oczy Moniki powiększyły się do rozmiarów pięciozłotówek.

– Coś ty najlepszego zrobiła? – wykrztusiła z trudem, gdy jej siostra odłożyła aparat na blat stolika i spokojnie dopijała swoje frappé.

– Jak to co? Zadzwońiłam i umówiłam się na spotkanie w sprawie pracy. Pan, z którym rozmawiałam, był bardzo miły. Jestem ciekawa, czy również przystojny.

– I masz zamiar tam pójść?!

– A czy nie tego właśnie chciałaś?

– Ale przecież ci ludzie mogą być niebezpieczni! Może cię porwą i wywiozą gdzieś na Zachód. Albo na Wschód. Albo od razu zabiją...

– Wtedy będzie mi już wszystko jedno, czy pojadę na zachód, wschód, północ czy południe. – Młoda kobieta rozłożyła ręce. – Równie dobrze mogę stąd wyjść i cegła spadnie mi na głowę. Nie dowiemy się prawdy, jak będziemy tu tak siedziały i gdybały.

– Nie da się ukryć...

– I jeżeli mamy zdążyć, powinniśmy już iść. Nie lubię się spóźniać na rozmowy o pracę.

– A możemy poczekać, aż wypiję? – zapytała zrezygnowana Monika.

6

Konstanty Podbiał siedział w swoim pokoju i spoglądał przez okno na Ogród Krasieńskich. Kiedyś nie zwracał na niego uwagi. Ot, drzewa. Niedawno nawet trochę go przetrzebili, co oczywiście spowodowało protesty. On wychował się wśród drzew, bo przecież nad jeziorami lasów nie brakuje. Jeszcze wczoraj spacerował wzdłuż brzegu jednego z nich i, prawdę mówiąc, już zaczynał tęsknić. Owszem, zawsze cieszył się z powrotu do Warszawy, ale to szybko mijało. Zauważył to szczególnie w ostatnich latach, kiedy zaczynała się zbliżać magiczna piątka na początku liczby oznaczającej wiek.

– Może powinienem rozejrzeć się za jakąś działką? – zastanawiał się głośno.

– Też mi to chodzi po głowie – skomentował Rudzki, który zjawił się w pokoju cicho jak duch. – Dzieciaki miałyby się gdzie wybiegać. Życie w bloku na Bródnie nie jest wesołe.

– Kiedyś trzymało się ogródki, żeby mieć swoje warzywa i owoce. Pamiętam, jak pomagałem ojcu stawiać szklarnię, w której rodzice pielęgnowali pomidory. Dzisiaj wszyscy sięją wszędzie trawę i robią grilla – zauważył Podbiał.

– Pietruszka też wróci, spokojnie.

– Co mamy? – Podbiał zmienił temat.

Andrzej pacnął plikiem dokumentów o blat biurka, sam zaś usiadł na jego krawędzi.

– Kobieta około dwudziestu dwóch, dwudziestu pięciu lat, szczupła, wzrost powyżej metra siedemdziesięciu – wyrzucił z siebie jednym tchem.

– I to wszystko stwierdził nasz drogi patolog na podstawie nóg? – Kostek nie krył zaskoczenia i podziwu.

– To dopiero połowa cenzurki. Dalej mamy jeszcze dolegliwości, na jakie cierpiała, a także pewien ważny fakt. Mianowicie to, czy zanim ją poćwiartowano, była trzeźwa.

– Ja tam bym wolał coś chlapnąć, zanim by mnie zaczęli ćwiartować. A jak było tutaj?

– We krwi denatki, owszem, stwierdzono obecność alkoholu. Oczywiście nie jesteśmy w stanie powiedzieć, ile go było w momencie śmierci...

– Darujmy sobie szczegóły. Zresztą nie znajdziemy jej, szukając wśród wszystkich dziewczyn, które tego dnia piły. A przynajmniej nie teraz. Wskazówka jest tutaj. –

Podbiał stuknął palcem w zdjęcie, na którym przedstawiono fragment łydki z tatuażem. Był to jakiś mały ptak.

– Co masz zamiar z tym zrobić? – Rudzki spojrział z uwagą na kolegę.

– Od dawna noszę się z zamiarem, żeby coś sobie wydziarać – odparł lekkim tonem Podbiał, po czym wstał zza biurka. – Jak to mówią, chcesz mieć coś na stałe, zrób sobie tatuaż. Uprzedzając pytanie, nie, nie uważam, że jest na to za późno. Przeciwnie, dopiero teraz do tego dojrzałem, bo nie każę sobie zrobić imienia żadnej kobiety. Nie jest to również niezgodne z regulaminem. Pod koszulką mogę nosić, co mi się żywnie podoba.

– Może CHWDP każesz sobie wydziarać? – prychnął Andrzej.

– Jako człowiek znad jezior, wolę marynistyczne motywy. Kotwice albo inne róże wiatrów. Mogą być też ryby, jak u Azji Tuhajbejowicza.

Ostatnie słowa Kostek Podbiał wypowiedział, wkładając kurtkę. Rudzki w milczeniu śledził jego poczynania. Ocknął się dopiero w chwili, gdy kolega schował do wewnętrznej kieszeni fotografie przedstawiające tatuaż nieżyjącej dziewczyny.

– Naprawdę wybierasz się do salonu tatuażu? – zapytał Andrzej.

– A widzisz jakieś inne wyjście czy punkt zaczepienia? – odpowiedział pytaniem na pytanie Podbiał. – Mam znajomego, który być może będzie w stanie nam pomóc. A ty pogrzeb w tym czasie w sieci. Teraz wszyscy artyści chwalać się tam swoimi dziełami.

– A czy te salony już działają? – zapytał niepewnie Andrzej.

– Chyba tak.

– To pewnie jest tam kolejka...

Ale Kostek był już na korytarzu. I mimo że lubił Rudzkiego, pomyślał, że bardzo chciałby, żeby wreszcie przyszedł ten nowy.

Podbiał dotarł na miejsce piechotą, bowiem ulica Zamenhofa zaczynała się na tyłach Pałacu Mostowskich. Wbrew czarnym proroctwom Rudzkiego, w salonie nie było tłumów. Pewnie w przeciwieństwie do salonów fryzjerskich albo kosmetycznych. Na dodatek znajomy tatuażysta Łukasz był na miejscu. Trzeba było jednak chwilę poczekać, bo akurat męczył kogoś na piętrze.

Kostek nie zamierzał tracić czasu i od razu poprosił o albumy ze wzorami tatuaży.

– Ktoś tutaj w ogóle zagląda? – zapytał dziewczynę, która siedziała na recepcji, wskazując na księgę przypominającą stary album na zdjęcia albo klaser.

– Jasne. Zdarza się, że ktoś przychodzi, by zrobić sobie tatuaż, ale nie wie, co to ma być. Wtedy wybiera coś z naszych propozycji – wyjaśniła.

– Ja chyba bym się bał.

– To aż tak bardzo nie boli. W każdym razie można przywyknąć.

– Mam na myśli takie wybieranie. Tatuaż zostaje przecież na całe życie i ciężko podjąć decyzję w ciągu paru minut. To właściwie tak jak z małżeństwem...

– Być może. – Dziewczyna wruszyła ramionami.

Przez kilka chwil Kostek wertował album w poszukiwaniu ptaków. Owszem, były, a w dodatku mogło się wydawać, że wykonała je ta sama ręka co ptaszka na łydce zmarłej. Problem w tym, że wrażenie takie mogła powodować ta sama technika i właściwie niewielkie pole manewru. Kiedy mijał na ulicy wytatuowanych ludzi, czasami nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wszyscy mają na sobie to samo. Oczywiście było to mylne wrażenie i każdy posiadacz wiecznego rysunku, gdyby mu to powiedzieć, najpewniej bardzo by się zdenerwował.

– O, ceść! Wreszcie się zdecydowałeś? – z zamyślenia wyrwał Kostka znajomy głos.

Łukasz był jego równolatkiem, nosił imponującą brodę, no i pokryty był tatuażami.

– Jeszcze się zastanawiam – odrzekł Kostek.

– W tej chwili mamy już zapisy na listopad – rzekł tatuażysta.

– Już na listopad?!

– Wszystko się posypało i teraz robimy klientów z marca. Mało kto zrezygnował. Ludzi nie odstrasza nawet to, że będą chodzili latem obwiązani folią.

– Myślałem, że boją się czegoś innego.

Czas uciekał, klient na górze już pewnie się niecierpliwił. A może zastanawiał się, czy aby nie skorzystać z okazji i przysnąć, więc należało przystąpić do rzeczy. Łukasz wiedział, czym zajmuje się na co dzień Kostek, więc nie trzeba było ani specjalnych podchodów, ani tłumaczeń.

– Czy wiesz, kto to mógł zrobić? – zapytał Podbiał, pokazawszy jedną z fotografii, by zaraz sprezyzować: – Oczywiście mam na myśli tylko ptaka.

Łukasz przez chwilę przypatrywał się zdjęciu, nawet pod różnymi kątami.

– Wiesz, w tym mieście jest kilkadziesiąt salonów – mruknął. – Ale wydaje mi się, że chyba już coś takiego widziałem...

7

Tak, zawsze potrzebny jest ktoś, kto będzie czekał w samochodzie z uruchomionym silnikiem. Tym kimś, jak ustaliły, miała być młodsza z siostr Banaś. Ale póki co obie siedziały jeszcze w dziesięcioletnim volkswagenie Moniki i ustalały szczegóły.

– Wejść do środka dokładnie za minutę dwunasta – rzekła, nie wiedząc czemu pógłosem, Kornelia. – Rozejrzę się, może uda mi się zaczepić i zapytać kogoś, kto tam tylko sprząta. Tacy ludzie zawsze wiedzą najwięcej.

Nagle rozległo się pukanie w szybę.

– Jezu! – krzyknęła Monika. – Nakryli nas.

Siedząca na fotelu pasażera Kornelia miała jednak nieco więcej zimnej krwi, mimo że to w jej okienko zapukano. Spokojnie pokręciła korbką, opuszczając szybę.

– Tak?

– Trzeba zapłacić za parkowanie – powiedział stojący przy samochodzie mężczyzna w czapce z daszkiem. Kornelia rozpoznała żółtą kamizelkę i wyjątkowo nietwarzowy uniform służb zajmujących się w mieście łapaniem tych, którzy za nic mieli przepisy obowiązujące w strefie płatnego parkowania.

– My zaraz odjeżdżamy! – zawołała Monika.

– Ale za to „zaraz” również należy uiścić stosowną opłatę – wszedł jej w słowo kontroler.

Kornelia otworzyła drzwi samochodu i wyszła na zewnątrz. Zamieniła z mężczyzną kilka słów, których jej siostra nie słyszała, także ze względu na hałas, który spowodowała przejeżdżająca śmieciarka. Nim się Monika spostrzegła, były znów same. Kornelia nie wsiadała jednak z powrotem do auta.

– Idę – powiedziała przez szparę w oknie.

– A co z parkometrem?

– Załatwione. Pan był bardzo miły i nam darował.

– Gorzej, jak za chwilę przyjdzie jego mniej miła koleżanka – skwitowała Monika.

Chwilę później Kornelia Banaś nacisnęła przycisk w domofonie przy drzwiach do kamienicy. Nie było żadnych szyldów ani napisów, które informowałyby, że mieści się tutaj jakaś firma. Po dwóch długich sygnałach usłyszała męski głos. Przedstawiła się i podała powód wizyty. Odpowiedziało jej brzęczenie. Idąc na górę, jeszcze raz uporządkowała sobie w głowie wszystkie fakty. Kilka dni temu jej młodsza siostra, szczęśliwa posiadaczka dobrej posady, która jednak nigdy nie przestawała szukać posady jeszcze lepszej, skuszona gazetowym ogłoszeniem, udała się na rozmowę o pracę. Po wymianie paru zdań rozmawiający z nią mężczyzna kazał jej... podnieść bluzkę i pokazać goły brzuch. Nie zrobiła tego, uciekła. O wszystkim powiedziała starszej siostrze. To wszystko.

Kim był mężczyzna, o co mu chodziło, do jakiej pracy szukał dziewcząt? Nikt nie mógł mieć co do tego wątpliwości. Teraz należało zdobyć jeszcze jeden dowód w tej sprawie, by nadać jej dalszy, oficjalny już bieg: prokuratura, media, napiętnowanie drania. Albo drani. Miała to zrobić Kornelia. Zapytana przez siostrę w drodze na miejsce, jak właściwie ma zamiar tego dokonać, czy nagra rozmowę, a może ją w jakiś przemyślny sposób sfilmuje z ukrycia, powiedziała tajemniczo, że ma swoje sposoby.

Tak naprawdę nie miała pojęcia, co robi, gdy każą jej podnieść bluzkę i pokazać brzuch.

– To pani?

– Dzień dobry – przywitała się.

Stał przechylony przez balustradę na najwyższym piętrze (ile ich przeszła?) i uśmiechał się. Miał około czterdziestu lat, był wysoki i dobrze zbudowany. Prawdopodobnie nie dałaby mu rady w bezpośrednim starciu.

– Zapraszam – powiedział. – Prosto i w lewo. Rozmowy w sprawie pracy zwykle odbywają się w innym pokoju, ale teraz jest zajęty. Mam nadzieję, że pani to nie przeszkadza.

– Ależ skąd.

Kornelia przekroczyła próg pomieszczenia z mocno bijącym sercem. Po chwili znalazła się w typowym biurowym, chociaż niezbyt obszernym pokoju. Gospodarz wskazał jej miejsce naprzeciwko biurka, sam zajął obrotowy fotel. Poprosił o *Curriculum Vitae*. Nie zdążyła odpowiedzieć, że nie ma. Zamiast tego zaczęła się... śmiać. Najpierw starała się zapanować nad emocjami, szybko jednak doszła do przekonania, że to jednak silniejsze od niej. Wszystko za sprawą dużego i oprawionego w ramę zdjęcia, które wisiało na ścianie.

- Nie mam dokumentów, przepraszam pana... – powiedziała, gdy w końcu udało jej się uspokoić. – Przepraszam także za kłopot. Myślę, że kiepski byłby ze mnie pożytek.
- Nie rozumiem.
- Poza tym ja mam pracę. Może niezbyt dobrze płatną, ale za to wdzięczną. Do widzenia.
- Do widzenia – bąknął osłupiały mężczyzna.
- Minutę później była na dole. Widząc siostrę, Monika Banaś przekreśliła kluczyk w stacyjce. Stary golf tylko zarzęził. Zapalił dopiero za drugim razem.
- Kiepski sprzęt do ucieczki – oceniła Kornelia, usiadłszy na miejscu obok kierowcy.
- Jak kiedyś będziesz chciała zrobić skok na bank, postaraj się o coś lepszego.
- I co? – dopytywała Monika. – Kazał ci się rozbierać?
- Nie zdążył.
- Złatwiłaś go?! – Dziewczyna złapała się za głowę.
- Kornelia swoją decyzję pokręciła.
- Praca jest jak najbardziej legalna, chociaż nie wiem, jak płacą – rzekła po chwili. – Ten człowiek szukał po prostu kelnerek.
- Co? Jakich kelnerek?!
- Do meksykańskiej restauracji, która znajduje się po drugiej stronie, na parterze.
- A brzuchy?! – Monika nie wyglądała na przekonaną.
- Kelnerki w tej restauracji chodzą z odkrytymi brzuchami, co jest charakterystyczne dla meksykańskiego stroju narodowego. Jak sombrero u facetów. A przecież byle brzucha facet nie zatrudni, prawda? Musi dbać o klientów. Poza tym musisz wiedzieć, że są na świecie bary, w których dziewczyny obsługują w samych stanikach, więc w tym przypadku nie jest tak źle.
- Monika Banaś słuchała starszej siostry z otwartymi jak u dziecka ustami. A potem zacisnęła je w wąską kreskę.
- Nie wiedziałam – warknęła.
- Nie szkodzi. Miałaś prawo się przestraszyć. Teraz dwa razy się zastanowisz, zanim zwrócisz mi głowę, tak? To, że jestem tym, kim jestem, nie oznacza, że będę rozwiązywać wszystkie twoje problemy.
- Obiecuję – wyjęczała młoda. – Tylko nie mów nikomu, dobrze?
- Zastanowię się. A teraz zawieź mnie do domu. Muszę się przygotować. Jutro zaczynam nowy etap w życiu.

8

Plac Zbawiciela wciąż był ważnym miejscem na towarzyskiej mapie Warszawy i zdobycie stolika w ogródku któregoś z lokali w pogodne późne popołudnie było bardzo trudne. Ale widać Kostek Podbiał miał dziś fart, bo sztuka ta udała mu się bez problemu. Powoli, niemal z gracją, odsunął krzeselko i usiadł.

- Kieliszek czerwonego wina – powiedział do kelnerki, która zaraz podeszła.
- Oczywiście – uśmiechnęła się dziewczyna.

Zbliżała się ósma wieczór i było jeszcze jasno. Słońce oświetlało na czerwono najwyższe piętra kamienicy metodystów. Podbiał wyjął notatnik, uzbroił się w długopis z jakimiś reklamowymi napisami i zaczął pisać. Kątem oka dostrzegł, że zwrócił tym (a w ogóle swoją obecnością) uwagę siedzących obok dziewcząt. Wciąż odczuwał skutki dawnej popularności męża znanej aktorki. Bywali tu i ówdzie, bo Kaśka na początku bardzo chciała się pochwalić przystojnym mężem, jak i tym, że w ogóle wyszła za męża, choć jej tego nie wieszczono.

A kiedy już nie było im ze sobą po drodze, Podbiał przez jakiś czas sam chodził na rauty i premiery, bo po prostu dostawał zaproszenia. Fotoreporterzy, którzy kojarzyli twarz, na wszelki wypadek robili mu zdjęcia. Bywał także w telewizji, ale już jako gliniarz, by na przykład przestrzegać dzieci i młodzież przed niebezpiecznymi zabawami podczas ferii i wakacji. Ale przestał, bo nie spodobało się to komuś w stołecznej. Zresztą słusznie, bo od tego był rzecznik prasowy, gatunek najszybciej awansujący.

Może biorą mnie za jakiegoś autora tekstów piosenek albo innego scenarzystę filmowego? – zaśmiał się w duchu.

Tak naprawdę jednak nie było mu do śmiechu, a czysta kartka i coś do pisania nie miały posłużyć do zapisania jakiegoś nowego pomysłu. Jeżeli już, to na dalsze śledztwo. Nigdy wcześniej nie spotkał się z takim przypadkiem, choć w Wiśle można było znaleźć wszystko. Gdyby to była jedna noga, wszystko wyglądałoby inaczej.

Dlaczego? Bo to oznaczałoby, że usiłowano pozbyć się ciała i najbardziej, jak to tylko możliwe, skomplikować złożenie go do kupy, a co za tym idzie – identyfikację. Czasami poszczególne członki znajdowano w punktach oddalonych od siebie o wiele kilometrów i w znaczących odstępach czasu. Nogi znalezione pod mostem Świętokrzyskim zostały oddzielone od reszty ciała za pomocą ostrego narzędzia. Lekarz dodał, że wcale nie tak łatwo przeciąć ludzkie ciało. Dwie nogi obok siebie mogły oczywiście oznaczać, że komuś się nie chciało jechać dalej z drugą kończyną. Albo nie zdążył, bo ktoś go przepłoszył. Ale mógł to być również, i tego nadkomisarz Konstancy Podbiał obawiał się najbardziej, jakiś znak. Komunikat od sprawcy.

Innym komunikatem, ale od zmarłej, był tatuaż. Kostek znał go już na pamięć, w pewnym momencie zaczął go nawet szkicować. Łukasz z salonu przy Zamenhofa dał mu namiar na kogoś, kto, jak podejrzewał, mógł go wykonać. Ale czy to dobry trop? Pół narodu nosi tatuaże, choćby ta kelnerka, która przyniosła mu wino. Pewności, czy to dobra droga, oczywiście nie było. Tak samo pewny nie był Andrzej Rudzki, który po powrocie Kostka do komendy przekazał mu swoje sugestie i typy. W sumie mieli jutro do odwiedzenia pięć miejsc. To znaczy już nie Rudzki, bo ten zaczynał urlop, a ów nowy, który miał się zameldować rano.

– Co to? – z zamyślenia wyrwał Kostka znajomy głos.

Kiedy podniósł wzrok, nie od razu udało mu się rozpoznać jego właścicielkę.

– Cześć. – Wstał i uściśnął wyciągniętą w jego kierunku, przyjemnie chłodną dłoń.

Kiedy to się stało, oboje chyba doszli do wniosku, że to za mało jak na kogoś, z kim kiedyś dzieliło się łożo. Ale tylko ona coś z tym zrobiła – nastawiła policzek do pocałunku. Kostek ledwo go musnął. Miał wrażenie, że wszystko wypadło bardzo sztywno. I że mieli sporą publiczność.

– Nie wiedziałam, że interesujesz się ptakami. – Rawska spojrzała na rysunek i towarzyszące mu gryzmoły.

Szybko schował notatki. Wyglądał na zawstydzonego i może nawet trochę się tak czuł. Dawno się nie widzieli, a telefon z prośbą o spotkanie bardzo go zaskoczył.

– Czego się napijesz? – zapytał była żoną, przy stoliku stała bowiem kelnerka.

– Może być to samo co ty.

Trochę przytyła. To dlatego miał mały problem z dopasowaniem głosu do reszty. Kiedy migała mu od czasu do czasu w telewizorze, w serialach i reklamach, myślał, że to tylko takie wrażenie, bo kamera zawsze dodaje kilogramów. Ktoś nawet kiedyś policzył, że dokładnie osiem. A teraz widział ją na żywo, metr od siebie, i już wiedział, że to nie było mylne wrażenie. Do tego ten ostry makijaż, zbyt ostry jak na gust Kostka. Rozumiał jednak, że czas nie stoi w miejscu, że biologia i tak dalej. Kiedy wracał myślami do czasów ich małżeństwa, miał dobre wspomnienia. Nie chciał rozwodu, bronił się przed nim rękami i nogami. Gdyby go jednak ktoś zapytał, czy byliby razem do dzisiaj, miałyby kłopot z odpowiedzią.

– Zmieniłam się? – zapytała.

– Skąd! – skłamał.

– Dobra, dobra. Nie czaruj, komisarzu.

Oczywiście nie tylko o jej rolach się pisało, ale też o kolejnych związkach. Kostek nie szukał specjalnie w internecie plotek na temat byłej żony, wolał się nie zadrećcać. Kilka lat małżeństwa to nie jest jednak coś, o czym można łatwo zapomnieć. Zawsze jednak znalazł się ktoś, kto mu coś takiego, niekoniecznie przez złośliwość, podsunął. Jedyne, co wypadało zrobić w takim momencie, to udać obojętność. Może nawet zaśmiać się, jak było do śmiechu. Na przykład gdy pewien muzyk, którego łączono z Rawską, zaczął ją zdradzać z... pewnym znanym transwestytą. No normalnie boki, kurwa, zrywać!

Kelnerka przyniosła zamówione przez aktorkę wino. Kostek nie chciał drugiego, ale i tak zaraz musiała przyjść, bowiem Kaśka opróżniła swój kieliszek w ciągu kilku chwil.

– Dużo pracy? – zgadywał Kostek.

Spojrzała na niego spod oka.

– Jakoś idzie, ale to już nie to samo co kiedyś – westchnęła. – Jestem przekonana, że to my, aktorzy, zapłaciliśmy za izolację najwięcej. Znam wielu ludzi z branży, którzy z dnia na dzień zostali pozbawieni środków do życia.

Już miał na końcu języka, że mogli oszczędzać, a nie przesiadywać co wieczór w takich miejscach jak to, albo wciągając mniej koksu czy wreszcie kupić normalne mieszkanie, a nie dwupoziomowy apartament. Ale w porę zdążył się w ten koniec ugryźć. Wciąż czuł, że będzie to miły wieczór, a na taki zasłużył bez dwóch zdań.

– Jasne. To straszne – skwitował.

Tymczasem wokół nich zaczynało się robić coraz gęściej i głośniejsze. Katarzyna Rawska spoglądała w perspektywę ulicy. Znał to spojrzenie. Oznaczało ono: najchętniej rzuciłabym to wszystko, wsiadła w samolot i obudziła się w Stanach. Minęło wiele lat, a ona wciąż się nie obudziła.

Kostek spojrzał dyskretnie na zegarek. Właściwie to jeszcze nie wiedział, jaki jest cel tego spotkania. Do stolika podeszła kelnerka.

– Coś jeszcze państwu podać? – zapytała, zabierając pusty kieliszek.

– Poproszę to samo – odpowiedziała Katarzyna lekko bełkotliwie.

To było już czwarte wino. Miała dziewczyna tempo, nie ma co. Podbiał zacisnął palce w pięści. Wyczekał jednak cierpliwie, aż kelnerka się oddali.

– Nie uważasz, że już wystarczy? – zapytał. Kiedyś takie zdanie nie przeszłoby mu przez gardło, bo prawda była taka, że sam za kołnierz nie wylewał.

Popatrzyła na niego zamglonym wzrokiem.

– Sama wiem, co jest dla mnie dobre, a co złe – fuknęła chyba głośniej, niż zamierzała.

Wiedział o tym aż za dobrze. Na szczęście już nic nie musiał. Po co więc tutaj jeszcze siedzi? Przecież wystarczy wstać, zapłacić i wyjść.

Wreszcie Rawska w kilku nieskładnych zdaniach opowiedziała, jak to nie może dostać żadnej nowej roli, a niedawna przerwa nie ma z tym nic wspólnego. I o kilku nieprzyjemnościach, jakich doświadczyła podczas castingów. Podbiał słuchał tych wynurzeń jednym uchem. Za dużo tego było w czasach, kiedy byli razem. Potem złapała za przyniesiony kieliszek i przeszła do spraw damsko-męskich.

– I chciałabym mieć jeszcze dziecko... – powiedziała tak cicho, że ledwo usłyszał.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Jakaś dziewczyna podeszła do ich stolika.

– Czy mogę prosić o autograf? – zapytała, podsuwając otwarty zeszyt w kratkę.

– Dla kogo? – Rawska błyskawicznie odzyskała pion.

– Dla Marleny.

Przez chwilę flamaster syczał na papierze.

– Dziękuję. – Młoda osoba sprawiała wrażenie naprawdę uszczęśliwionej ze zdobyczy.

Z Kaśki zeszło powietrze, jakby przed chwilą reżyser zawołał to, na co wszyscy w napięciu czekali: „Cięcie, mamy to!”. Ona najwyraźniej nie miała.

– Przepraszam, Konstany – szepnęła, próbując się przy tym uśmiechnąć.

– Za co?

– Za wszystko złe, co ci zrobiłam. Byłam wredną suką, nie zaprzeczaj.

Nie zaprzeczył.

– Ciekawe, czy bylibyśmy dalej małżeństwem. Jak sądzisz? – drążyła.

– Nie mam pojęcia.

Miał nadzieję, że taka odpowiedź jej wystarczy. Gdyby powiedział, że tak, na pewno byliby dalej razem, potwierdziłby tylko, że suka go skrzywdziła.

A może jest chora? – przeszło mu przez myśl. Gdyby tak było, to rozwody nie obowiązują. Znał wiele takich przypadków.

– Masz kogoś? – chciała wiedzieć, a przy okazji pewnie z pół tuzina par uszu.

– Mam dużo pracy – odpowiedział Kostek.

– Wezwij mi Uberka – poprosiła. – Mam rano zdjęcia i muszę jakoś wyglądać.

Dziesięć minut później Kostek pomagał byłej żonie wsiąść do taksówki. Miał wrażenie, że gdy spleceni w uścisku szli w stronę jezdni, błysnął flesz aparatu fotograficznego. Było mu jednak obojętne, co jutro napiszą brukowce i czym ociekają będzie internet.

– Ja chcę mieć z tobą to dziecko, Kostek – powiedziała, kiedy już udało jej się wejść do taksówki. – Z tobą, wiesz?

– Jesteśmy w kontakcie. – Zatrzasnął drzwi samochodu.

9

W tej samej chwili kelnerka otworzyła leżące na blacie stolika skórzane okładki, w których wcześniej przyniosła rachunek. Były tam również pieniądze – należność za poczęstunek plus napiwek. Odetchnęła z ulgą, bynajmniej nie z powodu tego drugiego. Różnie tu bowiem bywało z płaceniem. Niby ktoś był elegancki, dobrze ubrany, a potem oddalał się jakby nigdy nic. Wystarczył moment. I co wtedy robić? Gonić takiego, szarpać się? A może to jakiś psychopata?

Odprowadziła wzrokiem klienta odchodzącego w stronę Mokotowskiej. Ten na pewno żadnym psycholem nie był. Prędej ta babka. Czasem nawet w środku było ją słyhać. To chyba była jakaś znana osoba. Zresztą jak prawie każdy, kto tutaj przychodził. Aktorka albo piosenkarka. Dziewczyna, która obsługiwała ten stolik, nie miała pewności, bo po prostu nie posiadała telewizora. On z kolei wyglądał, jakby coś go bardzo trapiło. Może właśnie się rozstali?

Po chwili odezwała się jej komórka. Szybko sięgnęła po nią do tylnej kieszeni krótkich dżinsów, spojrzała na ekran. Wzruszyła ramionami.

– Proszę pani! – zawołał ją któryś z klientów siedzących przy stoliku najbliższej kamienicy metodystów. Była to dość wesoła grupka.

Kelnerka odrzuciła połączenie i szybkim ruchem schowała telefon.

– Już idę – odpowiedziała cicho, bo chyba tylko do siebie, i z uśmiechem, który był już przeznaczony dla wszystkich.

Chwilę później zwolniony przez tamtą parę stolik został zajęty przez dwie dziewczyny. Kelnerka postanowiła przyjąć od nich zamówienie w drodze powrotnej. To się jednak nie udało, przyjaciółki były bowiem bardzo podekscytowane, albo dlatego że udało im się trafić miejscówkę w modnym lokalu, albo po prostu długo się nie widziały. W efekcie poprosiły o czas do namysłu.

Mamy cały wieczór – podsumowała w duchu kelnerka.

Może inna na jej miejscu utyskiwałaby na takie klientki, a o perspektywie pracy do północy, jeśli nie dłużej, myślała z przerażeniem. Ale nie ona. Była gotowa siedzieć tu tyle, ile trzeba. Nie tylko bez słowa skargi, ale i z uśmiechem. Jak to mówią starzy, mądrzy ludzie, czasem trzeba sięgnąć dna, żeby docenić to, co się ma. Tak było w przypadku tej miłej dziewczyny, z jasnymi włosami zaplecionymi w dwa grube warkoczki. To chyba właśnie im mogła zawdzięczać tę robotę. Menadżer, który z nią wtedy rozmawiał, zapytał nawet, czy pytała o pracę w restauracji na sąsiednim placu Konstytucji, gdzie kelnerki nosiły ludowe stroje. Przestraszyła się wtedy, bo nie za bardzo go zrozumiała – myślała, że ją tam wysyła, a tutaj nie chce...

– Julia! – dobiegł ją głos z okienka, w którym wydawano potrawy.

– Jestem! – odpowiedziała.

– Zamówienie na dwunastkę.

Z wprawą podniosła tacę z talerzami, na których parowały potrawy. Trochę minęło czasu, zanim nauczyła się tych wszystkich francuskich nazw. Klienci często pytali, czy

to coś jest smaczne. I czy aby na pewno bez mięsa. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby się pomyliła. Oczywiście chodziło o ten brak mięsa, bo czy komuś smakuje, czy nie, to już sprawa do dyskusji.

Szybko dostarczyła zamówienie do stolika. Klienci, którzy go zajmowali, musieli być naprawdę głodni, bo przerwali rozmowę i zabrali się za jedzenie. Kelnerka wróciła do stolika, przy którym wcześniej siedziała ta artystka z przystojnym facetem.

– Czy już mogę przyjąć zamówienie? – zapytała.

– Dwa razy to. – Pomalowany na ognistą czerwień paznokieć jednej z dziewczyn dziobnął w kartkę menu.

– Oczywiście.

Wtedy znów poczuła vibracje telefonu. Menadżer nic o tym nie mówił, ale można się było domyślić, że prowadzenie rozmów podczas pracy nie jest przyjmowane z entuzjazmem. Problem w tym, że ona akurat czekała na dość ważny telefon.

Odeszła kilka kroków i wyjęła aparat. To był ten sam numer, z którego usiłowano się do niej dodzwonić kilka chwil wcześniej. Tym razem jednak odebrała połączenie.

– Tak?

Chwilę słuchała. Jej brwi powędrowały ku górze, ale zaraz ściągnęły się gniewnie. Twarz dziewczyny stężała, a usta zacisnęły się w wąską kreskę.

– Nie. To pomyłka – rzuciła wreszcie, a po chwili powtórzyła dużo głośniejszym głosem, dzięki czemu można było lepiej usłyszeć jej śpiewny akcent: – Przecież mówię, że pomyłka!

10

Kierowca złotego nissana, stojącego na awaryjnych światłach niedaleko zachodnich rogatek Warszawy, ze złością trzasnął pokrywą silnika. Oparł się o maskę, jakby nie obchodziło go zupełnie nic. Zapalił papierosa.

Siła złego na jednego – pomyślał, zaciągając się dymem.

Nazywał się Leszek Kłos, miał trzydzieści lat i od niedawna prowadził swoją pierwszą firmę. Kilka godzin wcześniej nic nie zapowiadało kłopotów. Siedział w biurze i przeglądał faktury za poprzedni miesiąc. Wyglądało to naprawdę nieźle, bo niedawno w interesie znów się ruszyło.

Lekko po siódmej wieczorem zadzwonił jeden z kierowców i powiedział, że nie przyjdzie, ponieważ jest chory. Zupełnie inaczej patrzy się na pracownika i jego wymówki w momencie, gdy ten musi przyjść do roboty bladym świtem. Ale o zmierzchu? Kac to nie był, pozostawała więc rzeczywiście jakaś choroba, której nie udało się pozbyć przez cały dzień. Trudno nie wierzyć swoim pracownikom...

Leszek sam usiadł więc za kółkiem, ponieważ jego firma SND, co oznaczało Super Night Driver, otrzymała właśnie pierwsze tego dnia zlecenie. Pojechał na Bemowo po jakąś starszą panią, która nie tolerowała taksówek. Zawiózł ją, dokąd chciała. Nie na tym co prawda polegała działalność jego firmy, ale brało się, co los dawał. „Cierpy” i cwaniaczki z Ubera może się nie dowiedzą. Pech chciał, że jego auto rozkraczyło się na skraju miasta i za cholerę nie dało się go ruszyć. Na dodatek zrobiło się już ciemno.

Najpewniej coś z elektroniką, a to już jest robota dla lepszego fachury i to na kilka godzin – diagnozował Kłos.

Dokończył papierosa i wszedł do samochodu. Już miał ponownie spróbować go uruchomić, gdy usłyszał warkot silnika. Długie światła skręcającego z Polczyńskiej auta błysnęły we wstecznym lusterku. Leszek zmrużył oczy. Tknięty złym przecuciem, zsunął tułów na siedzeniu i pochylił głowę.

Samochód, a była to ciemna furgonetka, zatrzymał się ledwo kilka metrów od unieruchomionego nissana. Rozległ się rumor rozsuwanych drzwi. Ciekawość wygrała ze strachem. Lekko wychylony, Kłos obserwował rozwój wypadków. Prawa przednia szyba było nieco opuszczona, więc słyszał też każde wypowiedziane zdanie, począwszy od charkotliwego:

– Dawaj tu tego chuja!

Dwóch osiłków stanęło przy tylnych drzwiach furgonetki. Zgrzyt zamka, skrzypnięcie otwieranych skrzydeł. Stukot butów na membranie podłogi. Kiedy Leszek ujrzał człowieka, którego wyciągano z luku bagażowego, zabrakło mu tchu. Tamten miał na głowie worek. Przez chwilę, bo ledwo dotknął stopami, a potem kolanami ziemi, zdarto mu go.

Zaraz dostanie kulę – przeszło przez głowę Kłowskiemu z prędkością porównywalną do wystrzelonego pocisku. Serce zamarło mu w piersiach wraz z kolejną myślą, że pewnie będą chcieli jeszcze sprawdzić w stojącym obok samochodzie, czy aby nikt przypadkowy nie był świadkiem porachunków. Jeden trup więcej, jeden mniej...

– Masz sześć dni – oznajmił jeden z oprawców.

– Sobota do północy – uściślił drugi i splunął. – Pamiętaj. Mamy papiery.

– I znajdziemy cię wszędzie.

Tamten wciąż klęczał na ziemi, jakby był w nią wbity piszczelami po kolana, podczas gdy oprawcy wsiedli do furgonetki, zapalili silnik i po prostu odjechali w stronę miasta.

Wiele razy Leszek zastanawiał się, komu wolniej płynął wtedy czas: tamtemu facetowi czy jemu, ukrytemu w kokpicie unieruchomionego wozu. Pewne było, że żaden z nich nie poruszył się przez dobrą chwilę. Kiedy w końcu Kłos zdecydował się wyprostować, otworzyć drzwiczki i wyjść z auta, tamten był już na równych nogach.

– Nic się panu nie stało? – zapytał Kłos.

Dopiero teraz mógł zobaczyć wyraźnie jego twarz. Był to porządnie wyglądający facet w średnim wieku. Czym ktoś taki mógł się narazić zbirom?

– Nie. Wszystko w porządku – odpowiedział mężczyzna, otrzepując spodnie z błota i piachu. – Koledzy tylko żartowali... – dodał jeszcze, jakby zakłopotany, że ktoś postronny widział go w tej sytuacji.

– Może wezwać policję?

– Nie trzeba.

Przez dłuższą chwilę milczeli. Pierwszy odezwał się nieznajomy, wskazując na auto.

– Jakież kłopoty? – zapytał.

– Ani drgnie. – Leszek podrapał się z zakłopotaniem po głowie.

– Może pan otworzyć maskę?

Kłos pomyślał, że tamci mogą wrócić. Ale pociągnął za ukrytą pod kierownicą dźwigię. Pokrywa silnika uniosła się z cichym szcękaniem. Nieznajomy pochylił się nad silnikiem.

– To chyba elektronika – spekulował Leszek. – Powinienem już dawno zadzwonić po pomoc, ale próbowałem sam grzebać.

– A ja myślę, że to nie będzie potrzebne – odezwał się tamten. – Proszę przekręcić kluczyk.

Leszek wykonał polecenie. Niestety, żadna z kolorowych diod na desce rozdzielczej auta się nie zapaliła. W dali kilka samochodów śmignęło w stronę autostrady w kierunku Łodzi albo Poznania, w odwrotnym kierunku posuwał się pusty autobus miejski. Kłos zaczął się godzić z myślą, że nie uda mu się dzisiaj wrócić do domu. W tym samym momencie co żal jego serce wypełniła trwoga.

Cholera, a jeśli ten gość jest jeszcze gorszy niż tamci dwaj? – pomyślał. Może na jego facjatę aniołka nabrało się wielu, a teraz gniją na Wólce. Może to rzeczywiście bandyckie porachunki?

– A teraz? – dobiegło znów spod blaszanego wieka.

Leszek bez przekonania przekręcił kluczyk. Nagle deska rozdzielcza zapęłgała niczym wiejska dyskoteka, a silnik zagrał najpiękniejszy akord, jaki Kłos słyszał kiedykolwiek w życiu. W ciągu sekundy zapomniał o swoich podejrzeniach. Wyskoczył z auta i zbliżył się do cudotwórcy.

– Jak pan to zrobił?

Tamten tylko wzruszył ramionami.

– Ma pan jakąś ścierkę? – zapytał tylko.

Kłos podał nieznanemu mały ręcznik, który trzymał w przegródce w drzwiach.

– Zatrudniam pana! Od dzisiaj. Potrzebuję dobrych mechaników, kierowców... – wyrzucił z siebie z prędkością karabinu maszynowego i entuzjazmem gościa, który pierwszy raz widzi na oczy automobil. – Podejrzewam, że się przyda dodatkowa fucha, co?

– Pewnie – bąknął niewyraźnie mężczyzna.

– Jestem Leszek Kłos, firma SND. – Wyciągnął rękę z wizytówką. – Mów mi Leszek. Nie bawmy się w ceregiele.

– Tomasz Horn. – Mężczyzna odebrał kartonik, uściśnął prawicę nowego szefa, po czym dorzucił zgodnie z narzuconą konwencją: – Po prostu Tomek. Dziękuję za zaufanie, ale chyba będzie lepiej, jak przyjdę jutro.

DZIEŃ DRUGI

11

Konstanty Podbiał obudził się kilka minut po szóstej rano. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie się znajduje, nie było to bowiem jego mieszkanie na Bielanach, a także jaki jest dzień tygodnia. Dopiero po chwili, niczym zdjęcia w cudownym fotoplastikonie, przeleciały mu przed oczami obrazy wczorajszego wieczora.

Po spotkaniu z byłą żoną, Katarzyną Rawską, a tym bardziej po jej wynurzeniach i deklaracjach (ciekawe, czy powtórzyłyby to wszystko na trzeźwo?) jakoś nie chciało mu się wracać do domu. Dlatego zadzwonił do Agnieszki. Poznali się pół roku temu dzięki popularnej na całym świecie randkowej aplikacji i od razu przypadli sobie do gustu. Wynalazek pozwalał oszczędzać czas, obywało się bez podchodów, więc w łóżku wylądowali już na pierwszej randce. Było to zresztą niedaleko Zbawiksa, stąd pewnie decyzja Kostka, aby zadzwonić właśnie do niej.

– Wstajesz już? – zapytała zaspanym głosem leżąca obok Agnieszka.

– Jeszcze chwilę.

Sympatyczna brunetka pracowała w jednej z warszawskich agencji fotograficznych, mogła więc kojarzyć Podbiała z dawnych czasów, kiedy jeszcze u boku Rawskiej brylował na salonach. Ale nie знаła go, a przynajmniej tak twierdziła. Od dnia, w którym umówili się po raz pierwszy i skonsumowali związek, był u niej jeszcze dwukrotnie, ona zaś odwiedziła go raz. Ona miała za sobą nieudane małżeństwo, on też. Żadne z nich nie miało ochoty na następne. Od początku było wiadomo, że chodzi tylko o fizyczność, był to więc czysty układ.

Wczoraj jednak skończyło się tylko na rozmowie przy herbacie. Podbiałowi nie chciało się wracać do pustego mieszkania, więc najzwyczajniej w świecie poprosił o przenocowanie.

– Dobra decyzja – wymruczała dziewczyna.

Usiadł na łóżku i spojrział na nią. Leżała na wznak, a jej część kołdry była odrzucona. Zaczął się przyglądać jej nogom. Nie mógł oczywiście nie pomyśleć o tamtej nieszczęsnej, którą znaleziono dobę temu. Cięcia, którymi oddzielono jej nogi od reszty ciała, były ukośne. Kostkowi skojarzyło się to z plastikowymi nóżkami lalek, którymi bawiła się jego młodsza siostra. Kończyny, bo rączki też, mocowało się do tułowia za pomocą specjalnej wypustki i otworu. Klik i lalka cała, może wywijać nóżką do przodu i do tyłu, a nawet naokoło!

– Co robisz? – zapytała Agnieszka, nie otwierając oczu.

No właśnie, co robił? Krawędzią dłoni przeciągał po pachwinie jej lewej nogi, wzdłuż koronki, którą obszyte były jej majteczki. Szybko cofnął rękę.

– Chyba nie zdążymy z szybkim numerkiem, Kostek – zaśmiała się Agnieszka, bo właśnie tak odczytała jego intencje. – Może następnym razem. Jak sobie znów o mnie przypomnisz.

Kiedy wpadł do pokoju, w którym odbywały się odprawy, komisarz Andrzej Rudzki był już w połowie relacji z interwencji, która rozpoczęła wczorajszy dzień.

– Przepraszam – bąknął Kostek niczym uczeń, skinął pokornie głową i zajął miejsce.

– O, jest nasz mściciel – przywitał go szef, podinspektor Kontra.

Wkrótce miał minąć rok, jak zastąpił na tym stanowisku młodszego inspektora Bronisława Musiała. Podbiał żalował, że stary szef odszedł na emeryturę, bo w ostatnim czasie świetnie się dogadywali, ale miał nadzieję, że i teraz nie będzie źle, bowiem Krzysztof Kontra, tak jak i on kiedyś, przeniósł się do stolicy z Olsztyna. Znali się z dawnych czasów, minęli kilka razy, czasem powspominali jakieś sprawy. Ale to wszystko. Nowy szef chciał się wykazać i udowodnić, że zasłużył na awans. I mieli na to pracować wszyscy podwładni.

– Nie rozumiem – Kostek udał głupiego.

– Panowie nie wszyscy pewnie wiedzą, ale nasz kolega dokonał wczoraj na granicy Żoliborza i Bielán obywatelskiego zatrzymania dwóch osobników, którzy demolowali tramwaj – ciągnął Kontra, ciężko było jednak ocenić, czy opowieść skończy się pochwałą, czy reprimendą.

– Drobiazg – skomentował neutralnie bohater opowieści.

– Oczywiście były już telefony w tej sprawie. Jak łatwo zgadnąć, pełne świętego oburzenia, że, cytuję, „funkcjonariusz KSP dopuszcza się bestialskich czynów i samosądów”. Myślę, że powinienś napisać w tej sprawie raport, jeśli jeszcze tego nie zrobiłeś.

– Mam zaczęty w komputerze – skłamał Podbiał.

– To świetnie. Przerwaliśmy Andrzejowi. – Kontra spojrzął na Rudzkiego.

– Dziękuję – bąknął prelegent i czytał dalej: – W dniu wczorajszym, około godziny siedemnastej trzydzieści, do komendy rejonowej policji Warszawa III przy ulicy Opaczewskiej zgłosiła się Hanna Król, lat czterdzieści cztery, kierowniczką zmiany w markecie spożywczym znajdującym się w centrum handlowym Złote Tarasy...

Kostek starał się nie słuchać. Nie obchodziły go cudze sprawy. Zastanawiał się nad słowami, którymi pół godziny temu pożegnała go Agnieszka. Czy miał jeszcze po co do niej dzwonić? Babki czasem jak coś chlapną...

– ...i rozpoznała tatuaż zaginionej – do Kostkowej głowy przedarło się zdanie, które sprawiło, że drgnął.

– Co? – Napotkał wzrok Rudzkiego. – Jakiej zaginionej?

– Jeszcze jedna kawa dla pana nadkomisarza – zaordynował Kontra, chociaż nie wiadomo było, kto jest odbiorcą polecenia. – Tak zwana nadkawa!

W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi. Każdy, kto przypatrywałby się w tej chwili prowadzącemu odprawę, zauważyłby, jak jego лыsa czaszka zmienia kolor na czerwony. Nie zdążył jednak nic powiedzieć ani zakląć, bo i tak się zdarzało. Osoba po drugiej stronie drzwi nacisnęła klamkę, najwyraźniej potraktowawszy pukanie jedynie jako formę ostrzeżenia. Jakby ktoś tutaj grzebał w spodniach.

– Dzień dobry.

Była to ładna blondynka w dopasowanej, białej koszuli i dżinsach. W rękę nie trzymała jednak tacy z zamówioną kawą, a teczkę. Mogłoby się wydawać, że stary na coś takiego wybuchnie gniewem. Tymczasem stało się coś zupełnie przeciwnego – jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Dzień dobry, niech pani siada. – Wskazał jej wolne miejsce na lewo od siebie, potem zaś przeniósł wzrok na Kostka, a następnie na Rudzkiego.

– Opaczewska odezwała się, kiedy już kończyłem służbę, więc nie miałem możliwości powiadomienia o tym nadkomisarza Podbiała – wyrzucił z siebie jednym tchem Andrzej, wręczając raport przełożonemu. – A jeśli chodzi o rozpoznanie, to był przypadek. Kierowniczką zmiany zobaczyła ten tatuaż w komputerze, kiedy zgłaszała zaginięcie podwładnej. Akurat przeglądali te materiały...

– Niezły burdel – skomentował ktoś.

Kontra udał, że tego nie słyszał.

– Na Opaczewskiej nie powiedzieli tej kobiecie, że to zdjęcie trupa – dokończył Rudzki.

– Bardzo dziękuję, że się fatygowałeś, Andrzej. A teraz zmiataj z dzieciakami na zasłużone wakacje – powiedział szef. – Tylko żadnych awantur w tramwajach!

Rudzki opuścił gabinet. Tymczasem Podbiał był zupełnie skołowany, choć wnioski przedstawiały się jasno: on myślał o dupach, podczas gdy jego młodszy kolega pracował. Ciekawe, czy gdyby Rawska chciała od razu przystąpić do rzeczy, on by jej uległ. To się nawet ładnie nazywało. Seks z eks.

– Masz, orle. – Kontra rzucił w jego kierunku raport. – Sprawa jest międzynarodowa, więc trzeba się postarać.

– Rozumiem, że ta... – Podbiał przez chwilę rozpaczliwie grzebał w papierach – Hanna Król jeszcze nie została przesłuchana. Chcielibyśmy... to znaczy chciałbym pójść jeszcze tropem tatuażu.

– No przecież ta baba go rozpoznała – zachnął się Kontra, ale zaraz machnął ręką. – I nie „chciałbym”, bo zaraz dostaniesz pomocnika.

Kostek już miał zaprotestować, bo przecież dziary mogą być podobne. Łukasz z salonu też tak mówił. Tymczasem skupił się na ostatnim zdaniu, które wypowiedział jego przełożony. Nowego pomocnika? Potoczył wzrokiem po twarzach siedzących przy stole. Z tego wszystkiego nie zdążył nawet sprawdzić, kto bierze udział w odprawie. Wszystkich facetów znał, jednych bardziej, drugich mniej. Nie było tak, że któregoś bardzo lubił albo nie, a to wszystko dlatego, że wszyscy byli w miarę młodym narybkiem. Każde rozwiązanie wydawało się więc dobre.

– Podkomisarz Kornelia Banaś. – Kontra wskazał na blondynkę. – Jeszcze tydzień temu cieszyła się z wakacji w mazurskim Szczytnie, dziś gotowa poznawać mroczne sekrety Warszawy i okolic. Mam nadzieję, że będzie wam się dobrze współpracowało.

Kostkowi wydawało się, że kolejne zdania wypowiedziane przez szefa dobiegają nie z ust siedzącego dwa metry od niego człowieka, ale z głośnika starego telewizora zza ściany. A że jest przygłuchy, to dokręca potencjometr do oporu. Że co? Że to ma być jego nowa partnerka? No, brzmi fajnie i nie tak dwuznacznie jak partner. Wygląda też niczego sobie...

Podinspektor Kontra nie lubił nasiadówek i czczego gadania, więc odprawa szybko dobiegła końca. Kostek nie wstawał jednak z krzesła i patrzył przez okno, mimo że, w przeciwieństwie do jego pokoju, widok był kiepski, bo na jeden z wewnętrznych dziedzińców Pałacu Mostowskich.

– Miło mi, Kornelia jestem. – Dziewczyna wyciągnęła rękę do powitania.

Kostek dźwignął się z miejsca i dopiero wtedy uściśnął wąską dłoń.

– Podbiał – przedstawił się.

– Tak mam się do pana zwracać? – zapytała podkomisarz Banaś.

Wzdrygnął się.

– Nie, oczywiście, że nie. Proszę mi mówić po imieniu – wyjaśnił. – Taki mamy zwyczaj.

Sięgnęła po dokumenty sprawy, które wciąż leżały tam, gdzie rzucił je szef.

– Przykro mi, że będziesz musiała zaczynać robotę od czegoś takiego – powiedział Kostek, który powoli odzyskiwał rezon.

– No tak, można jeszcze przeprowadzać staruszki przez ulicę – skwitowała Kornelia.

– Słyszałam, że w tym mieście zdarza się to robić przy pomocy pałki. Albo radiowozu.

Chyba będzie z nią problem – pomyślał Podbiał.

– Nic o tym nie wiem – odpowiedział. – Chodź. Pokażę ci twoje biurko.

– Zabytkowe?

– A jak! Jeszcze podwładni generała Józwiaka przesłuchiwali przy nim dzisiejszych bohaterów. Tych z lasu. Jak się dobrze przypatrzeć, to można znaleźć ślady krwi.

– Weź...

– Powaga! Może nawet IPN zabierze ci to biurko i weźmie do muzeum. Albo zrobi z niego relikwię. Spieszmy się kochać biurka, tak szybko odchodzą...

12

Komisarz Andrzej Rudzki namieszał z samego rana, nie ma co. Żółty chłopak! Niech odpoczywa ze swoją gromadką, tym bardziej że ma być ładna pogoda. A czy właściwy trop złapał, to się jeszcze okaże.

Jednak bardziej namieszał ten, kto przydzielił Kostkowi kobietę, w dodatku dość młodą i dość ładną. Trzeba się było koniecznie dowiedzieć, kto za tym stoi. A póki co jakoś pchać dalej ten wózek, do spółki. Tak, czas płynął i trzeba było zabrać się do roboty. Podczas gdy policja rzeczna wypatrywała góry trupa, Kostek i Kornelia mieli się zając dołem.

Kurwa, planowałem jechać z kumplem do salonu tatuażu, a skończyło się na tym, że jadę z babką do centrum handlowego – pomyślał Kostek, bardziej jednak z rozbawieniem niż ze złością.

– Lubisz wyprzedaże? – zapytał, wrzucając czwarty bieg, kiedy już mknęli Marszałkowską na południe.

– A co? – Pani podkomisarz, która siedziała na miejscu pasażera, wciąż wertując papiery, spojrzała na niego z ukosa.

– Bo ja ostatnio kupuję tylko na wyprzedażach. Szkoda kasy na nowości.

Miał wrażenie, że go otaksowała, od stóp na pedałach po ręce na kierownicy.

– Zazwyczaj udaje mi się złapać to, co mi się wcześniej podobało – ciągnął. – Ale trzeba się spieszyć, bo potem wszystko jest skotłowane i wymacane jak w szmateksie. Naród mamy bardzo manualny, nie uważasz? Zostają uszkodzone śmieci albo rozmiary XXL, że słoń by się utopił.

Zaśmiała się, co go ucieszyło. Lody chyba powoli topniały.

– Też chodzę na wyprzedaże – odpowiedziała Kornelia. – Lubię ładne rzeczy, ale nie gonię za modą i nie muszę mieć wszystkiego od razu.

Teraz to Kostek powinien przyjrzeć się dziewczynie, ale nie musiał, bo robił to przez cały czas, odkąd znaleźli się w pokoju z widokiem na Ogród Krasińskich. Pod koszulą rysował się biust średniej wielkości. Panna (lub pani, tego jeszcze nie wiedział) Banaś preferowała styl sportowy. Bo choć do jej aktualnego stroju pasowały zarówno szpilki, jak i adidasy, miała na nogach te drugie. Nie była jednak chłopczycą. Pomyślał jeszcze raz o Rawskiej. Ona akurat uważała, że na wyprzedażach kupuje tylko biedota. No i skończyło się, jak skończyło.

– Zdrowe podejście – skwitował.

Skręcili w Świętokrzyską.

– Dasz poprowadzić, jak będziemy wracali? – zapytała Kornelia.

– Pewnie. Nie ma problemu. Trzeba było mówić, to pojechałabyś i w tę stronę.

– Wiem, że lubisz siedzieć za kółkiem. Podobno zdarzało ci się nawet czasem nocować w samochodzie.

Nic nie odpowiedział. Przynajmniej na głos, bo w głowie zaczynała się gonitwa myśli.

Dziwna dziewczyna, ocenił Kornelię. To, że życzliwi już zdążyli jej opowiedzieć, jak przed laty kimał na policyjnym parkingu, a rano narzygał na buty generała i to podczas święcenia radiowozów przez wielbego, to jeszcze można zrozumieć. Każdy jest przecież z czegoś znany. Krótkie dossier, jak w teleturnieju *Jeden z dziesięciu*: „Konstanty z Warszawy, pracuję w policji (i jeszcze się tego nie wstydzę), moje hobby to burdy w tramwajach i spanie po pijaku w radiowozie”. Tylko dlaczego ona mu o tym mówi? I to ledwie po trzydziestu minutach znajomości?

Później pobrał bilet parkingowy przed szlabanem i stanęli na parkingu podziemnym Żółtych Tarasów. Schodami wjechali na parter i po chwili znaleźli się w spożywczym.

– Dzień dobry, szukamy pani Hanny Król – powiedział Kostek do dziewczyny, która samotnie siedziała w punkcie obsługi klienta.

– Z sanepidu? – zapytała półprzytomnie i nie czekając na odpowiedź, chwyciła za słuchawkę telefonu. – Hanka? Tak, już są...

Odsunęli się na bok, bowiem przed kontuarem, szeleszcząc paragonami, czaili się jacyś klienci. Minutę później podeszła do nich wyglądająca na zmęczoną kobietą w średnim wieku.

– Państwo do mnie? – zapytała.

Kostek możliwie dyskretnie okazał odznakę, przedstawił siebie i Kornelię.

– Znaleźliście Ludmiłę? – zapytała Król i jej twarz na chwilę się rozjaśniła.

– Jeszcze szukamy – odparł Kostek, choć była to tylko część prawdy. – Przyjechaliśmy, bo chcielibyśmy się czegoś więcej dowiedzieć.

– Przede wszystkim dziękujemy, że tak szybko zgłosiła pani zaginięcie – wtrąciła Kornelia.

Król wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, czy szybko – powiedziała. – Zrobiłam tylko to, co kazało mi kierownictwo. To zachodnia firma, mają swoje procedury. Poza tym nikt nie chce mieć kłopotów.

– To oczywiste – zgodził się Podbiał.

– Ludmiła nie pojawiła się w weekend w pracy, co skomplikowało nam życie. Pracuje jako kasjerka, więc sami państwo się domyślają, że to poważna sprawa. Czasami kolejki to idą w lady, zupełnie jak przed świętami.

– A poza tym jaką jest pracownicą? – zapytała policjantka.

Podbiał odetchnął z ulgą, bo użyła czasu terazniejszego. Bardzo łatwo jest w takich przypadkach pomylić „jest” z „była”.

– Jak większość przyjezdnych dziewczyn – odpowiedziała szybko Hanna Król. – Nie pytają dlaczego, tylko harują po kilkanaście godzin na dobę. Nawet gdy nie są pewne, czy nazajutrz będzie do czego wracać, bo przecież tyle się teraz mówi o jeszcze większych cięciach. Ile ludzi już poszło na bruk...

– Nie da się ukryć – bąknął policjant.

– Kiedy się to zaczęło, część dziewczyn i chłopaków od razu wróciła do siebie, do domu. Tam dużo łatwiej przetrwać, bo w Warszawie to trzeba płacić za wynajem mieszkania. Niezależnie od tego, czy się pracuje, czy nie, prawda? A klienci ją lubili, bo przecież ładna.

– Rozumiem, że tatuaż nikomu z kierownictwa nie przeszkadzał... – ni to stwierdziła, ni to spytała Kornelia.

– Skąd! Chociaż jakby go miała na twarzy albo wysoko na szyi, bo i dziwadła się zdarzają, to pewnie roboty by u nas nie dostała. Ale na nodze? Sama bym sobie zrobiła, gdybym była młodsza, proszę pani. Może właśnie takiego samego ptaszka.

Do kobiety podeszła młodsza w podobnym uniformie. Podsunęła jakiś dokument do podpisania. Moment był chyba odpowiedni, aby pokazać zdjęcie tatuażu. Kostek sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. Ale partnerka go powstrzymała, kładąc rękę na jego przedramieniu.

– Czy Ludmiła ma chłopaka? – zapytała Królową.

Szefowa zmiany skrzywiła się.

– A kręcił się tutaj taki jeden – odpowiedziała. – Jak dla mnie to on nie wzbudzał za grosz zaufania, bo w bluzie z kapturem i w ogóle jakiś taki niewyglądny. Ale przecież to

nie mnie miał się podobać, prawda? No i chyba trochę młodszy od niej, ale mogę się mylić. Znajdziecie ją?

– Postaramy się – powiedziała Kornelia. – Chcielibyśmy prosić, żeby pani jeszcze rzuciła okiem na zdjęcie, które widziała pani w komendzie przy Opaczewskiej. To jest powiększenie z miejskiego monitoringu, a że mowa o fragmencie ciała, więc może być niewyraźne – skłamała gładko.

Teraz ręka Kostka mogła już ponownie zanurkować w zanadrze. Król przez chwilę przypatrywała się fotografii, trzymając ją w rękach, te zaś lekko jej drżały.

– Wydaje mi się, że właśnie taki tatuaż nosi Ludmiła – powiedziała wreszcie, po czym oddała zdjęcie. – Szczęście, że kamera go złapała. Bo gdyby miała na sobie długie spodnie albo spódnice, to wtedy nic z tego.

– Dziękujemy za informacje – powiedział Kostek.

Pożegnali się i ruszyli w głąb centrum handlowego, które powoli zaczynało się zaludniać. Temu miejscu akurat nie groził upadek, albowiem znajdowało się w bezpośrednim sąsiedztwie dworca kolejowego Warszawa Centralna, więc wstępował tutaj nie tylko ten, kto zamierzał zrobić zakupy, ale każdy, kto ruszał w daleką podróż albo tylko wyszedł na spotkanie komuś, kto miał ją zakończyć. Tak czy siak, kto miał na zbyciu kilka chwil. Albo czuł parcie na pęcherz.

– Co teraz? – zapytała Kornelia, kiedy jechali schodami ruchomymi w górę, mimo że powinni w dół, gdzie na parkingu czekał samochód.

Kostek nie odpowiedział. Spoglądał nieruchomo przed siebie. Wyglądali jak sto innych par, które znalazły się w tym miejscu ze stu powodów i których najważniejszym problemem jest to, czy na kawę iść po zaliczeniu sklepów mieszczących się na środkowej kondygnacji, czy dopiero po.

– Ktoś miał niefart od poniedziałku – mruknął Kostek, kiedy jechali na kolejne piętro.

Banaś nie od razu zorientowała się, o co chodzi. Dopiero po chwili jej wzrok zatrzymał się na trójce osobników, którzy podróżowali równoległymi schodami w dół. Ten, który jechał jako pierwszy, stał bokiem. Drugi, który znajdował się stopień wyżej, trzymał przed sobą złączone ręce, na których leżała dżinsowa kurtka. Obok niego zaś, w bardzo bliskiej odległości i wbrew zasadzie, żeby lewą stroną trzymać wolną dla ludzi, którym się spieszy, stał trzeci.

– Cześć, Kostek – rzucił ten trzeci.

– Cześć.

Dopiero teraz Kornelia zrozumiała, kim byli pierwszy i trzeci, oraz że kurtka na rękach tego drugiego maskowała ręce w kajdankach.

– Rzeczywiście, kiepski początek dnia – powiedziała.

– Mam prośbę – rzekł nagle Podbiał, ruchem głowy wskazując kanapę. – Poczekaj tu na mnie chwilę, dobrze?

Nie oponowała, ale też nie zapytała, o co chodzi. Odprowadziła go wzrokiem, dopóki nie zniknął na schodach prowadzących jeszcze wyżej.

Dwudziestotrzyletnia Ewa Ożóg, studentka pedagogiki wczesnoszkolnej, odkąd zdała maturę, utrzymywała się sama. Pracowała na zmywaku, zbierała szkło ze stołów w klubach, niańczyła cudze dzieci. Teraz była hostessą w sali zabaw dla dzieci Kraina Krasnoludków, która mieściła się na ostatniej kondygnacji centrum handlowego. Te i podobne miejsca były popularne szczególnie zimą, kiedy nie można korzystać z tradycyjnych placów zabaw na świeżym powietrzu. Największe obłożenie Kraina Krasnoludków przeżywała oczywiście w weekendy, kiedy to rodzice zostawiali swoje pociechy pod opieką hostess, sami zaś udawali się na zakupy lub do kina.

– Jak ma na imię syn? – zapytała Ewa matkę nadpobudliwego trzylatka o obrażonej minie.

– Allanek – odpowiedziała kobieta, by zaraz sprostować: – To wnusio.

– Pięknie. – Ewa wykaligrafowała flamastrem imię chłopczyka na karteczce, którą następnie założyła malcowi na przegubie prawej rączki.

Ledwo to zrobiła, posiadacz pięknego imienia zerwał ze złością identyfikator, robiąc jeszcze bardziej obrażoną minę.

– Ja to zrobię – zaofiarowała się babcia, podnosząc pasek; widać podobne wyczyny były w jej domu na porządku dziennym.

Ewa odłożyła na półkę plastikowy pojemnik z rzeczami chłopczyka i nacisnęła przycisk. Zaszemrał elektromagnes i Allanek, który już zapewnił sobie uwagę hostess, wbiegł na plac zabaw, za nim zaś podreptała babcia.

W Krainie Krasnoludków znajdowały się wysokie konstrukcje, mieszczące labirynty, korytarze, schody, zjeżdżalnie i tunele. Każdy element budowli był zabezpieczony gąbką i plastikową osłoną. Do jednych z najbardziej ulubionych przez dzieci miejsc należały baseny wypełnione kulkami, plastikowe domki oraz trampolina. Do dyspozycji dzieci były też samochodziki. W bocznych pomieszczeniach organizowano przyjęcia urodzinowe.

Dziś nie było żadnych urodzin, a dzieci bawiło się niewiele. Towarzyszyło im kilkoro dorosłych, zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

– Ja do Jasia – rzekł do Ewy jakiś niepozorny facet stojący przed furtką.

Ewa odruchowo nacisnęła przycisk, zwalniający blokadę. Rozległo się bzyczenie, wzorowy tata uśmiechnął się w podziękowaniu i wszedł do środka.

– Można?

Ewa podniosła wzrok. Przed furtką stał znów jakiś facet, wysoki i przystojny.

– Proszę. – Nacisnęła przycisk.

Kostek skrzywił się. Poczuł wyraźny zapach moczu, inny jednak niż ten, jaki spotyka się w publicznych toaletach. Ten był zastały. Sięgnął do pojemnika po ochraniacze na obuwie, sprawnie założył je na buty, wyprostował się i rozejrzał dookoła.

– Jest – mruknął pod nosem.

Mały ciemnowłosy chłopczyk na samochodziku napędzanym siłą nóg przemknął tuż przed nim. Kostek rozejrzał się na boki, jakby stał przed prawdziwym przejściem dla

piesznych na prawdziwej ulicy, i skierował kroki w stronę małego plastikowego domku. Zajrzał przez okienko bez szybki. W środku siedziała może czteroletnia dziewczynka. Siedziała tam ze swoim tatą. Podbiał otworzył drzwiczki, kucnął i wsadził głowę do środka.

– Mama cię szuka, Jadwiniu – powiedział do małej, najłagodniej jak tylko potrafił, wcześniej przeczytawszy imię wypisane na karteczce przyklejonej do koszulki.

– Mama? – zdziwiło się dziecko.

– No tak. Już, biegnij!

Jadwinia zrobiła wielkie oczy, ale nie trzeba było jej dwa razy powtarzać. Szybko wygramoliła się z domku. Podbiał usiadł po turecku na jej miejscu i zamknął za sobą drzwi.

– Dzień dobry – rzekł do mężczyzny.

W odpowiedzi na pozdrowienie tamten tylko poruszył bezgłośnie wargami.

– Znów zaczynasz? – westchnął Kostek.

Ponownie odpowiedziała mu cisza, co jednak go nie zraziło.

– Wyjdiesz sam czy mam cię skuć, dać w mordę i kopnąć w jaja, których już dawno powinieneś nie mieć? – Policjant pytająco uniósł w górę brwi.

Facet przełknął ślinę. Trzęsły mu się ręce. Mimo że w domku nie było zbyt jasno, Podbiał ujrzał ślinę zaschniętą w kącikach jego ust i przetłuszczone włosy. Tak, niewiele się zmienił od chwili, gdy Kostek po raz pierwszy, nie kryjąc obrzydzenia, zakładał mu na ręce kajdanki.

– To jak będzie?

– Wyjdę sam, panie komisarzu – odpowiedział wreszcie tamten.

Kiedy przechodzili obok furtki, Podbiał zatrzymał się. Popatrzył ciężko na hostesę.

– Proszę mi powiedzieć, czy każdy może tutaj wejść?

Ewa Ożóg spojrzała zdziwionymi oczami na obu mężczyzn. Owszem, przed chwilą wpuszczała ich obu do Krainy Krasnoludków. Jeden chciał wejść do Jasia. A drugi? Czyżby coś nie tak z dziećmiakami? Jakaś bójka o zabawkę?

Kostek dyskretnie pokazał dziewczynie odznakę i wskazał stojącego obok mężczyznę.

– Dla dobra nas wszystkich, ten pan jest dobrze znany stołecznym organom ścigania i nie powinien zbliżać się do małych dzieci. Jeśli pani wie, co mam na myśli...

Ewa poczuła, jak nogi się pod nią uginają. Złapała się kurczowo kontuaru, spuściła wzrok. Policjant tymczasem mówił dalej, jeszcze bardziej nachyliwszy się nad jej uchem:

– Niech pani będzie spokojna, nikt się o niczym nie dowie. Tylko musicie być bardziej czujne. Pani i koleżanki. Tak?

Nic nie odpowiedziała.

– Tak? – zapytał jeszcze raz.

Ale i po tym jedyne, co mogła zrobić, to tylko skinąć głową. Policjanta chyba to jednak uspokoiło, bo pożegnał się i obaj mężczyźni odeszli. Chwilę potem także i Ewa poczuła w nozdrzach wyraźną woń moczu.

– I wypuściłeś go? Tak po prostu?! – dopytywała z niedowierzaniem Kornelia.

– A co? Miałem go aresztować? – prychnął Kostek. – Czy może zastrzelić na miejscu? Albo publicznie wykastrować, co?

Banaś przewróciła oczami. Dostrzegł to, mimo że siedziała bokiem do niego, na miejscu pasażera. Jechali teraz Alejami Jerozolimskimi na zachód i jakoś wypadło im z głowy, że pani podkomisarz bardzo chciała usiąść za kierownicą.

– Oczywiście dopilnowałem, żeby opuścił centrum handlowe – dodał Kostek. – Zobaczyłem go, kiedy jeszcze gadaliśmy z tą Król, ale nie chciałem ci nic mówić. Jutro wyślę tu któregoś z młodych, żeby jeszcze raz pogadał z tymi dziewczynami, a przede wszystkim zostawił im zdjęcia „zasłużonych”. Że niby taka akcja jest. Tej dziewczyny nie będą się czepiać. Pasuje?

– Nie wiem, czy pasuje – warknęła Kornelia.

Sama nie wiedziała, co zrobiłaby na jego miejscu. Czy w ogóle zdecydowałaby się pójść za „znajomym” pedofilem? Czy pomyślałaby, że taki ktoś może coś knuć? I to w wypadku, gdy prowadziłyby inną sprawę, jak i wtedy, gdy byłaby w tym miejscu prywatnie, po godzinach. Wiele różnych rzeczy słyszała o Podbiale, o jego nie zawsze zgodnych z regulaminem albo nawet prawem akcjach. I pewnie jeszcze wiele usłyszy. Albo, co gorsza, zobaczy na własne oczy. I co wtedy będzie musiała zrobić? Jeszcze by tego brakowało, by została jego sygnalistką!

– Masz ten adres? – zapytał, zupełnie jakby było już po sprawie.

– Olbrachta osiem – przeczytała z ekranu swojego telefonu, który wydobyła z torebki po dłuższej chwili walki.

– „Klamki” też będziesz tak długo szukać? – zapytał.

– Spokojna głowa.

Wydawało się, że już jest dobrze. Rozmowa jednak się nie kleiła i na miejsce dojechali w milczeniu. Zaparkowali wóz pod domem, wzdłuż ulicy. Kornelia sprawdziła numer mieszkania; tym razem telefon trzymała w ręku. I być może właśnie to zdecydowało o dalszych wydarzeniach.

– Państwo może z agencji? – zagadnął ich jakiś młody człowiek, czekający akurat pod drzwiami klatki, do której zamierzali wejść.

– Zależy, jak na to spojrzeć – odpowiedział Podbiał.

Kornelii skojarzyło się jednoznacznie.

Czy nie za wczesna pora na takie rzeczy? – pomyślała i spojrzała na mężczyznę bykiem, mocniej przyciskając torebkę do boku. Właściwie to nie powinna jej mieć. To nie wyglądało dobrze, a dokładniej – nie wzbudzało respektu.

– Chodzi mi o ludzi z agencji nieruchomości – sprecyzował nieznajomy, przyglądając się badawczo Podbiałowi i Kornelii. – Umówiłem się z nimi tutaj, żeby obejrzeć mieszkanie.

– I, rozumiem, podali panu tylko numer domu, żeby nie próbował się pan dogadać z właścicielem na własną rękę, a tym samym pozbawić ich prowizji? Czy to nadal jest połowa miesięcznego czynszu?

– Czterdzieści procent – skorygował tamten i opuścił głowę.

– Też niezła sumka. Ale to nie my, niestety. A może i dobrze. – Kostek się uśmiechnął.

I spojrzął na tablicę starego domofonu, po której błędził wskazujący palec Kornelii. Dziewczyna nacisnęła guzik. Po chwili w głośniku odezwał się głos, ale ciężko było ocenić, czy należał do mężczyzny, czy do kobiety.

– Dzień dobry... – zdążyła tylko powiedzieć Kornelia, bo zaraz jej partner pociągnął za kłanek.

– Może pan wejść i spróbować dowiedzieć się czegoś na własną rękę. Szansa trochę większa niż w lotto – powiedział jeszcze do kandydata na lokatora, ten jednak nie skorzystał z zaproszenia.

– Oby się nie okazało, że to kobieta, u której Ludmiła wynajmuje pokój, szuka sobie już nowego lokatora – powiedziała Kornelia.

– Tak nisko cenisz ludzi?

– Po prostu znam życie. I znam ten typ kobiet. Potrafią zrobić awanturę, że paznokciami stóp rysujesz im wannę.

Oczami wyobraźni Kostek ujrzał korpulentną panią w nieprzepuszczającym powietrza, domowym fartuchu i z głową najeżoną wałkami. Obowiązkowy rekwizyt: dymiący jak komin papieros. Cała ta wizja rozsypała się jednak, gdy minutę później otworzyła im drzwi młoda dziewczyna w dżinsach i wyciągniętym we wszystkie strony podkoszulku z napisem „SLAYER”.

– Tak? – Sprawiała wrażenie osoby, którą oderwano od ważnej czynności albo rozmowy.

Tym razem szybsza okazała się Kornelia.

– Jesteśmy z policji.

– Posiłki? – zdziwiła się gospodyni, kręcąc głową.

Kostek i Banaś spojrzeli na siebie. Dziewczyna szerzej otworzyła drzwi i pokazała im plecy. Już bez napisu.

– To chyba jest zaproszenie – zinterpretował Kostek.

Weszli do środka i skierowali kroki tam, gdzie zniknęła dziewczyna. Rzeczywiście, coś jej przerwali. W pokoju znajdował się bowiem mężczyzna około trzydziestki.

– Kolegów panu przyprowadziłam – zaanonsowała gospodyni.

Mężczyźni przez krótką chwilę mierzyli się wzrokiem niczym dwaj konkurenci o rękę jednej panny, z tym że jeden z nich przyszedł nie w porę i każdy jest przekonany, że to nie on.

– Nadkomisarz Podbiał, komenda stołeczna – przedstawił się Kostek.

Twarz tamtego zmieniła się w ułamku sekundy. Wyprostował się, choć do postawy zwanej zasadniczą jeszcze trochę brakowało.

– Starszy aspirant Norbert Dudziak, dzielnicowy – wyrzucił z siebie jednym tchem.

Wszystko było jasne, prócz tego, czy Dudziak był tutaj służbowo, czy prywatnie. Wtedy sięgnął po leżący na parapecie notatnik służbowy. Wskazał nim dziewczynę w podkoszulku, która właśnie zapalała papierosa, i wyjaśnił:

– Pani zgłosiła wczoraj zaginięcie lokatorki, a ja przyszedłem z nią o tym porozmawiać.

– Rozumiem, że chodzi o zaginięcie Ludmiły Nowak?

– Zgadza się.

– Nie pokazała się w domu od trzech dni – dodała kobieta.

Czujne i zapobiegliwe społeczeństwo nam się zrobiło, nie ma co – pomyślał Kostek. I miłujące gości, bo przecież zarówno pani Król ze sklepu, jak i ta kobieta, nie były dla denatki żadną rodziną. Co więcej, w pewnej hierarchii stała niżej od nich. Była od nich zależna.

– Czy możemy zobaczyć jej pokój? – zapytał Kostek.

Dziewczyna zdusiła niedopalek w wielkiej, kryształowej i pamiętającej lepsze czasy popielnicy i przecięła salon. Po chwili otworzyła drzwi ze sklejki i grubo rżniętego szkła. Pokoik był niewielki, w zamyśle projektantów miał służyć dziecku. Sprawiał wrażenie niezamieszkanego. Dopiero po chwili Podbiał ujrzał turystyczną torbę stojącą za drzwiami. Była pełna.

– Ludmiła planowała wyprowadzkę – gospodyni ubiegła kolejne pytanie.

– Czyja to była inicjatywa, jeśli wolno spytać? – Kostek spojrział na właścicielkę mieszkania.

– Wolno. To była jej wola. Po prostu znalazła coś bliżej pracy, w centrum, no i przede wszystkim samodzielne.

– A pani, jak rozumiem, przyjęła to ze zrozumieniem?

Odpowiedziała mu cisza. Należało lekko zmienić temat.

– Czy ktoś ją tutaj odwiedzał? – zapytał Kostek, lustrując z uwagą półki regału, na których stały gliniane dzbanuszki i inne bibeloty.

– Nie – odpowiedziała gospodyni. – Nie wiem. Często wyjeżdżam z Warszawy, podróżuję służbowo... Właściwie to mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego Ludmiłą interesuje się aż komenda stołeczna? To znaczy dobrze, że jej szukacie, ale zaczynam się naprawdę niepokoić.

W pewnej chwili wzrok Kostka trafił na leżący pod jednym z dzbanuszków biały prostokącik. Kiedy go ostrożnie wyciągnął, okazało się, że to kolorowa fotografia. Jak widać, ktoś jeszcze zadaje sobie trud, by wywoływać zdjęcia, a nie mieć je tylko w telefonie albo komputerze. Fotografia przedstawiała dziewczynę i chłopaka siedzących na ławce w jakimś parku. W pierwszej chwili policjant pomyślał, że należy do gospodyni i po prostu się zawieruszyła.

– To pani? – zapytał, co można było zrozumieć w dwojaki sposób.

– Nie. To jest właśnie Ludmiła.

– Z jakimś chłopakiem.

Czy to ten sam, o którym mówiła Król? – pomyślał Podbiał i podał fotografię dzielnicowemu. Nie spodziewał się wiele, a tymczasem dzielnicowy mile go zaskoczył.

– Kojarzę gościa – powiedział Dudziak.

– Notowany?

– Nie wszyscy, których znam, muszą być od razu notowani – uśmiechnął się aspirant.

– Ten co prawda jeszcze się nie doigrał, ale, owszem, znam go.

– Na pewno coś jej zrobił – wysyczała gospodyni, spoglądając spod oka to na Kostka, to na dzielnicowego.

– Może porozmawiamy w salonie? – zaproponowała milcząca dotąd Kornelia.

Kiedy wyszły, Kostek rzekł półgłosem:

– Ta dziewczyna nie żyje. Znaleźliśmy ją wczoraj rano nad Wisłą. To znaczy same nogi z tatuażem, który rozpoznała jej szefowa ze sklepu. Próbowemy dowiedzieć się czegoś więcej.

Dzielnicowy przelknął ślinę, na chwilę opuścił głowę. Chyba nie tego się spodziewał.

– Co to za skurwiel? – dopytywał nadkomisarz. – Dres?

– Nazywa się Skórka Łukasz, lat dwadzieścia, bezrobotny. Zamieszkały ulica Redutowa czterdzieści cztery mieszkania osiem – odczytał jednym tchem ze swojego notesu.

Kostek spojrział na zegarek. Aspirant Dudziak prawidłowo zinterpretował ten gest.

– O tej porze – ciągnął – można go spotkać w centrum handlowym przy Górczewskiej. Kiedy jest przy forsie, maszeruje na siłkę albo do kina. Czasami gra w bilard z kolegami z piaskownicy albo po prostu przesiaduje w którymś z ogródków restauracyjnych.

– Całkiem niezłe jak na bezrobotnego – zaśmiał się Kostek, Norbert był jednak poważny.

– Myśli pan, że ma coś wspólnego ze śmiercią tej kobiety? – zapytał.

– Sprawdzić zawsze warto.

Trzeba było jeszcze zgarnąć Kornelię, która pewnie też nie próżnowała i może udało jej się czegoś dowiedzieć jak babka od babki, i można było się wynosić. Wtem rozległ się dzwonek do drzwi, taki z gatunku zawałowych, a zaraz potem natarczywe pukanie.

– Pewnie teraz to już ktoś z komendy głównej – skomentował Dudziak.

– Albo „czarni” – dodał Kostek.

Przy drzwiach już była gospodyni z rozwianym włosom. Odsunęła zasuwę i nacisnęła klamkę. Czyżby miała nadzieję, że po drugiej stronie zobaczy zaginioną Ludmiłę?

– Dzień dobry. Agencja nieruchomości Bart-Dom – dobiegło z korytarza i zaraz towarzystwo zaczęło się tarabanić do środka.

Po chwili agent zgromił wzrokiem ludzi, których zastał w środku. Pewnie podejrzewał, że ktoś usiłuje go pozbawić prowizji. Facet, którego Kostek i Kornelia spotkali przed klatką, spojrział na nich bykiem, bo też myślał, że go ubiegli. Na koniec właścicielka mieszkania musiała wytrzymać spojrzenia wszystkich pozostałych. Kostek dostrzegł w jej oczach coś cwaniackiego.

– Przecież się miała wyprowadzić... – Niewinnie wzruszyła ramionami.

15

Pół godziny później Podbiał i Banaś, wspomagani przez aspiranta Dudziaka, który jako dzielnicowy był na swoim terenie i robił za *cicero* – co było na pewno lepsze od siedzenia na posterunku – szli przez parking centrum handlowego przy Górczewskiej. Gdyby ktoś rano albo wczoraj wieczorem powiedział Kostkowi, że spędzi w ten sposób pół dnia, pewnie by nie uwierzył. A nawet zaśmiał się w głos. Chyba że mają tu lepsze wyprzedaje – pomyślał.

Weszli do środka, od razu na pierwsze piętro, wybrali bowiem górny parking. Ruch był tutaj mniejszy niż w Złoty Tarasach. Nieco wyżej, za wielkimi, zamontowanymi pod kątem szybami, znajdował się klub fitness. Kilkoro ludzi przechadzało się po stacjonarnych bieżniach.

– Nigdy nie zrozumieję ludzi, którzy wolą spacerować w miejscu i smrodzie, zamiast po prostu pobiegać na świeżym powietrzu – skomentował Podbiał.

– Sprawdźmy najpierw gdzie indziej – rzekł na to Norbert.

Schodami podjechali na wyższe piętro. Przy stole bilardowym stało trzech wyrostków.

– Poczekał tutaj – powiedział Kostek do Kornelii i dał znak aspirantowi.

Nic nie powiedziała, ale po jej minie wywnioskował, że za bardzo jej się to nie podoba. Tym bardziej że robił to już drugi raz tego dnia.

Tamci właśnie grali partyjkę, klnąc przy tym bez skrępowania. Gra była emocjonująca i pewnie tylko obecność w miarę czystej podłogi pod stopami powstrzymywała ich od plucia.

– Jak celujesz, kurwa?! – denerwował się jeden z nich, najwyższy, z pryszczami i trzema białymi paskami na spodniach.

Obsobaczony zawodnik za nic jednak miał komentarze kolegi, bo nie zmienił nic w swojej pozycji. Po chwili rozległ się charakterystyczny trzask kija o bilę, sekundę później bila uderzyła o kolejne. Żadna nie wpadła jednak do luzu.

– Patafian jebany! – zabrzmiała ocena komentatora.

– I chuj – to była ocena oceny.

Kostek i Norbert niespiesznym krokiem zbliżyli się do stołu. Przez chwilę przypatrywali się przebiegowi gry.

– Czego? – fuknął na nich komentator.

Żadnej odpowiedzi. To mu się nie spodobało. Zrobił krok do przodu, kijem do gry jak szpicrutą kilka razy uderzył w otwartą dłoń. Kostek poczuł nieświeży oddech z gęby małolata, co spowodowało, że się skrzywił. To też nie pomogło sprawie.

– Czego, się grzecznie pytam – powtórzył dresiarz, patrząc wyzywająco na intruzów.

– Łukasza Skórki szukamy – pierwszy odezwał się Dudziak.

– Kogo?

– Mamy dla niego robotę.

Ale i to nie zadziało. Kostek wyciągnął z zanadru zdjęcie, które zabrali z pokoju Ludmiły, i podetknął chłopakowi niemal pod nos.

– Znasz go?

– Nie. – Pryszczaty nawet nie spojrział.

– Dupy też nie?

– Nie.

– A szkoda, bo ładna... Może nie gustujesz?

Tego już było stanowczo za dużo. Jeden z gnojków ruszył na nich z kijem trzymany w niczym dzida. Policjanci nie dali się jednak zaskoczyć. W mgnieniu oka kij zmienił właściciela, a napastnik leżał na ziemi, przytrzymywany kolanem przez Dudziaka. W tym czasie Podbiał przetrząsał kieszenie kurtki wysokiego. Widząc, co się dzieje, trzeci z bilardzistów stał nieruchomo. Wszystko odbyło się zupełnie tak, jakby oficer ze

stołecznej i dzielnicowy z Woli mieli to nie tylko wcześniej przegadane, ale i wielokrotnie przećwiczone.

– Co my tutaj mamy? – Kostek podniósł do oczu foliową torebkę z białym proszkiem.

– To nie moje! – Pryszczaty szarpnął się.

– Jasne, kurwa. Pewnie kurtkę żeś pożyczyl od kuzyna, ale nie znasz jego nazwiska.

Ile to lat będzie, aspirancie? – Kostek spojrzął na Norberta.

– Zbyt dużo – Dudziuk gładko załapał konwencję. – Szkoda młodego życia.

– Czego chcecie? – jęknął wrabiany.

– Nic wielkiego. Powiedz nam tylko, gdzie znajdziemy Skórkę – rzekł Kostek.

– Nie ma go tu dzisiaj.

– Powaga?

– Mówię prawdę.

– Prawda niepełna. Nie będzie nagrody. A nagrodą, jak pewnie dobrze wiecie, jest brak kary. Dla wielu takich jak wy to bardzo dużo.

Cisza. Kostek poprawił uchwyt, jednocześnie zaszeleścił znów torebką. Młody aż jęknął, choć nie wiadomo, za sprawą którego z bodźców.

– Na mieście jest.

– Miasto duże.

– Chyba w Żółtych Tarasach.

– Kurwa, człowieku! – fuknął Podbiał, przewracając oczami. – Czy my wyglądamy na takich, którzy mają czas na chodzenie po sklepach?

– Market spożywczy, na poziomie minus jeden – śpiewał dresiarz. – Ma tam dziewczynę na kasie...

– To ta ze zdjęcia?

– Nie przyjrzałem się dokładnie, ale chyba tak.

– Widzisz, jak chcesz, to potrafisz być grzeczny i dokładny. – Nadkomisarz zwolnił uścisk i odepchnął chłopaka.

To samo uczynił aspirant, otrzepując znacząco ręce. Cała trójka młodocianych, stłoczona przy jednym z rogów stołu bilardowego, patrzyła z przerażeniem na napastników.

Nagle Kostek na twarzy jednego z nich dostrzegł zmianę. Pół sekundy później pryszczaty wykonał nieznaczny ruch głową. Kostek obejrzał się. Kilkanaście metrów od nich stał Łukasz Skórka we własnej osobie.

– Kto późno przychodzi... – Podbiał mruknął pod nosem i zrobił krok do przodu.

Ale Skórka, najwyraźniej zaprawiony w bojach, zareagował błyskawicznie. Rzucił się w bok, między ludzi zmierzających w stronę stolików z tackami, na których nieśli jedzenie z któregoś z fastfoodów. Nic nie poleciało na ziemię, ale już za winowajcą, owszem, kilka „kurew”. Oczywiście dostało się również ścigającemu.

– Co za bydlę! – skomentował stateczny ojciec rodziny.

Łukasza Skórkę od ruchomych schodów dzieliło zaledwie kilka metrów. Obejrzał się, by ocenić swoje szanse, a gdyby były naprawdę spore, to być może nawet pokazał ścigającemu go facetowi środkowy palec. Ale właśnie tej chwili zabrakło mu do całkowitego szczęścia. Gdyby patrzył przed siebie, z pewnością dostrzegłby wysuniętą

nogę kobiety, która siedziała spokojnie na miękkiej kanapie i jakby nigdy nie przeglądała reklamowy folder. Wysuniętą, co tu kryć, zdradziecko.

– Kurwaaaa! – ryknął Skórka, gdy jak długi runął na podłogę.

Noga Kornelii Banaś spokojnie wróciła na miejsce.

16

Leszek Kłos, właściciel firmy SND, po raz kolejny wysłuchał tego, co miała mu do powiedzenia poczta głosowa. Metaliczny, irytujący głos znów poinformował go, że miejsca na pozostawienie wiadomości nie ma. A potem jeszcze powtórzył to po angielsku.

– Szlag by cię trafił! – zaklął, rzucając komórkę na blat biurka. – *Fuck you!*

Miał powody do złości. Wszystko wskazywało na to, że znów czeka go wieczór, a kto wie, może nawet noc spędzona w samochodzie. Bo chociaż ten, który wczoraj odmówił posłuszeństwa, był na chodzie, to mający go prowadzić pracownik nie dawał znaku życia. Tak to jest, jak umawiasz się z gówniarzami i dajesz im robotę – utyskiwał w duchu.

A przecież pomysł na biznes był najprostszy pod słońcem. A raczej, dla ścisłości, pod księżycem. Jeszcze podczas studiów na Politechnice Warszawskiej Leszek Kłos zauważył, że nocne imprezy niosą ze sobą pewien kłopot. Poza poranną niedyspozycją oczywiście. Jeśli ktoś zmotoryzowany pojawiał się na bibie, musiał albo nie pić, albo pić i ryzykować wpadkę. Trzecie wyjście polegało na picciu, owszem, na całego, i późniejszym powrocie do domu lub akademika taksówką, co wymagało pozostawienia auta w obcej okolicy, a to już oznaczało ryzyko uszkodzenia samochodu, a nawet jego utraty. Wtedy jeszcze kradli fury na potęgę.

Leszek Kłos, który podobnie jak wielu rówieśników zaraz po studiach poszedł w kierat w zachodnim koncernie, jakiś czas temu postanowił za odłożone pieniądze założyć własny biznes. Nie wiedział jednak za bardzo jaki, gdyż konkurencja nie dawała zbyt dużego pola manewru.

Pomysł odżył pewnego dnia, gdy zapili z kolegami z biura, a potem jeden z nich za cholerę nie chciał zostawić swojej toyoty na pastwę miejscowej żulii. Żulią kolega ów zwykł nazywać zresztą wszystkich, którzy nie mieszkali na jego strzeżonym osiedlu apartamentowców. Wtedy Leszek zadeklarował się jako tak zwany krzyś, który wspaniałomyślnie sam nie pije, żeby móc potem wszystkich biesiadników bezpiecznie odwieźć do domów. Tak się stało. A rano, przy kawie, Kłos zaczął układać biznesplan.

Po dwóch miesiącach miał trzy samochody i pięciu kierowców, stronę internetową i kilka plików kolorowych wizytówek. Zarówno w sieci, jak i na papierze Super Night Driver reklamowała się jako firma, której nieobce są żadne wyzwania. Od odprowadzania samochodów po libacjach po zakupy na owe libacje. Interes zaczął się kręcić.

Tego dnia Leszek Kłos w wyniku absencji pracownika jak na dobrego szefa-właściciela przystało znów musiał sam usiąść za kółkiem.

Stuknęły zamykane drzwi wejściowe. Po chwili w progu gabinetu stanęła rudowłosa Zosia, pracująca od początku jako dyspozytorka. Od razu wyczuła minorowy nastrój Leszka.

– Cześć, szefie! – mimo to zawołała wesoło.

– Cześć.

Zdjęła lekki płaszczyk i powiesiła go na wieszaku.

– Robię herbatkę, pieszysz się? – zapytała wciąż tym samym, pogodnym tonem.

– Może być.

Te kilka zdań starczyło, żeby poczuł się lepiej. Będzie dobrze. Nigdy nie był skłonny do czarnowidztwa. Poza tym wierzył w ludzi. Może temu kierowcy naprawdę coś ważnego wypadło? Różne przypadki chodzą po ludziach. Choćby ten facet z wczoraj, wyrzucony przez osiłeków z furgonetki na peryferiach miasta. Jak on się właściwie nazywał? Jakoś tak z obca. Wczoraj Leszek, w uniesieniu spowodowanym cudowną naprawą, zaproponował mu pracę. Dziś jednak wątpił, by tamten się pojawił, mimo że dostał wizytówkę. Na mordę nic nie załatwisz, stara prawda.

– Herbatka – zaszczebotała Zosia, stawiając przed nim kubek. – Z cytrynką i z brązowym cukrem, tak jak szef lubi.

– Dziękuję.

Nie zdążył zamieszać, bo ponownie stuknęły drzwi. W pierwszej chwili pomyślał, że za chwilę ujrzy jednego ze swoich kierowców, tego od zapchanej komórki. Mylił się jednak. Na progu gabinetu stał jakiś facet i rozglądał się po ścianach.

– Dobry wieczór. – Przybysz uśmiechnął się nieśmiało.

– W czym możemy pomóc? – zapytała Zosia, przypatrując mu się z zainteresowaniem.

– To chyba raczej ja chciałbym pomóc – odpowiedział tamten. – Miałem się dzisiaj zgłosić do pracy. Nazywam się Tomasz Horn.

17

Podbiał usiadł za biurkiem w pokoju przesłuchań. Przez chwilę udawał, że czyta jakiś dokument. Przed nim, z opuszczoną głową, siedział Łukasz Skórka. Wcześniej przez trzy godziny kruszał w innym pomieszczeniu. Zbliżała się szósta wieczorem.

– Przypominam, że za składanie fałszywych zeznań grozi odpowiedzialność karna w myśl artykułu dwieście trzydzieści trzy kodeksu karnego – policjant beznamiętnie wyrecytował okolicznościową formułkę. – Łukasz Skórka, lat dwadzieścia, zamieszkały ulica Redutowa i tak dalej... – odczytał dość niedbale z jednej z kartek, ale kolejne zdania zostały już wypowiedziane bardzo wyraźnie: – Przy zatrzymanym znaleziono narkotyki.

Młody podniósł głowę. Była to jedyna reakcja na monolog Kostka.

– To jak będzie? – zapytał Podbiał, zezując na bok, gdzie znajdowało się lustro weneckie, za którym stała Kornelia i najpewniej także podinspektor Kontra.

– Zależy kiedy odlecą łabędzie – mruknął Skórka.

– Takiś zuch? A może planujesz wydać płytę z rapem? Posiedzimy czterdzieści osiem wśród miłych panów, to odechce nam się rymowanek. Pewnie nie wiesz, że właśnie zwinęliśmy szajkę groźnych pederastów. Siedzą na dole, trzy piętra pod nami. Myślę, że byś się im spodobał.

Przez twarz Łukasza Skórki przeleciał cień.

– Ja nic nie zrobiłem – powiedział.

– To dlaczego uciekałeś?

– Po prostu się was przestraszyłem.

– Niegłupie tłumaczenie. – Podbiał chrząknął. – Sam bym spękał. Przekonałeś mnie.

– A dragi?

– To znaczy?

– Przecież ja nie miałem przy sobie żadnych narkotyków!

Kostek puścił to mimo uszu.

– Kiedy i gdzie widziałeś ostatnio Ludmiłę Nowak? – zapytał.

– Nie znam.

Policjant westchnął ciężko.

– Łukasz. Tak ładnie nam zaczęło iść, a ja bardzo nie lubię się cofać. Lubię pędzić autostradą do celu, a na autostradzie, jak zapewne wiesz jako dumny posiadacz prawka, obowiązuje zakaz cofania. Byliśmy u niej w domu i zaraz ci mogę pokazać wasze zdjęcie, więc nie pierdol i mów jak na spowiedzi: kiedy i gdzie widziałeś ostatnio Ludmiłę Nowak?

– Nie pamiętam. My... my ze sobą zerwaliśmy.

– Zerwaliście? – Kostek pokiwał głową ze zrozumieniem. – I nie pamiętasz, kiedy to się stało? Nie wiem jak ty, ale ja zawsze bardzo dokładnie zapamiętywałem dzień, kiedy jakaś dupa dała mi kosza. To było silniejsze ode mnie. Problem w tym, że nie tylko rozpamiętywałem to, co się stało, ale bardzo często życzyłem tej dziewczynie samych najgorszych rzeczy.

– To znaczy? – na twarzy przesłuchiwanego zabłąkał się błąd, ale jednak uśmieszek.

– Żeby na przykład złamała nogę i przez miesiąc nie mogła wyjść z domu.

To powiedziawszy, wypatrywał reakcji, jaką w dwudziestolatku wzbudzą słowa starego zgreda. Łukasz Skórka mógł być przecież spokojnie jego synem. Tymczasem chłopak nie prychnął śmiechem, tylko zapytał przytomnie:

– A dlaczego właściwie mnie o nią pytacie? Czy coś się stało?

– Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć. Ludmiła zaginęła. Dwie osoby niezależnie od siebie zgłosiły to na policję.

– Ja nic nie wiem. My zerwaliśmy.

Podbiał wstał z krzesła i zrobił kilka kroków po pokoju przesłuchań.

– Ona zerwała z tobą czy ty z nią? – zapytał po chwili.

– Ja z nią.

– O co poszło?

– Po prostu przestała mi się podobać. Wystarczy? – zapytał hardo chłopak.

Otworzyły się drzwi. Posterunkowy zameldował przybycie gościa. Po chwili w drzwiach pojawił się młody, elegancko ubrany mężczyzna z teczką w rękę.

– Dzień dobry. Przepraszam za spóźnienie – przywitał się, zamykając za sobą drzwi.
– Janusz Borowiec. Kancelaria prawna Borowiec & Makowski.

Kostek w porę opanował się, by nie wymierzyć sobie klapsa w czoło. No pewnie, że znał tego papugę! Tylko co mecenas Borowiec tu robił? Na odpowiedź policjant nie musiał długo czekać. Przybysz splótł przed sobą ręce i oświadczył z emfazą:

– Jestem adwokatem pana Skórki.

Kostek prędzej spodziewałby się ataku specnazu niż tego, że ten dres będzie miał obrońcę. I że pojawi się on tutaj tak szybko. Ale życie potrafi zaskakiwać. Jednocześnie stało się jasne, dlaczego Łukasz z początku tak kozaczył. Spodziewał się odsieczki. Pewnie już to przerabiali, starzy zdążyli zrobić nową rubryczkę w domowym preliminarzu: ADWOKAT, a koledzy od bilardowego stołu szybko ich powiadomili, dokąd zabrano miłusińskiego.

– Dzień dobry, mecenasie – odpowiedział na przywitanie Kostek.

Miał uczulenie na tego rodzaju typy – w szkole prymusy, wymuskane przez rodziców blondynki na bok czesane, przekonane o własnej wyjątkowości. A w dodatku dostające paczki ze Stanów czy Reichu. Dobrzy nie tylko w nauce, ale także w sporcie. Dostaje taki gałę, idzie jak burza, do bramki brakuje mu zaledwie kilkunastu metrów. Wzmaga się doping na trybunach, dziewczyny piszczą, a ten piękny, ten szlachetny, ten zdolny pod każdym względem za chwilę strzeli pięknego gola, który przesądzi o losie meczu.

Niestety, wyrasta przed nim obrońca. Trochę guła, trochę ofiara i platfus, nieruchawy i mający nawet czasem trudności z trafieniem w piłkę, więc skazany przez męską część klasy na stanie na obronie. Należy dodać, że to rzadki przypadek, albowiem zazwyczaj szkolna drużyna piłkarska składa się z bramkarza i dziesięciu napastników. Wyrasta więc nasz domorosły Gorgoń czy inny Bąk, jak ten duch, przed napastnikiem, na którego szlachetnej, wręcz uduchowionej twarzy już maluje się radość ze zdobytej bramki. Ale obrońca aplikuje mu taką „kosę” w pieszczel, że prymus ryczy z bólu, a potem ryje swoją śliczną mordką w piach, bo trawa na boisku szkolnym jakoś nigdy nie zdąży urosnąć. Po tym rozlega się gwizdek sędziego-wuefisty. Faul jest przecież ewidentny. Ale gola nie ma, to również pewne.

Takim zbrodniczym faulującym był kiedyś Kostek Podbiał. A właściwie nadal jest.

– O co jest oskarżony mój klient? – chciał wiedzieć mecenas Borowiec.

– Pana klient składa wyjaśnienia w charakterze świadka – odpowiedział Podbiał. – Problem w tym, że stawiał opór.

– Nie stawiałem – zaprotestował rozpaczliwie Skórka.

– Uciekałeś.

– Bo nie wiedziałem, kim jesteście.

Tutaj znów wtrącił się Borowiec:

– A policja słynie ostatnio z brutalności.

– Policja? – zdziwił się Kostek. – Przecież pański klient nie wiedział, kim jesteśmy...

– Proszę mnie nie łapać za słówka – zachnął się adwokat.

Kostek nic nie odpowiedział. Znów pochylił się nad dokumentami i udawał, że czyta. Czy należało przejść na wyższy poziom? A może niższy, bo do piekieł się przecież schodzi. Jak zwał, tak zwał, Skórka musiał być poddany terapii.

- Poznajesz? – Podetknął mu pod nos zdjęcie tatuażu.
- Tak. Ludmiła taki nosi – odpowiedział, a potem szybko przeniósł spojrzenie na adwokata.
- Nosila – sprostował Kostek, sięgając po kolejną fotografię, która przedstawiała już całą nogę znaną nad rzeką.
- Jak to? – parsknął chłopak.
- Ludmiła nie żyje. Wczoraj znaleźliśmy fragmenty jej ciała, a dwie osoby, a teraz jeszcze ty, rozpoznały ten tatuaż. Jako że była twoją dziewczyną, sam rozumiesz, że powinieneś złożyć dokładne wyjaśnienia...
- Było to najłagodniejsze sformułowanie, na jakie było go stać w tym momencie.
- Czy mój klient jest o coś oskarżony? – powtórzył adwokat głośniej i bardziej stanowczo, ale Kostek go zignorował.
- Kiedy się ostatnio widzieliście z Ludmiłą? – zapytał Łukasza.
- Trzy tygodnie temu. Zerwaliśmy, jak mówiłem, bo... bo zobaczyłem jej profil na aplikacji randkowej. Nie zaprzeczyła, ale nie potrafiła mi też wytłumaczyć, dlaczego tam jest.
- Rozumiem, że widziałeś ten jej profil w telefonie kolegi – powiedział Kostek.
- Czy moglibyśmy zostać sami z moim klientem? – zapytał Janusz Borowiec.
- Już kończę. Czyli mówisz, że zerwałeś z nią, ponieważ szukała sobie nowego chłopaka. I nie pokłóciliście się z tego powodu. Potem życzyłeś jej wszystkiego najlepszego i rozeszliście się w dwie przeciwne strony, tak?
- Brak odpowiedzi. I właśnie na to Kostek czekał. Wstał z krzesła, zebrał papiery ze stolika i wyszedł z pokoju przesłuchań.

18

Tomasz Horn trzymał kierownicę niezbyt mocno, ale pewnie. We wnętrzu auta woń spirytusu mieszała się z zapachem lawendy. Firma dbała o wysoką jakość usług. I był to chyba jedyny czas w dziejach, kiedy nie wzbudziłyby to podejrzliwości policjantów, którzy zajrzeliby do środka podczas kontroli.

Na szczęście był sam i nikt nie mógł usłyszeć powtarzanego przez niego głośno i co jakiś czas pytania:

– Co ja tutaj robię? Co ja tutaj robię...?

Nie to, że się nie cieszył. Deklaracja Leszka Kłosa, złożona w chwili euforii spowodowanej uruchomieniem auta, nie okazała się tylko pustą gadaniną i to było najważniejsze. Miał pracę. Na pewno lepszą niż operator wózka widłowego! Chociaż niczego jeszcze nie podpisał, ale i tamten nie zaglądał mu w papiery. Nawet prawa jazdy nie oglądał. A cholera wie, czym trzeba było się wylegitymować, podejmując taką robotę. Może nawet, tak jak taksówkarze, aktualnymi badaniami psychologicznymi?

Kiedys śmiał się, słysząc, że wszystko w życiu zależy od tego, jakich ludzi i w jakim miejscu spotkasz. Nigdy by nie przypuszczał, że zainteresowawszy się przed miesiącem ogłoszeniem zachęcającym do wzięcia kredytu, tak zwanej chwilówki, napyta sobie biedy. Że agentka, która przyniesie mu pieniądze do domu, będzie tak miła. Miał

wrażenie, że za chwilę rozepnie mu rozporek. Ale nigdy by też nie przypuszczał, że ludzie, którzy do niego przyjdą po tym, jak w terminie nie zapłacili pierwszej raty, będą tak niemili.

Kiedy wczoraj wrócił do domu z porannego spaceru, podczas którego pozbył się swojego nicony, a przy okazji resztki złudzeń co do znalezienia zajęcia, czekali na niego przed kamienicą. To było drugie spotkanie, po tygodniu od pierwszego. Tygodniu, który nic nie zmienił. Pokazali podpisane przez niego dokumenty kredytowe, a następnie zaprosili na rozmowę do furgonetki. Horn naprawdę uwierzył, że pojedą do siedziby firmy i będzie mógł na spokojnie, z jakimś szefem, może nawet samym właścicielem firmy, obgadać warunki spłaty długu.

Ale zamiast w eleganckim biurze wylądował w jakimś cuchnącym stęchlizną magazynie. Trzymali go tam ponad trzy godziny. Siedział niemal bez ruchu, przeklinając swoją głupotę. Czy bał się, że coś mu zrobią? To też. Nigdy wcześniej nie czuł się tak mały i bezradny. Jak śmieć. A potem jak śmiecia wywieźli go za miasto i zostawili.

– Spokojnie, stary. Masz robotę. Wszystko się ułoży – powtarzał znów na głos, bo przecież nie z takich opresji udawało mu się wyjść w jednym kawałku.

Biuro SND mieściło się przy ulicy Kolejowej. Kiedy Horn ujrzał parterowy budynek, przestraszył się, że to kolejna podpucha. Na szczęście firma tam była. Nie zdążyli jednak z Leszkiem pogadać, bo pojawiło się pierwsze tej nocy zlecenie.

„Masz. I nie daj płamy – powiedział Kłós, rzucając mu kluczyki. – Drugi kierowca będzie czekał na miejscu. Właśnie przekazałem mu zlecenie”.

Horn skręcił z Marszałkowskiej w Świętokrzyską, przepuścił na przejściu jakąś hałaśliwą watahę młodzieży. Miał zrealizować zlecenie na ulicy Mazowieckiej, która była jednym ze stołecznych zagłębi rozrywkowych. Dokładnie w klubie o nazwie ZOO. Horn objechał plac Powstańców Warszawy, aby po chwili przeciąć Świętokrzyską i wjechać w wąską, zastawioną parkującymi samochodami i zakrzywioną lekko gardziel Mazowieckiej. Pokonał kilkaset metrów i zatrzymał się. Dalszą drogę tarasowały taksówki oczekujące na klientów albo takie, z których klienci właśnie wysiedli, by drogę na miejsce pokonać *per pedes*. Klub ZOO znajdował się jeszcze dalej, po lewej stronie. Pozostało jedynie cierpliwie czekać na swoją kolej. A potem być może naprawdę uratować komuś życie. Tak, pomysł na taką firmę był naprawdę dobry. Pod warunkiem że znajdzie się zleceniodawców w tym cholernym bałaganie...

Taksówka stojąca przed nim podjechała kilka metrów. Tomasz zrobił to samo. Po chwili zobaczył, że środkiem ulicy zbliża się do niego jakiś facet próbujący zajrzeć do wnętrza auta. Opuścił do połowy szybę.

– Ty jesteś ten nowy u Kłosa? – zapytał tamten.

– Tak.

– Zaraz ci przyprowadzę klientów, bo w tym burdelu się za cholerę nie połapiemy. Ja już auto mam, sportowy merol. – Wyglądający na zakapiora *nightdriver* potrząsnął kluczykami. – Na szczęście zostawili go dalej, na Elektoralnej.

To powiedziawszy, oddalił się. Tomasz podjechał znów kilka metrów. Przez okno doleciał bulgot basów z jednego z lokali. Przed mieszczącym się naprzeciwko klubem stał zgięty w pół facet i rzygał na chodnik. Fontanna była niemal jak w kreskówce.

Mam nadzieję, że ci moi nie będą ugotowani na miękko – pomyślał z trwogą Horn. Bardzo nie chciał czyścić tapicerki, mimo że to właśnie nowi zawsze na początku dostają czarną robotę.

Na płytach chodnika zastukały obcasy. Tomasz podniósł wzrok. Do jego auta zbliżała się dziewczyna w spódniczce mini i czarnym bolerku. Dwa kroki dalej facet, z którym wcześniej rozmawiał Horn, prowadził ślaniającego się na nogach mężczyznę w rozpiętym garniturze.

Tomasz wyszedł z samochodu i otworzył drzwi przed dziewczyną.

– Bardzo proszę.

– Dziękuję – odpowiedziała, wsiadając bez trudu do środka; chyba nie była wstawiona.

Został jeszcze problem faceta. Na szczęście współpracował, więc udało się umieścić go na tylnym siedzeniu.

– Powodzenia! – Kolega z firmy uściśnął Tomkową prawicę, by spokojnym krokiem oddalić się w stronę Elektoralnej.

Horn zajął ponownie miejsce za kierownicą, zamknął i zablokował drzwi. Uruchoił silnik. Chwilę czekał, aż któreś z pasażerów wyda mu dyspozycję. Pijany jednak zaczął chrapać w najlepsze z głową odchyloną i leżącą między zagłówkami, dziewczyna zaś wydawała się obecna tylko ciałem, bo apatycznym, zamglonym wzrokiem wpatrywała się w boczną szybę.

– Dokąd państwa zawieźć? – zapytał wreszcie.

– Wszystko jedno.

A miało być tak pięknie – pomyślał. Niby najprostsze zajęcie pod słońcem: przyjechać, zabrać, zawieźć na miejsce. Czasem chwilę poczekać. A jednak, kurwa, nie...

Przed nimi nie było już żadnej taksówki, jednak z tyłu, owszem, stały. Właśnie jeden cierp nacisnął z mocą klakson. Tomasz, chcąc nie chcąc, musiał ruszyć. Po chwili znaleźli się na placu Piłsudskiego. Pustą przestrzeń przecinała na ukos kolejna grupka młodych ludzi. Horn po raz pierwszy tej nocy poczuł senność.

Okrążyli gmach Teatru Wielkiego, przecięli plac Teatralny, zbliżali się do placu Bankowego. Wtedy dziewczyna w bolerku nagle się ocknęła.

– Dokąd pan jedzie? – zapytała.

– Powiedziała pani, że wszystko jedno.

Nieznajoma sapnęła, co mogło wyglądać zarówno na objaw złości, jak i rezygnacji.

– Ulica Królewicza Jakuba – powiedziała półgłosem, jakby nie chciała zbudzić śpiącego obok towarzysza.

Horn zawrócił. Po kilku sekundach mknął już na południe Marszałkowską. Znów czuł się pewnie. Mocniej nacisnął na gaz.

Schowal telefon do bocznej kieszeni marynarki i rozejrzał się. Gdzieś z bramy starej kamienicy dobiegł dziwny dźwięk, podobny do płaczu dziecka. Pewnie koty – skonstatował. Lubił te stworzenia, bardziej niż psy. Uspokajał się przy nich.

Wsunął dłonie do kieszeni spodni i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę hotelu. Do przejścia pozostało mu może dwieście metrów. Przeciął skrzyżowanie, po chwili zza wysokiej kamienicy wychynęła bryła Hiltona.

Wtem drogę zastąpił mu jakiś cień. Przez sekundę mężczyzna rozważał przejście na drugą stronę ulicy. W ostatniej chwili zdecydował się jednak iść dalej.

– Wieczorny spacerek, co? – zapytał tamten.

Mężczyzna zatrzymał się w pół kroku. Nie mógł już udawać, że nie widzi przeszkody. Mógł ewentualnie próbować przejść dalej rynsztokiem. Są tacy, którym taki widok wystarcza, żeby się dowartościować. Mimo że od tamtego dzieliły go może dwa metry, nie sposób było dostrzec jego twarzy. Byli podobnego wzrostu i postury.

To pewnie moja głośna rozmowa przez telefon, mimo że krótka, zwróciła uwagę i ściągnęła hieny – pomyślał.

– Czego pan chce? – zapytał spokojnie.

– Pogadać – odparł tamten z wyraźnie wyczuwalną nutą zaczepki.

– Nie za późno? Spać trzeba, a nie gadać.

– To czemu pan nie śpisz? Może skarbów szukasz, co to je ukryła rodzinika z gietta, zanim ją Niemcy zgrillowali! – Intruz zaśmiał się irytująco.

Mężczyzna wyjął lewą rękę z kieszeni i potarł nią policzek. Zarost, który miał być usunięty dopiero rano, zachrobotał w uszach. Gest ten, w sumie niewinny i nic nieznaczący, nie spodobał się cieniowi.

– Te, myśliciel! Uważasz, kurwa, że jesteś lepszy, co?!

– Nie. Dlaczego pan tak myśli?

Nie chciał awantury, nie chciał zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi policji. Ale nie za wszelką cenę. Wciąż trzymał prawą rękę w kieszeni, przy czym kieszeń ta dawała dostęp do innych części okrycia. Łapserdak nie mógł zatem widzieć, jakie ruchy pod materiałem wykonuje jego przyszła ofiara. Mężczyzna sprawnie dostał się do innej kieszeni, namacał znajomy, zimny kształt. Prawa ręka mogła ruszyć w drogę powrotną. W drogę, z której już nie było odwrotu. Tak, ktoś tutaj nie doczeka następnego dnia.

– Zmieniłem zdanie – powiedział dużo głośniej. – Jestem lepszy od ciebie. Każdy jest lepszy od ciebie, gnido zajebana.

– Coś ty powiedział?! – Cień poruszył się po raz pierwszy od chwili, kiedy stanął na drodze przechodnia.

– Nie dosłyszałeś? To podejdź bliżej.

20

Zjeżdżali ulicą łączącą Mokotów z Czerniakowem, gdy z tylnej kanapy dobiegły dziwne dźwięki. Z początku Horn nie potrafił ocenić, czy to pijacka czkawka, czy płacz. Okazało się, że to drugie. Potwierdził to obraz, którą ujrzał we wstecznym lusterku. Dotychczas starał się nie być natarczywy i nie gapił się na pasażerkę, tylko na drogę. Ale tak, twarz dziewczyny wykrzywił grymas.

– Co się pani stało? – zdecydował się zapytać.

Nie odpowiedziała. Goryl obok wciąż spał.

– Mam się zatrzymać? – zaproponował, na co dziewczyna pokiwała głową.

Zjechali na chodnik przy Belwederskiej, kilkanaście metrów za skrzyżowaniem. Tomasz uruchomił światła awaryjne, wyłączył silnik i odwrócił się. Widząc jej twarz całą we łzach, przypomniał sobie, że ma w skrytce pudełko chusteczek higienicznych. Ten Kłos naprawdę potrafił przewidzieć wszystko. Ciekawe, czy ma również zapas prezerwatyw.

Horn zganił się w myślach za to ostatnie pytanie. Jakże mógłby nie mieć?!

– Proszę. – Podał pasażerze opakowanie chusteczek.

Wzięła od razu dwie, otarła łzy.

– Przepraszam, nie powinnam robić z siebie widowiska – powiedziała.

– Nie ma problemu.

– Czasami nie mam siły, żeby... – zawiesiła głos, zezując na poлежаłego obok mężczyznę.

– Może uchylę okno? – zaproponował po chwili kierowca.

Podniosła wzrok.

– Wolę się przejść.

Pomógł jej wydostać się z auta. Chwilę się wahał; nie mógł przecież i nie chciał zamknąć samochodu ze śpiącym w środku pasażerem. Ale dziewczyna wybawiła go z kłopotu. Nie planowała nigdzie iść, chodziło tylko o to, żeby tamten nie słyszał tego, co mówiła. Tomasz nie był wielkim psychologiem, praktyka jednak podpowiadała mu, że tę parę łączył jakiś dziwny, najpewniej chory układ.

– Jestem Marta – przedstawiła się.

– Tomek.

– Masz papierosa?

Zaprzeczył.

A jednak plan Kłosa nie jest do końca doskonały. Ma luki – pomyślał.

– Co się dzieje, Marta? – zapytał.

Machnęła tylko ręką. Dyskretnie zerknął do środka auta, ale potężny mężczyzna nadal spał, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie.

– Każdy ma czasami dosyć wszystkiego. – Spojrzała w dół, na czubki bucików. – I wszystkich. Także faceta...

– To ten w samochodzie?

– Nie. To tylko ochroniarz. Jest nawet w porządku.

W głowie Horna zapaliła się ostrzegawcza lampka. Ochroniarz, jakieś kłopoty w facetem? Przecież tu mafią zajeżdża na kilometr. I trupem. Nie tak spojrzysz i po tobie! Człowieku, wracaj szybko za kółko, odwież tych ludzi i jak najszybciej zapomnij o wszystkim.

Od Wisły powiał zimny wiatr. Dziewczyna imieniem Marta zadygotała.

– Chyba będzie lepiej, jak już pojedziemy – powiedział Tomasz.

Bez słowa wróciła do auta. W chwili gdy siadała, ochroniarz otworzył na chwilę oczy.

– Co jest? Tak jest, szefie! Zrobi się... – wymamrotał i ponownie zapadł się w niebyt.

Horn zatrasnął drzwiczki. W ściszym radiu rozległ się dłuższy dźwięk. Wybiła północ. Dawno nie słuchał radia o tej porze.

– Tak, jedźmy – powiedziała Marta.

Ruszyli pustą Belwederską. Horn nie odzywał się do końca podróży. Ale nie miał już obiekcji przed tym, by od czasu do czasu rzucić jednak okiem we wsteczne lustro. Dziewczyna była naprawdę ładna.

DZIEŃ TRZECI

21

Dzwonek wyrwał go ze snu. Z początku nie wiedział, gdzie się znajduje ani co się dzieje. Trwało to może dwie sekundy. Horn zatrzęsł się z zimna. Zamrugał powiekami i sięgnął po telefon.

– Słucham.

– Nareszcie. Myślałem, że śpisz! – po drugiej stronie odezwał się Kłos, wyjątkowo rzeński jak na tę porę.

– Nie, nie śpię – skłamał.

– Jest kolejne zlecenie, ale trzeba tam być na jednej nodze. Podaję ci adres...

Horn zanotował dane na kartce specjalnego notesu, umieszczonego na prawo od tablicy rozdzielczej, tuż obok etui na wizytówki firmy.

– Mam – potwierdził, by za chwilę zapytać: – Nasz kierowca będzie na miejscu?

– Nie. To trochę innego rodzaju zlecenie – wyjaśnił Leszek. – Gość twierdzi, że ma alergię na taksówki czy inne wynalazki, a ja myślę, że tak naprawdę lubi po prostu poszpanować, że ma do dyspozycji auto z kierowcą. Nam jest wszystko jedno, byle zapłacił.

I nie zarzygał tapicerki – dokończył w myślach nowy pracownik.

Gdy szef się rozłączył, Horn przez chwilę zastanawiał się, czy to wszystko, włącznie z rozmową zakończoną ledwo kilka sekund wcześniej, czasami mu się nie śni. I wystarczy się mocno uszczyplnąć, żeby w jednej chwili zniknęło. A bywało, że sny miał realistyczne. Szczególnie ostatnio, gdy zaczęły się kłopoty.

Minutę później mknął już „Niepodległościami”, którą to nazwę usłyszał kiedyś od taksówkarza, w stronę centrum miasta. Chwilę przed wjazdem na estakadę spojrzął w bok.

– Nawet kurwy poszły już dawno spać – westchnął.

Rozpędzony na zjeździe z estakady samochód zaczął zwalniać przez rondem ONZ. Tomasz wjechał na skrajny pas, z zamiarem skrętu w lewo. Pokonał skrzyżowanie, ale musiał zwolnić i przepuścić jadący Proszą, od strony Woli, tramwaj techniczny, który szlifował szyny. Odrobinę lżej zrobiło mu się na duszy, gdy pomyślał, jak wiele jest zawodów, które wymagają od ludzi pracy od zmierzchu do świtu. Wcześniej chyba rzadko się nad tym zastanawiał.

Kilkadziesiąt metrów dalej skręcił w Twardą, a potem w Pańską. Gdzieś tutaj mieścił się lokal, z którego miał zabrać kolejnego klienta. Czerwony neon w perspektywie ulicy okazał się dobrym drogowskazem. Przed wejściem do nocnego klubu, który mógł być

zakamuflowanym burdelem, stał jakiś jegomość w garniturze i kołysał się na flekach. Rozpoznawszy „swojego”, podniósł rękę. Tomasz zatrzymał się przy krawężniku.

– Dobry wieczór. – Mężczyzna zamknął delikatnie drzwi auta.

– Dzień dobry.

– Ma pan rację. Za dwie godziny zacznie się robić szaro.

Cisza. Horn spojrzął w lusterko. Gość miał otwarte oczy.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

– Tarchomin. Mehoffera.

Pół minuty później mknęli na północ. W radiu wydurniał się jakiś DJ czy inny, na bank ujarany, prezenter.

– Aż dziw, że mu się jeszcze chce pajacować o takiej porze – skomentował pasażer.

– Podobno między drugą a czwartą nad ranem dochodzi do największej liczby samobójstw – Horn nie powstrzymał się przed zabyśnięciem wiedzą przed nieznanym.

– Mówi pan, że między drugą a czwartą nad ranem?

– Jakoś tak.

– To się dobrze składa.

Nie. Tego jeszcze brakowało! – przestraszył się Tomasz. Najpierw jakieś mafijne historie, dziwki i ochroniarze, a teraz ten, zniechęcony do życia. Trzeba będzie zażądać od Kłosa jakiegoś dodatku za pracę w niebezpiecznych warunkach. Jak górnik w przodku. Lub nauczyciel w ostatnich klasach podstawówki.

Ale gość nie drażył tematu. Horn już zaczął wierzyć, że uda im się spokojnie dotrzeć na Mehoffera. Gdy wjechali na most Gdański, siedzący z tyłu klient nagle się ożywił.

– Ciekawe, czy mocno by bolało... – rzekł z dziwną ekscytacją.

– Co?

– Jakbym skoczył stąd do Wisły. Zastanawiam się, wie pan, czy byłaby to śmierć na miejscu, od uderzenia w wodę albo kamienie dna, czy musiałbym się jeszcze topić. Tutaj jest chyba dość płytko.

Może tylko się zgrywa, jak ten kretyń w radiu – pomyślał z nadzieją kierowca.

– Pan myśli, że żartuję? – odezwał się znów klient.

Horn milczał. Odpowiedzią było tylko wzruszenie ramion, które mogło być niedostrzeżone z tylnego siedzenia. Zjechali właśnie z ronda Starzyńskiego w Jagiellońską. Do celu pozostało kilka kilometrów prostej drogi.

I wtedy pasażer zaczął... płakać. Zupełnie tak samo, jak ta Marta kilka godzin wcześniej!

– Czy mam się zatrzymać? – Horn wlepił spojrzenie w lusterko wsteczne.

– Tak, poproszę.

Limuzyna wjechała na niewielki plac w sąsiedztwie stacji paliw. Gość siąknął nosem, po czym, w chwili gdy kierowca pomyślał o posiadanym na wyposażeniu pudełku z chusteczkami higienicznymi, wytarł nos w rękaw marynarki. I zaczął opowiadać. Że jest biznesmenem, od trzech lat ma firmę, która sprowadza do Polski nowoczesne windy i montuje je w nowo wybudowanych domach mieszkalnych i biurowcach.

– Wszystko kręciło się bez większych problemów – ciągnął. – Czasem były nerwy, jak transport się spóźniał albo coś się działo na placu budowy. No i ta skarbówka, panie, pierdolona! Wszystko jednak było do przelknięcia. Jednak dwa tygodnie temu zdarzyło się coś, czego nie mogę pojąć ani się z tym pogodzić. Dostałem na adres firmy dużą kopertę. Z początku myślałem, że to jakiś prospekt reklamowy albo oferta. Otwieram, wyjmuję, a tu zdjęcia. Na nich ja, goły jak święty turecki. A pode mną blondyna...

– Śledzili pana?

– Skąd! Co pan?! – oburzył się facet. – Przecież to fotomontaż.

Baju baju – pomyślał Horn.

– Do jakichś zdjęć ze strony z porno – ciągnął – dokleili po prostu moją głowę. Ale jak! Ktoś, kto by nie wiedział, że nic takiego nie miało miejsca, nie połapałby się za cholereę. Zegarmistrzowska robota.

– Tak, to możliwe.

– Na razie tylko ja o tym wiem. Ten, który mi to przesłał, żąda stu tysięcy za to, że nie opublikuje tych zdjęć w internecie. A co z moją rodziną? Jak ja dalej firmę będę prowadził...?

No tak, kto by chciał jeździć windą, którą zakładał ktoś taki – pomyślał Horn.

– Chyba nie ma pan zamiaru zapłacić? – zapytał.

– A co mam zrobić? – Pasażer rozłożył ręce. – Kto mi uwierzy, że to nieprawda?

– Nie wiem. Policja?

Mężczyzna wydał z pogardą policzki i prychnął. To była jego ocena organów ścigania i ich przydatności w sprawie. Chyba nie tylko tej.

– Przepraszam pana, ale musiałem o tym komuś powiedzieć – sapnął z rezygnacją i ukrył twarz w dłoniach. – Niech pan już jedzie.

Ruszyli. Horn postanowił, że już się nie zatrzyma, choćby się nie wiadomo co działo. Ale wiedział, że rozmowa z tym facetem jeszcze się nie skończyła.

22

Józef Brzoza, siedemdziesięcioletni dozorca jednej z ostatnich starych kamienic przy ulicy Grzybowskiej, był też chyba ostatnim tego typu okazem po tej stronie Wisły. Czapka maciejówka, sumiaste siwe wąsy, długi drelichowy fartuch i najważniejszy atrybut – miotła w rękę. A zimą – łopata lub szufla do odgarniania śniegu. Jakby grał w filmie kostiumowym lub go cudem przenieśli z lat międzywojnia, kiedy za otwarcie bramy kamienicy po dwudziestej trzeciej płaciło się dozorczy i nikt nie robił inaczej.

Gdyby zwyczaj ten wciąż trwał, ktoś taki miałby dobrze z Józefem Brzozą, gdyż ten kładł się przed północą, a wstawał bardzo wcześnie, bo już o wpół do piątej rano. Dzisiaj też. Staruszek umył się, ubrał, wypił pół szklanki herbaty. Było lato, przez noc nie napadało śniegu, więc teoretycznie nie miał dużo roboty. Ot, wymieść przylegający do nieruchomości trotuar ze śmieci, bo ludzie nigdy się nie nauczą, a także tego żółtego pyłku, który brał się nie wiadomo skąd. Miotłę drapakę znalazł w składziku na narzędzia, gdzie zostawił ją poprzedniego dnia.

Wyszedł na podwórko. Od ulicy dobiegł huk przejeżdżającej ciężarówki, gdzieś w górze zagruchał gołąb. W świeży zapach poranka po chwili wdarła się nieprzyjemna woń ze śmietnika.

– Dzisiaj powinni przyjechać – mruknął pod wąsem, obiecując sobie jednocześnie w duchu, że gdy tylko śmieciarze się pojawią, wygarnie im, co mu na wątrobie leży.

Za plecami rozległy się przyspieszone kroki. Ktoś wychodził z kamienicy.

– Uszanowanie, panie Brzoza – usłyszał głos sąsiada mieszkającego pod trzecim.

– Kłaniam się, kłaniam.

Staromodne uchylenie maciejówki z mocno sfatygowanym daszkiem. Po chwili pierwszy szeroki gest miotłą. Warstewka pyłku rzeczywiście była.

A może jednak zacząć od śmietnika? Niech widzą, że Józef Brzoza swoje wykonał. I nieważne, że tylko czekać, aż wszystko tu pójdzie pod kilof, bo będą chcieli zrobić drugi zaszary Manhattan i postawić wieżowce.

Dziarskim krokiem podążył w kierunku ażurowej, krytej żółtym eternitem altanki, gdzie znajdowały się liczne kolorowe kontenery. Segregacja śmieci, no tak, segregacja. Wnętrze spowijał jeszcze półmrok, jednak Brzoza od razu zauważył zmiany, które zaszły w tym miejscu od poprzedniego wieczora. Pośrodku altanki, dokładnie między kontenerami, jego wzrok natrafił na jakiś dziwny kształt. Pan Józef nie lubił, jak ludzie pozbywali się gabarytów – mebli, sprzętu AGD. Ostatnio to nawet prawie nowe wyrzucali. W dupach im się już od tego „pincet plus” przewracało. Mogło być też tak, że to ktoś z zewnątrz zakradł się tutaj nocą i pozbył kłopotu. Ludzie nie mają wstydu. To coś wyglądało jak część manekina. Pewnie z jakiego centrum handlowego podrzucili, bo się zużył. Tak, to był manekin. Albo...

– Jezus Maria! – Józef Brzoza oparł się ciężko o ścianę śmietnika.

Przed nim leżał trup.

23

Konstanty Podbiał obudził się we własnym łóżku, sam i to nawet przed czasem. Nie musiał się więc specjalnie spieszyć, aby ze wszystkim zdążyć. Z rana zwykle działał jak automat. Pod warunkiem wszak, że był w dobrze znanym środowisku. Czytaj: w domu.

Podróż z Bielan, którą odbył w ulubiony sposób, czyli metrem, przebiegła bez najmniejszych zakłóceń. Nikt jakoś nie próbował wrzucać czegokolwiek do pociągu, a tym bardziej go wykoleić, więc nie trzeba było interweniować. Ale i tak coś wisiało w powietrzu. Poczuł to, gdy przekroczył próg gmachu, w którym pracował. Nie, to nie było to, że spojrzenia demonstrantów, którzy już zbierali się na placyku między frontem gmachu a fontanną przy kinie Muranów, wypalały mu dziury w plecach. W miarę jak wspinał się po schodach, na drugą kondygnację, ogarniało go coraz większe napięcie i niepokój. Idąc już po swoim piętrze, czuł, jak uginają się pod nim nogi. Że jeszcze krok, a polecą mordą na gumoleum!

Nikt bardziej nie potrzebuje urlopu niż ten, kto właśnie z niego wrócił – przypomniał sobie zasłyszana albo przeczytaną gdzieś sentencję, przy której mądrości Seneki Młodszego czy innego Sekstusa Empiryka wypadały blado.

– Cześć, Kostek – rzucił ktoś, kto go mijal.

– Cześć – odpowiedział, choć pojęcia nie miał komu i może trzeba było rzec „dzień dobry”.

Zwykle przecucia go nie okłamywały. Jeśli nie będzie na niego czekał jakiś smutny pan w wieśniackim garniturze z Marywilskiej, czyli oficer z wydziału kontroli wewnętrznej, albo szef, podinspektor Krzysztof Kontra, z rozkazem przeniesienia do Pierdziszewa Dolnego, powiat Głucholazy, a w najlepszym razie z powrotem do Olsztyna, to z pewnością będzie to deszcz spraw. Spraw zupełnie nowych i tych starych, na które padło nowe, osłepiające światło. Takie, że nie sposób nie dostrzec szczegółów.

– Mam! – usłyszał, ledwo przekroczył próg swojego pokoju.

Powiedziała to podkomisarz Kornelia Banaś, prymuska szkoły w Szczytnie (chyba, bo nie zaglądał jej jeszcze w papiery), najmłodsza w zespole. Lada chwila miała upłynąć doba, odkąd popełniła swój wielki życiowy błąd.

– Dzień dobry – przywitał się Kostek. – I oczywiście cieszę się, mimo że nie mam pojęcia, co takiego masz. Lepiej mieć niż nie mieć. Oczywiście nie dotyczy to ciężkich chorób. Właściwie jakichkolwiek...

Przerwał, bo gadanina była czza. To, co bawiło jego kolegów, niekoniecznie musiało się podobać tej młodej.

– To co masz? – zapytał wreszcie.

Kornelia wskazała na sportową torbę, która leżała na podłodze.

– Jeśli gospodyni wypowiedziała ci pokój i szukasz mety, to nie pomogę – rzekł Podbiał.

Dziewczyna tylko przewróciła oczami.

– Mam własne mieszkanie, jeśli już o tym mówimy – powiedziała.

– Gratuluję. Kto bogatemu zabroni?

– Spadek po babci.

– Złota kobieta.

Kostek otworzył szafkę, by wyjąć z niej swój ulubiony kubek z osiołkiem Kłapouchym z *Kubusia Puchatka*, w którym zazwyczaj pił kawę. Ale go nie było. Rozejrzał się po pokoju. Zwierzaka dostrzegł na biurku Kornelii. Nic nie powiedział.

– Co to jest w takim razie? – zapytał Kostek.

– To, po co mnie wysłałeś wczoraj po południu. Rzeczy Ludmiły Nowak. Właścicielka nawet się nie zdziwiła, kiedy znów mnie zobaczyła.

Kostek przypomniał sobie tamtą sytuację.

– Znalazła nowego lokatora? – zapytał.

– Nie pytałam, ale była sama. Chyba jakąś firmę prowadzi, bo miała w kuchni dwa laptopy i oba włączone, a do tego przez cały czas z kimś nawijała przez komórkę.

– Chyba raczej kiepsko sobie radzi z tą swoją firmą, skoro musi wynajmować pokój obcym ludziom, nie uważasz?

– Ja chyba bym nie potrafiła mieszkać z kimś obcym. – Kornelia skrzywiła się, a nawet zadrzała, jakby zobaczyła pająka albo mysz.

– A nie pluła się, gdy zabierałaś fanty? – zapytał jeszcze Kostek.

– Nic nie widziała. Zabawiłam tam tylko chwilę, bo ta torba stała spakowana. Dlaczego właściwie jej wtedy nie zabraliśmy?

Pytanie było trafne. I trudne. Ale taki już los młodej, żeby je zadawać, a starego, żeby odpowiadać. Nawet gdy się nie wie. Prawda była taka, że Kostek posłuchał dzielnicowego i za bardzo połakomił się na Łukasza Skórkę, chłopaka Ludmiły Nowak. Zawsze to żywy człowiek (póki co) i lepsza rozmowa niż wróżenie ze skarpetek czy zbieranie kurzu z półek.

– Spieszylismy się na spotkanie, pamiętasz? – zaśmiał się.

Podkomisarz Banaś miała swój udział w zatrzymaniu podejrzanego. Ale dobrze, że nie musiała do końca oglądać jego przesłuchania, jednocześnie wysłuchując utyskiwania mecenasa Borowca na temat metod pracy warszawskiej policji. Grozić, nie groził, znał bowiem goguś życie i sprawdzalność starego powiedzenia o kozie i wozie. Ale był skuteczny i honorarium, które zapłacili mu rodzice Łukasza Skórki, to nie były pieniądze wyrzucone w błoto.

– Ale trop zły – przyznał Kostek.

– Dlaczego?

– Kolega Skórka ma alibi i to nie byle jakie. Zwąchał się z kimś, kto z kolei zwał się z osobą, u której testy na obecność popularnego wirusa wyszły pozytywnie. Z tego powodu siedział przez dwa tygodnie w domu, na kwarantannie. Tego dnia, gdy mieliśmy wątpliwą przyjemność poznać go w centrum handlowym przy Górczewskiej, wyszedł pierwszy raz na słońeczko i miał z tego powodu świętować z kolegami spod trzepaka.

– I dzielnicowy o tym nie wiedział? – Kornelia prychnęła z pogardą.

– Jak widać, nie. Może też dopiero co wrócił ze wsi, jak ja? Skórka był jednak kilkakrotnie sprawdzany przez odpowiednie służby, a jego prawnik miał na to papiery. Jest więc czysty, a czy na pogrzeb byłej dziewczyny przyjdzie, tego nie wiem.

– A będzie w ogóle jakiś pogrzeb? To znaczy mam na myśli, czy można pochować tylko fragment ciała?

– Jeśli ktoś bawił się nieostrożnie z fajerwerkami w czasie sylwestra, to nie ma innego wyjścia. Ale w tym przypadku podejrzewam, że nie będzie pośpiechu. Wielu ludzi, którym się ostatnio zmarło i niekoniecznie akurat na tę jedną chorobę, wciąż nie trafiło na cmentarz.

– Jerzy Kosiński wciąż ponoć stoi na półce, w szafie żony. Ten pisarz.

– Wiem, kto to jest Kosiński.

– Przepraszam...

Podbiałowi zaschło w gardle, a do tego poczuł senność. Czas najwyższy na kawę. Problem w tym, że nie wyobrażał sobie, by pić ją nie ze swojego ulubionego kubka. Wiedział, że mają tak stare przyki, ale na szczęście była to jedna z niewielu tego typu słabości w jego życiu.

– Nie widziałaś mojego kubka? – Kostek udał głupiego.

– A jaki to?

– Taki z Kłapouchym. To bardzo smutny osiołek – dodał na wypadek, gdyby Kornelia nie знаła tej bajki.

– Oj, a ja się z niego napiłam. Nie wiedziałam, że to twój ulubiony. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Pójdę umyć.

– Nie trzeba.

Ale już jej nie było. Kostek został sam w pokoju. Spojrzał na torbę nieszczęsnej Ludmiły. Kusił, aby ją otworzyć. Podniósł ją z podłogi, położył na wspólnym stole i przesunął zamek błyskawiczny. Pociągnął kilka razy nosem, jakby spodziewał się, że w środku znajduje się kolejna część ciała zaginionej. Ręka akurat by się zmieściła, a może nawet dwie. To wcale nie było takie niedorzeczne. Szczelnie zamknięta torba zatrzymałaby smród rozkładu. Bywały przypadki, że elementy rozczłonkowanego ciała znajdowano nawet w promieniu kilkuset kilometrów. Wymagało to sporo zachodu od sprawcy albo sprawców, ale cel był jeden – skutecznie zatrzeć ślady.

Zasunął z powrotem zamek.

– Jestem – zameldowała Kornelia, zamykając za sobą drzwi pokoju.

Kubeczek był nie tylko pięknie umyty, ale też wyszorowany z osadu. Kostkowi zrobiło się nawet trochę głupio z tego powodu. Dobrze, że ta mała nie widziała naczyń, które ma w domu. Jego gospodarstwu przydałaby się kobieca ręka. Oczywiście nie wyobrażał sobie, żeby jego nowa partnerka wykonywała ten sam zawód. To wykluczone!

Zaczął w milczeniu przygotowywać kawę. W pracy był zmuszony pić rozpuszczalną, ale dobre i to. Zerkał też w stronę torby, którą przyniosła dziewczyna.

– Co jest w środku? – zapytał. – Zaglądałaś?

– Wolałam z tym poczekać. Nawet gdy mam zajrzeć komuś do szuflady biurka, na przykład w poszukiwaniu czegoś do pisania, zawsze wolę to zrobić w czyjejś obecności. Komisyjnie.

Ale kubka z kłapouchym jakoś nie miałaś oporu capnąć – zauważył w myślach Kostek.

– Teraz już możesz spokojnie sprawdzić. Podobno najlepiej robi się to z samego rana! – powiedział.

– To także wiesz od kolegów, którzy siedzieli przy moim biurku?

Kostek udał, że nie dosłyszał.

– Chyba że masz cykora. – Spojrzał na nią znacząco. – Jeśli nic nie chlupotało, jak ją targalaś z Ulrychowa, to raczej nie ma się czego obawiać.

– Nie strasz mnie.

Zanim Kornelia przystąpiła do rzeczy, włożyła rękawiczki używane podczas oględzin. Po chwili rozległ się zgrzyt odsuwanego zamka, chyba trochę głośniejszy niż przed chwilą, gdy robił to Kostek. A może tylko mu się wydawało. Po chwili zaczęli opróżniać torbę. Po kolei, rzecz po rzeczy, choć pewnie łatwiej byłoby wysypać wszystko na biurko albo podłogę.

Przeważały ubrania, drobne elementy garderoby, takie jak bielizna. Z każdą chwilą Kostek czuł się coraz bardziej zażenowany. Przy czerwonych stringach tylko westchnął.

– Chyba coś mam – powiedziała Kornelia.

Trzymała w palcach prostokątne etui z czarnej skóry. Na szczęście trzymała w taki sposób, że nie można się było przyczepić. Kostek sięgnął do szuflady po pęsetę z umieszczoną między ramionami latarką i zbliżył się do dziewczyny. Z wprawą złapał za wystający ze skórzanych okładek biały trójkącik i pociągnął. Następnie przeniósł znalezisko na biurko.

Był to bilet na samolot.

– Wylot był dwa dni temu, z Okęcia – stwierdziła Kornelia. – Wygląda na to, że Ludmiła Nowak próbowała wyjechać z naszego kraju, ale nie zdążyła.

– Tylko że tutaj jest napisane co innego. – Kostek przesunął szczypczykami nieco niżej i stuknął w litery wydruku.

– Ludmiła Szewczenko – przeczytała policjantka.

Po chwili jej ręka znów zanurkowała w sportowej torbie, jakby należała do celniczki, takiej z długim stażem i żelaznymi zasadami. I znów z sukcesem.

– Paszport – sapnął Kostek.

Na pierwszej stronie dokumentu nieruchomo spoglądała przed siebie młoda kobieta. Była to ta sama, której zdjęcie znaleziono w wynajmowanym pokoiku przy Olbrachta. Na tamtym towarzyszył jej chłopak, Łukasz Skórka, ale mimo to była tak samo poważna. Może się wtedy pokłócili? A może ona już wiedziała, że wiążąc się z człowiekiem stojącym obok, popełniła błąd?

No i wreszcie Ludmiła Nowak czy Ludmiła Szewczenko? Odpowiedź znajdowała się na połyskującej niebieskiej okładce paszportu. Dumnie złocił się na niej złoty tryzub.

24

Poranne odprawy w gabinecie podinspektora Kontry nie odbywały się codziennie. Krzysiek lubił to robić zazwyczaj w poniedziałki, aby nakreślić z grubsza plan działania na cały tydzień. Jeśli w ogóle coś takiego było możliwe. Podwładni śmiali się po kątach, że robi to po to, by pochwalić się ogoloną w niedzielę, lśniącą głacą. Łysiał, biedaczysko, a to, co mu zostało nad uszami i z tyłu głowy, w dodatku siwiało. U bruneta nie wyglądało to najlepiej.

– Kostek, wolałbyś nie mieć obu nóg czy obu rąk? – zapytał Podbiąła jeden z kolegów, kiedy zmierzali do gabinetu szefa.

Nie od razu załapał, o co chodzi tamtemu. Kofeina jeszcze nie zaczęła działać, a może myśli krążyły jeszcze wokół tego, co znaleźli z Kornelią w torbie denatki...

– Skąd to pytanie? – zdziwił się oficer, ale mimo to zaczął się zastanawiać. – Chyba jednak nóg – odpowiedział po chwili.

– Dlaczego? – naciskał tamten.

– Nie wiem. To była pierwsza myśl. Po prostu chyba wolałbym pojechać do kibla na wózku i musieć się na niego wdrapać niż nie móc się samemu podetrzeć.

– Wiesz, że to niegłupie, co mówisz?! – Tamten zrobił mądrą minę. – A pytam, bo ty, zdaje się, robisz od niedawna w ortopedii?

– Robię. A co?

– Chłopaki z Żytniej coś znaleźli dzisiaj rano.

– Dzięki. – Kostek poklepał tamtego po ramieniu, a następnie dał się wyprzedzić.

– Co jest? – chciała wiedzieć Kornelia, która musiała jeszcze iść „na stronę”, a teraz zrównała się z nim w marszu.

– Nic. Po odprawie znów chyba pojedziemy na wyprzedzaże.

Kontra nie mógł nie zacząć spotkania od tego, co działo się za oknami Pałacu Mostowskich.

– Pamiętajcie, że jesteście tutaj po to, aby łapać przestępców, morderców i innych zwyroli, a nie uczestniczyć w politycznych sporach. Chłopcy w furazerkach muszą się jeszcze wiele nauczyć, nabrać oglądy i może lepiej poznać miasto. Ale to nie nasza brocha, jasne? Zostanie zamordowany gej, macie znaleźć zabójców geja. Ukatrupią księdza na plebanii, szukacie tych, którzy to zrobili...

– Najlepiej dwa w jednym – rzekł Podbiał niegłęboko.

Mimo to większość się zaśmiała.

– Coś mówiłeś Kostek? – Podinspektor zmarszczył czarną brew.

– Wyrażałem jedynie troskę o nasze niedobory kadrowe – odrzekł zapytany z kamienną twarzą.

– A jeśli już jesteśmy przy tym, jak ci się pracuje z panią Banaś?

– Najlepiej będzie zapytać panią Banaś.

Wszystkie spojrzenia skupiły się na dziewczynie, która w ciągu sekundy spiekała raka. Szybko jednak udało jej się z tego otrząsnąć.

– Znakomicie – odpowiedziała z uśmiechem i to takim, jakiego Kostek jeszcze u niej nie widział.

– Dowiedzieliście się czegoś o tej dziewczynie znad Wisły? – szef przeszedł do meritum.

– To Ludmiła Szewczenko, lat dwadzieścia dwa, obywatelka Ukrainy – referowała Kornelia. – Zatrudniając się, podała inne nazwisko, Nowak. Musimy jeszcze sprawdzić, jak to było możliwe, bo chyba ktoś popełnił tutaj poważny błąd. Jeśli nie wykroczenie.

– Może nie chciała się przyznawać, że przyjechała stamtąd? – wtrącił ktoś.

– Na osiedlu mam sklepik, gdzie cała załoga jest stamtąd, z okolic Żytomierza – przyszedł mu w sukurs inny. – Czasami nawet puszczają głośno swoją muzykę. Są w porządku, ale kilka razy rzeczywiście słyszałem rzucane w ich kierunku obelgi, wyzywanie od banderowców i takie tam...

– Może komuś nie pasuje ta muza? – spekulował trzeci.

Kornelia poczekała, aż się uciszy, a potem opowiedziała o chłopaku zmarłej, znalezionych dokumentach i niewykorzystanym bilecie na samolot.

– To rzeczywiście ciekawe... – Kontra coś zanotował.

Dalej było o innych, starych i nowych postępowaniach i śledztwach, ale Podbiał średnio słuchał. Od czasu do czasu rzucał ukradkowe spojrzenia w stronę nowej partnerki. A kiedy skończyli i wrócili do pokoju, sięgnął po kluczyki służbowego samochodu i rzucił do niej:

– Na Żytnią, kierowniczo.

Pięć minut później mknęli aleją Solidarności na zachód. Kiedy mijali budynki sądów na Lesznie, Kostek odwrócił wzrok. Mimo że bywał tu często służbowo, zawsze kojarzyły mu się ze sprawą rozwodową, którą wytoczyła mu Rawska. Czuł się wtedy dokładnie tak jak ci, których tam doprowadzał, często z bransoletkami na rękach.

Tak, niech teraz, kurwa, przeprasza – pomyślał, przypomniał sobie, co powiedziała mu przedwcześniej na Zbawiksie, po wypiciu kilku głębszych.

Kornelia dobrze radziła sobie za kółkiem, więc szybko dotarli do komendy na Żytniej, czyli „czwórki”. Kostek nawet nie zwolnił, mijając okienko dyżurnego. Od razu skierował kroki na piętro i bez błędzenia znalazł właściwe drzwi.

– Cześć pracy – rzucił od progu, szybko jednak się cofnął, by puścić przodem Kornelię; pewne zachowania wciąż trzeba było korygować.

– O, gdybym wiedział, że będziesz z panią, zawiązałbym krawat. – Grubasek o pocziwej twarzy dźwignął się zza biurka.

– Podobno macie znaleźisko, które pasuje do naszej układanki – Kostek szybko przystąpił do rzeczy.

– A nawet pamiętkowe fotki! Nasz paparazzo nie może ostatnio dorabiać na pierwszych komuniach, to zaczął się przykładać.

W pokoiku o rozmiarach podobnych do tego, w którym pracowali Podbiał i Kornelia, ale z o wiele mniej ciekawym widokiem, bo na cmentarz, siedziało czterech funkcjonariuszy. I spojrzenia wszystkich czterech spotkały się w jednym miejscu.

– Proszę, niech pani usiądzie – jeden z nich, szczupły blondyn, szarmanckim gestem wskazał kobiecie krzesło.

Podziękowała i skorzystała z zaproszenia. Policjant nie skończył jednak nadskakiwać.

– Czego się pani napije? – zapytał. – Z gorących napojów, jeśli miałyby pani ochotę, możemy zaferować kawę i herbatę.

– Może być woda.

Kostek przewrócił oczami i pochylił się nad blatem stołu, na który grubasek wysypał zdjęcia. Na samym wierzchu leżała obnażona, oddzielona od reszty ciała noga.

– Znalaziono go wczesnym rankiem w altance śmietnikowej – powiedział miejscowy.

– Go? – w głosie Kostka zabrzmiała nutka rozczarowania.

Zbliżył fotografię do oczu i skrzywił się. No tak, obleśny, zarosnięty koślony, jak lubił mawiać jego ojciec, który pochodził z Kujaw. Przypomniawszy sobie niedawną wątpliwość Tomasza Horna, czy tak bez pudła i po jednym spojrzeniu można odróżnić kończyny faceta od babki. Wciąż nie oddał mu pożyczonego aparatu fotograficznego. Trzeba to będzie jakoś załatwić.

– A tak! Mogę ci nawet powiedzieć, jak się nazywa, i podać numery paragrafów, które ma na koncie – zaśmiał się tęgi funkcjonariusz i dodał: – U nas to będzie kolejna zamknięta teczka i nieco większy spokój na dzielni. A u ciebie?

Kostek wzdygnął się, bynajmniej jednak nie na widok okropności, które przeglądał. Spodziewał się kolejnej kobiety, a raczej jej pozostawionych, obciętych nóg. Tymczasem na śmietniku na Woli leżały zwłoki mężczyzny – w dodatku, jak się właśnie okazało, notowanego – któremu odjęto tylko jedną nogę. Czy w taki sam sposób? To już była kwestia dokładniejszych analiz i rozmowy z patologiem, który będzie się tym zajmował.

– Jeszcze nie wiem – mruknął Podbiał, pocierając czoło otwartą dłonią.

Tymczasem nad Kornelią, która siedziała na krzeselku i popijała z literatki wodę z bąbelkami, utworzył się wianuszek panów. Gawędzili miło, mimo że o tematach

trudnych, dotyczyły wszak ostatnich wydarzeń w kraju i na świecie. I może dalej by tak gadali, gdyby nie jedno zdanie, które wypowiedział ów szczupły blondyn:

– Mam nadzieję, że prace na planie serialu wkrótce ruszą.

Kornelia uniosła brwi, spojrzała na niego, by zaraz przenieść wzrok na jego kolegę, a potem jeszcze na następnego. Ale wszyscy mieli podobne miny.

– Tak. Ruszają lada chwila – odpowiedział za nią Kostek. – Właściwie to już powinniśmy być w hali zdjęciowej we Włochach... Nie! Co ja mówię! Przecież teraz kręcicie na Wale Miedzeszyńskim. Kawał drogi. Prawda, skarbie? – Podał jej rękę, by pomóc wstać.

Kornelia odstawiła szklaneczkę na brzeg najbliższego biurka. Minę miała taką, jakby wypięła z niej nie wodę, a ocet.

– To rzeczywiście kawał drogi – zauważył któryś.

– Będziemy oglądać – zapewnił inny.

– Dzięki za pomoc. – Podbiął skiniął głową grubaskowi, po czym otworzył drzwi i przepuścił przodem partnerkę.

– Jaki plan zdjęciowy. Jaka hala?! – Banaś odzyskała głos dopiero na schodach.

Kostek zachichotał.

– Nie domyślasz się? Oni wzięli cię nie za policjantkę, ale za moją dziewczynę. A że poprzednia grała w serialach...

– W takim razie chyba zacznę nosić kaburę z „klamką”.

– Obawiam się, że to niewiele by pomogło. Wtedy pomyśleliby, że zapomniałaś zdjęć, schodząc z planu. Albo że tak bardzo wchodzisz w rolę, że nie rozstajesz się z rekwizytem nawet po godzinach. To się nawet jakoś fachowo nazywa. A poza tym taka kabura przy zgrabnym tyłeczku, koniecznie w obcisłych dżinsach, prezentuje się naprawdę wyjątkowo.

– Odrażające! – fuknęła Kornelia i szybkim krokiem skierowała się ku wyjściu.

25

Nie dawała się udobruchać. Nieporozumienie, z którego większość ludzi z pewnością by się śmiała, wzięła mocno do siebie. I to do tego stopnia, że nie chciała nawet prowadzić samochodu w drodze powrotnej do Pałacu Mostowskich. Mało tego! Zamiast zająć miejsce na fotelu pasażera, obok Kostka, usiadła na tylnej kanapie.

– Dokąd hrabina życzy? – Podbiął i ten drobny fakt próbował wykorzystać, aby rozładować sytuację, i dałby wiele, aby dziewczyna złapała konwencję i odpowiedziała, niechby i z całkowicie poważną, a nawet obrażoną miną: „A dokąd Konstany uważa”.

Aby pokazać, że się odcina całkowicie i nie ma ochoty na rozmowę, zaczęła grzebać w torebce. To akurat nie była żadna nowość i Kostek zdążył się już do tego przyzwyczaić. Wciąż usiłował sobie wyobrazić chwilę, gdy Banaś w momencie zagrożenia sięga po broń. Teraz nie było zagrożenia, tylko obrażenie. Dobry moment, by wyciągnąć telefon i na przykład przejrzeć portale społecznościowe. Kiedy jednak dojeżdżali do Kercelaka, by zaraz skrócić w lewo, we wstecznym lusterku policjant ujrzał, że jego partnerka wyciąga nie telefon, ale książkę. Nie udało mu się odczytać

tytułu ani autora. Kornelia otworzyła ją, wyjęła i przelożyła zakładkę. Zaczęła czytać, ale szybko ich spojrzania spotkały się w lusterku.

– Że co? – fuknęła.

– A nic. – Wzruszył ramionami.

– Ty nie czytasz?

– Czytam i to całkiem sporo.

Przez chwilę milczeli. Kornelia trzymała książkę w rękach, ale był pewien, że w tym momencie nie czyta. Postanowił podjąć jeszcze jedną próbę, by poprawić jej humor.

– Pewnie pamiętasz te stare dowcipy o milicjantach...

– Nie pamiętam nawet milicjantów.

Plan spalił na panewce. Kostek westchnął i zapytał:

– Co masz? Pewnie kryminał o szlachetnym komisarzy, który nie tylko łapie złoczyńców, ale jest też wyjątkowym erudytą. Do tego jest świetnym kucharzem i kochającym ojcem.

– Całkiem niezłe połączenie. A co?

– A to, że nigdy nie lubiłem, kiedy autor powieści, szczególnie kryminalnej, nadaje swojemu bohaterowi zbyt dużo własnych cech. Najbardziej wkurwiają mnie poloniści w mundurze. Jeden z drugim gotów jest drutować ludzi za błędy językowe. Kiedyś słyszałem zdanie, że policjant powinien mieć o jeden zwój mózgowy więcej od przestępcy. Żeby go dopaść.

– A policjantka? – weszła mu w słowo Kornelia. – Po co jej ten zwój?

Kostek nie odpowiedział. Udał, że jest bez reszty skupiony na jeździe. Samochód rozpędzał się w alei Solidarności, na „mocno pomarańczowym” przeciął skrzyżowanie z Żelazną.

– A ja wiem – powiedziała po chwili. – Skoro nie jest jej potrzebny do tego, by łapać przestępców, to może przynajmniej, kiedy zmywa podłogę, nie napije się z tego samego wiadra.

Kostek wydał z siebie dźwięk, coś w rodzaju zabarwionego śmiechem mruknięcia, jakim zawsze reagował na gruby dowcip. A dziewczyna się uśmiechnęła. Czyżby mieli to z głowy?

– Noo, to już pojechałaś! – dorzucił na koniec.

– Ale dobre, co?

– Mocne. Jestem pewien, że gdybym to powtórzył w towarzystwie, marny byłby mój los.

Dojechali do komendy. Wypad na Żytnią, choć hasło samo w sobie brzmiało bardzo obiecująco, okazał się nieudany, bowiem nic nie wniósł do prowadzonej przez nich sprawy. Nie było jeszcze raportu z sekcji zwłok zaszlachtowanego w nocy bandziorka z Woli, więc ciężko było powiedzieć, czy zrobiła to ta sama osoba. Zresztą nie wiadomo, czy w ogóle będzie można to ustalić. Co innego, gdyby znaleźli drugą dziewczynę, jakkolwiek to brzmi. Najlepiej niekompletną.

– Skoczę po coś słodkiego – oświadczyła Kornelia, gdy tylko opuścili auto. – Chcesz?

– Nie, dziękuję.

Podbiał sam wdrapał się na piętro. Usiadł przy biurku i swoim zwyczajem zapatrzył się w zieloność ogrodu. Czuł się nieco lepiej niż rano, a nawet powoli zaczynał już

głodnieć, co było dobrym objawem.

W pewnej chwili usłyszał charakterystyczny dźwięk. Wyciągnął telefon i odblokował ekran.

– „Para przeszła ci koło nosa. Kup wersję Super-Gold i zobacz, kto cię polubił” – przeczytał na głos.

Coraz rzadziej tam zaglądał, a poza tym nie wierzył, żeby było tak, jak pisali. Chodziło o to, by kupić płatną wersję randkowej aplikacji. Spojrzał znów na drugą stronę ulicy, by po chwili przenieść wzrok powrotem na telefon. Zmarszczył brwi i zaraz uniósł je wysoko.

– Że też dopiero teraz... – Chwycił komórkę tak chciwie, jakby właśnie dzwonił ktoś od dawna wyczekiwany.

Gdy Kornelia weszła do pokoju, nawet na nią nie spojrzął. Palec wskazujący prawej ręki chodził mu to na lewo, to na prawo. Była to powszechnie znana i często widywana czynność.

– Żadna nie jest warta grzechu? – zapytała dziewczyna po tym, jak palec Kostka wykonał kilka ruchów w lewo z rzędu.

– Żadna nie jest Ludmiłą Szewczenko.

Kornelia najciszej, jak tylko mogła, zamknęła za sobą drzwi.

– Dopiero teraz sobie o tym przypomniałem. Powodem jej rozstania z Łukaszem Skórką było przecież to, że znalazł ją na randkowej aplikacji. Jeśli oczywiście nie ściemniał.

– Nie wiedziałam, że masz taką aplikację.

– A ty nie masz?

Nie odpowiedziała. Stała nad nim i zaczęła przyglądać się kolejnym fotografiom kobiet. Mimo że przewijanie miało jasno określony cel, nie obyło się bez komentarzy i większych czy mniejszych złośliwostek.

– A to kurwa, jak dwa raz dwa cztery! – rzuciła Kornelia, widząc fotografię skąpo ubranej kobiety prezentującej się w wyuzdanej pozie. Kolejne zdjęcia nie były wcale inne.

– Czemu akurat kurwa? – obruszył się Kostek. – Może po prostu zdaje sobie sprawę z konkurencji, jaka tutaj jest, i próbuje ściągnąć zainteresowanie mężczyzn. Spójrz, kobita ma prawie czterdzieści lat!

– No to jestem bardzo ciekawa, czy wzbudziła zainteresowanie w tobie.

W odpowiedzi palec Kostka przesunął zdjęcie w lewo, co oznaczało odrzucenie kandydatki.

– Tak myślałam – podsumowała z satysfakcją panna Banaś, prostując się. – Właściwie to jakie masz ustawione kryteria wyszukiwania? Chodzi mi o przedział wiekowy.

– Od trzydzieści do czterdzieści pięć – odparł Podbiał zgodnie z prawdą, bo z jednej strony nie zamierzał nikomu ojcować, z drugiej zaś czas dla wielu pań w jego wieku nie był łaskawy.

– No to tak możesz szukać sobie do końca życia, bo Ludmiła ma dwadzieścia dwa lata. To znaczy miała.

Bez słowa wszedł w ustawienia profilu i przesunął dolną granicę. Zdawał sobie sprawę, że to robota na długie godziny. Poza tym zmarła mogła zdążyć skasować swój profil. Nie miał jednak na razie innego pomysłu, aby pchnąć śledztwo do przodu. To znaczy miał, ale to oznaczałoby ślęczenie w poszukiwaniu podobnych spraw. Robota oczywiście dla młodej. Ale póki co jeszcze jakoś nie miał jej dosyć.

– A jak twoje doświadczenia w tej materii? – zapytał obojętnym głosem.

– Pytasz, czy ja też tutaj jestem? – Kornelia ujęła się pod boki, co nie wróżyło wcale dobrze, szczególnie po tej historii na Żytniej. – Owszem, jestem. Koleżanka mnie namówiła jakiś czas temu i pomogła założyć konto.

– I jak? – drążył. – Jesteś zadowolona z łowów?

Zamiast odpowiedzieć, wyciągnęła rękę. Oddała jej telefon i teraz to ona zaczęła szukać.

– Nie chcę o tym mówić – powiedziała po chwili.

– Nie ma sprawy.

– Wiem tylko tyle, że chyba przyciągam samych napalonych. Gołe klaty, tatuaże, zdjęcia w sportowych brykach.

– Ja też najczęściej spotykam sportsmenki. I jeszcze podróżniczki. Wszystkie śmigają albo na desce, albo na nartach czy szybkich motocyklach. Bardzo często można też znaleźć miłośniczki skoków ze spadochronem. Profil jest nieważny, gdy nie ma w nim fotki z egzotycznych wakacji. Ale są też takie, które naprawdę pojawiły się po to, aby skończyć z samotnością i wreszcie znaleźć męża. Od samego czytania opisu serce się kraje.

– Ja nie szukam męża – zastrzegła Kornelia.

– „Nie szukam męża. Jednego już miałam”. To też jedno z najczęstszych haseł – przypomniał sobie Kostek.

Banaś się jednak nie zaśmiała. Wydawała się bez reszty skupiona na poszukiwaniach.

– Możesz mi pokazać jej paszport? – zapytała w pewnej chwili.

Kostek wyciągnął dokument z szuflady biurka, otworzył na stronie ze zdjęciem i podetknął partnerce pod nos. Kornelia przez chwilę przeskakiwała wzrokiem z paszportu na telefon i w drugą stronę. W końcu i Podbiał nie wytrzymał i spojrzał jej przez ramię, tak jak ona przed paroma chwilami jemu. Zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie – odpowiedzieli jednocześnie.

Kusiło go, aby jeszcze ją trochę powypytywać. Był ciekaw, jakie to ziółko mu podesłali i czy cicha woda brzegi rwie. Zdawał sobie jednak sprawę, że Kornelia odmówi składania zeznań.

– Tak naprawdę rzadko tam wchodzę – powiedziała w pewnej chwili. – Z jednym facetem pisałam przez kilka miesięcy i byłabym nawet skłonna się z nim umówić. Ale w pewnej chwili przestał się odzywać. Na drugim końcu szali stoi inny gość, z którym znajomość trwała zaledwie kilka sekund. Właściwie tyle, ile zajęło mi przeczytanie jednego słowa, które mi przesłał. Składało się tylko z czterech liter.

– Cóż to mogło być? – Kostek teatralnym gestem podrapał się po głowie. – Pewnie „seks”!

– Prawie trafiłeś. „Anal”. Ze znakiem zapytania na końcu.

Roześmiali się. Kostek odetchnął z ulgą, choć pewnie i to potrafiłby jakoś skomentować.

– A tak z ciekawości – podjęła Kornelia – polubiłeś kiedyś dziewczynę ze Wschodu? Wierę, Nataszę albo może inną Liubow?

– Nigdy – przyznał szczerze Kostek. – Od razu gdy widziałem takie imię zapisane cyrylicą, przesuwałem w lewo. Podobnie było z nazwami miast.

– Pewnie myślałeś, że to dziwki. W najlepszym wypadku poszukiwaczki polskiego męża.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo Kornelia podała mu telefon. Z ekranu spoglądała jak żywa Ludmiła Szewczenko. Ludmiła 22. Nie było cyrylicy ani nazwy wschodniego miasta. Była za to informacja, że użytkowniczka oddalona jest o 5 kilometrów.

26

Aż dwie bile z charakterystycznym krótkim rumorem wpadły do luz.

– Ktoś tu jest dzisiaj w formie! – Jeden z uczestników gry, osobnik z pryszczami i trzema białymi paskami na spodniach, gwizdnął z uznaniem.

– A jak – rzekł na to Łukasz Skórka, prostując się nad stołem.

– Może powinieneś częściej dawać się aresztować – skomentował ktoś inny, pocierając kredą czubek bilardowego kija.

Grali już trzecią godzinę na ostatnim piętrze centrum handlowego przy Górczewskiej, tym samym nadrabiając zaległości z dnia, kiedy to mieli świętować powrót Łukasza z dwutygodniowej kwarantanny. Wtedy prawie się udało, bo przecież psy capnęły go zaledwie kilkanaście metrów od stołu i kolegów. O tym, co działo się później, w Pałacu Mostowskich, Skórka opowiadał z błyskiem w oku. Cytował słowa gliniarza, który go przesłuchiwał, a także swoje cięte riposty. Nie bał się ani przez chwilę, a gdy tylko w pokoju przesłuchań pojawił się adwokat, wiedział już, że jego, Łukasza Skórki, będzie na wierzchu.

– Muszę starym powiedzieć, żeby się skontaktowali z tym adwokatem – powiedział pryszczaty. – Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś taki będzie potrzebny. Idziesz sobie spokojnie ulicą i nagle pakują cię do radiowozu. Powiesz coś głośniej, to od razu znieważenie funkcjonariusza.

– Borowiec tani nie jest, ale warto zainwestować – rzekł Skórka, po czym pochylił się nad stołem i przymrużył oko, by dokładniej przyjrzeć się układowi kolorowych bil.

Kolejne uderzenie i znów sukces.

– Kto teraz idzie po frytki? – Potoczył wzrokiem po pozostałych, by za chwilę samemu sobie odpowiedzieć: – Dobra, niech będzie, że ja. W końcu jest co świętować.

Odłożył kij, podciągnął portki i ruszył w kierunku restauracji. Na szczęście przed tą, w której planował kupić przekąskę dla siebie i kolegów, nie było w tym momencie nikogo. Za kasą stała dziewczyna w czapeczce i z przyklejonym uśmiechem. Za jej plecami uwijała się reszta załogi. Często słyszał zdanie, że choćby się nie wiadomo jak bardzo uczył, to i tak skończy w takim albo podobnym miejscu. Wolał więc nie ryzykować i po maturze nie poszedł na studia.

– Dzień dobry. Czy mogę przyjąć zamówienie? – wyrecytowała dziewczyna.
– Trzy razy duże frytki – zażądał Łukasz.
– Czy coś jeszcze? – drążyła barmanka wciąż z tym samym uśmiechem, błędząc palcami po ekranie dotykowym przed sobą.
– Nie. To wszystko.

Zapłacił, odebrał resztę, paragon i numer zamówienia, po czym wycofał się tam, gdzie zwykle się oczekiwać na jego odbiór. Informował o tym monitor, na który chłopak spoglądał co jakiś czas.

W pewnej chwili poczuł obok siebie czyjąś bliską obecność. Zbyt bliską. Najpierw pomyślał, że to któryś z kolegów przyszedł mu pomóc. Kiedy jednak spojrział w bok, ujrzał profil nieznanego człowieka. A po chwili już nie profil, ale cały uśmiech. Coś było dziwnego w tym uśmiechu. Czegoś za dużo.

Zbok jakiś – ocenił chłopak. Brzydził się dewiantów, choć nigdy wcześniej nie był nagabywany. Odsunął się o pół metra, ale wtedy otarł się o ramię innego faceta. Ten również posłał mu dziwny uśmiech.

– Czego? – fuknął Łukasz.

To, że niedawno kilka godzin spędził pod kluczem, wiele w nim zmieniło. Okrzeplł nieco, a skóra mu stwardniała. Był pewien, że byle lach z osiedla mu teraz nie podskoczy. Dwóch też, bo wystarczy, że zawoła chłopaków, a wtedy proporcje zmieniają się w jednej chwili.

– Jak było na dołku? – zapytał ten po prawej, z dziwnym uśmiechem.

– Krótko – odpalił chojrak.

– Tylko pogratulować – dobiegło z przeciwnej strony.

Szybko się wieści roznoszą, nie ma co – przeszło przez głowę Łukaszowi. A potem pomyślał, że to może znów policja. Przesłali innych, żeby zemścili się za akcję adwokata. Tacy jak oni nigdy nie odpuszczają.

– Nam bardziej chodzi o to, czy byłeś gadatliwy, Skórka, czy raczej dyskretny – powiedział po chwili ten pierwszy.

Dłoń chłopaka, która trzymała karteczkę z numerem zamówienia, zaczęła wykonywać dziwne ruchy. W efekcie w ciągu paru chwil zamieniła się w kulkę. Twardą, w dodatku mokrą od potu. Cała pewność siebie, którą Skórka mógł się pochwalić jeszcze przed momentem, gdzieś się ulotniła.

– Kim jesteście? – zapytał.

– Znajomymi twojej lubej – wyjaśnił z kolei ten drugi.

– Ale ja nie mam dziewczyny! – zaprotestował.

Poklepało go wielkie łapsko. Na szczęście po ramieniu.

– Prawidłowa odpowiedź. Mam nadzieję, że to właśnie usłyszały psy.

– Jasne, że tak! – niemal krzyknął Skórka.

No to teraz już wiedział, że to nie gliny. Głos jednego z nich wydał mu się nawet podobny do tego, który przed kilkoma tygodniami usłyszał w słuchawce telefonu. Ten wschodni zaśpiew. Kazali mu się odpiardolić od Ludmiły, dla własnego dobra. Z początku myślał, że to kumple z osiedla robią sobie z niego żarty. Ale tak nie było. Coś im wtedy nabluzał, bo przecież nie wyobrażał sobie, żeby ktoś mógł żądać od niego czegoś takiego. Wkurwili go po prostu. Gorzej, że kwadrans później ten sam głos

ponowił żądanie, a potem podał dokładny adres zamieszkania Skórki, imiona rodziców, a na koniec zapytał, czy kocha swoją młodszą siostrę.

Następnego dnia zerwał z Ludmiłą. Zrobił to na Messengerze. Trochę głupio, bo przecież nic złego mu nie zrobiła ani on jej, ale w tej sytuacji nie widział innego wyjścia. Nie wiedział, jak dziewczyna na to zareagowała, bo od razu ją zablokował.

– Chyba twoje frytki stygną – z zamyślenia wyrwał go głos jednego z mężczyzn.

Łukasz bezradnie spojrział na kulkę w dłoni. Poczul pchnięcie w plecy. Na miękkich nogach, jakby zmierzał na stracenie, podszedł do kontuaru. Na pytanie faceta z obsługi restauracji o numer zamówienia odpowiedział tylko skinieniem głowy. Na szczęście to wystarczyło. Odebrał tacę z trzema kolorowymi pudełkami, z których wystawały kawałki ziemniaka. Sięgnął po saszetki z ketchupem i zgarnął całą garść. Jedna wyśliznęła mu się jednak z ręki i upadła na podłogę. Schylił się powoli, starając się nie wysypać frytek. Bał się odwrócić.

Chyba jednak wołały, żeby to psy były. Nawet najbardziej bezwzględne i wygłodniałe.

– Co z tobą?! – usłyszał naraz za plecami, a jedzenie zatańczyło mu w rękach.

To był kolega. Łukasz odetchnął.

– Nic. – Zmusił się do uśmiechu. – Idę przecież.

– Umieramy z głodu.

– To łap. – Wręczył mu tacę, jednocześnie dyskretnie wychynął zza jego ramienia. Wołały zdychać z głodu niż ze strachu.

Ale tamtych dwóch już nie było. Podążył w ślad za kolegą, ale nogi wciąż miał miękkie.

– Chłopaki mówią, że fart ci się skończył i następnej kolejki na pewno już nie wygrasz – rzucił tamten przez ramię.

– O ile się zakładamy? – Łukasz znów poczuł pewność siebie.

27

Radość ze znaleziska minęła równie szybko, jak się pojawiła. Owszem, Ludmiła Szewczenko była wciąż obecna na randkowej aplikacji. Ale co z tego, skoro nie można było sprawdzić, z kim system dobrał ją w parę? Wytypować kandydatów do randki, ale z policją.

Podbiał pomyślał sobie wtedy, że ma wśród znajomych na portalach społecznościowych kilka osób, które, niestety, odeszły już z tego świata. Nikt ich profilów nie zlikwidował, bo albo chciał, żeby w ten sposób ten ktoś w pewnym sensie żył nadal – co nawet nie było takie głupie – albo najzwyczajniej w świecie nie dysponował hasłem, żeby wszystko w cholerę skasować. Co ciekawe, gdy system przypominał o urodzinach zmarłego, na jego tablicy często nadal zdarzały się życzenia szczęścia, zdrowia, pomyślności, a przede wszystkim długich lat życia! Ktoś w przelocie napisał „Stówka!” albo „Najlepszego!” i nie wnikał.

– Na tym to polega. – Kornelia wzruszyła ramionami. – Dyskrekcja przede wszystkim.

– Kiedyś aplikacja informowała o wspólnych znajomych na portalach społecznościowych – przypomniał sobie Kostek. – Dzięki temu można było sprawdzić, jak bardzo ktoś podkoloryzował fotki albo tak je skadrował, by wyjść korzystniej niż w rzeczywistości. I w porę dać drapaką.

– Robiłeś tak?

– Zdarzyło się. Ale teraz już nawet tego nie ma i taka zabawa to randka w ciemno.

– Czyżby pan nadkomisarz doznał rozczarowania?

Zapanowała cisza. Za uchylonym oknem stary tramwaj z wizgiem rozpędzał się w stronę Muranowa, biły dzwony któregoś z kościołów Nowego Miasta.

– Nie ma co kombinować. Trzeba iść do fachowców – zaordynował Kostek.

– Od rozczarowań? – chciała wiedzieć Kornelia.

Uśmiechnął się. Coraz bardziej podobało mu się jej poczucie humoru. Po przedpołudniowej hecy na Żytnej nie było już śladu.

Po kilku chwilach oboje stali nad głową jednego z policyjnych informatyków. Starszy aspirant Zbyszek Dziuba wyglądał na studenta. Takiego z lat siedemdziesiątych, ale o tym przy Kornelii chyba lepiej było nie mówić.

– Ładna – ocenił, rzuciwszy okiem na profilowe zdjęcie Ludmiły, by zaraz wybawić „potrzebnickich” z kłopotu: – Nie żyje?

– Niestety – odpowiedział Kostek.

– Siadajcie. To chwilę potrwa. – Dziuba wskazał im wolne krzesła kolegów, którzy najprawdopodobniej byli w tej chwili na urloпах.

– To może przyjdziemy później? – krygował się Kostek.

– Aż tak długo mi to nie zajmie. Chyba...

– Poza tym ja jestem bardzo ciekawa, jak pan to będzie robił – powiedziała z uśmiechem dziewczyna. – Kolega znów zapomniał mnie przedstawić. Podkomisarz Kornelia Banaś.

Zbyszek również się uśmiechnął, najwyraźniej mile polechtany.

– No więc w największym skrócie – podjął z belferskim zacięciem – chodzi o to, żeby przebić się przez te wszystkie zabezpieczenia. Oczywiście nie mówimy tutaj o telefonie pana nadkomisarza. – Oddał smartfon, przekręcił się na krzesle i dotknął palcami klawiatury niczym wirtuoz fortepianu.

Podbił podszedł do okna, które wychodziło na ścisły Muranów. Było stąd widać nawet studio tatuażu, które przed dwoma dniami odwiedzili z Rudzkim w poszukiwaniu przysłowiowego końca sznurka, za który można by było złapać. Może trzeba będzie jednak wrócić do tamtego pomysłu? Nie za bardzo wierzył, że Dziuba znajdzie coś interesującego.

Zadzwoiła komórka, co przyjął jak wybawienie. Przeprósł i wyszedł z pokoju.

– Tak? – Przez chwilę słuchał, co ma do powiedzenia ktoś po drugiej stronie. – Co?!

Leszek Kłos usiadł za biurkiem, do którego wciąż jakoś nie potrafił się przyzwyczać. Był za młody na biurko. Dotąd udawało mu się pracować, robiąc notatki, jeżeli już musiał je robić, na byle jakim znalezionym naprędce twardym kawałku podłoża. Albo nawet na kolanie.

Otworzył gruby notes, wciąż zapisany zbyt rzadko, żeby trzeba było jęczeć z przepracowania czy sięgnąć po nielegalne wspomaganie, a jednocześnie zbyt gęsto, by narzekać na niskie obroty czy nudę. Przerzucił kartkę. Imieniny tego dnia obchodzili Kunegunda i Idzi. Osobiście nie znał nikogo, kto miałby tak debilne imię.

Stuknęły drzwi wejściowe. Po chwili w progu gabinetu stanął nowy, Tomasz Horn.

– Dobry wieczór, szefie – przywitał się.

– Cześć! Jeszcze ci się nie znudziło? – Kłos się zaśmiał, ale szybko spoważniał, bo taki tekst mógł zostać odebrany opatrnie.

– Jak widać nie.

– Co dobrego? Odespałeś nockę?

– Jasne.

Leszek westchnął ciężko i stuknął w kalendarz.

– Zapowiada się kiepska noc. Kiepskie imieniny, chujowe premiery filmowe, jeszcze gorsze rauty. Zupełna pustynia. Miejmy tylko nadzieję, że ktoś w tym mieście będzie miał na tyle dużo fantazji, żeby się po prostu spotkać i napierdolić z kolegami.

– I na tyle mało, żeby nie wracać do domu na podwójnym gazie – dokończył Horn.

Kłos opadł ciężko na oparcie swojego menadżerskiego fotela z czarnego półskórka. Ten mebelek, w przeciwieństwie do biurka, akurat szybko polubił.

– W tym rzecz – mruknął.

I chyba udało mu się przyciągnąć szczęście, bowiem chwilę później na biurku zaczęła tańczyć komórka.

– Dobry wieczór, firma SND, Leszek Kłos, w czym mogę pomóc? – wyrecytował.

Jego głos był kompetentny, a jednocześnie miły i zachęcający do rozmowy. Tomasz pomyślał, że ten ambitny chłopak, jego chlebodawca, musiał mieć na koncie przynajmniej kilka tygodni pracy w jakimś call center. Tam zresztą zaczynała większość ambitnych ludzi, którzy wybierali Warszawę na miejsce swoich zawodowych podbojów.

– Tak, oczywiście, proszę pani. Świadczymy również takie usługi – mówił Kłos wciąż tym samym, zachęcającym tonem i jednocześnie coś notował.

A Horn się przestraszył. Sformułowanie „takie usługi” skojarzyło mu się jakoś dziwnie i, co tu kryć, niezbyt przyzwoicie. Od razu wyobraził sobie jakieś stare spocone babsko, które zajmie prawie całą tylną kanapę, a potem... Nie, to przecież niedorzeczne! I obrzydliwe.

– W takim razie proszę o podanie adresu. Za chwilę wyślę samochód – powiedział wciąż z tym samym uśmiechem Kłos. – Dziękuję, do widzenia.

Horn starał się nie dawać po sobie poznać, że czegoś się obawia.

– Masz adres. Prosta sprawa. – Leszek podał mu zapisaną kulfonami karteczkę.

– Czyli?

Kłowski udało się do końca zachować kamienną twarz.

– Kobieta chce... śledzić niewiernego męża – parsknął śmiechem.

Tomasz przyłączył się, głównie przez grzeczność, a potem skomentował:

– Zaczyna się robić naprawdę ciekawie.

– A nie mówiłem! – Kłos zatarł z zadowoleniem dłoń.

Trzy minuty później Tomasz Horn siedział za kierownicą. Odzyskał spokój. Sprawdził jeszcze raz adres. Znał to miasto na tyle dobrze, że nie musiał używać nawigacji albo robił to naprawdę rzadko. W tym wypadku nie było to konieczne.

Dotarł do Kasprzaka, zawrócił, by po paru chwilach włączyć się do ruchu na alei Prymasa Tysiąclecia. Właśnie kończył się szczyt popołudniowych powrotów, więc w kierunku północnym gęstniało. Jazda była jednak płynna, nie trzeba było co chwila stawać, czego się trochę obawiał. Podejrzewany o niewierność mężczyzna miał wyjść z biura około siódmej wieczorem, biuro zaś mieściło się przy nowym przystanku kolejowym Warszawa Koło.

Powinienem zdążyć – pomyślał.

Wrócił myślami do tego, co mówił Kłos. I do elastyczności prowadzonej przez niego firmy, w myśl starej zasady, że nasz klient, nasz pan. Ciekawe, czy była jakaś granica, której by nie przekroczył. Poza tym co innego, jak robisz coś sam, a co innego, gdy masz od tego ludzi.

Oczy wybujałej wyobraźni Tomasza od razu ujrzały scenkę, na której bandyci w kominiarkach stoją w jakimś lesie przy samochodzie. Po chwili pojawia się pojazd firmy SND. Kierowca wysiada, wita się z tamtymi, po czym jeden z zamaskowanych prowadzi go do otwartego bagażnika. Po chwili wyciągają stamtąd owinięte w czarną folię i spętane sznurkiem coś, co do złudzenia przypomina ludzkie ciało. Wrzucają do bagażnika samochodu firmy, jakby to był zrolowany dywan, w dodatku stary. Zatrząskują klapę. Kierowca odjeżdża, a zakapiory machają mu serdecznie na pożegnanie.

Aż się wzdrygnął. Przecież on sam mógł być tym zawiniętym w folię ciałem!

Pięć minut pozostało do dziewiętnastej, gdy zatrzymał się przed nowoczesnym biurowcem. Nowoczesnym i ładnym, co wcale nie było takie oczywiste, nie tylko w Warszawie. Szczęśliwie udało mu się zaparkować w przed chwilą zwolnionej zatoczce. Nigdy tu nie był, a jedynie kilka razy przejeżdżał obok, jadąc na Bemowo i z powrotem. Na parkingu przed budynkiem stało jeszcze sporo samochodów, wszak dla niektórych godzina była jeszcze młoda, a trzeba się wykazać. Szczególnie teraz, gdy pojawiła się okazja do cięć i zmuszania tych, którzy ocaleli, do pracy ponad siły.

Kim był człowiek, którego miał śledzić? Zmuszanym czy zmuszającym, bossem czy szarym wyrobnikiem? – zastanawiał się przez chwilę.

Ponownie sięgnął po notatkę, którą sporządził szef. Prócz adresu znajdowała się tam również marka auta, za którym trzeba było pojeździć, jego kolor, no i oczywiście numery rejestracyjne. Nie były nie tylko warszawskie, ale nawet mazowieckie. „F” to

województwo lubuskie. Kawał drogi od stolicy, więc auta z takimi blachami rzadko się tutaj widywało. Prędej już w Berlinie.

– Jest!

Horn nie widział co prawda, kto siedzi za kierownicą, ale ważne, że reszta się zgadzała. Po raz pierwszy od chwili, gdy wyjechał spod biura firmy, poczuł znajomy dreszczyk emocji. Niezwłocznie uruchomił silnik, włączył kierunkowskaz i wyjechał z zatoczki.

29

Podbiał cicho zamknął za sobą drzwi szpitalnej sali, aby nie zbudzić byłej żony. Katarzyna Rawska dopiero co zasnęła, a on wreszcie uwolnił swoją prawą dłoń z jej uścisku. Dłoń aktorki była zimna, zupełnie jakby już było po wszystkim.

– O, jest pan – usłyszał męski głos.

Należał on do lekarza. Kostek nie oparł się ciekawości – spojrzął, czy tamten ma na nogach ulubione przez ludzi jego profesji białe drewniaki, które zawsze robią sporo hałasu. Miał, a mimo to zaskoczył gościa.

– Dobry wieczór – przywitał się policjant i zapytał: – Co z moją żoną?

Celowo nie użył przymiotnika „byłą”, bo wydało mu się to nieestosowne. I nie pasowało do scenografii ani okoliczności. Poza tym z jakiegoś powodu to właśnie do niego kazała zadzwonić, kiedy przed trzema godzinami znalazła się w Szpitalu Bielańskim.

– Poronienie spowodowało, że pacjentka straciła sporo krwi – odpowiedział medyk.

– Rozumiem.

Wiedział już, co się stało. Już zdążył to przetrawić. A przecież nawet nie miał pojęcia, że była w ciąży. Dlaczego mu nie powiedziała, skoro widzieli się kilka dni temu? Może bała się jego reakcji? Inna sprawa, czemu wypła wtedy tyle tego cholernego wińska? A może sama nie wiedziała, w jakim jest stanie? Pewne było, że gdyby on to wiedział, na pewno nie pozwoliłby jej pić!

– Przykro mi, bo wiem, że to nie pierwsza próba... – Lekarz zdjął na chwilę okulary i spojrzął na Kostka. Miał zmęczone oczy.

Podbiał tylko skinął głową. Powinno wystarczyć za wszystkie „dziękuję”, „mnie też jest przykro”, a nawet za „o czym ty, kurwa, mówisz, człowieku?!”. Gdy do niego zadzwonili z wiadomością, że Rawska jest w szpitalu, w pierwszej chwili pomyślał, że miała wypadek. Samochodowy, a może coś wydarzyło się na planie zdjęciowym, bo i o to przecież nietrudno. O tym, że poroniła, dowiedział się od niej. Może ktoś na jego miejscu wstałby i po prostu wyszedł. On jakoś nie potrafił.

– Żona powinna teraz odpoczywać – powiedział lekarz, umieściwszy z powrotem okulary na nosie. – Wskazany jest nawet jakiś dalszy wyjazd.

– Coś wymyślimy. – Policjant zmusił się do uśmiechu.

– Jeśli będziecie państwo czegoś jeszcze potrzebować, jestem u siebie.

Przygarbiony mężczyzna w białym kitlu oddalił się korytarzem. Teraz stukanie jego chodaków było wyraźne. Podbiał zrobił kilka kroków w przeciwnym kierunku. Zbliżył

się do okna, które kończyło korytarz, i wyjrzał na zewnątrz. Las Bielański, bo właśnie taki widok rozciągał się z tej części szpitala, zaczynał już tonąć w półmroku.

Powinienem zadzwonić do Kornelii i zapytać, czy coś znaleźli – przeszło mu przez głowę.

Skończyło się na tym, że tylko przez kilka chwil wpatrywał się w wyświetlacz komórki, by w końcu schować ją do kieszeni. Podszedł do drzwi izolatki, w której leżała Rawska, ale nawet nie położył dłoni na klamce. Swoje zrobił. Mógł być.

W holu szpitala zaczęli go jakiś facet. Choć znajdowali się w pomieszczeniu, miał ciemne okulary. Mimo to jego twarz coś Kostkowi mówiła, nie miał jednak siły ani ochoty, by próbować sobie przypomnieć. Zresztą zaraz wszystko stało się jasne.

– Przepraszam – zwrócił się do Podbiała. – Powie mi pan, jak się czuje Kasia?

Kostek jeszcze raz zmierzył go badawczym spojrzeniem. Lanser był z niego, nie ma co. I chyba nie można było mieć większych wątpliwości, kto zacy. Nie oznaczało to jednak, że można mu było cokolwiek ułatwić.

– A pan to...?

– Przyjaciół.

– Przyjaciół – powtórzył policjant, a w myślach dokończył: i pewnie jednocześnie sprawca całego zamieszania, twórca jednego z milionów plemników, któremu udało się wygrać wyścig.

Plotkarskie portale coś przebąkiwały, że koło Rawskiej kręci się ktoś nowy, tak zwany dobiegacz, ale Kostek starał się nie poświęcać temu uwagi. Pewnie dlatego, że nie wierzył, by komukolwiek udało się przy niej dłużej wytrzymać. Gdyby to był jakiś hollywoodzki gwiazdor miary Colina Farrelli, a ten przecież lubi Polki, to co innego. Głupie to może i płytkie, ale całkiem przyjemne by chyba było mieć takiego „szwagra”. Na pewno szybko by się polubili.

– Nie chcą mnie wpuścić ani udzielić żadnej informacji – pożalił się pan dobiegacz, wskazując gestem małego chłopca na okienko recepcji.

Podbiał poczuł w sercu ukłucie niewidzialnej igiełki. A może ten skurwiol coś jej zrobił i dlatego poroniła? Potem dopadły go wyrzuty sumienia i przyjechał do szpitala. Schemat stary jak świat.

– Myślę, że teraz już panu spokojnie udzielą wszelkich informacji – powiedział mimo to Podbiał. – Proszę powołać się na mnie.

– Naprawdę?

– Jasne. Powinniśmy sobie pomagać, nie? Cześć.

Tamten coś jeszcze chciał, ale Kostek już szybkim krokiem zmierzał ku wyjściu. Nie wierzył, że lekarz na to pójdzie, ale co tam. Może tamten pęknie i się przyzna?

Zaraz za drzwiami błysnęła mu prosto w twarz flesz aparatu fotograficznego, a po chwili jeszcze jeden, z drugiej strony. A więc i oni już wiedzieli, już się rozniosło. Dawno nie gościł na łamach „kolorówek”, właściwie to się odzwyczaił. Trudno.

– Wystarczy – rzucił w stronę „paparacha” bez twarzy i pewnie też bez sumienia, a gdy ten jeszcze kilka razy nacisnął spust migawki, dorzucił: – Spierdaj!

Samochód zaparkował po przeciwnej stronie Marymonckiej. W kilku susach przeskoczył dwupasmówkę. Jako pierwsza w stawce zaparkowanych aut stała furgonetka, chyba należąca do jakiejś firmy produkującej przetwory mięsne. Coś

jednak kazalo mu spojrzec jeszcze raz, dokladniej. To, co wzial za zdjecie kawalkow miesia, bylo obrazem zakrwawionego plodu. Napis glasil, ze w tym szpitalu dokonuje sie nielegalnych aborcji.

30

Zblizali sie juz do miejsca wezwania, czyli pubu Zielona Gęś, znajdujacego sie na skraju Pola Mokotowskiego. To tutaj ktos zmotoryzowany zaniemogl nad kufelkiem i potrzebował pomocy. Do północy pozostal niecały kwadrans.

– Nikogo nie widac – rzekl siedzacy na fotelu pasazera partner Horna, nazywany Skoczkiem, a po chwili zapytal: – Idziesz ty czy ja mam sprawdzic?

Tomasz byl co prawda nowy w firmie, ale nie zamierzal placic frycowego ani godzic sie na robienie za chlopca na posylki. Średnio mu zalezalo. A ten nie mial wiecej niz dwadzieścia lat, a i ambicjami tez nie grzeszyl. Ale nie byl tępota, bo milczenie kierowcy odczytal jako brak ochoty do wychodzenia z auta.

– Sprawdź. – Otworzył drzwi. – Moze sie zasiedzieli?

– Amerykę odkrył – rzucil za Skoczkiem kierowca.

Chwilę potem tamten zniknal w drzwiach lokalu. Horn oparl glowe o zaglowek i przymknal powieki. Czul, jakby mial pod nimi piasek. Nic dziwnego. Przeciez jezdzil od wielu godzin.

Myślam wrócił do sprawy, tej nietypowej. Wciąż brzmialy mu w glowie słowa Leszka: „Tak, oczywiscie, proszę pani. Świadczymy rowniez takie uslugi”. No to swiadczyl. Śledzenie innego samochodu, mimo ze Horn mial za soba takie doświadczenia, nie nalezalo od latwych zadan, szczegolnie w zatloczonej Warszawie. W dodatku wieczorem. Kilka razy musial wciskac sie na inny pas, mijajac inne pojazdy o przyslowiową grubosc lakieru. Na szczescie i on, i auto wyszli z tego cala, a obiekt ani na moment nie zniknal mu z pola widzenia.

Dojechali na Włochy, przejechali pod tunelem kolejowym, a potem kluczyli uliczkami przedmieścia. Tomasz przez caly czas zastanawial sie, czy tamten czlowiek w ogole sie zorientowal, ze ktos siedzi mu na ogonie. I to przez cala droge z roboty do... No wlasnie, dokad? Kto mieszkal w wili przy Tomnickiej? Śledzony mężczyzna, ktorego Horn mogl dopiero teraz obejrzeć, wysiadl z samochodu i podszedl do drzwi budynku. Nacisnal dzwonek. Ale nikt mu nie otworzyl. Horn zrobil telefonem kilka zdjec. Żalował, ze nie ma swojego niconu, ktorego pozyczyl policjantom. Wlasciwie to nawet zdazył juz o nim zapomniec. Trzeba sie bedzie o niego upomniec, bo jak to mowilo sie w czasach dzieciństwa, w przyrodzie nic nie ginie, tylko zmienia wlasciciela.

Śledzony wygladal na zawiedzonego. Wrócił do samochodu, a wtedy cala zabawa zaczela sie od nowa. Horn sprawdzil adres zamieszkania tego faceta, bo i to bylo zapisane na karteczce. Tamten ewidentnie wracal w domowe pielesze. Gdy zniknal za szlabanem strzezonego osiedla przy Ksiezykowej na Chomiczówce, mozna bylo wracac do bazy.

Tak tez Horn zrobil. Na miejscu zdal szczegolową relacje Leszkowi, ten zas wszystko skrupulatnie zapisal, bo baba mogla przeciez zadzwonic i zażadac rozliczenia

z zadania. Zresztą może tylko tak sobie bazgrał, podczas gdy Horn jadł kanapki na kolację i popijał herbatą. A potem to już trzeba było jechać do Zielonej Gęsi.

– Co ja tu robię... – mruknął, przeciągnąwszy dłońmi po twarzy.

Walczyl z sennością. Kawa i dwa napoje energetyczne niewiele pomogły. Był pewien, że na dłuższą metę nie będzie w stanie spełniać pokładanych w nim oczekiwań. Niestety. Tydzień, może dwa. Dłużej nie pociągnie.

Stukanie w szybę przywróciło go do rzeczywistości. Nachylał się nad nim Skoczek. Miał nietęgą minę. Horn opuścił szybę.

– Co jest?

– Nie mogę ich znaleźć – wyjącał tamten.

Co za pierdoła – pomyślał Tomasz, na głos zaś rzekł:

– Może trzeba zadzwonić?

Tak zrobili. Najpierw do firmy, gdzie dyżurowała niezawodna Zosia. Zgłosiła się już po pierwszym sygnale i obiecała pomoc. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. W innych okolicznościach Tomasz uznałby to za krępujące. Teraz nie. Cieszył się każdą chwilą ciszy.

Komórka odezwała się w tym samym momencie, w którym otworzyły się drzwi pubu.

– Tak, już ich widzimy. Dzięki, Zośka. – Horn rozłączył się i popatrzył z przerażeniem na partnera.

Zbliżali się do nich trzej faceci. Dwóch wlokło trzeciego, nieprzytomnego z przepicia, choć tym po bokach też niewiele brakowało.

– Kiepsko to widzę – rzekł słabym głosem Skoczek.

Trójka niedawnych biesiadników była coraz bliżej. Jeden z nich dawał jakieś znaki, jednak siedzący w aucie opóźniali jak tylko mogli moment jego opuszczenia.

– Panowie zamówieni? – krzyknął ten, który do nich machał.

Horn westchnął boleśnie. Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

– Gdzie wóz? – zapytał.

– Po drugiej stronie ulicy – odpowiedział klient, sięgając do kieszeni kurtki po kluczyki.

Horn spojrział na prostopadłą do Niepodległości ulicę Batorego, gdzie zaparkowano kilka samochodów.

– Srebrna honda civic – sprecyzował pijaczek.

Horn już ścisnął metalową wiązkę kluczy niczym jakieś trofeum. Unikał wzroku Skoczka, ten zresztą nie protestował. Tomaszowi zrobiło się nawet przez moment głupio, jednak podmuch chłodnego powietrza od strony Pola Mokotowskiego zamiast woni przetwarzanego chmielu i spirytusu przyniósł mu orzeźwienie i utwierdził w przekonaniu, że podjął słuszną decyzję. Nieprzytomny właściciel hondy był właśnie umieszczany na tylnej kanapie limuzyny.

– A jaki będzie adres? – zapytał Horn najuprzejmiej, jak tylko potrafił.

– Widawska sześć – odpowiedział od razu ten najtrzeźwiejszy. – Mieszkania osiem.

Nikt cię nie będzie zanosił pod drzwi, lachudro – sarknął w duchu Tomasz.

Wtedy pijak zaczął coś głośno i zupełnie niezrozumiale bełkotać, co spowodowało, że jego kompan zmytygował się:

– Przepraszam, dwadzieścia osiem. Mieszkania dwadzieścia osiem! – zawołał, już ze środka.

– Dwadzieścia osiem – powtórzył Horn dla pewności.

– Bezapelacyjnie.

Trzasnęły zamykane drzwi, zagrał silnik. Tomasz z zadowoleniem podrzucił kluczyki auta. Cieszył się, że został sam. Że żaden z pijaczków nie wpadł na pomysł, żeby z nim jechać. Robota polegała w dużej mierze na zaufaniu. Nikt chyba nie sprawdzał potem stanu licznika i nie dociekał, ile tak naprawdę „było jeżdżone”.

Być może nawet zatrzymają się przy jakimś nocnym, aby jeszcze zatankować – spekulował.

Będąc już przy wozie, stwierdził z zadowoleniem, że niedawna gnuśność gdzieś się ulotniła. Wszedł do środka i odpalił silnik. W myślach powtórzył jeszcze raz adres, potem oszacował wstępnie trasę przejazdu. Znowu podobała mu się ta robota. Włączył nawet radio. Spodziewał się wygłupów, ale trafił na gorące wiadomości.

– Z magazynu na placu budowy przekopu Mierzei Wiślanej nieznani sprawcy wynieśli kilkadziesiąt kilogramów bursztynu, którego złoża odkryto przed tygodniem – czytał właściciel aksamitnego głosu. – Na koniec wiadomość z ostatniej chwili. Przy ulicy Marymonckiej w Warszawie, naprzeciwko Szpitala Bielańskiego, płonie furgonetka należąca do jednej z organizacji walczących o całkowity zakaz aborcji w Polsce...

DZIEŃ CZWARTY

31

Ogarnęła wszystko wzrokiem dobrej gospodyni. Za taką ją zawsze uważano, a w swojej wiosce była uważana za dobrą partię. Bo ładna, bo mądra i pracowita. Problem w tym, że jej samej wcale się nie uśmiechało niańczyć dzieci ani opierać ślubnego, a kto wie, może i jego rodziców czy dziadków. Dlatego wyjechała. Zresztą jak wszystkie, które chciały osiągnąć w życiu coś więcej.

Około pierwszej w nocy zarówno w lokalu, jak i w ogródku nie było już ani jednego klienta. Oczywiście z tych poważnych, co płacą. Kilkoro młodych ludzi, być może nawet byli to uczniowie starszych klas podstawówki, siedziało jeszcze na krawężniku przy jezdni i na kamiennej kwiatowej donicy. Przypominała miniaturowy grobowiec.

– W weekend nie do pomyslenia – westchnął menadżer lokalu imieniem Sambor. – Zastanawiam się, ile jeszcze to wszystko będzie trwać...

– Co masz na myśli? – zapytała przytomnie, próbując rozwiązać tasemki czarnego, krótkiego fartuszka; był to zresztą jedyny szczegół garderoby, dzięki któremu można było odróżnić osobę z obsługi od klienta.

– O tej porze mógłbym powiedzieć, że mam na myśli cały świat. Kulę ziemską. Jak długo będzie się jeszcze kręcić. Choć znam takich, co twierdzą, że Ziemia nie jest wcale okrągła. I że się nie kręci wokół Słońca, ale jest dokładnie odwrotnie.

– Niemożliwe! To są jeszcze tacy ludzie?

– Żebyś wiedziała. U was nie?

Uciekła wzrokiem w bok i przygryzła wargę. Zazwyczaj starała się nie wdawać w dyskusje, które rozpoczynało pytanie: a jak to jest u was? Owszem, wszyscy wiedzieli, skąd przyjechała i jak wygląda tam życie. Kiedy czasami odpowiadała niechętnie, zazwyczaj kończyło się tak, że nie ciągnięto tematu. Najczęściej spotykała się z życzliwością.

– Tak naprawdę to mam na myśli nasz lokal – westchnął Sambor. – Jak długo jeszcze będą przychodzić do nas klienci. Wiem, wiem, należy się cieszyć, że wrócili i że wiele innych miejsc w Warszawie nie miało tyle szczęścia. Ale przecież wszystko się kiedyś kończy. Mógłbym ci teraz zacząć opowiadać o tych wszystkich knajpkach, w których dzisiaj są sklepy spożywcze, a kiedyś nie sposób się było dopchać. Pewnie zastałby nas na tym świt.

– Tyle czasu to ja nie mam – zaśmiała się.

– Wiem. Jutro oboje musimy być na chodzie – w jego głosie wyraźnie wyczuwało się zmęczenie. – Zamówiłaś sobie transport?

- Tak.
- To leć, Julia. Leć! Ja tutaj już wszystko sam pozamykam.
- Dziękuję, Sambor.

Zawsze miała mu powiedzieć, że w jej kraju jest miasto, które tak się nazywa, ale zapomniała. Teraz już chyba za późno. Może zrobi to jutro.

Minutę później, ubrana w dżinsową kurteczkę i z plecakiem przewieszonym przez jedno ramię, szła w kierunku metra, gdzie oczekiwał na nią wezwany samochód. Tak wskazywała aplikacja na telefonie i tak wołała. Nie chciała, by wiedzieli, gdzie pracuje. Było prawdopodobne, że z człowiekiem, który siedział za kółkiem, będzie mogła sobie porozmawiać w swoim ojczystym języku. Oczywiście, że tego nie zrobi.

Auto już stało. Dziewczyna przyspieszyła kroku. Gdzieś dalej, w perspektywie ulicy, hałasowali jacyś ludzie. Widać załogi nie wszystkich lokali miały tyle szczęścia co oni. Nagle dało o sobie znać zmęczenie po całym dniu.

32

Od kiedy spotkali się ponownie, a stało się to już na Bemowie, Skoczek nie był już tak miły i uległy jak na początku ich wspólnego nocnego dyżuru. Zresztą trudno się dziwić, bo tak jak Tomasz Horn przewidywał, załoga z Zielonej Gęsi najpierw kazała się wieść do najbliższego sklepu nocnego po flaszkę. Skoczek musiał nie tylko odstać tam swoje, zgrzytając zębami, ale również był... nagabywany. Nie chciał jednak wytłumaczyć, na czym owo nagabywanie polegało. Trochę więc minęło, zanim pozbył się kompanów pijaczka i jego samego odwiózł na ulicę Widawską. Za to Horn dotarł pod wskazany adres bez najmniejszego problemu.

- Następnym razem ty jedziesz z chlorami – zastrzegł kolega.
- Nie ma problemu – odrzekł pojednawczo Tomasz.

Wypadli na Marszałkowską. Na wszystkich skrzyżowaniach mrugały żółte światła, ostrzegające tych, którzy walili zbyt pewnie drogą z pierwszeństwem, że w tym mieście, czymś pośrednim między Nowym Jorkiem a Ułan Bator, nic nie jest pewne ani do końca normalne. Horn starał się więc nie przekraczać prędkości sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Odezwała się komórka. Odebrał Skoczek.

- Tak, Zosieńko?

Otwórz okienko! – dokończył w myślach Horn i omal nie parsknął śmiechem. Aby wytłumaczyć się z dziwnego dźwięku, który wydobył się z jego ust, zakasłał. Tamten chyba nawet tego nie zauważył, tak był zajęty rozmową z dyspozytorką. Czuł się ważny, potrzebny.

- Powtórz jeszcze raz nazwę ulicy. Pańska... Tak, poczekaj, notuję.

Nagryzmolił w notesie na wysięgniku. Kierowca rzucił okiem. Zapis był jednak wyraźny, więc od razu poznał adres.

- To cześć, dzięki. Pa! – pożegnał się chłopak, chyba trochę zbyt wylewnie jak na firmowe stosunki, po czym odłożył telefon na półkę.
- Za pięć minut będziemy – zapowiedział Tomasz.

Dokładnie po takim czasie auto firmy SND zatrzymało się przed nocnym klubem przy ulicy Pańskiej. Horn od razu dostrzegł wczorajszego znajomego.

Szkoda, że nie porozmawiamy – pomyślał. Kiedy jednak zobaczył, że facet trzyma w uniesionej ręce kluczyki od samochodu, uśmiechnął się. Była nadzieja.

– Teraz ja prowadzę – przypomniał mu Skoczek, gramoląc się z samochodu, Horn zaś nie miał zamiaru protestować; umowa jest umowa i teraz to on będzie wioził do domu chlora.

Po chwili znajomy siedział na tylnej kanapie. Nie był mocno pijany, przynajmniej nie bardziej niż dwadzieścia cztery godziny temu. Rozpoznał kierowcę, uśmiechnął się nawet, ale nic nie powiedział prócz zwyczajowego „dobry wieczór”. Nie, chyba jednak mruknął „dzień dobry”.

– Tam gdzie poprzednio? – Horn wpatrywał się w gościa we wstecznym lusterku, ale pasażer nie potwierdził ani nie zaprzeczył. – Mam nadzieję, że ma pan lepszy humor niż wczoraj.

– Może trochę. Chciałem się upić, ale i tego nie potrafię.

Skoczek właśnie ruszył samochodem biznesmena, nowym, wysokim volvo. Tomasz również wrzucił jedynkę. Chciał się trzymać blisko partnera, jednak klient, wyczuwszy jego intencje, łagodnie zaprotestował.

– Spokojnie, nie spiesz się – mruknął. – Niech jedzie.

– Rozumiem.

– W pizdu...

Nawet tak mniej niż średni znawca ludzkiej psychiki jak Tomasz Horn już wiedział, że lepiej nie jest. Ani nawet dobrze. Dopiero gdy auto ze Skoczkiem za kierownicą zniknęło za zakrętem, powoli ruszył. Pamiętał adres, pod który wczoraj odwoził biznesmena, więc kierował się w stronę Wisły i któregoś z mostów. Zastanawiał się, czy kiedy wjadą na przeprawę, siedzący z tyłu gość powtórzy swoją wczorajszą śpiewkę samobójcy.

Ledwo znaleźli się na moście Grota, pasażer głośno i boleśnie westchnął.

– Jak pan myśli, gdybym skoczył w tym miejscu do rzeki, to zginąłbym od razu czy jeszcze się męczył w szpitalu?

– Tutaj i tak nie wolno stawać – stwierdził sucho Tomasz Horn.

Może za mądre to nie było, ale miał nadzieję, że w jakiś sposób udało mu się rozładować napięcie. Jednocześnie chciał pokonać jak najszybciej ten cholerny most. Na szczęście jechali ekspresówką i można się było rozbujać. A pasażer nie pytał o nic więcej. Dopiero gdy byli na Żeraniu, odezwał się ponownie:

– Wie pan, postanowiłem, że im zapłacę.

Tomasz mocniej chwycił się kierownicy, jakby wciąż znajdowali się na zakręcającym w lewo łuku estakady.

– Jednak? – z trudem udało mu się słumić poirytowanie.

– Jednak.

Wtedy Tomasz przypomniał sobie, że i on ma kłopoty. Dług i bliską perspektywę kolejnej rozmowy z jego egzekutorami. Mieć marzenia i jednocześnie nie mieć

kłopotów – to chyba największe szczęście człowieka.

– Myśli pan, że źle robię? – zapytał po chwili biznesmen.

Szofer skrzywił się.

– Nie wiem – odpowiedział Horn. – Mogą wziąć od pana działkę i rzeczywiście dać spokój. Niestety, w większości tego typu przypadków jest tak, że to dopiero początek. Szantażyści czują się bezkarni i pewni siebie. A przede wszystkim nienasyceń. Czują, że skoro wydusili tyle, mogą wydusić o wiele więcej. Ta droga może nie mieć końca.

– To co ja mam zrobić?

– Nie wiem. Może iść na policję?

– Na policję? Ich wsadzą na czterdzieści osiem, a nazajutrz moje zdjęcia pokażą się w internecie! – zachnął się mężczyzna. – Zresztą potem i tak byle kauzyperda wyciągnie ich z mamra. Nie, nie mogę sobie na to pozwolić.

– Przecież mówił pan, że to tylko fotomontaż.

Cisza.

– Że do jakichś zdjęć dołączono pańską głowę – naciskał Horn.

– Jak ma pan na imię?

Tomasz po raz pierwszy uświadomił sobie, że nie dostał od Kłosa żadnej legitymacji czy innego najprostszego identyfikatora, który można wydrukować, a plastikowe okładki z przypinką kupić w sklepie papierniczym. A przecież każdy taksówkarz taki miał i woził przyczepiony w okolicach wstecznego lusterka. Na zdjęciu prawie zawsze był z wąsami.

– Tomek – przedstawił się.

– Miło mi. Ja jestem Roman – tamten nie pozostał dłużny, a jako przypieczętowanie zawartej znajomości posłużyło klepięcie dłonią w krawędź fotela kierowcy. – Od dawna jeździsz?

– A co?

– Nic. Trochę się znam na ludziach i wydaje mi się, że to tylko epizod w twoim życiu. I zupełny przypadek.

– Zgadza się. Nie planowałem tej roboty, ale tak się złożyło, że szef tej firmy potrzebował kierowcy, a mnie brakowało paru złotych... do biletu na pociąg. I tak jeżdżę już któryś dzień. Naprawdę to jestem dziennikarzem, ale ostatnio nie miałem zbyt dobrej passy. Czasami zdarza mi się rozwiązać jakąś zagadkę kryminalną. Nawet bardzo wiekową...

– O! To ty taki Herkules Poirot jesteś – zaśmiał się Roman.

Szybko jednak spoważniał. W pewnej chwili zakrył usta dłonią.

– Coś nie tak? – zaniepokoił się Horn. – Mam się zatrzymać?

– Nie, nie trzeba – odpowiedział Roman. – Chodzi o to, że... że ja nie byłem z tobą szczery.

– Nie rozumiem.

Sprzedawca wind westchnął ciężko. Ich spojrzenia spotkały się we wstecznym lusterku, ale Roman szybko uciekł wzrokiem w bok. Przejechali nad Kanałem Żerańskim.

– Byłem w jednym takim miejscu z dziewczynami i wtedy mnie sfilmowali – powiedział.

A jednak miałem nosa – pomyślał Horn, choć bez satysfakcji, było mu bowiem szczerze żal tego człowieka.

– Będę skończony, rozumiesz?! Skończony! – wykrzyczał Roman.

I nie sprzeda żadnej windy – dopowiedział w myślach szofer, tym razem z lekką ironią. No bo kto będzie chciał jeździć taką windą? Windą, którą sprowadził i zamontował ktoś, kto rucha dziwki. Brzmiało niedorzecznie, nawet śmiesznie, ale temu złamanemu człowiekowi, który siedział teraz za Tomaszem, z pewnością nie było do śmiechu.

Do domu, w którym mieszkał przedsiębiorca, został niecały kilometr, jednak mężczyzna kazał się zatrzymać kilkadziesiąt metrów za zakrętem. Horn wykonał polecenie, włączył światła awaryjne, ale szybko je wyłączył. Biznesmen znów głośno westchnął.

– Czy mógłbym mieć do ciebie prośbę? – zapytał wreszcie.

– Jasne. Mam znaleźć jakiś sklep z alkoholem? – Horn przypomniał sobie perypetie Skoczka.

– Nie, skąd?! – fuknął tamten. – Chciałbym, żebyś ze mną tam pojechał.

– Tam? To znaczy dokąd?

– Na miejsce, gdzie mam zostawić pieniądze. Okup.

Tomasz wstrzymał oddech. Nagle poczuł nieznośne gorąco. Szczerze mówiąc, trochę się obawiał takiej lub podobnej prośby. W grę wchodziła jeszcze opcja, że to on sam miałby podrzucić pakunek.

– Myślę, że... tak – odparł słabym głosem i z nadzieją, że tamten, widząc wahanie, odpuści.

Stało się inaczej.

– To świetnie! – Biznesmen aż zatarł ręce, jakby przed chwilą podpisał jakiś lukratywny kontrakt. – Umówmy się jutro... przepraszam, dzisiaj, o dziesiątej wieczorem. W siedzibie mojej firmy na Służewcu Przemysłowym. Dam ci wizytówkę. Może być?

Horn znów tej nocy poczuł bezradność. Nie miał sił protestować. I wtedy nagle go olśniło.

A może to rozwiąże moje problemy i zarobię na spłatę długu? – pomyślał.

– Oczywiście płacę ekstra! – dodał Roman, zupełnie jakby w jakiś cudowny sposób udało mu się odczytać myśli szofera.

– Nasz klient, nasz pan.

33

Ampułka z gazem usypiającym zadziałała błyskawicznie. Dobrze, że czynność nakładania maski on sam miał opanowaną do perfekcji. Lata praktyki. Zrobił to jednym wprawnym ruchem i jedną ręką. Drugą musiał trzymać kierownicę.

– Już? – zabrzmiało pod membraną.

Już. Siedząca na tylnej kanapie dziewczyna zwiotczała. Chyba coś jeszcze zdążyła jęknąć w ojczywym języku, zanim straciła świadomość. Wtedy otworzył wszystkie

okna, żeby pozbyć się gazu z samochodu. Zdjął maskę. Zjechał z dwupasmówki w boczną uliczkę, minął łukiem niewielki, stary kościółek. Potem zaczęła się gęstwina drzew i krzewów. Droga była miejscami wyboista, więc autem telepało. Kiedy był tu wcześniej, widział stojące kilkaset metrów dalej nowe apartamentowce, więc pewnie i za drogę się wezmą. Ludzie są dzisiaj wymagający.

W pewnym momencie ujrzał we wstecznym lusterku, że wskutek wstrząsów ciało dziewczyny się osunęło. Spała jednak dalej, tego był pewien.

Zatrzymali się przy starym budynku, który wyglądał na magazyn, a może to była opuszczona hala sportowa? Nie miał problemu z wyciągnięciem dziewczyny z samochodu. Zarzucił ją sobie na ramię niczym worek, nogą zamknął tylne drzwi i ruszył przed siebie.

Kilkadziesiąt metrów dalej jego kroki zadudniły na drewnianym mostku przerzuconym przez fosę. Poczul znajomy, pobudzający zapach. Zaczął ostrożnie schodzić w dół wąską ścieżką, co łatwe nie było, gdy niosło się ciężar. Ktoś inny na jego miejscu pewnie już dawno by leżał. Wreszcie położył dziewczynę na kamiennej krawędzi fosy, odgarnął jasne włosy z twarzy i chwilę się jej przypatrywał. Po chwili zaczął odczuwać znajome łaskotanie w trzewiach i okolicach podbrzusza. Wychylił się i zamoczył dłoń. Nie musiał dotykać nią twarzy. Woda była zimna, jak to w nocy. Pachniała jeszcze bardziej intensywnie. Otrząsnął ją z drobin rzęsy. W sitowiu odezwał się jakiś ptak.

Następnie zdjął dziewczynie buty, krótkie spodenki, a na końcu majtki. Wszystko umieścił w czarnym worku na śmieci, który wyciągnął z kieszeni, i odłożył starannie na bok. Jego mokre palce przejechały po obnażonym łonie. Muszelka była zimna, twarda i zamknięta, miejscami szorstka odrastającymi włoskami. Podobałoby mu się, gdyby tylko chciał zrobić z niej użytek...

– Już? – rzucił w chłodną czeluść nocy.

Już. Jednym ruchem przekręcił ciało dziewczyny. Rozległ się plusk i jej głowa znalazła się pod wodą. Po chwili usłyszał krótki bulgot, po nim dwa kolejne. Wtedy ofiara zaczęła wierzgać. Środek usypiający przestał działać. Mężczyzna wychylił się bardziej i mocniej nacisnął na jej głowę, wezbrane w jednym miejscu mokre włosy. Rozpaczliwe bulgotanie tonącej słabło z każdą chwilą. Jeszcze kilka podrygów. Mógł założyć liczbę i zacząć liczyć. Pewnie niewiele by się pomylił. Spomiędzy pośladków bezgłośnie wydobyła się wydzielina. Nie czuł jednak jej zapachu.

Wreszcie ciało znieruchomiało.

Sięgnął po nóż i nie wyciągając głowy zmarłej z wody, przyłożył ostrze do pachwiny. Przekręcił nieco nogę, aby się nie pobrudzić, po czym dokonał pierwszego cięcia. Krew z otwartej tętnicy chlusnęła do wody niczym pierwsze krople ulewnego deszczu.

Kornelię obudziły hałasy dochodzące z podwórka przez otwarte okno. Wstała z łóżka i podreptała boso, by sprawdzić, co się dzieje. To sąsiedzi krzatali się przy samochodzie:

pakowali torby i walizki do bagażnika, a dzieciaki, dwóch chłopaków, jakby nigdy nie kopało piłkę na parkingu. Było już jasno.

Pewnie wyjeżdżają na wakacje – skonstatowała.

No tak, wczesny wyjazd dawał większe szanse, że w drodze nad morze nie utknie się na autostradzie w wielokilometrowym korku przed bramkami. Albo na okrytej złą sławą zakopiance. Ale czy z tego powodu trzeba budzić przed czasem cały blok, trzaskając drzwiami, głośno gadając i haratając w gałę?

Dopiero gdy o tym pomyślała, spojrzała na zegarek i omal nie krzyknęła ze złości. Pięć po czwartej?! Pomyślała, że może czasomierz stanął, więc sprawdziła na telefonie. To samo. Spojrzała jeszcze raz na winnych przedwczesnego przerwania jej snu. W tej samej chwili ktoś z bardziej bojowo nastawionych do życia sąsiadów, chyba z klatki obok, posłał tamtym kilka soczystych słów na drogę. Kornelia nie chciała słuchać, czy rzecz się rozwinie, tylko z trzaskiem i złością zamknęła okno. Po chwili usłyszała warkot samochodowego silnika.

– Żebyście się... złapali gumę – w ostatniej chwili zmieniała kwalifikację klątwy, którą wysłała za troglodytami, wszak w aucie były dzieci. – Jeszcze raz taka zabawa i wezwę patrol.

Gdy się uciszyło, położyła się do łóżka z zamiarem urwania jeszcze kilku godzin snu. Nakryła nawet w tym celu głowę kołdrą, by nie przeszkadzało jej światło dzienne. Ale sen nie wracał. Wróciły za to wydarzenia wczorajszego popołudnia.

Sympatyczny aspirant, z którym Podbiał ją zostawił, bez trudu pokonał internetowe zabezpieczenia. Miały one chronić zarówno upodobania Ludmiły Szewczenko, jak i tych, którym to ona wpadła w oko. W ten sposób mieli na widelcu pięciu typków. Pięć imion i pięć zdjęć, które podkomisarz Banaś od razu skopiowała. Na tym zakończyli wczorajsze działania w tej sprawie.

Oczywiście nie oznaczało to, że zakończyła je Kornelia. Z KSP pojechała od razu na spotkanie z siostrą. Umówione były już dawno, by policjantka opowiedziała młodszej siostrze, jak jej się pracuje i czy to naprawdę taka wielka życiowa zmiana, jak twierdziła. Nie spodziewała się jednak, że przyniesie od razu jakąś sprawę, i to w dodatku takiego kalibru. Obnażone brzuchy kelnerek z meksykańskiej restauracji to był przy tym dziecięcy żart.

Ale emocje trzeba było odpowiednio stopniować. Kiedy spotkały się w kawiarni na Nowym Świecie, Kornelia zaczęła pokazywać siostrze fotografie mężczyzn, którzy mieli coś wspólnego z zamordowaną. Nie zdradziła jednak, skąd je ma, a prezentacji dokonała w taki sposób, aby Monika miała wrażenie, że to profil jej siostry. Zdarzało się przecież, że przeglądały wzajemnie swoje aplikacje i zawsze było przy tym sporo śmiechu. Wyrok Moniki Banaś brzmiał: „Nic specjalnego, nudni, żadnego bym nie wybrała. Coś ci się z gustem stało po dwóch dniach pracy w Pałacu Mostowskich”. A Kornelia nie drążyła głębiej i na tym ten temat zakończyły.

– Chodźcie no tutaj. – Sięgnęła po telefon.

Zaczęła ponownie przyglądać się tym pięciu facetom. To prawda, sama żadnego z nich by nie wybrała nawet na mękach. Najmłodszy miał 23 lata, najstarszy 40. Najdłuższa znajomość trwała dwa miesiące, najkrótsza zaś – trzy tygodnie. Z iloma z nich zdążyła się spotkać Ludmiła? Ze wszystkimi, a może z żadnym. Ingerencja

w system policyjnego informatyka na razie przyniosła jedynie tyle, ale Zbyszek obiecał jej wczoraj, że spróbuje się dowiedzieć więcej.

Senność zaczęła wracać. Kornelia odłożyła telefon na nocną szafkę, przewróciła jaśka na zimniejszą stronę i dotknęła policzkiem miękkiej poszewki. Nagle poczuła przemożną potrzebę przejrzania facetów, ale u siebie. Dawno tego nie robiła, z nikim też nie utrzymywała stałej korespondencji. Wszystko urywało się po pierwszym „cześć, jak się masz?”. Względnie trwało do „czym się zajmujesz na co dzień?”. Nigdy nie odpowiedziała, kim jest z zawodu, choć nieskromnie zdawała sobie sprawę, że wielu facetów mogłoby to kręcić. Ciekawe, kiedy zapytaliby, czy trzyma w domu broń. Albo kajdanki, te wszak mogły służyć do erotycznych zabaw.

Często przeglądała aplikację w celach czysto rozrywkowych. Ot, by pośmiać się z płci przeciwnej: gołych klat czy samochodów, które najpewniej miały innych właścicieli.

– Teraz wasza kolej, misie moje – mruknęła, naciskając ikonkę na wyświetlaczu.

Przeczytała komunikat, że system szuka osób w jej okolicy. Przymknęła na chwilę oczy, bo mogło to potrwać parę chwil. Kiedy znów je otworzyła, miała wrażenie, że wzrok płata jej figle. O tej porze i przy niespokojnej głowie było to całkiem możliwe.

– O cholera...

Z ekranu spoglądał na nią jeden z tych, którzy polubili Ludmiłę Szewczenko! A dokładnie Cezary 39. Serce Kornelii biło niespokojnie, bynajmniej nie z powodu urody mężczyzny. Ta była dość dyskusyjna, zbyt „swojska” jak na gust dziewczyny. Dotknęła palcem zdjęcia, przygryzła wargę i powoli przesunęła je w prawo, co oznaczało akceptację.

MAMY PARĘ! – poinformował system.

Sekundę później komórka zadzwoniła. Numer nic jej nie mówił. Przez ułamek sekundy pomyślała nawet, że to nowoczesny system od razu połączył ją z wybrankiem. Że takie udogodnienie. Albo odezwie się nie on, ale jakiś moderator czy inny telemarketer, którego uśmiech wręcz słyhać. Jeśli tak będzie, to zwymyśla skurwiela, nie przebiegając w słowach.

– Słucham!

W słuchawce rozległ się głos jej nowego kolegi, Konstantego Podbiała, więc nie od razu go poznała. Głos był spokojny, mimo wagi komunikatu.

– Przepraszam, Kornelia, ale musisz wstawać – powiedział. – Mamy kolejną półwariatowaną dziewczynę.

35

Przez całą drogę zamienili może z pięć zdań. Licząc z tym ostatnim, złożonym i mówiącym o tym, jak trudno znaleźć ten blok i że chyba ktoś coś przekombinował z numeracją. Kostek wydawał się skupiony bez reszty na prowadzeniu samochodu. Gdy Kornelia kilka razy spojrzała na niego, stwierdziła, że ma cienie pod oczami, a jego powieki opadają wolniej. O tym, że tej nocy nie spał, świadczyły też trzy kubki po kawie, wsadzone jeden w drugi i stojące w przegródce obok drążka zmiany biegów.

W sumie też by nie odmówiła dawki kofeiny, nie zdążyła się bowiem napić w domu. Ale nie śmiała prosić partnera, aby zjechał na jakąś stację benzynową.

Minęli kościółek świętego Jozafata, w którego drzwiach już zniknęły starsze panie, uczestniczki porannej mszy, a kilkaset metrów dalej dziwne, bo zbudowane nie wiadomo po co rondo, krzyżowały się tu bowiem uliczki na pierwszy rzut oka prowadzące donikąd. Dopiero kawałek dalej, z lewej strony, zaczęły się wyłaniać nowe, eleganckie apartamentowce.

– Nawet nie wiedziałam, że coś tutaj zbudowali – zdziwiła się Kornelia.

– Ja wiedziałem, bo mieszkam niedaleko, ale to i tak nie nasza liga – wyjaśnił Podbiał. – To właśnie mieszkaniec jednego z tych domów znalazł trupa, gdy rano wyszedł z psem na spacer. Mam nadzieję, że jesteś przygotowana?

– Prawdę mówiąc, to jeszcze nie wiem – przyznała.

– Jak coś będzie nie tak, to po prostu powiedz, dobrze?

Skręcili w prawo i zaparkowali przed wejściem na drewniany mostek nad fosą, okalającą centralne budowle Fortu Bema. Stała tam furgonetka, którą poruszali się technicy kryminalistyki.

– Przepraszam, czy coś się stało? – zapytał ich młody mężczyzna w garniturze i z teczką, typowy okaz spotykany w zagłębiu biurowym na Służewcu, czyli słynnym „Mordorze”.

– Koń wpadł do rowu – odpowiedział błyskawicznie Kostek.

– Biedny zwierzak.

Na szczęście więcej osób postronnych i głupich pytań nie było, choć być może z okien eleganckiego domu przypatrywali się niecodziennej akcji inni mieszkańcy. Przeczytają o tym pewnie za jakiś czas w kolorowym dzienniku, a wcześniej na którymś z portali internetowych. A póki co niech się cieszą iluzją, że mieszkają w bezpiecznym miejscu.

Kilka chwil później Kornelia zapytała Kostka, dlaczego skłamał.

– Odruchowo – wyjaśnił niewinnie. – A taka historia rzeczywiście kiedyś miała tutaj miejsce. Koń należał do Ogniwa Konnego KSP i pewnego dnia zsunął się do rowu. Jeździec wylazł, a ten, ni chuj, nie potrafił. Nie bał się wybuchających petard na demonstracjach „prawdziwych Polaków” czy meczach Legii, a w tym przypadku coś nie zagrało.

– I co z nim? Dobili go?

– No co ty? – prychnął Kostek. – To nie Dzik Zachód, tym bardziej że niczego sobie nie zламаł. Ale trzeba go było przypiąć pasami i samochodem wyciągać. Zauważyłaś, że od jakiegoś czasu mieszkańców tego kraju bardziej obchodzi los zwierząt niż ludzi? Te wszystkie akcje w internecie, gdy ktoś porzuci psa, poszukiwania zwyrodnialca...

– Rzeczywiście, chyba coś w tym jest.

Kostek cieszył się, że rozmowa zesłała na inny temat. Miał nadzieję, że Kornelia jakoś zniesie to, co ją czekało. Szła sztywno, usta miała zaciśnięte w kreskę i była błada, a może tak mu się tylko w ten mglisty poranek wydawało. Czuli już wyraźnie zapach wody. Policjant podał rękę dziewczynie, by pomóc zejść po stromiźnie, ale nie skorzystała.

– Daj spokój! – fuknęła. – Nie jestem dzieckiem.

Zaraz zastąpił im drogę młodziutki posterunkowy, ale widząc, że nie zamierzają się zatrzymać, szybko się odsunął. Na ścieżce, która ciągnęła się wzdłuż krawędzi fosy, kręcili się technicy. Kornelia wypatrywała ciała. W pewnej chwili dwaj policjanci, którzy kucali na trawie, wstali i odsłonili je. Na szczęście chwilę wcześniej zdążyli je przykryć tak, że nic nie było widać.

Podbiał z kolei szukał lekarza sądowego. Zdziwił się, gdy podeszła do niego kobieta. Ładna, elegancka nawet w takich okolicznościach. Pierwszy raz ją widział.

– Mokrzyńska – przedstawiła się. – Jestem w zastępstwie doktora Walczaka.

– Dzień dobry – przywitał się oficer. – Co mamy?

Nie zdążył ugryźć się w język. Niektórzy ludzie byli wyczuleni na słowa i nie podobało im się, gdy używało się takich albo podobnych form w odniesieniu do ludzi. Martwych, ale zawsze ludzi. To wciąż był „ktoś”, a nie „coś”. Ale doktor Mokrzyńska albo do tej grupy nie należała, albo była zdania, że część ciała to już nie człowiek.

– Nogi młodej kobiety – odpowiedziała. – Zostały oddzielone od reszty ciała za pomocą ostrego narzędzia.

– Piła?

– Stawiałabym raczej na nóż. I dużo siły, a także wiedzę, gdzie i jak kroić. Dobra piła oczywiście rozwiązuje problem kości, przepiłuje je. Jeśli ma się tylko nóż, to przy ćwiartowaniu trzeba wiedzieć, gdzie ciąć. Po miękkim, idealnie w pachwinie, między panewką kości udowej a stawem biodrowym. Należy w to włożyć sporo wysiłku, bo kości udowej tak po prostu kuchennym nożem nie przetniesz. Myśliwskim może pędzej.

Kostek słuchał tego z uwagą, ale też ze zdziwieniem. Ta babka, całkiem młoda, miała sporą wiedzę na ten temat.

– I jeszcze jedno – powiedziała. – Nogi trzymają się razem dzięki skórze sromu.

Kostek przeciągnął dłonią po głowie.

– Kiedy nastąpiła śmierć? – zapytał.

– Około drugiej, trzeciej w nocy. Krew z rozciętych tętnic jeszcze nie zdążyła wsiąknąć w ziemię. Kobieta prawdopodobnie została wcześniej uduszona albo utopiona, o czym świadczy obecność kału na nogach. Więcej będę mogła powiedzieć później.

– Dziękuję pani doktor.

Kątem oka dostrzegł, że Kornelia, powoli, bo powoli, ale zbliża się w stronę znaleziska. Bał się, że zemdleje, a w efekcie może nawet wpadnie do wody. Ale ona zatrzymała się jakieś dwa metry od podłużnego kształtu, który rysował się pod przykryciem. Był zbyt krótki na ciało dorosłego człowieka i jeśli ktoś nie wiedziałby, co tu się wydarzyło, pewnie pomyślałby, że leży tam jakieś zwierzę, które przed chwilą wyłowiono z fosy.

– Spokojnie, Kornelia – powiedział.

– Jestem spokojna. Ale jestem też ciekawa jednej rzeczy.

– O co chodzi?

– A o to, czy ta dziewczyna również ma tatuaż.

Podbiał podrapał się po głowie.

– Zrobili zdjęcia, więc obejrzymy, jak wrócimy do komendy – rzucił asekuracyjnie.

– Ale ja chcę to wiedzieć teraz. Możesz to sprawdzić?

Wydało mu się, że Banaś tupnęła przy tym nogą, a może tylko podeszwa jej buta pośliznęła się na trawie śliskiej od rosy. Nieważne. Podszedł do trupa. Nie miał z tym nigdy większego problemu, wyłączając tylko zwłoki, których rozkład był już w dość dużym stopniu zaawansowany. Uniósł folię i przyjrzał się nogom, starając się jednak skupić uwagę bardziej na łydkach aniżeli wyższych partiach wraz z ich połączeniem.

Ta mała ma łeb na karku! – pomyślał, ujrzawszy rysunek ptaka na lewej łydce.

Gdy na powrót zakrył szczątki, uświadomił sobie, że już gdzieś widział ten tatuaż. I to całkiem niedawno. Przeciągnął dłonią po twarzy. Marzył o tym, żeby się położyć.

– Miałś rację, jest – powiedział do Kornelii. – Na dodatek bardzo podobny do tego, który miała Ludmiła.

Odszedł znów i na stronie zamienił parę słów z dowodzącym akcją w Forcie Bema.

– Będą szukać reszty – poinformował po chwili partnerkę.

– W takim rowie jest większa szansa na sukces niż w Wiśle – zauważyła.

– Pewnie. Możemy wracać.

Zanim doszli do samochodu, przed wejściem na mostek zdążył się już zebrać tłumek mieszkańców okolicznych budynków. Nikt jednak nie zadawał żadnych pytań, a i Kostek nie zamierzał już niczego owijać w bawełnę. Był gotowy powiedzieć tym ludziom bolesną prawdę. Jednak nie miał na sobie munduru i mógł udać, że przyjechał tu tylko na poranny spacer z panienką, ewentualnie szybki numererek, więc tak naprawdę wie tyle co oni.

Z kłopotu wybawiła go Kornelia, która już otworzyła drzwi od strony kierowcy i zaczęła się sadowić za kółkiem. Szybko zajął miejsce obok.

– Ruszaj, zanim oprzytomnieją – powiedział.

– Pewnie i tak już zdążyli zrobić nam zdjęcia.

– No to będziemy u dzielnicowego.

Na rondzie, spod którego dochodził szum ekspresówki, Podbiał kazał Kornelii zawrócić. Zdążył jeszcze pomyśleć, że tamtą drogą można było się bez zatrzymywania dostać nad Atlantyk.

– Muszę wziąć prysznic i wypić kawę – wyjaśnił.

– No tak, mówiłeś, że mieszkasz niedaleko – przypomniała sobie dziewczyna.

– Dobrze się czujesz? – zapytał po chwili.

– Nie było tak źle.

– Kawkę strzelisz, to będzie całkiem dobrze. Nie zapytałem jeszcze, coście wczoraj znaleźli.

– Kilku niewypałów. – Odblokowała swój telefon i podała mu go. – Są w galerii.

Chwilę potrwało, zanim Kostek pokonał trudności techniczne.

– Co to, kurwa, casting do „Rolnik szuka żony”?! – prychnął.

Najlepsze Banaś trzymała oczywiście na deser. Najpierw jednak musiała się dowiedzieć, jak ma jechać. Kiedy Kostek podał trasę, długo milczała. A gdy zaparkowała pod domem, oświadczyła z miną prymuski:

– Jednego udało mi się namierzyć. Dobry los dobrał nas w parę, więc jeszcze dzisiaj spróbuję się z nim umówić.

Ech, nie takiej odpowiedzi się jednak spodziewała, nie takiej reakcji. Kostek bowiem... zachrapał. Ze złością nacisnęła pedał hamulca. W efekcie policjant omal nie wyrznął czołem w deskę rozdzielczą. Wzdrygnął się i wytrzeszczył oczy.

– Tak! Jasne! – parsknął. – Coś mówiłaś?

– Że jesteśmy na miejscu – wycediła przez zaciśnięte zęby, wyjmując kluczyk ze stacyjki. – Widzę, że żabka otwarta. Wezmę pączki.

Wysiadła, podczas gdy Kostek nie ruszał się z siedzenia. Czyżby znów zasnął? Chyba jest nawet taka choroba. Dziewczyna niespiesznym krokiem obeszła auto i nachyliła się nad oknem od strony pasażera. Konstanty Podbiał miał jednak otwarte oczy. Spojrzał na partnerkę, uśmiechnął się przepraszająco, a potem powiedział:

– Przypomniałem sobie, gdzie widziałem ten tatuaż.

– No? – zainteresowała się Kornelia.

– Odmawiam zeznań, póki nie dostanę pączka i kawy.

36

Spojrzał na zegarek i pokręcił głową. Sięgnął po telefon i wybrał numer. Nie od razu zbliżył aparat do ucha, jakby czuł, że nie warto, bo efekt będzie taki sam jak wcześniej. I jeszcze wcześniej.

– Szefie! – dobiegł kobiecy głos z wnętrza restauracji. – Przyjechali z piwem.

– To przyjmij – zachnął się mężczyzna nazwany szefem. – Czy wszystko muszę robić ja?

Odpowiedzi nie usłyszał. Pytanie było retoryczne, ale lepiej tego terminu nie używać, bo tłumaczenia byłoby przy tym więcej niż to warte. Każde pokolenie jest może silniejsze od poprzedniego, bardziej odporne i żyje kilka laty dłużej, na co są dowody. Ale jest też głupsze. I mniej odpowiedzialne, czego najlepszym przykładem było to, co się teraz działo. Dwie z trzech dziewczyn, które powinny już tutaj być, nie przyszły. Milczały też ich komórki, to znaczy jednej nikt nie odbierał, a w drugiej włączała się poczta głosowa.

– Kurwa jego mać! – zaklął.

– Szef wołał? – Głos dziewczyny tym razem dobiegł z bliższej odległości.

Twój przyszły – pomyślał ze złością, po czym schował telefon.

W takich niełatwych momentach potrafił się jednak zebrać w sobie i, jak to się mówi, rękawy zakasać. Zajrzał do kuchni, gdzie krzątali się kucharze, którzy realizowali pierwsze tego dnia zamówienia, czyli śniadania. Lokal oferował pyszną jajecnicę, oczywiście z jaj ekologicznych, do tego świeżuteńkie pieczywo, oczywiście bezglutenowe. Wszystko tu było prima sort i zgodne z najnowszymi trendami, stąd pewnie takie powodzenie tego miejsca.

Zszedł do piwniczki, gdzie trzymano wina, i zabrał stamtąd dwie butelki na wypadek, gdyby wśród pierwszych gości znalazł się ktoś, kto miał w zwyczaju w ten osobliwy sposób witać dzień na warszawskim Zbawiksie. Osobliwy? Sam by sobie gonił, aby nerwy ukoić. Bo z tym, że jest wiecznie niewyspany, już się pogodził.

Gdy ponownie znalazł się na górze, omal nie zderzył się w drzwiach z Kariną. To była ta jedna ze spóźnialskich, do których nie mógł się dodzwonić.

– Przepraszam, szefie, ale dziecko mi zachorowało. Musiałam pojechać do lekarza, a potem do babci... – wyrzucała z siebie.

– Mogłaś dać znać – zauważył.

– Ale padła mi komórka... Przepraszam.

Cała złość zdążyła z niego ulecieć, tym bardziej że dziewczyna naprawdę wyglądała na przejętą sytuacją. Jeśli nie przerażoną i to nie wiadomo, czym bardziej: chorobą dziecka czy tym, jak zareagują w pracy. Różnie bywało.

– W porządku – zabrzmiał wyrok. – Przebieraj się i do roboty. Ludzie czekają na jedzenie.

Nie chciało mu się nawet sprawdzać, czy to jej komórka milczała, a tej drugiej nie odbierano. Złość mu minęła. A dokładnie połowa złości, albowiem zespół, którym zarządzał, nie był jeszcze w komplecie. Kiedy ta druga się pojawi, być może oberwie za dwie. Mimo że się lubili i ostatnio tak dobrze im się gadało.

– Sambor! – zawołał znów ktoś.

– Mówilem, kurwa, żebyście przyjęli to piwo! – odrzyknął, choć nie wiedział komu, był bowiem wtedy w niewielkiej pakamerze, która służyła za pomieszczenie socjalne.

– Wolelibyśmy się najpierw dowiedzieć, kto je nawarzył, a potem będzie zmuszony wypić.

Głos, który wypowiedział te słowa, należał do mężczyzny. Obcego mężczyzny. Przez sekundę, dwie Sambor rozważał nawet możliwość zamknięcia się w kanciapie. Ale ten ktoś już był przed drzwiami. Facet w średnim wieku.

– Pan jest tutaj menadżerem? – zapytał.

– Tak. – Sambor nie zdążył co prawda się zamknąć, ale najeżyć owszem.

– Nadkomisarz Konstanty Podbiał, Komenda Stołeczna Policji. – Przybysz błysnął mu przed oczami odznaką. – Mogę wejść?

Sambor uchylił drzwi, choć nadal musiał się ich mocno trzymać, bo trzęsły mu się nogi. Co się stało? Czyżby sprzedali alkohol jakiemuś gówniarzowi? A może chodzi o dragi? Przecież często czuło się tu zapach marychy, goście palili w ogródku czy na ulicy...

– O co chodzi? – zapytał, gdy policjant znalazł się w środku.

– Chciałbym się dowiedzieć, czy wszystkie kelnerki są dzisiaj w pracy?

Nadzieja! Jest iskierka nadziei.

– Nie – odpowiedział, przełknąwszy ślinę. – Brakuje Julii. To znaczy Ołeny.

– To w końcu Julii czy Ołeny?

– Naprawdę miała na imię Ołena, ale wołała, żeby na nią mówić Julia.

– Nazwisko?

– Hawryłuk.

– Z Ukrainy?

– Tak.

Policjant rozejrzał się po pomieszczeniu. Zatrzymał wzrok na stoliku, na którym zalegały jakieś papiery i faktury.

– Miała umowę o pracę? – zapytał.

– Nie wiem. To już pytanie do właściciela restauracji. – Sambor gładko odbił niewidzialną piłeczkę. Kto wie, czy nie był to kolejny raz, gdy go o to pytano.

– Jasne. W takim razie zadam łatwiejsze. O tatuaż.

– Miała. Na lewej łydce. To chyba był jakiś ptaszek.

– A dlaczego „był”?

Przeplływająca przez gardło Sambora ślina znów poruszyła jego grdykę. Poczul, że się czerwieni. Uśmiechnął się nerwowo i bąknął:

– Tak powiedziałem?

– Dokładnie. Ale przecież każdemu się zdarza przejęzyczyć, prawda? Niech mi pan jeszcze powie z łaski swojej, czy to może jest ten ptaszek. – Policjant sięgnął w zanadrze i wyciągnął fotografię obciętej nogi. Czas na delikatności i wciskanie bajek o monitoringu minął.

Menadżer odskoczył, jakby mu pod nos podetknięto nie zdjęcie, ale prawdziwą część ciała człowieka, ze zwisającymi strzępkami rozerwanych mięśni i zaschniętą krwią.

– Co... co to jest?! – krzyknął przerażony.

– Nie co, a kto. I właśnie staramy się to ustalić – odrzekł ze spokojem Kostek.

Menadżer nie patrzył na fotografię, którą prezentował policjant.

– Muszę się napić czegoś mocniejszego – sapnął w końcu.

Minutę później zajmowali miejsca przy jednym ze stolików. Gdy Kostek był tutaj z Kaśką, siedział kawałek dalej. Obsługiwała ich wtedy właśnie Julia. Czyli Ołena Hawryluk. Pamiętał, że nie pożałował jej napiwku. Ech, gdyby człowiek wiedział...

– A może to jednak ktoś inny. – Sambor spojrział z nadzieją na policjanta.

– Jest taka możliwość – odparł Kostek. – Podobnych tatuaży jest dużo.

Dołączyła do nich Kornelia, którą zostawił na czatach na wypadek, gdyby pan menadżer spanikował.

– Dzień dobry – przywitała się.

Tym razem Podbiał nie zapomniał o współpracownicze, choć ograniczył się tylko do wyjaśnienia:

– Pracujemy razem.

Menadżer skinął jej głową. Podobny gest ujrzała kelnerka, która przyniosła mu stopkę wódki. Wychylił ją, a potem spojrział pytająco na policjantów, ci jednak podziękowali niemo.

– Kiedy się widzieliście ostatni raz? – kontynuował Kostek.

– Dzisiaj w nocy. Zamykaliśmy lokal. Potem zamówiła Ubera.

– Widział pan, jak do niego wsiadała? – zapytała Kornelia.

– Nie. Powiedziała, że kierowca czeka na Nowowiejskiej, prawie przy wejściu do metra Politechnika, i w tamtym kierunku poszła. Teraz dzwonię do niej od rana i cisza...

– Mówiła coś? Może miała jakieś obawy? – dopytywał się Podbiał.

Cisza. Sambor nerwowo spojrział w bok. Czyżby myślał o wypiciu na drugą nóżkę?

– To ważne, proszę pana – ton Kornelii, która przyszła w sukurs starszemu koledze, był łagodny, jakby zwracała się do dziecka. I chyba podziałało.

– Prawie jej nie znałem – powiedział Sambor. – Zaczęła pracować jakieś dwa tygodnie temu. Bardzo potrzebowaliśmy wtedy ludzi, bo wszystko ruszało od nowa, a nie wszyscy wrócili do roboty. Umówiliśmy się na konkretną kasę za godzinę i tyle.

– Bez umowy? – Podbiał podniósł brew, ale widząc minę faceta, dodał z uśmiechem: – Spokojnie, nie doniesiemy do PIP-y ani nigdzie indziej.

– Miała podpisać umowę, ale jakoś nie było czasu. Napiwki dostawała, była zadowolona, więc co tu więcej kombinować?

– W sumie prawda – zgodziła się Kornelia. – Na polską emeryturę pewnie nie mogła liczyć. Nawet my nie jesteśmy pewni, czy coś dostaniemy.

Podbiał zmierzył ją dziwnym spojrzeniem, ale nic nie powiedział. Przeniósł wzrok na menadżera, ale nie zdążył mu zadać pytania.

– Czasami miałem wrażenie, że niektórzy klienci... – Sambor przerwał i znów nerwowo potarł dłonią policzek. – Jakby to powiedzieć... Na za dużo sobie w stosunku do niej pozwalali. Słyszałem kilka razy niewybredne komentarze, a jakiś facet złapał ją nawet za tyłek. I wcale nie był mocno wstawiony. Pewnie każda na jej miejscu zareagowałaby błyskawicznie i stanowczo. Może nawet w pysk by dostał. A ona nie. Po prostu poszła dalej.

– Może bała się o pracę? – spekulowała Kornelia.

– O pracę? Sam bym chętnie dał takiemu po ryju! – zacietrzewił się mężczyzna.

– Ale pan nie dał – dokończył Kostek, a w duchu dodał: Pewnie wypierdoliłbyś ją na zbity pysk, gdyby spróbowała się odwinąć.

Sambor zwiesił głowę. Podniósł ją jednak, gdy obok pojawiła się kelnerka. Wystarczyło, że na nią spojrział. Dziewczyna, która w związku z nieobecnością Ołeny Hawryluk musiała się nachodzić dużo więcej, wiedziała, co ma robić. A Podbiał wiedział, że należy się streszczać.

– Czyli zaczepiano ją, tak? – powtórzył. – Ile razy się to zdarzyło?

– Nie pamiętam – odpowiedział menadżer.

– A ona nic nie powiedziała? Nie poskarżyła się przełożonemu?

– Chyba raz ją o to zapytałem. Machnęła ręką i powiedziała, że to jakiś stary znajomy. I że nic się nie stało. Sumienna była dziewczyna, nigdy się nie spóźniała do roboty, chętnie pomagała koleżankom...

A po fajrancie pracowała jako wolontariuszka w hospicjum albo schronisku dla psów – dokończyła w myślach Kornelia.

– Słuchajcie, a może to naprawdę nie ona? Gdzie znaleźliście te... – zamiast dokończyć, nazwać nogę nogą, menadżer wykonał kilka dziwnych ruchów ręką.

Policjanci zignorowali pytanie. Wstali od stolika.

– Czy Ołena miała tu jakąś szafkę albo coś takiego? – zapytała Kornelia. – Miejsce, w którym się przebierała? Czy może mamy zapytać o to właściciela restauracji?

Kiedy na stole pojawiły się jeszcze dwie stopki wódki, przyniesione przez kelnerkę, można było uznać rozmowę za zakończoną. Niby po paru głębszych bywa, że co w sercu, to na języku, ale z pana Sambora nie mogło już być większego pożytku. Dlatego Kostek zarządził odwrót.

Nie opuścili jednak restauracji. On zajął się szafką, w której Ołena Hawryluk trzymała swoje rzeczy, Kornelia zaś podpytywała o nią pozostałe kelnerki. Na szczęście goście śniadaniowi już sobie poszli, a nowi jeszcze nie dotarli. A nawet gdyby było inaczej, to nie było komu nadzorować pracy, albowiem menadżer Sambor, po spożyciu w sumie trzech pięćdziesiątek wódki, był bez reszty pochłonięty sobą. Trzymał telefon przy uchu. Kto wie, może wciąż usiłował się dodzwonić do Ołeny, a może wzywał posiłki.

Kwadrans później Konstanty Podbiał i Kornelia Banaś siedzieli w samochodzie jadącym Marszałkowską na północ.

– Co mamy? – zapytał policjant, który rozwalił się na miejscu pasażera, przez co przypominał instruktora jazdy gnębiącego kursantkę dodatkowymi pytaniami. Tak zresztą chyba trochę było.

– Ktoś morduje Ukrainki – odpowiedziała podkomisarz Banaś, nie odrywając wzroku od tego, co miała za przednią szybą. – Młode i ładne.

– Dlaczego mamy łączyć te dwie sprawy?

– Po pierwsze metoda. Ofiary zostały uduszone albo utopione, za czym przemawia miejsce znalezienia zwłok, a następnie z jakichś powodów ktoś zabrał tułów każdej z nich. Co z nim zrobił? Tego jeszcze nie wiemy, ale już teraz można powiedzieć, że to wyjątkowy zwyroł. W pewnym momencie pomyślałam sobie nawet, że skoro rzecz się dzieje nad wodą i zniknęły ciała kobiet od pasa w górę, to może...

– Co?

– Ale się nie śmiej ze mnie, dobrze? Skojarzyło mi się z...

– Z syrenami? – dokończył.

Jednomysłność para policjantów uczciła chwilą ciszy.

– Wracając do rzeczy – podjęła Kornelia – obie dziewczyny miały podobne tatuaże. Dzięki temu wiedzieliśmy, gdzie pytać o dzisiejszą ofiarę, to znaczy ty wiedziałeś. Oczywiście sprawdziłabym również nagrania monitoringu ulicznego z Nowowiejskiej z ostatniej nocy, bo jest całkiem możliwe, że kierowca i morderca to ta sama osoba.

– OK, na razie idzie ci całkiem nieźle. Jak zdążysz przeciąć Aleje przed zmianą świateł, masz kolejny punkt.

Ale Kornelia była poważna, jeśli nie przerażona, chociaż oczy miała suche. I tym razem to ona zadała pytanie starszemu koledze:

– Powiedz mi, dlaczego ktoś robi coś takiego.

– Pytasz o metodę czy o to, że w ogóle zabija? – Kostek spojrział na nią z ukosa.

– O wszystko.

– Mam nadzieję, że się tego szybko dowiemy. Ale tak na gorąco: jedna pracowała w sklepie, druga w modnej knajpie. Wydaje się mało prawdopodobne, że ktoś postanowił je zabić, ponieważ zabierały miejsca pracy Polkom. U nas chyba jeszcze do tego nie doszło i oby tak jak najdłużej zostało. Ale pewności nie ma. Albo że ktoś inny został obsłużony nie tak, jak trzeba. Ta babka z marketu w Żółtych Tarasach mówiła

zresztą, że Ludmiła była bardzo sumienną pracownicą. Czasem nawet lepszą niż jej polskie koleżanki.

– Podobnie o Olenie mówiły inne kelnerki – weszła mu w słowo policjantka, zmieniawszy sprawnie pas z lewego, którym wlokła się jakaś furgonetka, na środkowy. – Złego słowa nie usłyszałam, a przecież w takich miejscach różnie bywa. Wiesz, że ona potrafiła się nawet podzielić kasą z napiwków?!

– Nie dostaję napiwków, więc nie wiem, jak to jest. Łapówek i haraczy też nie, chociaż propozycje się zdarzały. Jakies inne motywy?

– Czy ja wiem... A może polityka? Zemsta za Wołyń?

Kostek nadął policzki. Nie było to wcale takie głupie. Temat tak zwanej krwawej niedzieli wracał zawsze co roku w okolicach pierwszej dekady lipca. Nieraz widział to, co zrobili Ukraińcy, utrwalone na zdjęciach: poprzecinane piłą ciała mężczyzn, porąbane na kawałki dzieci, ciężarne kobiety z rozprutymi brzuchami...

– Kto wie – mruknął. – Może trzeba będzie przejrzeć wszystkie nasze filmy z kilku ostatnich marszów niepodległości, poszukać podobnych haseł. Robota na całe tygodnie. W sam raz dla początkującej.

Banaś nic nie odpowiedziała.

– Wróćmy jednak na ziemię. W jej szafce, do której udało mi się dostać, znalazłem kilka ciekawych rzeczy.

– Czyli mamy już pewność, że to ona? Olena Hawryluk?

– Chyba tak. Ale ostateczny głos należy do patologa.

Konstanty spojrział w boczną szybę. Chodnikami Marszałkowskiej w obu kierunkach zmierzali dokądś przechodnie. Można było iść o zakład, że usłyszy się tam któryś ze wschodnich języków. Tak, miało się z nimi styczność niemal na każdym kroku, choć pewnie tylko nieliczni potrafili odróżnić język Puszkina od ukraińskiego czy białoruskiego. Ale i tak wszystkich, którzy się nimi posługiwali, równała polszczyzna, którą musieli w większym lub mniejszym stopniu przyswoić, aby móc w tym mieście pracować. Tutaj już zgadnąć, kto skąd przyjechał, było niemożliwością. Pewne było tylko, że ze Wschodu.

Kiedyś Kostek był świadkiem scenki, w której dziadek próbował nauczyć wnuczka, pięcio-, najwyżej siedmiolatka, nowych słów. Pytał go, jak się nazywa fachowiec, który naprawia krany i rury. A chłopczyk odpowiedział: Ukrainiec! Innym razem słyszał o awanturze, którą spowodowało ogłoszenie na jednym z portali społecznościowych. Chodziło o to, że jedna pani poszukiwała Ukrainki do posprzątania domu, bo „jej Ukrainka” zachorowała. Pamiętała, że babie mocno się za te słowa oberwało. A przecież jeszcze nie tak dawno to Polacy byli za zachodnią granicą tym, kim dziś są u nas przybysze z przeciwnej strony!

Z zamyślenia wyrwał go śmiech Kornelii. Sekundę później koła samochodu chrupnęły na szynach tramwajowych. Z ronda Dmowskiego zjechali jako ostatni.

– Melduję, że zdobyłam punkt – powiedziała. – A właściwie dwa. Pamiętasz, że wspominałam, że jednego ze znajomych Ludmiły udało mi się namierzyć?

– Nie. Ale mów dalej. – Kostek na chwilę przymknął oczy.

Tylko zazgrzytała zębami. A potem mocniej niż trzeba nacisnęła na hamulec. Zbliżali się do skrzyżowania z Królewską.

– Jak dojedziemy do komendy i znajdziemy się w naszym pokoju, może obejrzysz moje nogi? – zapytała zmienionym głosem.

– To już ten etap? – zdziwił się Kostek.

– Nie schlebiaj sobie. Zrobię to po to, żebyś mógł je rozpoznać, jak mnie utopi i poćwiartuje. Bo zamierzam się spotkać z tym człowiekiem.

Podbiał skrzywił się.

– Odpowiedział na zwyczajowe „cześć, co słycać?” – zapytał.

– Owszem. I jest w Warszawie.

– To jeszcze o niczym nie świadczy. Odkąd wszystko ruszyło, ludzie znów nie wiedzą, gdzie ręce włożyć. Zanim znajdzie czas na randkę, my pewnie zakończymy śledztwo.

– Skąd ta pewność?

– Wiemy dużo, a wkrótce będziemy wiedzieć jeszcze więcej. Tylko trzeba to jeszcze w miarę sensownie poukładać.

– Jak puzzle?

– Jak puzzle.

Chwilę później dotarli do Pałacu Mostowskich. Na placu między frontonem gmachu a kinem Muranów już zbierali się pierwsi protestujący.

38

Podbiał miał rację – trzy godziny później wiedzieli już dużo więcej.

– A to ciekawe – mruknął, oddając dokument podinspektorowi Kontrze, który osobiście przyniósł go przed minutą do pokoju podwładnego, co też mogło o czymś świadczyć. I przemawiać na korzyść adresata albo wręcz przeciwnie.

– Dobrze wieści? – zaciekała się Kornelia.

– Owszem. – Krzysiek chrząknął z zakłopotaniem. – Pan nadkomisarz będzie zeznawał w sprawie przekroczenia uprawnień.

– Nie rozumiem. – Dziewczyna patrzyła to na partnera, to na przełożonego.

Podbiał machnął ręką i rzucił od niechcienia:

– Nic takiego. W poniedziałek spędziłem jakiś czas na przystanku tramwajowym. Dwaj sympatyczni chłopcy z osiedla bardzo chcieli pomóc służbom oczyszczania miasta. Niestety, kosz na śmieci pechowo wypadł im z rąk i wleciał do tramwaju. Przez zamknięte okno. Trochę mi się to nie spodobało.

– Najwyraźniej ktoś im podpowiedział, że można coś na tym ugrać – wtrącił Kontra.

– Czuję tu kuchnię poetycką mecenasa Słodowca. Kiedy to przyszło? – Podbiał spojrział na przełożonego.

– Dzisiaj rano.

– I co masz zamiar z tym głównym zrobić?

– Jeszcze nie wiem. – Kontra potarł dłonią czołko, która już zaczynała ciemnieć od odrastającej szczeciny. – Na razie nie chce mi się o tym myśleć. Sytuacja jest trudna, sam widzisz, co się dzieje za oknami. Przydałby się jakiś kozioł ofiarny... – Mrugnął do Kornelii.

Kostek na chwilę wznosił oczy ku sufitowi i zaklął bezgłośnie.

- Z drugiej strony – ciągnął podinspektor – są wakacje, niedobory kadrowe i takie tam, więc mam prawo zająć się w tej chwili czymś innym, nie?

- Czy ja już o tym czasem nie słyszałam? – zastanawiała się głośno Kornelia.

- Owszem, słyszałaś – burknął Kostek. – Tamten policjant też był na urlopie. Ale, niestety, nie miał tyle szczęścia i trafił w tramwaju na nabuzowanych gnojków. Morał z tego taki, że lepiej się nie wtrącać. Wtedy nie będzie człek miał kłopotów.

- Albo po prostu dać się zabić – dokończył beznamiętnym głosem Krzysiek, po czym obaj z głównym winowajcą spojrzeli na młodszą koleżankę. – Miałby wtedy spokój.

Dziewczyna szybko odwróciła głowę i utkwiała wzrok w zieleni Ogrodu Krasińskich, a może w korku, który robił się przed placem Bankowym.

- A tak z innej beczki, to macie coś dla mnie? – zapytał szef.

Na te słowa Kostek się ożywił. Sięgnął po papiery.

- Owszem. Części ciała z Fortu Bema należą do Ołeny Hawryluk. W laboratorium porównano na cito materiały DNA ze znalezionych nóg oraz włosów, które znalazłem w użytkowanej przez nią szafce. Właściciel, menadżer i kelnerki z knajpy na Zbawixsie dostali wezwanie do złożenia zeznań. Będą musieli się nieźle tłumaczyć, choćby dlatego, że adres Ołeny na Białołęce, który mi podali, jest fałszywy. Nie ma takiego numeru, nie ma takiego numeru – Podbiał imitował metaliczny, znany skądinąd głos.

- Pewnie dali, jaki mieli – mruknął Kontra. – Pytanie, dlaczego ona podała im zmyślane dane do dokumentów? Jeśli w ogóle jakąś umowę miała...

Kostek rozłożył ręce.

- Najwyraźniej czegoś się obawiała – rzekł. – Może naszych miłych kolegów ze Straży Granicznej albo Służby Celno-Skarbowej. A może jakiegoś faceta, od którego uciekła. Może też z tych powodów wołała, żeby na nią mówić Julia.

- Nie zapominajmy o pierwszej ofierze, która też chachmęciła z personaliami – wtrąciła się Kornelia. – Ludmiła Szewczenko używała nazwiska Nowak.

- Ciekawe, ciekawe – mruknął podinspektor.

- Z innych rzeczy – perorował Kostek – mamy nagrania z miejskiego monitoringu. Rzeczywiście, ofiara wsiadła do samochodu, który czekał na nią na ulicy Nowowiejskiej, zresztą blokując tory tramwajowe. Na szczęście nic już o tej porze nie jeździło.

- Na szczęście dla niego, pechowo dla nas – rzekł Kontra.

- Nie da się ukryć. – Kostek zaszeleścił papierami. – Samochód marki opel astra koloru ciemnozielonego, numer rejestracyjny: Wanda, Olga, Stefan, sześć, dwa i tak dalej. Skradziony tej samej nocy na Tarchominie.

- Właściciel?

- Emerytowany nauczyciel matematyki. Czysty, choć już nieźle zesrany. Nie wiadomo, czy będzie w stanie w ogóle wsiąść do auta, które posłużyło do zbrodni. Nawet gdy nasi technicy tak je wypędzelkują, że będzie można mówić: Niemiec płakał, jak sprzedawał!

- Pod warunkiem że się wózek znajdzie w jednym kawałku – zastrzegł Kontra.

- Zgadza się. Następnie nasza zielona astra została złapana przez kamery monitoringu nowego osiedla w Forcie Bema. Na filmiku widać, jak mężczyzna wyciąga bezwładne ciało z auta, a resztę to już znacie.

– Da się go rozpoznać?

– Niestety nie. Przez robactwo, które obsiadło kamerkę. Wiadomo, że w takim zielonym miejscu, w dodatku ze zbiornikami z nieruchomą wodą, jest tego od cholery. Chciałbym jednak cofnąć się kawałek. Menadżer w rozmowie z nami zeznał, że Ołena zamówiła Ubera, aby wrócić do domu. Ale przecież to nie był żaden Uber. Czyli co? Ten facet włamał się do ich systemu i dzięki temu dowiedział się, że zamówiła transport? Ale i tak miał pewnie na nią czekać inny wóz, więc dlaczego Hawryluk wsiadła do tego opla?

Kontra objął głowę dłońmi.

– Nic już z tego nie rozumiem – mruknął.

– A może Ołena tylko powiedziała Samborowi, że to Uber, a pojechała po prostu z jakimś znajomym, który na nią czekał? – odezwała się milcząca od dłuższej chwili Kornelia. – Albo jakimś nieznanym, który zaoferował podwózkę.

– Wsiadłabyś do takiego auta w środku nocy? – zapytał Kostek.

– A skąd!

– No właśnie. Poza tym kto kradnie samochód, żeby odwieźć babkę do domu?

– Może ktoś zakochany?

– Tak. Na zabój.

Na chwilę zapadła cisza. Przerwał ją Kontra.

– A może po prostu była zmęczona po całym dniu chodzenia między stolikami a kuchnią i nie zauważyła marki – spekulował. – Zapytała, czy zamówiony, a gdy ten potwierdził, wsiadła do środka. I wpadła w sieć jak rybka...

– Jak syrena! – sprostowali jednocześnie Kostek i Kornelia.

– Syrena?

– Tak nieoficjalnie nazwaliśmy tę sprawę – wyjaśnił policjant.

Po chwili sięgnął po plastikową torbę, w której przyniósł rzeczy znalezione w szafce ofiary. Niewiele tego było: szminka, grzebyk, gumka do włosów. Jakies tabletki, sądząc z czcionki na opakowaniu – ichtnie. Pewnie od bólu głowy. Kilka plastrów, bo w takiej robocie nietrudno o skaleczenia czy otarcia, zarówno rąk, jak i stóp. Jak plaster, ale na duszę, miał pewnie działać kolorowy obrazek z jakimś świętym, najpewniej prawosławnym, bo podpisany był cyrylicą. Podobny format co obrazek miało kilka wizytówek.

Ktoś zapukał do drzwi i zaraz nacisnęła klamkę.

– Szeffie – dobiegło z korytarza. – Góra woła.

– Już idę – odpowiedział podinspektor.

– Oby nie chodziło o sprawę tamtych dwóch śmierdzieli – mruknął Kostek.

– Spokojna głowa. Pogadamy jutro. Lećcie już do domu, odpocznijcie, bo od świtu jesteście na nogach.

Tylko od którego świtu? – zapytał w myślach Kostek.

Ledwo zostali sami, złowił pytające spojrzenie młodszej koleżanki.

– Co? – fuknęła.

– A nic. Zastanawiam się tylko, co powiem, gdy mnie jakieś media poproszą o wspomnienie o tobie. Czy bardziej jesteś podobny do Brudnego Harry'ego czy jednak do ześwirowanego Riggsa z *Zabójczej broni*?

– Naprawdę znasz te filmy? Pani mnie zadziwia, pani komisarz. Może jeszcze któryś z nich sprawił, że zostałaś gliną, co?

Dziewczyna zignorowała pytanie. Ważniejszy był werdykt:

– Myślę, że jednak Riggs.

– Pani mi naprawdę schlebia, pani komisarz – uśmiechnął się Kostek. – Myślę, że czas najwyższy zdjąć spodnie.

– Poważnie?

– Czemu nie! W końcu przełożony kazał nam iść do domu, a w wolnym czasie możemy robić, co nam się podoba.

39

– Ogłaszam dwugodzinną przerwę w obradach.

Przewodniczący komisji zdecydowanym, jeśli nie gniewnym ruchem wyłączył mikrofon. W świetłach kamer zdążyły jeszcze błysnąć groźnie szkła jego okularów. Zgromadzeni przy stole posłowie i posłanki, zasiadający w specjalnej, działającej od niespełna tygodnia, ale już popularnej w mediach komisji, zaczęli podnosić się z miejsc. Ktoś zachichotał, inna para, niekoniecznie z tego samego klubu parlamentarnego, umawiała się za kwadrans na późny obiad.

– Ty, patrz. – Wysoki mężczyzna z sumiastymi wąsami trącił łokciem kolegę, wskazując na grupkę dziennikarzy. – Ten już biegnie wylewać gorzkie żale.

– Gwiazdor jebany – ocenił z pogardą zagadnięty.

– Mówią, że posuwa tę dziennikarkę.

– Którą?

– Tę, co się do niej już wszyscy boją chodzić.

– Aaa! Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że to prawda. Pasują do siebie.

Przytyki dotyczyły innego członka komisji, który, w istocie, zamiast na obiad czy na papierosa, a nawet do sejmowej kaplicy, kroki skierował w stronę dziennikarzy akredytowanych przy przesłuchaniach. Ci zwykle rzucali się na osobę, którą właśnie bez litości maglowała powołana niedawno speckomisja. Teraz jednak przesłuchiwanemu świadkowi udało się wymknąć. Był zresztą nieciekawy, niemedialny. Taki buc – oceniano go w gronie żurnalistów. A Witolda Gawina, bo tak właśnie nazywał się ów poseł, który z nimi rozmawiał, zawsze przyjemnie było i słuchać, i oglądać.

– Panie pośle, proszę powiedzieć, kiedy skończą się prace komisji? – zadała pytanie rudowłosa dziennikarka, podtykając mu mikrofon pod brodę.

– To pytanie do przewodniczącego – odparł z uśmiechem Gawin, wodząc wzrokiem sprawiedliwie po wszystkich obecnych przedstawicielach mediów. – Ja jako szeregowy członek komisji mogę tylko wyrazić swoje przypuszczenia i życzenia.

– Słuchamy w takim razie – rzucił z tyłu wyglądający na licealistę chłopak z dyktafonem.

– Zależy nam przede wszystkim na dotarciu do prawdy. Jesteśmy to winni nie tylko naszym wyborcom, ale też wszystkim zwykłym Polakom. Moja partia zrobi wszystko,

co w jej mocy, aby do końca wyjaśnić sprawę, a przede wszystkim, żeby podobne afery już nigdy nie zdarzały się w polskiej polityce. To policzek dla nas wszystkich.

– Co pan może powiedzieć o najnowszych sondażach? – reporter kanału informacyjnego jednej z prywatnych telewizji zmienił temat.

– Nie wierzę w sondaże – odpowiedział Gawin. – Wszystko i tak okaże się przy urnach.

– Ale jeszcze niedawno pańska partia miała dwucyfrowy wynik, a teraz wiele wskazuje na to, że nie przekroczy progu wyborczego...

– Wierzę w moich wyborców, tak jak wierzę w Polskę – odparł ze swadą poseł. – Do wyborów pozostało jeszcze sporo czasu, więc wszystko może się zdarzyć. Dziękuję państwu.

Mimo protestów i kolejnych pytań, zaczął przepychać się przez ciżbę. Wiedział, że lepiej jest pozostawić niedosyt, kilka pytań bez odpowiedzi, niż czekać jak sierota, aż ktoś łaskawie raczy poruszyć kolejną kwestię. Miał się za wytrawnego gracza. Zbyt wielka była też stawka, o którą grał. Nie mógł sobie pozwolić na chybione ruchy.

Zbiegł po schodach i skierował się ku restauracji. Był głodny, bo komisja pracowała od rana, bez przerwy, w napięciu wymuszonym przez obecność kamer. Postanowił jednak wytrzymać jeszcze kilka chwil i wpaść do klubu poselskiego. Po gmachu Sejmu poruszał się jak po własnym domu. Znał tu wszystkie zakamarki i mimo tego, co usłyszał przed paroma chwilami od dziennikarzy, czuł, że zabawi tutaj nieco dłużej niż tylko jedną kadencję.

Jebać sondaże – pomyślał.

Był w połowie drogi do biura, gdy poczuł w kieszeni wibrowanie ściszonej na czas obrad komórki. Wyjął ją, spojrzał na mrugający wyświetlacz, ściągnął brwi.

– Słucham.

Po kilku sekundach wiedział już, że nie dojdzie ani do biura, ani do restauracji.

40

Gdy spojrzała na zegarek, stwierdziła, że zbliża się dwudziesta. Otworzyła torebkę. Lusterko stuknęło o coś metalicznie, zanim je wyjęła. Dyskretnie przyjrzała się swojemu odbiciu. Malowała się od święta, dlatego nie była pewna swojej ręki. Tak, nie ma nic gorszego jak przez pół dnia chodzić z nierówno rozłożonym podkładem, który może być łatwo pomyłony z siniakami.

Teraz musiała jeszcze bardziej przyłożyć się do tej prostej skądinąd, codziennej, kobiecej czynności. I to nie tylko po to, aby wyglądać atrakcyjnie. Z tych samych powodów zamiast dżinsów i sportowych butów włożyła szpilki i letnią sukienkę, białą w niebieskie kwiaty. W sumie nawet była z tego rada, bo ostatnio nie miała zbyt wielu okazji, aby ją nosić.

– Coś podać? – zapytał ją kelner.

– Nie, czekam na kogoś – odpowiedziała, chowając lusterko do torebki; tym razem jednak zrobiła to pod blatem stolika. – Jeszcze chwilę...

– Może donieść jeszcze jedną kartę?

– Dziękuję, ta wystarczy.

Chłopak poszedł. Po chwili znów usłyszała jego głos:

– Dzień dobry. Na ile osób stoliczek?

Spojrzała w kierunku wejścia. Nie, to nie on. Tylko czy w ogóle będzie w stanie go rozpoznać? Ludzie na profilu zamieszczają czasami nie swoje zdjęcia, aby tylko przyciągnąć uwagę. Ale to ma zbyt krótkie nogi. Jednak nawet największego brzydala można sfotografować w taki sposób, aby wyglądał lepiej. I jak się potem wymiksować z czegoś takiego? Może po prostu wstać pod pozorem odwiedzenia toalety, przypudrowania noska, i nie wrócić? Ważne, żeby wcześniej niczego nie zamawiać.

Ciekawe, czy ten lokal ma jakieś drugie wyjście – zastanawiała się. W sumie to od niej zależało, gdzie się spotkają, więc mogła wybrać właśnie taką knajpkę, z której ewakuacja będzie łatwa. Teraz to już po ptakach.

– Cześć!

Drgnęła i szybko podniosła wzrok.

– Czarek? – zapytała.

Wyciągnął do niej rękę. Okazała się wilgotna, ale mimo to, walcząc z obrzydzeniem, uściśniła ją mocno. Kiedy usiadł naprzeciwko, dyskretnie potarła dłoń o sukienkę na kolanie.

– Długo czekałaś? – zapytał.

– Dopiero co przyszłam – skłamała.

Co dalej? Nie miała zbyt wielu doświadczeń w takich randkach, właściwie to nie miała ich wcale. Zawsze wydawało jej się to głupie. Poznać kogoś na imprezie, a dopiero potem się umówić, to co innego. Wiesz mniej więcej, czego się spodziewać, nie ma żadnych niespodzianek, jeśli chodzi o wygląd. Gęba, wzrost, budowa ciała – to wszystko ważne. Ale przecież jest jeszcze sto jeden innych rzeczy, na które zwraca się uwagę. Choćby łupież na kołnierzu. Wtedy koniec, nie ma opcji. Kłaki wystające z nosa. Brrr! Albo miód w uszach. To chyba jeszcze gorzej.

– Wiesz, trochę mnie zaskoczyłaś propozycją dzisiejszego spotkania – przyznał Czarek, splótłszy przed sobą oślizłe paluchy.

– Naprawdę? – zaśmiała się. – Według mnie szkoda czasu na ceregiele. Poza tym jutro wyjeżdżam z Warszawy, więc pomyślałam: dlaczego nie?

– Na długo wyjeżdżasz?

– Jeszcze nie wiem. Jestem już spakowana, mam bilet i na razie myślę tylko o podróży. No, oczywiście teraz nie. Teraz cieszę się spotkaniem...

Jesteś niezła – oceniła samą siebie.

– Coś nie tak? – przestraszył się mężczyzna, a po chwili aż poczerwieniał.

– Nie, wszystko dobrze. Ja się z kolei cieszę, że się zgodziłeś. Ludzie są teraz tak zawaleni robotą, że ciężko się spotkać. Zamawiamy coś? – zakończyła pytaniem, bo przy ich stoliku znów pojawił się kelner.

Zamówili po herbatce. Tym samym akcja „odwrot” stała się niemożliwa. Ale chyba nie była też konieczna, albowiem Czarek zyskiwał z każdą chwilą. Zupełnie inaczej go sobie wyobrażała „w realu”. Dużo robił oczywiście głos i jego tembr, zasób słownictwa, świadczący o inteligencji i wykształceniu, mimo że jedno z drugim nie zawsze chodziło

w parze. Starala się wyciągnąć od niego jak najwięcej informacji, robiąc to tak, by nie być wziętą za zbyt ciekawską czy nachalną.

– Dlaczego podałaś inne imię na swoim profilu? – zapytał Czarek.

– Raczej przestawiłam ich kolejność. Tatiana mam na drugie, a kiedy zakładałam ten profil, wydało mi się bardziej odpowiednie. Zdradzam je tylko temu, z kim mi się dobrze gadało.

– Czyli to coś w rodzaju tajemnego hasła?

– Można tak powiedzieć. Jak „sezamie otwórz się!”.

Zaśmiali się.

– Zawsze gdy pytam dziewczyny o powód, dla którego pojawiły się na tym portalu, słyszę: koleżanka mnie namówiła. – Czarek przewrócił oczami.

– Ja nie mam tu prawie nikogo. Ciągłe tylko praca i praca... – Pochyliła na chwilę głowę.

– Dobrze mówisz po polsku, Tatiana.

– Wszyscy mi to mówią.

Znów pojawił się niezawodny kelner z pytaniem, czy czegoś jeszcze sobie życzą. Tatiana spojrzała pytająco na Czarka.

– Nie. Poproszę o rachunek. Gotówka – ubiegł pytanie o płatność, a gdy chłopak się oddalił, powiedział do dziewczyny: – Oczywiście ja zapraszam.

– Dziękuję.

– Napiłbym się czegoś mocniejszego, ale już nie tutaj. Mam nadzieję, że się nie spieszysz?

Spojrzała na zegarek.

– Chyba mam jeszcze chwilę – oceniła i po chwili dodała: – Myślę, że akurat na jedną kolejkę.

Wstali od stolika. Gdy stanęła przy Czarku, mogła ocenić, jak jest wysoki. Nie było to dla niej najważniejsze kryterium, ale facet nigdy nie mógł być niższy. Brakowało jej do niego jakichś dziesięciu centymetrów, więc w sam raz. Nie trzeba się na palcach wspinać.

Gdy wychodzili, szarmancko przepuścił ją w drzwiach. Na zewnątrz robiło się już szaro.

– Może zejdziemy nad Wisłę? – zaproponował. – Lubię te drewniane knajpki w okolicach mostu Poniatowskiego. Byłaś?

– Nie – odpowiedziała. – Możemy pójść.

Droga uliczkami Powiśla nie zajęła im wiele czasu. Przez cały czas rozmawiali, głównie o tym, czym żył przez ostatnie miesiące kraj, a właściwie to cały świat. Mężczyzna cieszył się, że firmie, w której pracował, udało się przejść przez wszystko suchą stopą.

– U mnie też nieźle, chociaż musiałam zmienić pracę – wyznała Tatiana. – Ale jest lepiej, niż myślałam. A teraz wybieram się do domu. Prawie rok nie widziałam rodziców i siostry.

Chwilę po tym, jak to powiedziała, mężczyzna kilka razy otarł się ramieniem o jej ramię. Nie zareagowała na to. Wkrótce znaleźli się na placu, nad którym górowała warszawska Syrenka, i zeszli na bulwary. Mimo późnej pory pod Mostem

Świętokrzyskim spora grupka młodych ludzi szalała na deskorolkach. Kawalek dalej odbywał się tradycyjny pojedynek brazylijskiej capoeiry – walczącym kibicowało w kółku kilkanaście osób, choć wszystko bardziej przypominało taniec niż prawdziwą konfrontację.

Pięć minut później siedzieli w ogródku jednej z knajpek przy bulwarze Pattona i pili czerwone wino. W pewnej chwili mężczyzna dotknął ręki Tatiany i pochylił się nad stołem.

– Poznaliśmy się na portalu randkowym, więc to chyba ułatwia wiele spraw, nie sądzisz? – powiedział ściszym głosem. – Poza tym ty sama zaproponowałaś spotkanie. Nie będę ukrywał, że... że bardzo mi się podobaś, Tatiana. Od pierwszej chwili.

Dziewczyna uśmiechnęła się, ale powoli uwolniła swoją dłoń z uścisku. Cezary wypił duszkiem swoje wino i znów utkwiał spojrzenie w siedzącą naprzeciwko.

– Chodźmy do mnie – jego głos przeszedł w szept.

Ona też sięgnęła po kieliszek, ale upiła tylko dwa łyki. Ręce trzymała przy sobie, lekko, ale jednak zaciśnięte w pięści.

– Wiesz, ja chyba jednak byłam już w tym lokalu – powiedziała, rozglądając się z zainteresowaniem na boki.

– Pewnie z jakimś fajnym facetem, co? – w głosie Cezarego zabrzmiał wyraźny zawód.

– Nie. Z koleżanką. Zresztą z tego samego miasteczka. To niesamowite, ale wpadłyśmy na siebie niedawno przypadkiem na Marszałkowskiej. Nie można było uczcić takiego spotkania.

Siedzący naprzeciwko mężczyzna uśmiechnął się. Chyba był nieco spokojniejszy. Co jednak nie oznaczało, że pod każdym względem. W tej chwili zapewne zastanawiał się, jakich słów użyć, aby rozmowa wróciła na wcześniejszy tor. Skoro dziewczyna gwałtownie nie wstała od stolika i nie wyszła, ba!, mogła mu jeszcze chlusnąć winem w twarz albo dać mu plaskacza, to była szansa. Takie sprawy trzeba załatwiać szybko.

Już otwierał usta, żeby urobić Tatianę jakimś komplementem. Ale ona była szybsza.

– Ta koleżanka ma na imię Ludmiła – powiedziała. – Niestety, ostatnio nie mogę się do niej dodzwonić. Nie ukrywam, że trochę się o nią martwię... Ale może nie powinnam o tym teraz mówić. – Chwyliła za nóżkę kieliszka, ale go nie podnosiła.

– Przepraszam cię na chwilę. – Cezary wstał od stołu.

Spojrzała na niego spod wysoko uniesionych brwi i nie spuszczała z oka, póki nie zniknął w korytarzyku, gdzie znajdowały się toalety.

Za łatwo – pomyślała, sięgając znów do torebki, w której po chwili lusterko metalicznie stuknęło o... służbowy pistolet.

Nie mogła widzieć, że człowiek, z którym umówiła się na randkę i od kilku chwil siedziała już w drugim lokalu, co chyba świadczyło całkiem dobrze o spotkaniu, wcale nie dotarł do męskiej ubikacji. Zatrzymał się w przedsionku i obserwował bar. Otarł dłonią pot z czoła i oddychał ciężko. A gdy kelner oddalił się od baru z tacą, na której stały szklanki z piwem, skierował się ku wyjściu.

Nie spodziewał się jednak, że zaraz za progiem ktoś zastąpi mu drogę.

– Przepraszam – sapnął do kogoś, kogo twarzy nie widział.

– Samo „przepraszam” nie wystarczy – odpowiedział ten ktoś, zaciskając mu palce na ramieniu. – Trzeba jeszcze zapłacić rachunek, a przede wszystkim pożegnać się z panią.

– To prawda. Nie pożegnał się – odezwała się Tatiana, która nie wiadomo kiedy znalazła się również w tym miejscu.

Cezary szarpnął się, ale tamten trzymał wystarczająco mocno. Sekundę później już nie musiał, bo w przegub lewej ręki uciekiniera uderzył zimny metal kajdanek.

– Co to za żarty?! – zawołał Cezary. – Kim wy jesteście?!

– Policja. I nie drzyj się tak, przyjacielu, bo klientów wystraszysz – uspokoił go Kostek Podbiał, by przenieść wzrok na dziewczynę. – Zapłaciłaś za alpagę?

– Tak. Dniówka żywieniowa poszła się gonić. Możemy iść – powiedziała Kornelia, papierową serwetką ocierając z ust szminkę w kolorze krzyczącej czerwieni.

DZIEŃ PIĄTY

41

Tomasz Horn przez cały wieczór bał się, że wpadnie mu jakaś dodatkowa robota. Bo przecież zazdrosna żona znów mogła kazać śledzić męża. Albo ktoś, kto „na chwilę” spotkał się z kolegami w pubie, mógł ulec ich namowom i jednak skusić się na jedno piwo, a po nim to już by poszło. Oczywiście Roman, ten od wind, mógł wykonać telefon do firmy SND i po prostu zamówić auto, tak jak to się stało już dwa razy. Ale chyba wolał, żeby po tym, co się miało stać, nie został żaden ślad. Nie ufał już nikomu, co nie dziwiło.

Z kolei Tomasz mógł poprosić kogoś ze współpracowników, aby przyjął jego zlecenie, ale nie chciał tego robić. Właściwie ich nie znał. Prócz Skoczka, ale ten był chyba jeszcze obrażony za akcję pod Zieloną Gęsią. Na szczęście nic się nie działo, najpewniej ku udręce Kłosa. Przez tych kilka dni Tomasz nawet polubił nowego szefa. Oby tak było i wówczas, gdy przyjdzie do płacenia...

– Prawdę mówiąc, myślałem, że nie przyjedziesz – powiedział Roman, zamknąwszy za sobą drzwi samochodu.

– Słowo się rzekło – uśmiechnął się Horn.

– Słowo coraz mniej dzisiaj znaczy, przyjacielu.

Mimo że na dawnym Służewcu Przemysłowym mieściło się również kilka redakcji gazet, Horn rzadko bywał w tym zagłębiu biznesowym. Wiedział, że w godzinach szczytu tramwaje nie nadążają przywozić, a potem wywozić wyrobników w białych kołnierzykach, a znalezienie miejsca do zaparkowania samochodu graniczy z cudem. Teraz jednak było pięć minut po północy, choć w wielu oknach biurowców wciąż paliły się światła.

Biznesmen w rękę trzymał neser, a w nim najprawdopodobniej pieniądze, które zamierzał przekazać nękającym go szantażystom.

Ugiął się. Jego sprawa – pomyślał Horn.

Było mu wszystko jedno, czy wiezie Romana, amatora dziwek, czy pana Romana, poważnego prezesa firmy sprowadzającej i montującej windy. Co więcej, było mu obojętne, dokąd za chwilę pojedzie. Za kurs tamten płacił ekstra i to było w tym momencie najważniejsze, a perspektywa pozbycia się długu u złych ludzi – o wiele bardziej realna niż jeszcze kilka dni temu.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

Roman podał adres. Kierowca wrzucił jedynekę. Samochód potoczył się Domaniewską, po chwili skręcił w Wołoską. Z galerii handlowej wychodzili jeszcze

ludzie, najpewniej z ostatniego kinowego seansu. Zauważył ich również Roman.

– Takim to dobrze, co? – westchnął. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz w kinie byłem.

Skręcili w ulicę Marynarską. Horn mocniej nacisnął gaz. Zerknął we wsteczne lusterko. Biznesmen apatycznie spoglądał w boczną szybę. Jego dłoń spoczywała na uchwycie neseseru. Ciekawe, ile musiał pracować na jego zawartość. Ile było tego okupu? Sto tysięcy? Może Romanowi i jego firmie zajęło to tylko tydzień i Hornowi niepotrzebnie było go żal?

– Dużo dziś roboty? – dobiegło z tylnej kanapy.

– Da się znieść – odpowiedział Tomasz.

– O której zacząłeś?

Co to ma do rzeczy? – zirytował się Horn, a potem uświadomił sobie, że gość być może w ten sposób usiłuje rozładować atmosferę.

– O szóstej wieczorem – odpowiedział. – Niewiele zleceń, ludzie jakoś nie chcą pić.

– Ja bym chętnie coś wychylił – westchnął Roman. – Ale może jak już będzie po wszystkim...

Po dziesięciu minutach przejechali Alejami Jerozolimskimi pod estakadami Południowej Obwodnicy Warszawy, a potem minęli zjazd na Reguły.

– To tutaj. – Roman wskazał jakieś zabudowania przy drodze. – Skręcaj.

Zatrzymali się. Po chwili biznesmen otworzył drzwi, wysiadł z pojazdu, przeszedł kilkanaście metrów i zostawił teczkę za kamiennym słupkiem z zatartą cyfrą, oznaczającą kilometry. Tomasz poczuł, jak dreszcz przebiega mu przez plecy. Kilka sekund później Roman siedział znów w ciepłym wnętrzu, jednak nie na tylnej kanapie auta, tylko z przodu, obok kierowcy.

– Jedź – rzucił i wskazał boczną uliczkę. – Skręć tam.

Kierowca wykonał polecenie. Po przejechaniu kilkunastu metrów wąską i wyboistą uliczką Roman kazał mu zawrócić. Zawrócili. A potem... ruszyli z powrotem.

– Muszę wiedzieć, kto to jest – rzekł głucho Roman. – Zgaś światła.

– Przecież oni mogą nas obserwować – zauważył przytomnie Horn.

– Jebie mnie, czy mogą obserwować! Może tak, a może nie. Ja w każdym razie darmo skóry nie sprzedam.

Rychło w czas! – pomyślał Horn.

Stanęli kilka metrów przed dwupasmówką, blisko pobocza. Było stąd dość dobrze widać miejsce, gdzie znajdował się pozostawiony neseser. Nie czekali długo. Od strony Pruszkowa nadjechał samochód. Było to sportowe subaru. Zatrzymał się i wysiadł z niego jakiś mężczyzna. Od razu skierował się w stronę słupka i ukrytego tam okupu.

– Nic nie widzę. – Roman złapał za klamkę u drzwiczek.

– Siedź! – krzyknął Horn. – Oni mogą mieć broń.

– Ale ja nic nie widzę!

Biznesmen szarpnął się, otworzył drzwi i wyskoczył z wozu. W sekundę był na skraju ulicy.

– Złodziej! – wrzasnął.

Chyba nigdy w historii tego miasta nikt tak szybko nie zareagował na wołanie o pomoc. Sekundę później zamigotało bowiem kilka niebieskich świateł, zawyła syrena.

– Policja, nie ruszać się! – odezwał się głos w megafonie.

Mężczyzna, który chciał zabrać walizkę z okupem, uniósł w górę rękę. To samo odruchowo uczynił stojący kilkanaście metrów dalej Roman.

– O co chodzi, panowie? O co chodzi? – mamrotał, rozglądając się na boki.

Wtem rozległ się ryk silnika samochodu, którym przyjechali szantażyści. Sportowe subaru z piskiem opon wystrzeliło z miejsca. Po chwili zahamowało i zaczęło się cofać z tyłu, ale też tylko kilkanaście metrów, droga ucieczki była bowiem odcięta z dwóch stron. Z auta ktoś wyskoczył i zaczął uciekać. Nie zauważył jednak przeszkody, która przed nim wyrosła. Runął z krzykiem na ziemię. Chwilę później dopadły go dwa cienie.

Tomasz przyglądał się wszystkiemu, siedząc przez cały czas w samochodzie z rękami na kierownicy. Ale dopiero gdy ujrzał nadchodzących szybkim krokiem dwóch umundurowanych policjantów, z których jeden trzymał długą broń, dłońmi zaczęły mu się z niej po prostu ześlizgiwać.

– Wsiadaj – rzucił jeden z nich, celując mu w oczy mocnym promieniem latarki.

– Ale ja tylko jestem kierowcą... – wyjęczał Horn.

42

Zapowiadała się nieprzespana noc. Już druga z rzędu, żeby być dokładnym. Jednak Konstanty Podbił jakoś nie czuł zmęczenia. Od kilkudziesięciu minut korzystał z gościny zaprzyjaźnionej żoliborskiej komendy, czyli popularnej „piątki”. Zawsze mógł tu liczyć na miłą rozmowę i kubek kawy. Ważniejsze było jednak to, że właśnie do piwnic przy Żeromskiego trafiały zawsze „na przechowanie” kłopotliwe przypadki. Takie jak Cezary Modelski.

– Ja nic nie zrobiłem! Czego ode mnie chcecie?! – zaczął gardłować ten ostatni, ledwo Kostek przestał próg nieoficjalnego pokoju przesłuchań.

Nie było tu weneckiego lustra, za którym „dobry gliniarz” czekałby, aż temu złemu skończą się pomysły i groźby. Albo nawet prokurator. Tylko cztery szare ściany, których jakoś nikt nie chciał odnowić. Czuć też było woń stęchlizny.

– Dobry wieczór – rzucił niegłęboko Kostek.

Położył teczkę na stole, przy którym siedział zatrzymany. Był skuty. Niestety, nie można go było dodatkowo zakneblować, a przydałoby się.

– To bezprawie!

– Też tak uważam, panie Modelski. W tym się akurat zgadzamy. Ale to za mało, abym mógł pana wypuścić. Najpierw muszę się dowiedzieć paru rzeczy.

– Zostałem w perfidny sposób oszukany i zwabiony w pułapkę! – przerwał mu przesłuchiwany.

– Nie sądzę. Sam, a w dodatku z wielką radością i bez zbędnego wnikania w szczegóły, umówił się pan na szybką randkę. Najpewniej z nadzieją na równie szybki seks. Traf chciał, że z naszą funkcjonariuszką. Miała to wliczone w koszty, dzięki czemu nie wniesie oskarżenia o napastowanie seksualne.

– Niczego jej nie zrobiłem.

– To zależy od interpretacji i nastawienia sędziego. Ale dobrze, zostawmy tę sprawę. Zapewne domyśla się pan, o czym będziemy rozmawiali. A raczej o kim.

Cisza. Byle nie trwała zbyt długo.

– Kiedy i gdzie widział pan ostatni raz Ludmiłę Szewczenko? – zapytał Kostek oficjalnym tonem. – Mogła też używać nazwiska Nowak albo poprzestać na imieniu. Nie zdziwiłbym się, gdyby to była ta trzecia opcja.

Znów brak odpowiedzi.

– Wiemy, że pan ją zna.

– Nic nie powiem bez swojego adwokata – odpowiedział Modelski.

Kostek westchnął.

– Ma pan oczywiście do tego prawo i możemy na niego poczekać. – Podbiał teatralnym gestem sprawdził godzinę. – Tutejsze cele może nie są zbyt wygodne, ale na pewno będzie miał pan spokój. Niedawno przeprowadzono deratyzację.

Modelski się wzdygnął. Rozejrzał się po ścianach, może w poszukiwaniu naprędce wymytych śladów krwi.

– Kiedy i gdzie widział pan ostatni raz Ludmiłę Szewczenko? – powtórzył policjant, otworzywszy teczkę.

– Nie pamiętam – odpowiedział cicho Modelski.

– To się zdarza, dlatego odpowiedź zaliczam. – Kostek udał, że coś notuje. – Jak się poznaliście?

– Dzięki aplikacji randkowej.

– Kiedy to było?

– Ze trzy miesiące temu. Nie pamiętam dokładnie.

– To łatwo sprawdzić, jeśli jeszcze ma ją pan wśród par – zauważył Podbiał.

– Niestety, skasowałam.

– Zawsze lepiej to zrobić ze zdjęciem niż z człowiekiem, nie? – rzucił Kostek od niechcenia, bawiąc się długopisem.

Przesłuchiwany zmarszczył brwi, a jego czoło przecięło kilka poziomych bruzd.

– O co panu chodzi? – warknął, gromiąc wzrokiem policjanta. Hardy był, nie ma co.

– A o to, szanowny panie, że pańska znajoma, Ludmiła Szewczenko, nie żyje.

– Co?! – Modelski aż uniósł się z krzesła.

– Została zamordowana w nocy z niedzieli na poniedziałek, a jej ciało rozczłonkowane. Pewnie po to, żeby uniemożliwić nam identyfikację zwłok, choć o psychice sprawcy również można by było na tej podstawie coś powiedzieć. A to wszystko stało się prawdopodobnie całkiem niedaleko miejsca, gdzie wybrał się pan wczoraj na amory. Przypadek?

Mężczyzna klapnął ciężko na krzesło. W ciągu następnych chwil jakby zapadał się w sobie. Złe wieści zaskoczyły go, ale i mocno dotknęły. Albo znakomicie udawał, że tak jest. Nawet miał w oczach łzy.

– Mogę panu pokazać, co znaleźliśmy na brzegu Wisły. – Kostek zaczął przebierać palcami w środku otwartej teczki.

– Nie! – Cezary aż zasłonił się obiema rękami.

– No tak, przecież już to widziałeś.

– Ja nic nie zrobiłem! To nie ja, jak Boga Kocham! – załkał. – Powiem wszystko, jak było...

– W takim razie słucham pana z uwagą, panie Modelski.

Kostek sięgnął po leżący na stole dyktafon i włączył go. Na szczęście lowelas, któremu spodobała się Kornelia *vel* Tatiana, nie był speszony obecnością urządzenia. Mało tego – mówił bardziej do niego aniżeli do mężczyzny siedzącego po drugiej stronie stolika. Temu było jednak wszystko jedno, byle tylko dowiedzieć się czegoś więcej.

– Zostaliśmy wirtualną parą i przez kilka dni pisaliśmy do siebie. Wiedziałem, że to dziewczyna ze Wschodu. Niektórzy mówią, że to zakamuflowane dziwki albo takie, które przyjechały do Polski tylko po to, żeby znaleźć tutaj męża i dzięki temu mieć lepsze życie. Takie pewnie też bywają, zresztą nie ma się co dziwić, bo przecież u nich żyć się nie da. A tak w ogóle to chyba najładniejsze kobiety w tej części Europy, jeśli nie w całej!

Przerwał, przez chwilę kręcił opuszczoną głową.

– Spotkaliście się i... – Podbiał podrzucił mu „słoweczko” niczym teatralny sufler.

– Rozmawialiśmy. Bardzo miło. Ludmiła jeszcze bardziej zyskiwała w bezpośrednim kontakcie, a przecież na żywo to różnie może być. Zdjęcia prawie zawsze kłamią. A w jej przypadku nie – opowiadał z błyskiem w oku Modelski. – Poza tym bardzo dobrze mówiła po polsku. Gdybym nie wiedział, skąd przyjechała, może nawet nic bym nie zauważył. Po pierwszej randce, całkiem zresztą grzeczną i niewinną, umówiliśmy się na kolejną. I...

– I? – Kostek zareagował mimo znużenia, które jednak zaczęło go ogarniać.

– Pojawili się oni.

– Co za „oni”?

– Żli ludzie. Wystarczyło na nich spojrzeć, aby mieć pewność, że uczciwie na chleb żaden z nich nie zarabia. Usiedli dwa stoliki dalej, pili piwo i nie spuszczały z nas oka. W pierwszej chwili myślałem, że to przypadek. Że dziewczyna im się spodobała, więc próbują szczęścia. Mało takich kozaków chodzi po mieście? Ale Ludmiła też była jakaś nieswoja.

– To znaczy?

– Próbowwała się uśmiechać, mówiła, że to nic takiego, ale czułem, że coś jest nie tak. W pewnym momencie poszła do toalety. Gdy przechodziła obok ich stolika, jeden z nich klepnął ją w tyłek. A ona nic! Nie dała mu w gębę ani nawet nic nie powiedziała, tylko poszła dalej.

Zupełnie jak Ołena na Zbawiksie – przypomniał sobie Podbiał.

– I jak pan na to zareagował? – zapytał Cezarego, a gdy ten w odpowiedzi tylko kolejny raz zwiesił głowę, rzucił: – Tak myślałem. Pewnie skończyło się tak jak wczoraj, co? Uciekł pan?

– Nie. Ale może powinienem tak zrobić. Jej było wszystko jedno, a ja może spałbym spokojnie.

– Jaśniej proszę.

– A co tu więcej rozjaśniać?! To była dziwka, której pilnowali. Nikt inny. Chwilę po tym, jak zniknęła w łazience, jeden z nich podszedł do mnie i zapytał, czy mam wystarczająco dużo kasy, aby cieszyć się towarzystwem tej dziewczyny. W pierwszej

chwili go nie zrozumiałem. A wtedy on wystawił kilka razy język, a potem zaczął się śmiać. Miał dużo złotych zębów.

– A na to jak pan zareagował? – Kostek wydawał się zupełnie pozbawiony empatii.

– Trochę mnie sparaliżowało, nie powiem. Nieczęsto ma się styczność z takimi typami. Ale tamten facet nie oczekiwał ode mnie odpowiedzi. Wrócił spokojnie do swojego stolika i dalej się z tym drugim na mnie gapili, a kilka razy to nawet oko puścili. Tak na marginesie, to wydaje mi się, że to chyba byli Gruzini.

– Co pan zrobił, kiedy Ludmiła przyszła?

– Skłamałem, że miałem pilny telefon z firmy i muszę lecieć.

– I tyle? Nie próbował pan wyjaśnić całej tej sytuacji? A może oni jej wcale nie znali, tylko chcieli pana podpuścić, zdenerwować. Patrzą: siedzi facet z ładną dupą, to może go sprawdzimy. Mało takich kozaków chodzi po mieście? Dobrze zapamiętałem?

Tym razem głowa Modelskiemu nie opadła. Wytrzymał nawet spojrzenie policjanta. Wiedział, że za to, co zrobił, nic mu nie grozi. Przeciwnie, miałby dopiero przesrane, gdyby się na tamtych rzucił z pięściami w obronie czci kobiety. Nie ma głupich.

– Więcej Ludmiły nie widziałem – dokończył spokojnym głosem.

Policjant wyłączył dyktafon, a potem powiedział:

– Szkoda, bo może ta dziewczyna by teraz żyła.

– Myśli pan, że to ich sprawka?

– A to już jest tajemnica śledztwa, panie Modelski – oficjalnym tonem powiedział Kostek, zaraz jednak ni to zapytał, ni to stwierdził: – Mimo tych niezbyt miłych doświadczeń, nadal lubi pan dziewczyny ze Wschodu... Nie bał się pan, że historia może się powtórzyć i z romantycznej randki we dwoje znów zrobi się spotkanie we czworo, co?

– Naprawdę nie przekonałem pana swoją opowieścią?

Podbił wstał od stołu.

– Nie mam jeszcze zdania – powiedział i zaczął zbierać swoje manatki. – To skomplikowana sprawa, więc pańskie zeznania muszą zostać jeszcze skonfrontowane z tym, co powiedzieli inni świadkowie.

– Czyli jestem wolny? – zapytał z nadzieją Modelski, również unosząc się z krzesła.

– Owszem. Myślę, że można... zdjąć panu kajdanki.

Ostatnie zdanie skierował jednocześnie do wchodzącego do pokoju przesłuchań sierżanta.

43

– Kostek?!

Nie od razu zorientował się, kto go woła. Był coraz bardziej zmęczony, a jednocześnie wciąż myślał o zakończonej rozmowie. W pomieszczeniu, do którego trafił po powrocie z kazamatów komendy przy Żeromskiego, siedziało kilku mężczyzn. Sekundę później jeden z nich wstał z krzesła, którego nogi przejmująco zaszurują o podłogę.

– Siadać! – rozległ się zasadniczy, jeśli nie gniewny głos.

Ale tamten nie miał zamiaru posłuchać. Po chwili w stojącym kilka metrów przed nim i zmęczonym pewnie podobnie jak on człowieku Podbiał rozpoznał Tomasza Horna.

– Co ty tu robisz? – zdziwił się.

– Też się nad tym zastanawiam – odpowiedział dziennikarz, po czym ostentacyjnym ruchem podał znajomemu rękę na powitanie, a właściwie dwie, bo był skuty.

Kiedy Kostek to zobaczył, od razu zaczął się rozglądać za najstarszym stopniem pośród tutejszej ekipy. Więcek. Zdaje się aspirant sztabowy. Siedział pod oknem i właśnie odwijał kanapkę z papieru. Kto dzisiaj jeszcze pakuje kanapki w papier śniadaniowy? Pytanie jednak musiał Kostek zadać zupełnie inne:

– Co tu się dzieje?

– Mieliśmy przekazanie okupu, a to jeden z podejrzanych – wyjaśnił Więcek, zgniatając tłusty papier w kulkę.

– Byłem tylko kierowcą! – powiedział Horn. – Ile razy mam to jeszcze powtarzać?

– Chwila – uspokoił go Podbiał, po czym zbliżył się do dowódcy grupy. – Coś więcej?

Aspirant w kilku prostych zdaniach przybliżył gościowi (ale jednak wciąż starszemu stopniem oficerowi KSP) istotę nocnej akcji. Okazało się, że miano tam zostawić nie jedną, a dwie walizeczki z okupem. Szantażyści chcieli sobie ułatwić zadanie i oszczędzić na paliwie. Policjanci wiedzieli tylko o jednym szantażowanym, który, w przeciwieństwie do Romana, nie zamierzał ulec. A dokładniej rzecz ujmując, tylko udał, że uległ. Tym sposobem dostali w gratisie jeszcze jednego.

– W pewnej chwili to nawet ciężko się było połapać, kto jest bandziorem, a kto tym, który przyniósł kasę. Właśnie byliśmy w trakcie wyjaśniania tej sprawy – zakończył z niewinnym uśmiechem Więcek.

– To ja pożyczę sobie na chwilę podejrzanego, dobrze? – Kostek bardziej oświadczył, aniżeli zapytał, a potem mrugnął do Horna. – Zdejmijcie mu tylko tę biżuterię z nadmorskiego kiermaszu. I smaczno, aspirancie.

Po chwili dziennikarz teatralnym gestem rozcierał nadgarstki. Kostek otworzył przed nim drzwi. Wyszli na korytarz. Podbiał przez chwilę zastanawiał się, gdzie tu by można było usiąść i spokojnie pogadać. Nacisnął nawet kłamkę pierwszych napotkanych drzwi, ale okazały się zamknięte. Podobnie było z następnymi. Tak doszli do okna na końcu korytarza, gdzie ktoś zostawił dwa stare krzesła. Brakowało tylko palmy w wielkiej donicy, wypełnionej w połowie ziemią, a w połowie poskręcanyimi petami. Usiedli.

– Tutaj będzie dobrze – ocenił policjant. – A teraz mów, co żeś zmalował, gwiazdo polskiej żurnalistyki. Ile się nie widzieliśmy? Cztery dni?

– Od poniedziałku – potwierdził Tomasz.

I opowiedział o wszystkim, co się od tamtego momentu wydarzyło. Głównie o nocach, bo to właśnie wtedy pracował i działo się najwięcej. I o dziwnej propozycji handlarza wind, która doprowadziła go właśnie tutaj.

– Nie miałem pojęcia, że są w Warszawie takie firmy – rzekł Kostek. – Szkoda, bo oszczędziłbym sobie wiele nerwów.

– Ja też nie wiedziałem. Zupełnie przypadkowo dostałem tę robotę, bo facet wiedział o silnikach mniej niż ja, co wydaje mi się niemożliwe. Jak widać, nie trzeba się znać na

mechanice, że prowadzić taki biznes.

Zaśmiali się. Pierwszy spoważniał Horn.

– A teraz nie wiem, czy w ogóle mam jeszcze do czego wracać – westchnął ciężko. – Jakby nie było, wziąłem lewy kurs, a do tego kasę ekstra.

– Jedno wynika z drugiego. Ale spokojnie, dostaniesz ode mnie oficjalne pismo z podziękowaniami, to i może nawet jakaś premia skapnie.

– Mimo wszystko się boję.

Kostek poklepał Horna po ramieniu.

– Spokojnie, Tomasz. Zaraz podpiszesz zeznania i będziesz wolny – powiedział, by zaraz zapytać: – Auto gdzie masz?

– Nie wiem. Chyba zostało tam, gdzie była ta cała wasza akcja. Przywieźli mnie tutaj w radiowozie. Może trzeba założyć firmę, która będzie odstawiała na miejsce samochody po policyjnych kotłach, co?

– Całkiem niezły pomysł. Pomyślę o tym, jak będę się szykował do pójścia na „emkę”. Póki co każę cię odwiedzić. A ten frajer... znaczy szantażowany, gdzie?

– Też nie mam pojęcia. Pewnie gdzieś tutaj. Może go maglują, bo nie potrafią odróżnić poszkodowanych od prawdziwych przestępców?

– To nie tak, ale, oczywiście, rozumiem, że czujesz się rozgoryczony. Jutro spojrzysz na to z zupełnie innej perspektywy. Najważniejsze, że jesteście cali i zdrowi, tamten facet ocalił ciężko zarobioną kasę, a szantażyści są pod kluczem. Swoją drogą całkiem niezła suma jak za nieujawnienie filmiku z kurewką. Ciekawe tylko, czy dostałby go na pamiętkę po zapłaceniu okupu, czy może to był tylko początek zabawy.

– Dokładnie to samo mu powiedziałem.

– Całe szczęście, że ten drugi zdążył się nam poskarżyć.

– Czy ja wiem, czy szczęście? – Horn się skrzywił. – Ten Roman, którego wiozłem, chyba by wolał, żeby nikt tego nie oglądał. Nawet śledczy...

– Taki ogier?

– Nie wiem. Może wręcz przeciwnie.

W głębi korytarza trzasnęły drzwi, po chwili rozległy się głosy, choć jeszcze nikogo nie było widać. Horn przestraszył się, że komuś nie spodobała się ich rozmowa na osobności i zaraz znajdzie się z powrotem w tamtym pokoju, a wszystkie obietnice znajomego gliniarza będzie można o kant dupy potłuc.

Zobaczyli wychodzącego z jednego z pokoi policjanta w mundurze. Przytrzymał drzwi, a po chwili na korytarzu znaleźli się dwaj mężczyźni. Obaj czarniawi, ubrani w skórzane kurtki, obaj skuci za plecami.

– To są ci szantażyści? – zapytał Podbiał.

– Chyba tak. Ciemno było – odparł niepewnie Tomasz, nie spuszczać wzroku zarówno z tamtych dwóch, jak i eskortujących ich policjantów.

Grupka skierowała się w stronę schodów, które miały zaprowadzić wszystkich do położonych na najniższym poziomie cel albo ku wyjściu. Sekundę później na jasnym prostokącie w przeciwnym końcu korytarza zamajaczyły jeszcze dwa cienie. Jeden należał do policjanta, co można było rozpoznać po czapce z daszkiem. W drugim, mimo odległości, Kostek rozpoznał Cezarego Modelskiego.

I wtedy stało się coś dziwnego. Przesłuchiwany kilkanaście minut temu przez Podbiała lowelas zmylił krok. Następnie przypadł do najbliższej ściany i kurczowo się jej chwycił. Zupełnie jakby chciał zrobić więcej miejsca mijającej go kolumnie, a może nawet zniknąć na ten moment, rozpuścić się w powietrzu. Zaniepokojony takim zachowaniem policjant złapał eskortowanego za ramię i nachylił się nad nim.

– Poczekaj. – Tknięty złym przecuciem Podbiał wstał z krzesła i szybkim krokiem ruszył korytarzem.

Do Modelskiego dotarł w chwili, gdy szantażyści wraz z eskortą opuszczali korytarz.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedział posterunkowy, spoglądając to na oficera, to na zatrzymanego.

Modelskiemu nic nie było, chociaż mogło to wyglądać na zasłabnięcie, a może nawet zawał. Tego nikt by chyba nie chciał. Kiedy jednak Kostek przyjrzał mu się dokładnie, ujrzał w jego oczach nie cierpienie spowodowane bólem, a czyste przerażenie.

– To byli oni – wymamrotał Cezary, nim policjant zdążył go o cokolwiek zapytać.

– Kto, do cholery?! – fuknął Kostek.

– Ci dwaj, którzy wtedy pytali, czy stać mnie na Ludmiłę.

– Gruzini?

– Tak. Nigdy nie zapomnę tych gęb...

44

Po wczorajszej akcji Kornelia spała jak niemowlę. Emocje były ogromne i bała się, że nie uda jej się w ogóle zmrużyć oka. Chciała nawet połknąć jakieś tabletki na uspokojenie i sen. Tymczasem i bez tego szybko straciła świadomość, jakby wpadła do głębokiej studni. Na szczęście nie miała złych snów, bo i tego można się było spodziewać. Choćby człowieka, którego wrobiła (inne określenie jakoś nie przychodziło jej do głowy), który biegałby za nią z wielkim nożem.

– Obawiam się, że się do tego doskonale nadajesz, kochana – powiedziała rano do swojego odbicia w lustrze.

A potem podziękowała losowi, że nie musi się malować jak przed zadaniem. Wtedy miała wyglądać na dziewczynę stamtąd, ze Wschodu, a pierwsze, co jej się kojarzyło, to właśnie ostry makijaż, a przede wszystkim jasnoczerwona szminka. Koleś bez trudu łyknął bajkę, a potem wpadł w zastawione sidła. Ciekawe, co wyśpiewał potem Podbiałowi. Kornelia chciała przy tym być, ale on odesłał ją do domu. Może gdyby nacisnęła mocniej, coś by ugrała.

Wysiadła z metra na stacji Ratusz Arsenał. Była jeszcze w podziemnym przejściu, gdy usłyszała okrzyki. Jak się domyślała, to demonstranci przed Pałacem Mostowskich zaczęli kolejny dzień protestów przeciwko działaniom policji. Sprawdziła godzinę – dochodziła ósma rano. Mają zdrowie – pomyślała.

Ktoś zrównał się z nią w marszu. Dyskretnie spojrzała w bok. Na szczęście była to kobieta. O tym, że tamten człowiek będzie próbował ją kiedyś podejść, Kornelia oczywiście również pomyślała. Zresztą nawet całkiem niedawno, podczas jazdy

metrem. A może jej nie pozna? Makijaż zmienia przecież kobietę tak samo jak jego brak.

– Kornelia? – usłyszała po chwili.

Zwolniła kroku i spojrzała jeszcze raz w bok, tym razem z większą uwagą. Różnice? Idąca obok babka miała fioletowe włosy, które wcześniej Banaś wzięła za zawiązaną na głowie chustkę. A twarz? Oczywiście, że znajoma!

– Jola, cześć! – zawołała z radością na widok dawnej koleżanki z ogólniaka.

Zatrzymały się w miejscu, skąd było już widać fontannę przed kinem. Nie widziały się od matury, czyli sporo. Jednak gdy się patrzyło na dziewczynę imieniem Jola, można było odnieść wrażenie, że czas stanął w miejscu – miała kolczyki w uszach i nosie, a nawet przekłutą brew. Ubrana była, jakby przed chwilą wróciła z festiwalu w Kostrzynie nad Odrą.

– Nie wiedziałam, że jesteś w Warszawie – powiedziała Kornelia. – Idziesz do pracy?

– Najpierw trzeba ją mieć! – zachnęła się Jola. – Posunęli mnie, zanim to się jeszcze stało modne. Teraz znajomi demonstrują przed psiarnią, to idę im pomóc. Może się przyłączysz?

Kornelia przełknęła ślinę. Tak, nie widziały się od matury. Wystarczająco długo...

– Bardzo chętnie, ale muszę lecieć do roboty – powiedziała, spojrzawszy na zegarek.

– A nie szukają tam u was kogoś?

– Zapytam. Zdzwonimy się! Masz ten sam numer?

– Nie, ale znajdę cię.

Zanim znalazła się na swoim piętrze, była już niezłe zdyszana. Nie chciała się spóźnić, a jednocześnie wiedziała, że nie powinna wchodzić do pałacu główną bramą. Może kto inny miałby to gdzieś, ale tak właśnie podpowiadała Kornelii intuicja. Na szczęście odkąd zaczęły się pikiety, można było dostać się do środka także inną drogą. Oczywiście od razu pojawiły się też żarty, najczęściej w wykonaniu starszych funkcjonariuszy, że jak tak dalej pójdzie, to trzeba będzie udrożnić stare podziemne korytarze.

Kostek Podbiał był już w pokoju. Nie wyglądał dobrze.

– Spałeś w ogóle? – zapytała.

– Chyba coś mam – odpowiedział na inne, niezadane pytanie.

– A może najpierw zrobię kawę? – zaproponowała.

Po kilku minutach Podbiał wpatrywał się w swój ulubiony kubek z Kłapouchym. Mogło się здаwać, że nie ma w tej chwili nic ważniejszego. Jednak po chwili zaczął mówić. Najpierw zrelacjonował Kornelii z grubsza rozmowę ze znanym jej Cezarym Modelskim, następnie opowiedział o przypadkowym spotkaniu z nieznanym jej Tomaszem Hornem i jego sprawie. Przekazał jej, jak się miało okazać, przełomowym dla prowadzonego przez nich śledztwa. Na koniec wrócił do Modelskiego i jego odkrycia.

– Dwaj faceci spod ciemnej gwiazdy, Gruzini, którzy prawdopodobnie mieli coś wspólnego z Ludmiłą Szewczenko, szantażowali gości burdelu, że upublicznia nagrania

ich miłosnych igraszek – wyrecytowała podkomisarz Banaś.

– Zgadza się. – Podbiał pociągnął łyk kawy.

– Myślisz, że oni rzeczywiście jej pilnowali?

– Nie musisz owijać w bawełnę, Kornelia. Nie jesteśmy w przedszkolu ani na kursach przedmażeńskich, więc czas zacząć nazywać rzeczy po imieniu.

– Czy Ludmiła Szewczenko była prostytutką? – zapytała dziewczyna, wyraźnie i głośno, chociaż z zamkniętymi oczami.

– Jest taka możliwość – mruknął oficer.

– Chciała odejść, mimo że nie tak łatwo opuszcza się takie miejsca – spekulowała dalej Kornelia. – Ale jakoś jej się udało. Próbowała uciec na Ukrainę, kupiła bilet na samolot, spakowała się, ale ją jednak dopadli i zabili.

– Jest taka możliwość.

Cisza.

– Nie ma za to najmniejszych wątpliwości – podjął po krótkiej chwili Kostek – że wiemy dużo więcej dzięki tobie. Gdybyś nie wyhaczyła tego całego Cezarego, na pewno nie byłibyśmy tu, gdzie jesteśmy. Brawo! Co prawda nie okazał się mordercą...

– Jesteś pewien? – przerwała mu.

Podbiał potarł oburącz oczy, ale po tym prostym zabiegu stały się jeszcze bardziej czerwone.

– Nie – odpowiedział. – Modelski to stary korporacyjny wyjadacz, mistrz wciskania kitu. Mógł to wszystko wymyślić na szybko, a kiedy ujrzał na korytarzu w „piątce” tamtych dwóch, całkiem udanie odegrał scenkę rodzajową. Przynajmniej na mnie podziałało.

– To co robimy? – Banaś rozłożyła szeroko ręce.

– Musimy porozmawiać z tymi szantażystami, przycisnąć ich. Oczywiście zaraz, kiedy Modelski to powiedział, wybiegłem za nimi, ale ekipa już się zdążyła zmyć. Zobaczyłem tylko oddalające się światła radiowozu. A gdy zacząłem o to pytać, dowiedziałem się, że był telefon z poleceniem, żeby ich jak najszybciej odwieźć na Rakowiecką.

– Ale tego twojego znajomego i człowieka, którego wiozł na miejsce przekazania pieniędzy, już nie zabrali?

– Nie. Zaraz ich zwolnili, oczywiście z zastrzeżeniem, że nie mogą upuszczać miasta, bo to jeszcze nie koniec zabawy i trzeba będzie złożyć dodatkowe zeznania. Temu Romanowi oczywiście nie oddali neseseru z pieniędzmi, ale chyba mocno się tym nie przejął. Tak jak na niego patrzyłem, to chyba nie za bardzo jeszcze kumał, co się w ogóle wydarzyło.

– Pewnie myślał, co z jego kompromitującym filmikiem – zauważyła Kornelia.

– Bez wątpienia.

– A co z jego filmikiem?

– Będzie reprezentował Polskę w wyścigu do Oskara – odrzekł z kamienną twarzą Podbiał. – Chyba nie myślisz, że ktoś, komu z taką łatwością udaje się naciągnąć kogoś na sto tysięcy, ma zamiar na tej kwocie poprzestać? Oni wcale nie zamierzali oddawać filmu. Zresztą jak to mieli zrobić? Na pendrivie czy może DVD? Przecież nawet dziecko wie, jak zrobić kopię. Niezliczone ilości kopii.

- Myślisz, że moglibyśmy i my rzucić okiem? – drażyla dziewczyna.
- Czy nie ma tam aby naszych znajomych syren, Ludmiły i Ołeny? Pewnie, że tak! Banaś aż zatarła dłonie.
- To co? Wycieczka na Rakowiecką?

- Tylko jeśli masz zamiar złożyć tam kwiatki pod murem – dobiegło nagle od drzwi. Do pokoju wszedł podinspektor Krzysztof Kontra.

- Nie rozumiem. – Kornelia podniosła wysoko brwi.

Przybysz zamknęła za sobą drzwi, czyli zrobiła to, o czym przed kilkoma minutami zapomniała jego podwładna. W pierwszej chwili Kostek pomyślał, że szef wpadł do nich po przyjacielsku, tak jak wczoraj. Ale gdy uważniej przyjrzał się Kontrze, jego minie, wiedział już, że nie jest wesoło. Czyżby jednak nie udało się zamieść pod dywan sprawy troglodytów z tramwaju?

- Miałem przed chwilą telefon z ministerstwa – powiedział Krzysztof.

- Awansują cię? – rzucił Podbiał bez namysłu.

- Przestań żartować.

- Tylko nie mów, że sprawa tych obszcymurów z tramwaju dotarła aż tak wysoko!

- Ta jeszcze nie, ale inna, owszem, tak – odpowiedział podinspektor.

- Która? – zapytali jednocześnie Kostek i Kornelia.

Nie uszło to uwadze ich przełożonego.

- Jeszcze tydzień nie minął, a państwo już świetnie się dogadują. Tylko pogratulować! Niestety, już nie sprawy syren, bo tę przejmuje specjalna komórka CBŚP.

- Ale dlaczego?! – Kostek podniósł głos.

Kontra usiadł na swoim ulubionym miejscu, którym była krawędź nieużywanego, stojącego najbliżej drzwi biurka. Westchnął ciężko.

- Dlaczego? Przecież to, kurwa, proste. Dobrze wiesz, jaka jest w tej chwili polityka kolejnych rządów. Jakie by nie były. Niepodległa Ukraina to gwarancja pokoju w Europie. Niepodległa Ukraina to nasz największy przyjaciel, którego chcielibyśmy widzieć w NATO, a potem w Unii Europejskiej, a bracia Ukraińcy są niezbędni, by nasza gospodarka mogła się dobrze rozwijać. Ukraińskie kurwy stojące przy drogach to zamierzchła przeszłość, staramy się o tym zapomnieć. I tak jak nie ma mowy o kurwach, tak nie ma mowy o ichniej bandyterce, rozumiesz? Przejeżdżają do nas, są tutaj mile widziani, grzecznie pracują. Że za pół ceny, to już nie nasza brocha. Nawet mogą sobie stawiać cerkwie, jeśli zechcą. Ale bandyterki nie ma, jasne?

- To może jeszcze swoją policję do nas wprowadzą, co? – sarknął Podbiał. – Czy oni wciąż noszą te okrągłe czapki wielkości lotniska?

Kornelia była dużo spokojniejsza.

- Jeszcze raz, szefie. Mamy przerwać śledztwo w sprawie śmierci Ludmiły Szewczenko i Ołeny Hawryluk?

- Tak. Macie je przekazać kolegom ze specjalnej komórki CBŚP, którzy zgłoszą się po dokumenty. Być może nastąpi to jeszcze dzisiaj – wyrecytował Kontra.

- A może jutro? – Kornelia posłała mu jeden ze swoich wyjściowych uśmiechów.

- Może... – Krzysztof chrząknął, wyraźnie zakłopotany. – Nie kombinujcie już, dobrze?

Dziewczyna skwapliwie skinęła głową. Uśmiech nie schodził z jej twarzy. W przeciwieństwie do jej partnera, który wciąż spoglądał na przełożonego bykiem.

– Nie wiem, co planujecie, i nie chcę wiedzieć – powiedział Kontra, rewanżując się Podbiałowi tym samym. – Ale macie na to naprawdę niewiele czasu.

Dziś wyjątkowo niezgrabnie zgramolił się z biurka, jakby to była grzęda, a jemu dodatkowo przybyło kilogramów i lat przy okazji. Położył dłoń na klamce, ale drzwi nie otwierał.

– A, i jeszcze jedno – powiedział. – Był też drugi telefon.

– Wspaniały poranek, kurwa... – warknął Kostek.

– Ten akurat zadzwonił wczoraj, późnym popołudniem, kiedy was już nie było w firmie.

– Również z ministerstwa? – zgadywał Podbiał.

– Nie. Od twojego dobrego znajomego, mecenasa Borowca. Jego klient, który niedawno u nas gościł, został pobity. Trafił do Szpitala Wolskiego. Wiesz coś o tym?

– Mam w zwyczaju bić podejrzanych tylko w poniedziałki, a poza firmą w środy – odpowiedział Kostek. – A wczoraj był czwartek, jeśli się nie mylę. Wieczorem byliśmy z komisarz Banaś na piwku, tak w ramach konsolidacji, którą zawsze zalecasz podwładnym.

– Tak jest – potwierdziła służbiście Kornelia – Mamy nawet rachunek z lokalu. Okazać? – Wyciągnęła rękę po torebkę.

Odpowiedziało jej burknięcie. A zaraz potem trzaśnięcie drzwiami.

– Szpital czy Rakowiecka? – zapytała dziewczyna scenicznym szeptem, sięgając tym razem do szuflady biurka po kluczyki od samochodu.

45

W drodze na Mokotów wymienili zaledwie kilka zdań. Wszystko przez jeden moment. Gdy mijali samochodem pikietę stojącą przed Pałacem Mostowskich, Kornelia bez problemu wypatrzyła w tłumie fioletowe włosy dawnej szkolnej koleżanki. Problem w tym, że Jola również dostrzegła siedzącą w samochodzie Kornelię. Prawdopodobnie, bo pewności nie było. Na domiar złego Banaś siedziała za kierownicą, więc gdyby nawet kiedyś doszło do konfrontacji, nie mogła zełgać, że była tylko pasażerką. Jedyną reakcją, na jaką ją było stać, było dociśnięcie gazu.

– Nadkomisarz Podbiał z komendy stołecznej – powiedział Kostek do zamkniętych drzwi.

Po chwili coś szcęknęło i weszli do środka. Gdy dziewczyna przekraczała próg przedsionka aresztu śledczego, a robiła to pierwszy raz w życiu, przez jej plecy przebiegł dreszcz. Nie tylko dlatego, że było tutaj o wiele chłodniej niż na ulicy.

– Miło cię widzieć, Kostek – przywitał ich funkcjonariusz w niebieskiej koszuli z dystynkcjami porucznika Służby Więziennej, młodszy od Podbiała. – Dzień dobry pani – uklonił się szarmancko także Kornelii, po czym spojrział znów na policjanta i rzucił z udawaną przyganą: – Mogłeś uprzedzić, że będziesz w tak miłym towarzystwie...

Wtedy zawiązałbym krawat – dokończyła w myślach Banaś, a po chwili omal nie parsknęła śmiechem, bo mundurowy dokończył:

– ...zawiązałbym krawat.

Kostek przedstawił partnerkę, wymieniając jedynie stopień i nazwisko. Przeszli do niewielkiej kanciapy, gdzie był tylko stolik, za którym zaraz zasiadł gospodarz, dwa krzesła po drugiej stronie i metalowa szafa. Na ścianie wisiało godło państwowe.

– W czym mogę służyć, moje dzieci? – zapytał porucznik, splótszy przed sobą palce.

– Chcieliśmy dać na zapowiedzi – odpowiedział wysokim i drżącym głosem Kostek.

– W takim razie poproszę o świadectwo bierzmowania. – Strażnik wyciągnął rękę.

Podbiał uśmiechnął się przepraszająco, podczas gdy dziewczyna, zupełnie zdezorientowana, przyglądała się na zmianę obu oficerom.

– Niestety, nie wzięliśmy – odpowiedział Kostek. – Ale jeśli to konieczne, to zaraz możemy kogoś wybierzmować. Tylko poproszę o długą pałę i numer celi.

Panowie zaśmiali się rechotliwie, jakby siedzieli nad kuflami piwa, Kornelia zaś jedynie uśmiechnęła się, dla towarzystwa. Gospodarz to zauważył.

– Widzę, że pani nieprzyzwyczajona – stwierdził. – To tylko nasze resortowe żarty.

– Jeszcze dozwolone – dodał Kostek.

– Przecież wiem – powiedziała Kornelia.

– O kogo chodzi? – porucznik przeszedł do rzeczy.

– Dwaj džentelmeni, obywatele Gruzji, złapani wczoraj, a właściwie to już dzisiaj, podczas próby odebrania okupu, a następnie przywiezieni z przechowalni na Żeromskiego.

Porucznik milczał, jakby Kostek powiedział do niego coś w jakimś niezrozumiałym języku. Albo jeszcze nie skończył mówić.

– No co? – rzucił niecierpliwie Kostek.

– Nic. Ale chyba jednak skończy się na waszym ślubie, bo ja nikogo takiego nie dostałem – odpowiedział strażnik.

– Nie pierdol, Krystian!

– Mówię poważnie.

– Przywieźli ich z „piątki”, pewnie niedawno. Może ktoś inny ich przyjął, przepuścił przez wszystkie służby, a ty jeszcze o tym nie wiesz? Ci dwaj być może mają coś wspólnego z rozczłonkowanymi zwłokami dwóch kobiet, które znaleźliśmy w tym tygodniu. Wkrótce mamy przekazać tę sprawę, ale wolałbym, żeby była dobrze udokumentowana. Wiesz, jak jest...

Porucznik imieniem Krystian wysłuchał tego ze spokojem, a następnie rozłożył ręce niemal na całą szerokość pomieszczenia, w którym siedzieli.

– Wiem, Kostek – powiedział. – I bardzo chciałbym wam pomóc, bo znamy się nie od wczoraj. Ale do nas naprawdę nie przywieźli nikogo takiego. Pewnie źle usłyszałeś, a może po drodze dostali nowe rozkazy i pojechali do innego sanatorium.

– Pewnie tak było. – Podbiał podrapał się po głowie. – W takim razie nie zabieramy czasu.

Minutę później znaleźli się ponownie na zalanej przedpołudniowym słońcem Rakowieckiej.

– Myślisz, że ściemniał? – zapytała Kornelia.

– Nie sędzę – odparł oficer. – Nigdy się nie zdarzyło, żeby mi czegokolwiek odmówił. Zresztą sama widziałas, jak ze sobą gadamy. Niejeden świętojeblniwy „sygnalista” miałby co pisać w swoich raportach.

– W takim razie co się stało z tamtymi dwoma?

– To proste. Zostali przejęci, tak jak ma być przejęte całe śledztwo, a wszystko w imię wyższej racji stanu.

Stali wciąż pod murem. Kostek spoglądał w perspektywę ulicy, którą kiedyś zamykała bryła kina Moskwa. Teraz stał w tym miejscu biurowiec, o którym często słyszał, że na tle pozostałej zabudowy tej części Mokotowa wygląda jak wielka kupa. Podbiał miał związane z tym miejscem wspomnienia – to tutaj doszło przed paroma laty do pierwszego z morderstw „kiniarza”, którymi się zajmował. Facet strzelał wtedy z tego samego okna, z którego znany fotografik, Chris Niedenthal, na samym początku stanu wojennego zrobił zdjęcie transportera opancerzonego na tle reklamy filmu *Czas apokalipsy*. Tak, musieli się wtedy nagimnastykować, żeby dopaść zabójcę. Na dodatek nie dało się uniknąć kolejnych ataków szaleńca i kolejnych ofiar. Jak będzie teraz?

Głos Kornelii sprawił, że policjant się ocknął.

– Jedziemy teraz do tego młodego, którego pobili? – zapytała.

– Tak. Był z Ludmiłą Szewczenko w związku, czy jak to się teraz u nich nazywa, i może nawet wie, czym się zajmowała. Pytanie tylko, czy zajmowała się przed związkiem i podjęciem pracy w sklepie, czy po. Tak czy inaczej, nie możemy tego zbagatelizować – podkreślił Podbiał, by dodać nieco ciszej: – Zresztą chyba nic innego nie mamy do roboty.

– Można jeszcze iść spać. Tobie akurat by nie zaszkodziło.

– To propozycja?

– Raczej dobra kobieca rada.

– I niegłupia. Kimnę się w drodze na Wolę. Pod warunkiem że nie będziesz szarpać.

46

Pierwszy raz była na warszawskim lotnisku. Wcześniej dotarła do Polski, jak pewnie większość jej rodaków, autokarem. Jechało się całą noc w duchocie, wsłuchując w pochrapywanie innych pasażerów, a nawet popierdywanie czy jakieś inne podejrzane jęki. Pojazd był stary, więc do środka dostawały się spaliny. Człowiek wysiadał rano na Dworcu Zachodnim wymięty, brudny, niewyspany, a mimo to szczęśliwy. Przecież właśnie zaczynało się jego nowe, lepsze życie! Czy takie właśnie było, świadczyło między innymi to, czy w drogę powrotną mógł się udać takim samym środkiem transportu, czy może już samolotem.

W tym wypadku nie chodziło tylko o prestiż, ale o szybkość, a przede wszystkim dyskrecję. Udało jej się uśpić czujność wszystkich i wymknąć. Kiedy jednak ciągnęła bagaż od pociągu, który zatrzymał się w podziemnym tunelu, miała wrażenie, że tylko kółka jej walizki robią taki hałas. Że to tylko jej obcasy tak głośno stukają na podłodze.

Ale oto i hala. Tutaj już dużo głośniej – gwar rozmów, nawoływania, sygnały z głośników.

– Lot ma pani dopiero za cztery godziny – zauważył mężczyzna w mundurze, który zaraz po wejściu zażądał od niej okazania biletu.

– Ale mogę wejść? – zapytała niepewnie.

Nic nie odpowiedział. Tylko oddał jej bilet i usunął się z drogi. Ale miał rację – jej samolot miał wystartować dopiero po trzeciej po południu. Ona wolała jednak przeczekać ten czas na lotnisku. Dzięki temu będzie miała szansę, że jej plan się powiedzie.

Kupiła kawę. Minionej nocy prawie nie zmrużyła oka z nerwów. A te pewnie nie opuszczą jej aż do chwili, gdy samolot oderwie się od ziemi, a ona będzie mogła spojrzeć z góry na to miasto. Pożegnać się na zawsze. Tak, nigdy tutaj nie wróci. Nie po tym, co się stało...

– Duża kawa dla pani. – Dziewczyna w czapeczce z daszkiem postawiła papierowy kubek na tacce. – Ile cukru?

– Co? – rzuciła półprzymtomnie.

– Ile porcji cukru pani sobie życzy? – powtórzyła bez złości tamta.

– Dwie.

Po chwili szła w stronę upatrzonego stolika. Jednocześnie wciąż ciągnęła wielką walizę, więc nie było jej łatwo. Bała się jednak chociaż na chwilę zostawić ją bez dozoru. Ale udało się. Usiadła, wysypała cukier, pomieszała. Teraz trzeba poczekać, aż kawa nieco ostygnie, bo nie lubiła gorącej. Czują, że się uspokaja. Kto wie, może nawet nie ruszy się z tego miejsca aż do chwili, gdy trzeba będzie iść na odprawę.

W pewnej chwili poczuła na sobie czyjś wzrok. Zerknęła dyskretnie. Przyglądał się jej jakiś facet. Siedział przy stoliku, może dziesięć kroków od niej. Nie sam, z dziećmiakami, które pałaszowały frytki i robiły to dość głośno. Facetowi to jednak nie przeszkadzało. Była w jego spojrzeniu wyjątkowa natarczywość. Znajoma natarczywość...

Jeśli to jeden z tych, o których myślę, to nie ma się czego bać – pomyślała.

Atak nadszedł jednak z przeciwnej strony. Ktoś odsunął krzesło i jakby nigdy nie usiadł przy jej stoliku. W dzisiejszych czasach coś takiego się nie zdarza, nawet tam, skąd przyjechała. I dokąd teraz wracała. Ale czy to się uda? Że nie, uświadomiła sobie, gdy poczuła znajomy zapach, a następnie usłyszała znajomy głos:

– Ładnie to tak wyjeżdżać bez pożegnania?

47

Kostek wciąż zastanawiał się nad tym, co rano przekazał mu Kontra. To, że ktoś przejmuje śledztwo, żeby jak najszybciej ukręcić mu łeb, nie podlegało kwestii. Pytanie tylko, jak długo jeszcze oni mogli je ciągnąć, żeby się nikomu ważnemu nie narazić. I jeszcze jedno: czy na Ludmile i Olenie się skończy? Jeśli za tym, co je spotkało, stoją Gruzini, to tak. Więcej morderstw być nie powinno. A jeśli dokonał ich ktoś inny?

Tak jak przypuszczał, dostanie się do pobitego Łukasza Skórki było nieco trudniejsze niż wejście do aresztu śledczego przy Rakowieckiej.

– Państwo do kogo? – zawołał za nimi cieć w okienku.

Wyglądał tak, jakby nie ruszał się stamtąd od początku lat siedemdziesiątych, czego najlepszym dowodem były imponujące baczki, zwane „pekaesami”.

– Do kuzyna – skłamała policjantka. – Łukasz Skórka się nazywa. Dwadzieścia lat.

– Państwo z rodziny? – stary zdążył zadać drugie z obowiązkowych w takich momentach pytań, nim pomyślał nad odpowiedzią na pierwsze.

– Tak. I bardzo się martwimy, bo ciocia Kazimiera mówiła, że stan ciężki – Kostek przyszedł w sukurs partnerce.

– Można iść – wydał werdykt cieć.

Podbiał nie znał za dobrze tej lecznicy, więc przez kilka chwil błędzili.

– Nie cierpię smrodu szpitala – przyznała się Kornelia.

– Będziesz musiała się przyzwyczaić.

Wreszcie dziewczyna zapytała o oddział jakąś pielęgniarkę, ta zaś bez wnikania pokazała im drogę. A kiedy już dotarli na miejsce, inna, starsza, podała im numer sali. Tym razem jednak po obejrzeniu policyjnych odznak.

– Właśnie skończył się obchód, więc nie widzę przeciwwskazań. Ale nie męczcie go długo – zastrzegła, przyglądając im się z uwagą.

– Nie będziemy siedzieć długo – uspokoiła ją Kornelia.

Pozostały im jeszcze dwie ewentualne przeszkody: oplatający szpitalne łóżko wianuszek bliskich Łukasza Skórki, a także inni chorzy leżący w tej samej sali. Ale mieli szczęście: chłopak był sam i tylko na jednym z pozostałych pięciu łóżek leżał jakiś mężczyzna. Na dodatek pod oknem i miał na uszach duże słuchawki. Skórkę umieszczono przy samych drzwiach. Wyglądał niezbyt dobrze – miał obandażowaną głowę, spuchniętą lewą powiekę i solidnego sińca pod tym samym okiem, a także zadrapania na policzku. W najgorszym stanie była chyba leżąca na kołdrze prawa ręka, którą zapakowano mu w gips. Młody mężczyzna miał przymknięte oczy i wydawało się, że drzemie.

– Kwiaty by się przydały – zauważył Podbiał. – Albo przynajmniej kompocik jakiś.

Na te słowa, wypowiedziane specjalnie głośniejsze, niż wypadało w tym miejscu, Skórka drgnął. Otworzył zdrowe oko, odruchowo wbił głowę w poduszkę i podkurczył nogi pod kołdrę, a zdrową ręką złapał za jej górną krawędź i podciągnął niemal pod brodę. Potem chyba przyszła refleksja – przecież tutaj nic mu nie mogą zrobić.

– Czego chcecie? – warknął. – Nie dzwoniłem na pały.

– Dzień dobry – przywitał się Podbiał, podczas gdy Kornelia zatrzymała się tuż przed tabliczką z historią choroby, wiszącą w nogach, którą nawet na chwilę odchyliła. – Chcielibyśmy zapytać, jak się czujesz. Twój adwokat dał nam wczoraj znać, że spotkała cię niemila przygoda.

– Nie prosiłem go o to.

– Jak widzisz, wszyscy się martwimy.

– Akurat!

Człowiek leżący pod oknem poruszył się na łóżku. Spojrzał na gości, a nawet na chwilę zdjął słuchawki.

– Dzień dobry – Kostek przywitał się także z nim.

Nie doczekał się odpowiedzi, czym jednak się nie przejął. Były dużo ważniejsze sprawy. Przynalął okrągły taboret, usiadł przy łóżku Łukasza i nachylił się nad

leżącym.

– Powiesz nam, co się stało?

Chłopak zacisnął wargi. Wbił spojrzenie w okno, za którym świeciło ostre słońce. Kostek spojrział na towarzyszkę, która nieruchomo trwała u nóg szpitalnego łóżka, po czym przeniósł wzrok na chorego.

– Wiem, że nasza znajomość zaczęła się niezbyt fortunnie, ale co poradzić, taka praca. Teraz moglibyśmy pomóc, ale musimy wiedzieć więcej – powiedział łagodnym tonem. – To jak będzie?

– Zależy, kiedy odlecą łabędzie – mruknął po swojemu Skórka.

Z korytarza doszło ich jakieś pobrzękiwanie i nawoływania kobiet. Policjant spojrział na zegarek. Zbliżała się jedenasta, więc nie był to chyba jeszcze czas obiadu.

– Nie chcesz mówić, trudno – powiedział. – Myślałem, że może zrobisz to dla Ludmiły. Nie wiem, co was poróżniło. Nie moja sprawa. Ale to jej się należy, a kto wie, może pomogłoby nam namierzyć tych, którzy zrobili jej krzywdę.

Po tych słowach Kostek wstał z taboretu. Wtedy Skórka coś wymamrotał.

– Możesz powtórzyć? Kto ci to zrobił? – zapytał znów policjant.

– Koledzy z osiedla – odpowiedział młody, a adresatem tych słów była również poduszka, potem jednak wyprostował głowę i dodał: – Małe nieporozumienie podczas gry w bilard.

– W bilard?

– Zgadza się. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Kostek z Kornelią byli już przy drzwiach sali, gdy Skórka znów coś mruknął. Dziewczyna była gotowa to zignorować, mimo że mogła to być nawet obelga na pożegnanie, która podpadała pod paragraf. Jednak Podbiał chwycił ją za łokieć i zatrzymał, a potem posłał pytające spojrzenie leżącemu. Ten zaś powtórzył już słyszalnie:

– Po jaką cholereę to robicie? – Chłopak uniósł się z poduszki i oparł na zgiętym łokciu. – Po co tyle hałasu o jedną głupią Ukrainkę? Przecież na jej miejsce przyjedzie dziesięć, a może nawet sto innych. To wielki kraj. I dalej będą robić to, co robią. Bo właśnie od tego są: żeby nam służyć.

Kostek pochylił się nad krawędzią łóżka.

– Co?

– To, co pan słyszy! – fuknął chłopak. Czuł się coraz bardziej pewnie i, nie ma co ukrywać, bezkarnie. – Oni są tylko po to, żeby sprzątać w naszych domach, wynosić śmieci, prać brudy i gotować. Wziąć za to dychę i grzecznie podziękować. A jeśli która ładna, to może rozkładać nogi i ssać fiuty.

Kornelia zacisnęła palce na poręczy, ale nic nie powiedziała.

– A ich faceci niech nurkują w szambie! – Skórka jeszcze podniósł głos, aż zatrzymała się przechodząca korytarzem pielęgniarka. – Niedawno jeden znajomy potracił samochodem Ukrainka i nawet tego nie zgłosił. Cisza i spokój. Bo to my jesteśmy panami. I zawsze nimi będziemy!

Twarz chłopaka była czerwona z gniewu. Podbiał również poczuł na policzkach nieznosne gorąco. Wbił spojrzenie w leżącego i zacisnął palce na krawędzi deski, do której przytwierdzono tabliczkę z historią choroby. Niestety, nie tej, której symptomy

właśnie zaobserwowali. Rozległo się kilka metalicznych dźwięków. Byłoby ich pewnie więcej, gdyby nie Kornelia – jej dłoń, która dotknęła ramienia partnera, i spokojny głos:

– Nie mamy tu czego szukać.

– Masz rację, chodźmy stąd – powiedział Podbiał, a następnie kilka razy pociągnął nosem. – Trzeba powiedzieć siostrze, bo chyba się wylało z basenu.

48

Tomasz Horn stał na rogu Nowego Świata i Chmielnej. Obok jakaś dobrze ubrana kobieta targowała się z kwiaciarką o cenę róż tkwiących w wiaderku wypełnionym wodą. Kilka kroków dalej, pod ścianą narożnej kamienicy, kapela podwórkowa złożona z trzech dziadków cięła stary warszawski szlagier. Zbliżało się południe.

– Hanko, o tobie marzę wśród bezsennych nocy... – zawodził mężczyzna z tamburynem i było w tym coś tkliwego, a jednocześnie rozpaczliwego.

Dobre sobie – pomyślał.

On również miał za sobą kilka takich bezsennych nocy. Nie strawił ich jednak w marzeniach, ale na ciężkiej pracy. W efekcie od niemal tygodnia kładł się spać około piątej nad ranem, czasem nawet szóstej, i spał do trzynastej. Miał przy tym zupełnie czyste sumienie, bo przecież nie marnował dnia, a wszystko było efektem przestawienia życia na inne tory.

Teraz też padł około piątej, jednak po tym, co się wydarzyło minionej nocy, nie był w stanie zmrużyć oka. Mimo że firmowy pojazd, którym jeździł, po nocnych wydarzeniach znalazł się z powrotem na parkingu przy Kolejowej i był w nienaruszonym stanie. Nie mógł pozbyć się obrazów z tamtego miejsca, gdzie Roman zostawił okup, i z komendy przy Żeromskiego.

Pewnie ktoś inny na jego miejscu cieszyłby się, że jest zdrow i cały. On jednak wciąż rozważał, analizował. Co się stanie z kompromitującym filmem, za który miał zapłacić Roman? Czy zostanie wrzucony do internetu? Szantażyści byli co prawda pod kluczem, ale przecież mogło być ich więcej. Wreszcie czy on, Tomasz Horn, ma jeszcze w ogóle po co wracać do firmy SND? Było mało prawdopodobne, że Leszek Kłos się o niczym nie dowie. A przecież to, co zrobił Horn, było fuchą, lewym kursem. W najlepszym razie skończy się na wylaniu z roboty. Trochę szkoda. A może w ogóle tam nie iść, by oszczędzić sobie awantury?

Założył ciemne okulary i niespiesznym krokiem kogoś, komu na niczym już nie zależy, ruszył Chmielną w stronę Marszałkowskiej. Doszedłszy do Pasażu Wiecha, postanowił zajrzeć do sklepów. Zaczęły się już letnie wyprzedaże, o czym informowano w wielkich witrynach.

Może kupię sobie coś nowego na grzbiet. I dobrą wróżbę? – pomyślał.

Kilka chwil później już przymierzał koszulę. Włożył ją na podkoszulek, aby nie musieć korzystać z przymierzalni. W pewnej chwili jego uwagę ściągnęła pewna para. Dziewczyna i facet. Dzieliło ich kilkanaście metrów, ale i tak do uszu Horna doszedł ich dialog.

– Podoba się? – zapytał facet dziewczynę, która przykładała do ciała sukienkę na wieszaku.

– Może być.

– Zobacz jeszcze tę. – Sięgnął po kolejną, która czekała na podorzędziu.

Spojrzała na niego z niechęcią, ale nic nie powiedziała.

– Masz wyglądać ładnie, ale nie zdecyduję za ciebie – powiedział jeszcze.

Po chwili dziewczyna przyłożyła nową sukienkę, czerwoną. Obejrzała się w lustrze. Można by było powiedzieć, że to obrazek jakich wiele, kiedy mąż nieopatrznie zgodzi się towarzyszyć żonie w zakupach. Tutaj jednak role były odwrócone, mimo że to kobieta była tą, która miała wyjść ze sklepu bogatsza o nowy ciuch.

A Horn już był pewien, skąd zna tych dwoje: ona miała na imię Marta, on zaś Kamil. Wiózł ich z klubu ZOO przy Mazowieckiej pierwszego dnia pracy w firmie Kłosa. I nie byli parą. Kamil, wówczas nieprzytomny z przepicia, to ochroniarz. Jej. I kogo jeszcze? Nie wiadomo czemu, ale nagle zaczęło to bardzo Horna interesować.

Naraz odezwał się telefon. Ochroniarz odebrał połączenie, chwilę słuchał.

– Na pierwszym piętrze – mruknął.

To wszystko. Każdy mizantrop tego świata z pewnością byłby szczęśliwy, mogąc mieć za rozmówcę kogoś takiego jak ów Kamil.

– On zaraz tutaj będzie – powiedział do Marty.

Na te słowa dziewczyna zaczęła w pośpiechu i chaotycznie przerzucać sukienki. I właśnie wtedy zauważyła Tomka. Nie wiadomo, czy poznała. Kto by zapamiętał szofera, który wiózł cię tylko raz. Za to Horn dopiero teraz zauważył, że dziewczyna ma podbite oko.

Jak długo na siebie patrzyli? Dwie sekundy? Pięć? Tomasz miał wrażenie, że go rozpoznała. Przecież tamtej nocy rozmawiali...

– Marta! – zawołał Kamil.

Wzdrygnęła się.

– Już idę.

Horn zdążył posłać jej uśmiech ponad wieszakami z przecenionymi koszulami.

– To będzie ta koszula? – W jego kierunku, niczym wściekły byk, szarżowała już dziewczyna w koszulce z logo sklepu.

49

Spotkanie w Szpitalu Wolskim spowodowało, że Podbiałowi polepszyło się krążenie. A kiedy chwilę po przekroczeniu progu Pałacu Mostowskich ujrzał Kontrę wracającego z obiadu, był w stanie przytoczyć mu słowo w słowo treść rozmowy z Łukaszem Skórką, a potem może nawet pokusić się o mocny komentarz. Kornelia na pewno nie zdołałaby go powstrzymać, zresztą i tak jej nie było, bo wyskoczyła z samochodu jeszcze na placu Bankowym, aby coś załatwić.

– Dobrze, że cię widzę – powiedział podinspektor, zanim Podbiał zdążył otworzyć usta. – Mam nadzieję, że nie kombinowałeś zbyt mocno z tą sprawą, o której rano rozmawialiśmy.

– A co? Już umorzyli?

– Nie, nadal chcą ją przejąć. I właśnie ktoś chciałby z tobą o tym porozmawiać. Ktoś ważny. Chodź ze mną do sekretariatu, dam ci adres.

– Możesz jeszcze dorzucić kalacha i dwa magazynki.

Tego już łysol nie skomentował. W milczeniu dotarli na miejsce. Podinspektor wręczył mu kartkę i rzekł:

– Tylko nie zrób nam poruty.

– A pan poseł nie mógłby się sam do nas pofatygować? – skrzywił się Kostek, rzuciwszy okiem na papier. – Nie sądzę, żeby od czasów studenckich zapomniał drogi. Trafiłby tutaj z zawiązanymi oczami, jak mawiał klasyk.

– Kostek. Nie zapędzaj się tak – uspokoił go Kontra.

– Jeszcze nie ruszyłem z miejsca i zastanawiam się, czy w ogóle powinienem to zrobić. W ogóle to co za jakieś nowe zwyczaję?

Kontra podszedł do okna, wyjrzał na plac, gdzie odbywała się pikietą, i pokręcił głową.

– Z każdym dniem jest ich coraz więcej – powiedział.

– Sam powiedziałaś, że nie powinno nas to obchodzić – zauważył Kostek.

– I nic się nie zmieniło.

Podbiął przeciągnął dłoń po twarzy. Owszem, znał paru polityków, jeszcze z dawnych lat małżeństwa. Nigdy nie był jednak pewien, czy jednemu z drugim bardziej zależało na znajomości z gliniarzem, czy jednak z aktorką.

– I to jeszcze żeby w sejmie, ale mamy zapierdalać aż do Podkowy Leśnej? – Aż oczami przewrócił.

– Żadne „mamy”. Zaproszenie na rozmowę jest tylko dla ciebie. Mimo wszystko powinienes to docenić.

– Co ty powiesz? To może order mi przypną?

– Tego nie wiem.

– A może wręcz przeciwnie, zaprowadzą do lasu? Wspominałeś coś ostatnio o jakimś koźle ofiarnym, który mógł złagodzić gniew tłumu.

Podinspektor rozłożył ręce.

– Tego tym bardziej nie wiem.

– A co w takim razie wiesz?

– Że o syrenach dowiedzieli się również w Sejmie. Chcą poznać szczegóły, ale nie od CBŚP, tylko od nas. To chyba dobrze, nie? Może nie wszystko stracone i utrzymamy tę sprawę. Po prostu jedź do tego człowieka i wybadaj grunt. Tylko spokojnie.

– Jestem spokojny. Kiedy wychodziliśmy z oddziału, zaczeplił nas lekarz, który powiedział, że Skórkę pobiło dwóch czarniawych typów. Być może to nasi Gruzini, po których ślad zaginął.

– Napiszesz to w ostatnim raporcie. A teraz leć.

– Gdybym wiedział, zabrałbym z domu krawat. – Podbiął schował złożoną w pół kartkę do kieszeni i opuścił sekretariat.

Samochód przez chwilę toczył się po nierównościach uliczki, by wreszcie stanąć przed niepozornym domkiem. Podbiał sięgnął po karteczkę i sprawdził adres. Wszystko się zgadzało. Zastanawiał się jeszcze, czy nie odpuścić sobie tej durnej wizyty. Ale pewnie i tak teren był monitorowany i już go „obcięli”. Mimo że podjął decyzję, nie gasił silnika.

Nie był pierwszy raz w Podkowie Leśnej. Kaśka Rawska miała tu znajomych i kilka razy ich odwiedzali. Kostek zapamiętał najlepiej willę pewnego operatora filmowego, gdzie znajdował się basen, w którym można było pływać... w miejscu. Elegancja! Wtedy to było nie lada halo, dziś pewnie co drugi brodzik tak ma. Zanim zaczął tu bywać, był przekonany, że nazwa tego podwarszawskiego miasteczka jest nadana mocno na wyrost, ale za każdym razem czekało go miłe rozczarowanie. Wszystko tu rzeczywiście znajdowało się w lesie, tu gęstszym, tam rzadszym, ale lesie. Ciszka, spokój, ptaszki śpiewają ci od świtu.

– Elegancja, kurwa... – mruknął pod nosem i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Wysiadł z samochodu. Żywopłot i wysokie ogrodzenie nie pozostawiały wątpliwości, że ten, kto zdecydował się tutaj zamieszkać, nie życzy sobie żadnego towarzystwa, nie mówiąc już o fotoreporterach pracujących dla prasy brukowej.

Nacisnął przycisk dzwonka, ustawił się półprofilem do wideofonu, żeby ułatwić życie komuś po drugiej stronie. Po chwili w głośniczku coś zaszemrało.

– Tak? – odezwał się męski głos.

– Komisarz Podbiał, komenda stołeczna – przedstawił się.

– Proszę.

Piknął elektromagnes, przybysz napał na furtkę. Po sekundzie ujrzał długi i wąski tunel, który tworzyły pałaki obrośnięte winną latoroślą. Na końcu tunelu zamajaczyła jakaś postać.

– Dzień dobry – zawołał policjant.

– Witam! Miło mi pana poznać.

Uścisnęły sobie ręce.

Na żywo jest dużo wyższy niż w telewizji – ocenił w duchu Kostek.

Poseł Witold Gawin ubrany był w spodnie od garnituru i białą koszulę. Lat miał mniej więcej tyle co Podbiał.

– Zapraszam do środka – powiedział gospodarz.

Przeszli przez kolejny, krótki i sklepiony łukowato korytarzyk. Wreszcie oczom gościa ukazał się obszerny salon. Pomieszczenie było umeblowane skromnie, lecz starannie, z rozmysłem i najpewniej pod czujnym okiem architekta wewnątrz.

– Napije się pan czegoś? – zapytał Gawin. – Kawy, herbaty?

– Kawa wystarczy – odpowiedział Kostek, siadając na wskazanym fotelu.

– A może coś mocniejszego? – naciskał tamten.

– W takich momentach mówi się zwykle: dziękuję, jestem na służbie.

– A jest pan?

– Myślę, że zaraz się tego dowiem.

Podczas gdy gospodarz krzątał się w sąsiednim pomieszczeniu (cały czas jednak pozostając na widoku i samemu również mając dobre pole widzenia) i przygotowywał napitki, policjant wciąż z uwagą przyglądał się salonowi.

– Mleko, śmietanka, cukier? Białe czy trzcinowe? – zapytał znów poseł.

- Czarna i gorzka.
- Tak też myślałem.

Kostek znów obrzucił wzrokiem ściany salonu. Zdobiły je liczne fotografie. Na większości zdjęć poseł Gawin był tak samo uśmiechnięty, a nawet w podobny sposób pozował. Zmieniały się jedynie osoby obok, często te znane z pierwszych stron gazet i z telewizji. Większości jednak Kostek nie kojarzył. Czy byli wśród nich przedstawiciele Ukrainy, co w jakiś sposób tłumaczyłoby całą sytuację i zaangażowanie tego człowieka? Znał jedynie prezydentów, a także była premier Julię Tymoszenko z charakterystycznymi blond warkoczami upiętymi na głowie.

Niedaleko kominka wisiał duży olejny obraz, przedstawiający biegnących po polu bitwy żołnierzy w rogatywkach z białym orłem, na których czele kroczył dumnie ksiądz z krucyfiksem w wyciągniętej ręce. Z naprzeciwka zaś parli ich wrogowie w charakterystycznych czubatych czapach armii Budionnego. Na innej ścianie, najbliższej siedzącego, przytwierdzono skrzyżowane stare szable. Kilka centymetrów w dół od miejsca, w którym przecinały się pociemniałe ostrza, zawieszono na łańcuszku złoty ryngraf z Matką Boską i jakimiś łacińskimi napisami.

- Taki sam ryngraf dostał od nas generał Augusto Pinochet, gdy wiele lat temu przyjechał na leczenie do Londynu - rzekł z dumą gospodarz, widząc zainteresowanie gościa.

- Naprawdę?

- Owszem. Pan może tego nie pamiętać. Chcieliśmy w ten skromny sposób uhonorować wielkiego człowieka, przywódcę Chile, za jego wkład w zwalczanie komunizmu na świecie.

Kostek miał wrażenie, że Madonna ma zamknięte oczy. To by wiele tłumaczyło. A o sprawie słyszał. Wstyd był wtedy na cały świat.

- Proszę, kawa dla pana. - Gawin postawił tacę z filiżankami na niskim, okrągłym stoliku, po czym sam zajął miejsce w bliźniaczym fotelu.

- Dziękuję - mruknął policjant.

Kilka chwil z uwagą mieszał ciemny płyn w filiżance, choć przecież niczego do niej uprzednio nie wlał ani nie wsypał. Obaj milczeli. Pierwszy odezwał się gospodarz:

- Zapewne przekazano panu, czego będzie dotyczyć nasza rozmowa.

- Nie - skłamał Podbiał.

- Pozwoliłem sobie zaprosić pana do siebie, ponieważ wiele dobrego o panu słyszałem.

- To miło. Ja wciąż słyszę o sobie tylko złe rzeczy.

Zaśmiali się jak z dobrego dowcipu, ale Gawin szybko spowaźniał. Splótł przed sobą palce dłoni, a na jego twarzy zagościł wyraz najwyższej troski.

- Jak pan pewnie doskonale wie, jest jeszcze dużo do zrobienia w naszym kraju. Mamy pełne ręce roboty w parlamencie, klubie czy, ostatnio, w speckomisji, w której zasiadam. Wciąż musimy sprzątać po naszych poprzednikach, nadrabiać długie lata zaniedbań. Ale nie da się tego zrobić, jeśli nie będzie między nami atmosfery zaufania. Mam rację?

- Całkowitą, panie pośle.

– Cieszę się, że myślimy podobnie, panie nadkomisarzu – uśmiechnął się Gawin. Gdyby siedzieli bliżej, to kto wie, czy nie poklepałby gościa przyjaźnie po ramieniu. – Ale mam nadzieję, że już wkrótce będę mógł powiedzieć do pana: inspektorze!

50

Kornelia usiadła przed swoim biurkiem. Spojrzała na ekran telefonu. Zbliżała się trzecia po południu. Kiedy była mała, zawsze o tej porze zaczynały z siostrą odliczać czas do powrotu rodziców z pracy. Do dyspozycji była wtedy jeszcze spora część dnia i można było zrobić tyle przyjemnych rzeczy. Oczywiście dopiero po tym, jak odrobiło się lekcje. Ale do nauki żadnej z nich nie trzeba było nigdy gonić.

Godzina była więc młoda. Problem w tym, że kiedy Kornelia wróciła kilkadziesiąt minut temu do Pałacu Mostowskich, nie zastała Kostka. W pierwszej chwili myślała, że poszedł coś zjeść. Albo że kręci się po budynku. Nie umawiali się co prawda, co będą robić dalej, ale miała nadzieję, że na tym dzień jej pracy się nie skończy.

– Albo w jedną, albo w drugą – mruknęła do siebie, wybierając numer komórki Kostka.

Zgłosiła się poczta głosowa. Wtedy Kornelia postanowiła odwołać się do wyższej instancji i udała się do gabinetu Kontry. Nie, nie żeby się, broń Boże, poskarżyć, ale po prostu żeby się dowiedzieć, co ma robić. Wciąż była tu przecież nowa.

– Pomóc ci w czymś? – zapytał jeden z chłopaków, którego widziała na odprawach, kiedy zbliżała się do celu.

– Ja do szefa – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Policjant skrzywił się, jakby nagle zabolał go ząb.

– Lepiej tam teraz nie wchodzić – powiedział konspiracyjnym szeptem. – Jeśli nie chcesz napaść sobie biedy.

Banaś przestąpiła z nogi na nogę.

– Rozumiem – bąknęła, ale że tamten nie odchodził, postanowiła wykorzystać okazję. – Właściwie to szukam Kostka.

– Niestety, nie widziałem go dzisiaj.

Zaraz ktoś go zawołał z końca korytarza i musiał biec dalej.

– Dziękuję! – rzuciła za nim Kornelia.

Przez chwilę czuła się jak mała dziewczynka, którą zostawiono samą na wielkim, obcym dworcu kolejowym. Przez kolejną rozważała, że może powinna zbagatelizować ostrzeżenie starszego kolegi i jednak wejść do środka. Ledwo o tym pomyślała, zza drzwi dobiegły podniesione głosy. Trudno było w tej chwili o lepszy powód, by wykonać przepisowe „w tył na lewo marsz”, tyle razy ćwiczone w szkole oficerskiej.

Minutę później Kornelia zamknęła za sobą drzwi swojego pokoju. Kostka wciąż nie było. Zaczęła żałować, że urwała się na kilka chwil, gdy wracali ze szpitala.

– Weź się w garść, durna babo – powiedziała do siebie. – Przecież potrafisz!

Poskutkowało. Kornelia wzięła czystą kartkę, zatemperowała ołówek i zaczęła porządkować całą wiedzę w sprawie syren, którą do tej pory udało im się z Podbiałem zgromadzić. Porównanie do układania puzzli było całkiem trafne. W punktach zapisała

wszystkie wydarzenia, które miały miejsce: od znalezienia ciała Ludmiły Szewczenko aż po tajemnicze zniknięcie dwóch Gruzinów, którzy mogli mieć z tym coś wspólnego. Oddzielne miejsce poświęciła na skrupulatne wynotowanie wszystkich dowodów rzeczowych, również dlatego, iż zdawała sobie sprawę, że zostaną one wkrótce przejęte przez CBŚP. Kto wie, może nawet stanie się to za chwilę, a krzyki w gabinecie podinspektora Kontry mają z tym coś wspólnego. Tym bardziej należało się spieszyć.

Po napisaniu na kartce, drugiej już, słów „Olena Hawryluk”, ostry grafit ołówka zatrzymał się dwa centymetry nad papierem. Kornelia postanowiła jeszcze raz rzucić okiem na rzeczy zamordowanej, które Kostek znalazł w jej szafce, a potem przywiózł na komisariat.

Wstała i otworzyła szafę stojącą naprzeciwko okna. Skrzypnęły wysłużone zawiasy. Zaraz poczuła charakterystyczną woń, którą wydają z siebie stare meble. Było to pomieszanie zapachu książek, kawy i wilgoci. Ogarnęła wnętrze jednym spojrzeniem. Jest! Podbiął zostawił plastikową torbę na samym dole. Kornelia wyjęła ją i wysypała zawartość na stół. Szminka, grzebyk, gumka do włosów, tabletki i plastry na otarcia. Jeszcze kilka wizytówek. Odwróciła pierwszą z brzegu. Należała do Sambora, menadżera lokalu na placu Zbawiciela.

Czy on nie powinien czasem dzisiaj zeznawać? – przypomniała sobie. I nagle zrobiło się jej gorąco. Poczuła się tak, jakby nie odrobiła pracy domowej. Wróciła do swojego biurka, znalazła numer na zafoliowanej karteczce przyklejonej do blatu. Podniosła słuchawkę telefonu i wystukała kilka cyfr. Po chwili odezwał się dyżurny.

– Podkomisarz Banaś. Chciałabym się dowiedzieć, czy na przesłuchanie stawił się Sambor Witek. Co? Sambor to imię, a Witek to nazwisko... Chyba... Nie? A to dzięki, cześć!

Z ulgą odłożyła słuchawkę na miejsce. Starła z niej palcem kropelkę potu. Problem choć na chwilę został odsunięty. Wróciła do stołu, na którym leżały rzeczy Ołeny Hawryluk. Była wśród nich jeszcze jedna wizytówka. Kornelia przeczytała stylizowany napis, przymrużyła oczy.

Może czasami trzeba zrobić krok w tył... – pomyślała, wrzucając wizytówkę do torebki.

Dziesięć minut później była już w pociągu metra jadącym na północ, czyli dokładnie w przeciwnym kierunku, niż powinna była jechać, aby dotrzeć do domu. Szczyt popołudniowych powrotów już się powoli zaczynał, ale w wagonach jeszcze nie było ciasno. Gorzej było w głowie Kornelii, w której aż kotłowało się od myśli. Czy nie wychodzi aby przed szereg? Po co w ogóle to robi, skoro sprawa ma i tak zostać przejęta? A może jednak nie powinna być teraz sama? I gdzie jest, do kurwy nędzy, jej partner?!

Zadzwonię do niego jeszcze raz, kiedy wysiądę – postanowiła, usiadłszy na zwolnionym właśnie miejscu. Oparła głowę o szybę i przymknęła oczy.

– Stacja końcowa. Prosimy o opuszczenie pociągu! – rozległo się w głośnikach.

Wzdrygnęła się, rozejrzała na boki. Wszyscy już wyszli. Ale wstyd! W drzwiach wagonu niemal zderzyła się z mężczyzną w mundurze.

– Stacja końcowa – powtórzył, spoglądając na nią podejrzliwie spod daszka czapki.

– Tak, oczywiście – sapnęła Kornelia i uśmiechnęła się przepraszająco.

Pracownik ochrony metra sprawdzał, czy w środku nie został żaden śpiący pijaczek albo bagaż. Z tym pierwszym żaden kłopot, z tym drugim wręcz przeciwnie, bo to mogłaby być przecież bomba. Za każdym razem stawia się na nogi służby i zamyka stację, skutecznie paraliżując wszystkim życie nawet na kilka godzin.

Człowiek ten nie zdawał sobie sprawy, że właśnie taką bombę niesie w swojej wielkiej torbie dziewczyna, którą przed chwilą minął.

DZIEŃ SZÓSTY

51

Było krótko po północy, gdy Tomasz Horn zaparkował przed siedzibą firmy SND. Miał za sobą ponad dwie godziny jeżdżenia, co przełożyło się na jedno zlecenie. Było proste, a klienci, których wiózł, bezproblemowi. Świętowali na zamkniętej imprezie w klubie przy Sienkiewicza. Z tego, co Horn zdołał zrozumieć z bełkotliwej relacji, były to czyjeś trzydzieste urodziny. Bania musiała być naprawdę ostra, bo pierwsi zawodnicy skapitulowali już po dwudziestej pierwszej.

Horn też był bliski kapitulacji. Do końca nie wiedział, czy w ogóle powinien zjawiać się na Kolejowej, czy zdezerterować. A może wcześniej zadzwonić, wy badać grunt? Zawsze to co innego niż awantura twarzą w twarz. Tak naprawdę przecież nie znał człowieka, który go zatrudnił, nie wiedział, do czego jest zdolny, gdy jest zły.

W końcu jednak założył na grzbiet nową koszulę, którą kupił na Marszałkowskiej (jak być wywalanym z roboty, to przynajmniej z fasonem) i około dwudziestej zameldował się w firmie. Ale Leszka nie było. Zosia powitała Tomasza jak zwykle. Nie wyczuł z jej strony żadnej niechęci, chociaż oczywiście mógł się mylić. Znali się przecież ledwo kilka dni. Czy może raczej nocy. A kilka chwil później zadzwonił telefon i trzeba było wyruszać w miasto.

Traf chciał, że dyżur wypadł ze Skoczkiem. Tomasz próbował wypytać go – możliwie delikatnie, a jednocześnie sprytnie, tak jak nauczył się tego w dziennikarskich czasach – czy coś wie o wczorajszej hecy, a przede wszystkim o jej konsekwencjach. Skoczek jednak nic nie wiedział. Ale przecież i w tym przypadku badanie nie mogło dać wiarygodnego wyniku, prawda?

Dopiero teraz wszystko miało się wyjaśnić.

„Leszek chce z tobą pogadać” – usłyszał przez telefon od Zosi pół godziny temu.

– Kurwa mać! – Uderzył potylicą o zagłówek.

Odpowiedział mu warkot silnika. Od ulicy Prądyńskiego zbliżał się jakiś samochód. Horn rozpoznał auto z firmowej floty, które po chwili zaparkowało po jego prawej stronie.

– Nie śpimy! – zawołał jeden z kolegów, uderzając kilka razy otwartą dłonią w dach samochodu, w którym siedział Horn.

Począł, aż znikną w drzwiach firmy, i dopiero wtedy zaczął się gramolić z wozu. Nagle uświadomił sobie, że może popełnił błąd i powinien wejść razem z nimi, co mogło uchronić go przed atakiem gniewu szefa. Pierwsza szansa przepadła, gdy pojazd opuścił Skoczek. Na szczęście Kłos furialem nie był, a ostatnia rozmowa pewnie i tak

odbyłaby się na osobności. Była jeszcze trzecia opcja: zostawić kluczyki w stacyjce i po prostu sobie pójść. Nie ma co, czuł się jak uczeń, który nabroił i teraz czeka go rozmowa z dyrektorem szkoły, w obecności wychowawcy, no i oczywiście rodziców. Ech, ile by dał, żeby móc się przenieść do tamtych czasów i mieć tylko takie problemy...

Serce biło mu mocno. Gdy znalazł się w przedsiönku, usłyszał zbiorowy śmiech. Jeszcze wczoraj pewnie by się z tego ucieszył. Dziś brzmiało to jak salwa plutonu egzekucyjnego.

– Dobry wieczór. – Cicho zamknął za sobą drzwi.

– Oto i jest nasz Rambo! – zawołał Leszek Kłos, co znów spowodowało radość.

Horn nie patrzył w jego stronę, więc nie wiedział, jaki wyraz twarzy towarzyszył temu jednemu krótkiemu zdaniu. Czy był to uśmiech czy przeciwnie – śmiertelnie poważna maska. Ale i to nie musiało o niczym świadczyć, bo przecież dziś można kogoś wypierdolić z roboty, szczerząc się przy tym jak na wakacyjnej fotce.

Dobra, zakończmy to wreszcie – pomyślał, po czym ruszył w kierunku biurka szefa.

Zatrzymał się metr przed nim, nabrał do płuc powietrza i wyrzucił z siebie:

– Chciałem tylko powiedzieć, że...

– ...klienci zostali odwiezieni bezpiecznie do domu – dokończył Kłos.

– Co? – Tomasz wzdrygnął się.

– Oczywiście mam na myśli tylko drogę, którą pokonali naszym transportem. A także ich samochody. – Właściciel firmy przeniósł spojrzenie na Skoczka i tamtych dwóch.

– Się wie, szefie! – potwierdzili ochoczo wszyscy trzej.

– I pięknie. Co się dalej z nimi stało, to już nie nasz biznes. Nie odpowiadamy za to, co stanie się na schodach do domu. Albo w... windzie.

Kręgosłup Horna na chwilę zmienił się w sopel lodu.

– A skoro już jesteśmy przy windach – ciągnął Leszek. – Jeden z naszych stałych klientów, który sprowadza je i montuje w Warszawie, chciałby zaprosić całą naszą załogę na kolację.

Rozległ się aplauz i brawa.

– Oczywiście ciężko w naszej profesji – ciągnął szef – o znalezieniu terminu, który pasowałby wszystkim. Ale myślę, że da się to zrobić.

– A czym sobie zasłużyliśmy na taki honor? – zaciekawiał się któryś z chłopaków.

– O tym już opowie wam nasz nowy kolega, Tomek.

Horn niemal fizycznie poczuł, jak skupiają się na nim spojrzenia wszystkich obecnych.

– Ze swojej strony mogę mu tylko pogratulować zimnej krwi, a jednocześnie przeprosić za wszystkie niedogodności. Sam nie wiem, jakbym się zachował w takiej sytuacji. Ale jak to mówią, nasz klient, nasz pan – zakończył ze swadą Leszek Kłos.

– Miałeś kurs nad morze? – zapytał Horna ten, który kilka chwil wcześniej budził go, waląc w dach samochodu.

– Napadli na was? – spekulował z drugiej strony Skoczek. – A w ogóle to dlaczego nic nie mówiłeś? Jeździmy razem pół nocy, a ten ani be, ani me!

Tomasz zdołał tylko wzruszyć ramionami. Mógł pęcznieć z dumy, a tak naprawę chyba wciąż bał się spojrzeć na szefa. Męki te zakończyła dyspozytorka Zosia.

– Potem pogadacie, moi panowie. – Zaklaskała kilka razy niczym przedszkolanka, chcąc uciszyć dzieci. – Mamy nowe zlecenia. Dopijajcie szybko kawę i za kółko. Klienci czekają.

52

Kiedy Horn znów znalazł się ze Skoczkiem w jednym samochodzie, nie mógł się już wymówić od opowieści. Nie miał jednak ani siły, ani ochoty, by cokolwiek ubarwiać, więc opowiedział wszystko tak, jak było. Przemilczał oczywiście to, że była to od początku do końca lewizna i Kłós nie miał o niczym pojęcia. Młody spoglądał na niego jak urzeczony.

– Ja chyba bym się zesrał ze strachu – powiedział, gdy Horn skończył.

– Nie było tak źle.

– Dobrze, że ci nie wlali na komendzie.

– Nie dałbym się.

– Każdy tak gada, a jak przyjdzie co do czego, to mięknie, jak tylko sypną mu na głowę paragrafami.

Po kilku minutach znaleźli się w Śródmieściu. Skoczek sprawdził jeszcze raz adres usługi, a potem uspokoił Zosię, która dzwoniła, sama pewnie ponaglona telefonem zniecierpliwionych klientów.

– Trzy minuty – zapewnił ją chłopak, podczas gdy Tomasz skinął głową. Wszystko wskazywało na to, że właśnie tyle im wystarczy, aby dotrzeć na miejsce.

Tak się stało. Zatrzymawszy się przed klubem na Żurawiej, Horn i Skoczek zaczęli się rozglądać za klientami.

– Oby to nie byli ci. – Młody wskazał na dwóch typów, którzy wytoczyli się z klubu, podtrzymując nawzajem, ale i tak z trudem udawało im się łapać pion. – Trzeba sprawdzić.

Słowa zawisły w powietrzu przesyconym wonią zapachowej choinki, wody po goleniu i samochodowej tapicerki. Ale klienci mimo wszystko chyba wiedzieli, kogo mają szukać, bo właśnie jeden z nich wskazał ich samochód ręką uzbrojoną w zapalonego papierosa. Z wszelkich obliczeń wynikało, że z chlorami będzie teraz jechał Skoczek. Że zahaczą o nocny, było jak w banku. I oby tylko na tym się skończyło.

– O, fuck! – zaklął chłopak, bo jeden z tamtych właśnie pochylał się nad krawężnikiem, drugą ręką trzymając się latarni.

– Powodzenia. – Tomasz wysiadł z samochodu i pewnym krokiem podążył ku birbantom.

Nagle zatrzymał się, zachwiał, zupełnie jakby sam był wstawiony. Albo zderzył się z szybą.

– O nie...

Takie rzeczy się nie zdarzają, a jeśli już, to tylko w filmach! Stali przed nim (jeszcze) ci sami faceci, którzy przyszli do niego po dług. A potem wywieźli na skraj miasta, grożąc, że znajdą go wszędzie. Było to zaledwie pięć dni temu, ale Hornowi czasami zdawało się, że minęło kilka miesięcy, a chwilami to nawet udawało mu się zapomnieć

o utrapieniu. Prawda była jednak inna, okrutna. Bo co można zarobić w trzy dni, jeśli nie jest się dilerem narkotyków, sprzedawcą broni lub pośrednikiem w handlu nieruchomościami? Albo komornikiem.

– Łapaj! – Jeden z mężczyzn rzucił mu kluczyki, które Horn, o dziwo, zgrabnie pochwycił.

On rozpoznał ich, ale czy oni rozpoznali jego? Już go minęli, lekkim skosem kierując się w stronę samochodu i siedzącego w nim nieszczęsnego Skoczka.

– Ty... tylko ostrożnie, nie? – wybełkotał drugi z zakapiorów i pogroził Hornowi palcem. – To drogi sprzęt. Nie wypłaciłbyś się do końca życia, gościu.

– A gdzie... stoi panów auto? – zapytał nieswoim głosem.

Tamten wskazał mu kierunek.

– Za winklem, na Kruczej – sprecyzował. – Beema na żyrardowskich blachach. Znajdziesz?

– Jasne. Proszę się nie martwić.

Już otworzyli drzwi samochodu Skoczka.

– Dobry wiecz... – wybełkotał pierwszy, sadowiac się na tylnym siedzeniu.

– Ja nie mogę z tyłu, bo rzygam – wytłumaczył się drugi.

– Łomianki, Wiosenna – zaordynował po chwili ten siedzący z tyłu.

Trzasnęły drzwi. Kierowca uruchomił silnik. Horn wciąż jednak stał w tym samym miejscu, jakby śrubami przykręcono mu podeszwy do płytek chodnika.

Samochód ruszył z miejsca, ale po kilku metrach zatrzymał się.

Poznali mnie – pomyślał Tomasz.

– Zapamiętałeś adres? – zapytał go Skoczek przez otwarte okienko. Był śmiertelnie błądy, a może to tylko światło niedalekiego neonu powodowało, że tak wyglądał?

– Tak. Wiosenna w Łomiankach.

– Wiosenna dwadzieścia.

– Jasne.

A może powinienem się z nim zamienić, pogadać z nimi trochę, wytłumaczyć? – zastanawiał się gorączkowo Horn.

Ze środka dobiegły jakieś pomruki i pochrząkiwania. Może była to pijacka muzyka, a może wyraz niezadowolenia, że jeszcze nie ruszyli.

– To na razie – wycedził przez zęby Skoczek.

– Szerokiej drogi.

Pojechali. Szansa przepadła. Jutro wyleczą kaca i zajrzą w papiery, którymi wtedy potrząsali, strasząc, że znajdą go wszędzie. Tak, kiedy się ogarną, wezmą na warsztat dług Tomasa Horna i wszystko zacznie się od początku.

Właściwie czy to trochę nie dziwne, że ktoś taki w ogóle zadzwonił do firmy w rodzaju SND z prośbą o pomoc, zamiast wezwać jakiegoś zaufanego pomagiera, bandyckiego stażystę, by odprowadził furę na miejsce? – pomyślał, otworzywszy dłoń, która od kilku minut ścisnęła kluczyki. Na skórze zrobiły się odciski, w niektórych miejscach podbiegły już krwią.

Chwilę później znalazł się na Kruczej i zaczął szukać samochodu. Pewnie niejeden na jego miejscu snułby już w tej chwili plany zemsty, której ofiarą stałby się niewinny pojazd. Jakby nie wystarczała już zła opinia, która przyłgnęła do tej niemieckiej,

porządnej przecież, marki – że jak taki jedzie ulicą polskiego miasta, to za kółkiem na pewno siedzi albo handzior, albo diler. W najlepszym razie nastoletni gnojek, co ledwo miesiąc temu odebrał prawo jazdy.

Jest. Oczywiście dwa z czterech kół musiały stać na kopercie dla niepełnosprawnych. To dodatkowy pretekst, by nasikać na dywaniki. Efekt po wyschnięciu – nie do podrobienia!

Trzeba się szybko ewakuować, bo jeszcze będzie na mnie – pomyślał.

Nacisnął guziczek pilota, limuzyna zamrugła światłami. Otworzył drzwi i, mimo wszystko, z przyjemnością zapadł się w skórzanym fotelu. Przeciągnął palcami po kierownicy. Sam mógł tylko pomarzyć o takiej furze. Włożył kluczyk do stacyjki, ale zanim go przekręcił, rozejrzał się jeszcze po kokpicie. Jego wzrok przykuł jeden szczegół...

53

Obudziły ją kroki. Było ciemno, ale sądząc po hałasie, był to ktoś wielki i ciężki, a każdy ruch musiał sprawiać mu trudność. Potwierdziło to kilka sapnięć.

– Chodź no tu do mnie, gołąbeczko – rozległ się niski głos.

Zdrętwiała. Nie była przecież pewna, czy przybysz nie zwraca się czasem do niej. Hałasy dochodziły z pewnej odległości, ale mogło to być mylące. Ona nie widziała jego, ale przecież on mógł doskonale widzieć ją. Choćby dzięki noktowizorowi.

Znów rozległo się sapanie i teraz wydało się jej nie tyle świadczące o czyichś wymiarach czy trudnościach z poruszaniem się, ale... nieprzyzwoite. Tak, na pewno się nie myliła! Wtedy mimo wszystko zdecydowała się poruszyć. Jako że lewą rękę przygniatało w tej chwili jej własne ciało, wyciągnęła przed siebie prawą. Palce natrafiły na chropowatą, zimną i wilgotną powierzchnię podłogi. Szybko cofnęła rękę.

Gdzie ja jestem? – pomyślała z przerażeniem. Może w jakiejś piwnicy? Wzdrygnęła się ze wstrętem, bo zawsze bała się takich pomieszczeń, w których mieszkały przecież pająki i szczyry. Nie wiedziała, których z nich boi się bardziej.

Wtem zabłysło światło pod sufitem. Zacisnęła ze wszystkich sił powieki, a nawet na chwilę wstrzymała oddech. Jednak ciekawość, ta zawodowa, jak i ta zwykła, ludzka, była silniejsza. Ujrzała jakiś ludzki kształt. Pochylał się nad czymś, a może kimś.

– Gdzie masz swoją piękną nóżkę, gołąbeczko? – tym razem głos był o wiele głośniejszy, charczący, a wręcz przerażający.

Zrobiło jej się gorąco, a serce zamarło w piersiach. Sięgnęła w okolice pasa, jakby spodziewała się coś tam znaleźć, ale bez skutku – tylko przez chwilę macała się po biodrze. Wydawało jej się, że robi to bezszelestnie, a jednak tak nie było. Tamten człowiek nagle wyprostował się, odwrócił i spojrzał w jej kierunku. Nie zamknęła oczu, ale też nie była w stanie ujrzyć jego twarzy. W półmroku błyszcząły jedynie białka oczu. Ale po chwili błysnęło coś jeszcze. Było to ostrze noża, który pojawił się w dłoni mężczyzny.

– Popatrzysz sobie... – zaśmiał się krótko, odwrócił i ponownie pochylił.

Uniosła głowę, potem tułów. Zobaczyła nagie ciało kobiety, właściwie dziewczyny. Leżała z gołymi, rozchylonymi nogami. Sekundę później na jednej z nich zacisnęła się dłoń tego człowieka, wielka niczym bochen chleba. Zdało jej się, że leżące na podłodze ciało zaczyna się ruszać. Wtedy ujrzała, jak ostrze dotyka skóry, a po chwili z tego miejsca tryska tętnicza krew.

Zacisnęła znów powieki, jakby z nadzieją, że kiedy je otworzy, zły obraz zniknie. Kiedy je znów otworzyła, w górnym rogu trójkąta, który tworzyła obnażona kończyna dziewczyny, ramię i bok jej oprawcy, ujrzała jej twarz. Znajomą twarz.

– Monika! – krzyknęła.

Dopiero teraz wszystko zniknęło i ucichło. Na chwilę znów zapanowała kompletna ciemność, choć jej własny głos w głowie wciąż powtarzało echo.

– Chyba się obudziła.

Kornelia otworzyła jedno oko. Leżała w jakimś pomieszczeniu bez okien, ze ścianami pomalowanymi na czarno. Podniosła drugą powiekę. Kiedy jednak poruszyła głowę, ścisnął ją tępy, pulsujący ból, a wszystko dokoła zawirowało. Poczuła, że coś przygniata jej piersi i robi jej się niedobrze.

– Co się dzieje? – jęknęła, a może tylko pomyślała. Tego nie była pewna.

– Ona coś mówi – ogłosił ten sam głos.

Po chwili ujrzała, jak pochylają się nad nią dwa ludzkie kształty. Nagle ostre światło poraziło ją w oczy. Aż jęknęła z bólu.

– Rzeczywiście, obudziła się.

– Co teraz?

– Jak to co? Leć po szefa! Może jeszcze nie wyjechał do miasta.

Wraz z tymi kilkoma słowami dotarła do niej przykra woń papierosów, przez co zrobiło jej się jeszcze gorzej. Silniejszy był jednak strach i niepewność. Co się dzieje? Usiłowała sobie przypomnieć. Znów poczuła mdłości. Chciała zakryć dłonią usta, ale nie mogła jej oderwać od prawego boku. Ktoś ją przywiązał. Lewą zresztą też. Szarpnęła się, ale bez skutku, węzły były mocne, fachowe.

I nagle wszystko wróciło. Było około piątej po południu (czyli ile godzin temu? A może... dni?!), gdy przestąpiła próg salonu tatuażu, którego adres znalazła na wizytówce znalezionej w rzeczach zamordowanej Ukrainki, Ołeny Hawryluk. Miejsce było dziwne. Przede wszystkim położone na peryferiach miasta (z ostatniej stacji metra, czyli Młocin, trzeba było jeszcze podjechać kilka przystanków autobusem), w niewielkim budynku, otoczonym rdzewiejącą siatką.

Czy ktoś w ogóle tutaj zaglądał? W pierwszej chwili można było odnieść wrażenie, że salon może i kiedyś tutaj działał, ale się wyniósł w bardziej cywilizowane rejony. Mimo to Kornelia weszła do środka. Kiedy już się okazało, że jest otwarte, zaczęła udawać zainteresowaną. Od dziewczyny urzędującej za kontuarem dostała kilka albumów ze wzorami tatuaży, a zza parawanu dochodziło bzyczenie maszyny, a także od czasu do

czasy jęki męczzonego albo męczzonej. Usiadła na krześle i przeglądała album, jednocześnie lypiąc na boki.

A potem przyszedł ten człowiek. Wysoki, potężny, z czarną brodą, w podkoszulku z wizerunkiem jakiegoś demona i skórzanych spodniach. Zupełnie jakby przed chwilą zsiadł z harleya. Spojrzeli na siebie. Chyba nieco dłużej, niż należało. A potem było już za późno...

„Jesteś od Wiktora?” – zapytał.

Gdy potwierdziła, dał jej znak, żeby za nim poszła. Odłożyła album i zrobiła, jak chciał. Przeszli na piętro, do jakiegoś biura. Tamten usiadł za biurkiem, podczas gdy ona nadal stała. Jeszcze raz jej się przyjrzał, tym razem już nie silił się na żadne delikatności – to była ocena, czy kobieta ma tak zwane warunki, czy nie.

„Masz już jakieś tatuaże?” – zapytał. Dopiero teraz wyczuła w jego głosie obcy, wschodni zaśpiew. I choć pytanie było niewinne, poczuła po raz pierwszy strach. Odpowiedziała, że nie. Nie ma. Wtedy w jej torebce zaczęła dzwonić komórka. „Odbierz” – powiedział.

Kornelia otworzyła torebkę. Dłuższą chwilę nerwowo w niej grzebała, ale nie mogła się dogrzebać. W końcu znalazła smartfon. Traf chciał, że pod okładkę, którą miał telefon, zawinął się łańcuszek jej służbowej odznaki. W efekcie wyciągnęła wszystko. Kiedy tamten to zobaczył, rzucił się na Kornelię. Jednym ciosem w bok głowy pozbawił ją przytomności. Ta wróciła właśnie teraz, poprzedzona koszmarną wizją człowieka ćwiartującego jej rodzoną siostrę. Co dalej?

Trzasnęły drzwi. Kroki. Ciężkie, może nawet cięższe od tych, które ją obudziły.

– No to teraz sobie pogadamy, pani komisarz – powiedział przybysz. Czy to ten sam, który na nią napadł?

– Tylko podkomisarz – sprostowała mimo wszystko.

– Ale pośmiertnie zawsze dają gwiazdkę.

54

– Wciąż nie mogę uwierzyć. Dwie wizyty w ciągu jednego tygodnia. Nie poznaję pana! – zaśmiała się Agnieszka, przypatrując mu się znad krawędzi kubeczka.

– Do trzech razy sztuka – odpowiedział Kostek, również sięgając po kawę.

Dziewczyna uniosła w górę prawą brew.

– Wtedy wprowadzisz się na stałe?

– A co?

– A nic. Tylko trochę mało tu miejsca na dwie osoby. – Krytycznie rozejrzała się po własnym salonie.

Rzeczywiście, kiedy wczoraj wieczorem Podbiał znów zapukał do drzwi jej mieszkania, które znajdowało się w okolicy placu Zbawiciela, zdziwiła się. Powód był podobny jak kilka dni temu – nie chciało mu się wracać na Bielany. Oczywiście brał też pod uwagę, że nie będzie sama. Ale była. I dobrze, bo tym razem nie przyszedł z pustymi rękami. Przyniósł wino. Gdy je wypili, poczuł się lepiej. A gdy Agnieszka wyjęła z lodówki jeszcze jedną butelkę, rozwiązał mu się język. I przy okazji cały worek

z udrękami, które go męczyły, odkąd wrócił z urlopu. Czasem zdawało mu się, że minął miesiąc, a nie zaledwie tydzień.

– Jaki dzisiaj jest właściwie dzień? – zapytał.

– Sobota. Zaraz muszę lecieć do roboty – odpowiedziała i wskazała na parapet okna, gdzie czekał już sprzęt fotograficzny.

– Co dzisiaj będzie? – zainteresował się Kostek.

– Sesja ślubna. Młodzi zażyczyli sobie pałac i ogród w Wilanowie.

– Lata płyną, a to miejsce nie wychodzi z mody.

Pamiętał, że kiedyś, nas samym początku znajomości, wybrał się tam z Kasią. To był wrzesień, jeszcze ciepło i słonecznie. W barokowym parku co chwila natykali się na kobietę w białej sukni i welonie, mężczyznę w garniturze i przejętego faceta z aparatem fotograficznym. W sumie tamtego dnia naliczyli chyba z osiem par. Połowę stanowili zadowoleni Azjaci.

– Nie potrzebujesz czasem pomocy? – zapytał po chwili.

– Chcesz zmienić zawód czy już kombinujesz, co robić na emeryturze?

– Jedno i drugie. Po tym, co się ostatnio wydarzyło, mam ochotę rzucić to wszystko w cholerę i wrócić na północ. Ile tam wytrzymam, to już inna sprawa. Jak byłem smarkaczem, oglądałem film *Żandarm na emeryturze* z Louisem de Funèsem. Najbardziej utkwiła mi w pamięci scena, jak jeden z byłych współpracowników żandarma siedzi pod wodą w stroju płetwonurka i zakłada mu ryby na haczyk.

– Pamiętam! – Dziewczyna aż klasnęła w dłonie.

– Byłaś już wtedy na świecie? – zdziwił się.

– Ledwo co. I co z tymi rybami?

– Tak oczywiście by nie było, bo koledzy pewnie zapomnieliby o mnie po tygodniu. Ale chyba wiesz, o czym mówię. Z drugiej strony mam jeszcze sporo energii, tyle że nie wszyscy to doceniają. Mówiłem, że zabierają mi sprawę?

– Owszem. Zanim jeszcze zdążyłeś zdjąć wczoraj buty. A także chwilę po zdjęciu spodni.

Westchnął. Tutaj mógł to zrobić. W spodniach na tyłku czy bez nich. Mógł przyznać się, że jest słaby, mały. Że niewiele może, choć kilka godzin wcześniej, w willi posła Gawina w Podkowie Leśnej, do końca trzymał fason.

– Chyba zajmę się kradzieżami rowerów – rzekł po chwili. – Nie śmieję się, bo to jest bardzo poważny temat i prawdziwa plaga. Złodzieje kroją teraz na potęgę.

– A to akurat prawda. Ostatnio ukradli synowi znajomej na Bielanach. Za ledwie kilka dni wcześniej chłopak zapłacił za niego ostatnią ratę. Owszem, trzymał na klatce schodowej, ale z domofonem, na trzecim piętrze, przypięty łańcuchem.

– I na komendzie usłyszał, że szans na odzyskanie nie ma?

– Dokładnie tak.

– No właśnie! Może więc ktoś się powinien nad tym pochylić. Wziąłbym do pomocy jakiegoś młodego, żeby mógł czasem robić za przynętę i zdobywać informacje. Może Kornelię, oczywiście jeśli by chciała.

Przypomniał sobie, że powinien do niej zadzwonić. Znów, bo próbował wczoraj, późnym popołudniem, ale nie odebrała. Potem już wyleciało mu z głowy.

– A jakie ty masz plany na sobotę? – zainteresowała się Agnieszka.

– Jeśli nie potrzebujesz pomocy przy sesji, to będę musiał coś sobie zorganizować – uśmiechnął się Kostek.

Mimo wolnego dnia, grupa obywateli protestujących przed Pałacem Mostowskich nie zmniejszyła się, ale też, prawdę mówiąc, nie zwiększyła. Chyba tylko skandowanie było słychać lepiej, bowiem uliczny hałas był mniejszy niż w dzień powszedni.

Konstanty Podbiał wbiegł na swoje piętro niemal bez wysiłku. Czas spędzony z Agnieszką dobrze na niego wpłynął. Czuł, że krew krąży w nim tak, jak powinna. I kto wie, czy nie zapuka do drzwi tej dziewczyny po raz kolejny?

– Co jest? – mruknął.

Drzwi jego gabinetu były otwarte, a ze środka dochodziły jakieś głosy. W pierwszej chwili ucieszył się, myśląc, że to Kornelia z jakimś towarzystwem, najpewniej chłopakami z wydziału. I że nie będzie już musiał do niej dzwonić, bo trochę zaczynał się niepokoić. Ale to nie była ani nowa, ani starzy koledzy, tylko jacyś zupełnie obcy mężczyźni. Prócz jednego, Kontry. Podinspektor siedział na swoim miejscu na skraju biurka i przypatrywał się poczynaniom nieznanym w sile trzech.

– Co się tutaj dzieje? – warknął Kostek, podając rękę przełożonemu.

– Panowie przyjechali z Puławskiej, aby przejąć nasze śledztwo – odpowiedział Krzysztof. – Pamiętasz, mówiłem ci o tym.

– Pamiętam. Ale od kiedy robi się to gestapowskimi metodami?

– Proszę uważać na słowa – zareagował jeden z trójki, łysy jak Kontra, ale o głowę od niego wyższy.

– Będę mówił, co będę chciał – odrzekł ostro Podbiał.

Podszedł do szafy i ponad głową grzebiącego w niej funkcjonariusza z CBŚP sięgnął po swój kubek z osiołkiem Kłapouchym. To nie spodobało się tamtemu.

– Ej! – rzucił.

– Co „ej”? To moja własność – powiedział Kostek. – Wolę zabrać na wypadek, gdybyście się za bardzo wczuli w rolę.

Nikt z tamtej trójki tego nie skomentował. Każdy miał za to ważną minę. Na biurku Kostka leżał już plastikowy woreczek z rzeczami Ołeny Hawryluk, które przyniósł z restauracji, obok torba podróżna Ludmiły Szewczenko zgarnięta z Olbrachta przez Kornelię, a także papierowa teczka z aktami sprawy. Tak, chyba już lepiej będzie się nie odzywać.

– Nie byłoby tego, gdybyście wszystko przygotowali na czas – powiedział ten łysy, pewnie najstarszy stopniem.

– Widać coś nie zadziało na łączach. – Kontra uśmiechnął się dobrotliwie. – A między naszymi firmami niby prosta droga, żadnych zakrętów.

– Wy macie swoje procedury, a my mamy swoje – ciągnął tamten, jednocześnie wciąż lypiąc spode łba na tego, który w ciągu paru sekund zdążył zaleźć mu za skórę. – Nas od wczoraj naciska MSZ, więc nikt nie powinien mieć wątpliwości, że żarty się skończyły.

– Współczuję – mruknął na to Kontra.

Jeszcze przez chwilę on i Podbiał przypatrywali się w milczeniu „kolegom” i ich działaniom, które Kostkowi skojarzyły się tak, a nie inaczej. Wreszcie ekipa zabrała manatki.

– Mam nadzieję, że szybko złapiecie mordercę – powiedział Podbiał. – Gdyby coś jeszcze trzeba było dodać, to jestem na miejscu od poniedziałku. Od ósmej mniej więcej. A potem chyba pojedziemy z kolegami zdejmować tęczowe flagi.

Cisza. Nie przejął się tym.

– I tak sobie myślę, że tamci dwaj Gruzini również mają z tym coś wspólnego. Wiecie, ci zatrzymani szantażyści. Tylko trzeba ich mocniej przycisnąć.

Tym razem dostał odpowiedź. Od tramwaju jadącego ulicą Andersa.

– Gdybyście coś jeszcze znaleźli, proszę o kontakt – powiedział na odchodne łysy, ale parzył przy tym na Kontrę, zupełnie ignorując Kostka.

– Oczywiście, panie inspektorze – odpowiedział skwapliwie Krzysztof, a gdy drzwi się za nimi zamknęły, rzucił półgłosem: – Pierdol się, cwelu.

I zaraz zbladł, bo rozległo się pukanie. Do środka nie wszedł żaden z tamtych, ale dyżurny.

– Przesyłka do nadkomisarza. Kwadrans temu zostawił to na dole niejaki Sambor Witek. Ale nie wiem, co tu jest nazwiskiem, a co imieniem.

– Nieważne. Dzięki! – Kostek odebrał kopertę, a kiedy mundurowy zamknął drzwi, wyjaśnił Kontrze: – To menadżer lokalu na placu Zbawiciela. Miał się zgłosić, by złożyć zeznania, ale nie pamiętam już, czy to miało być dzisiaj, czy wczoraj.

– Dobra, dobra, otwieraj. – Podinspektor nie spuszczał wzroku z przesyłki.

– Chyba nie myślisz, żeby biec za tamtymi – przestraszył się Kostek.

Szybko rozerwał kopertę. W środku było kolorowe zdjęcie. Przedstawiało Olenę Hawryluk, co tłumaczyło, dlaczego dowód dostarczył właśnie Sambor, ale także Ludmiłę Szewczenko. Roześmiane i radosne, trzymały się za ręce. Na fotografii była jeszcze jedna dziewczyna.

– No to już wiemy, że dwie ofiary się znalazły – rzekł Podbiał. – I że jest jeszcze jedna...

– Która może być w niebezpieczeństwie.

Spojrzeni na siebie. Kostek pomyślał o prośbie czy tak naprawdę poleceniu tamtego człowieka z CBŚP.

– Gdzie jest ta nowa? – zapytał Kontra.

– Być może zaraz się tego dowiemy. – Podbiał sięgnął po swój kubeczek, z którego wyciągnął złożoną na czworo i dopasowaną do krągłości naczynia karteczkę. Przebiegł po niej wzrokiem. – Zapisala tu jakiś adres...

– W sumie jest weekend i może robić, co jej się podoba. – Kontra powoli szedł z biurka, co oznaczało, że jego wizyta ma się ku końcowi. – Nie zapytałem cię jeszcze, jak było u pana posła.

– Tak jak przewidywałem: pogadanka na temat przyjaźni między narodami, wspólnych szans w Europie, rynku pracy, rachunkach krzywd, a do tego sugestia awansu za odpuśczenie tematu.

– Pięknie. Coraz śmieiej sobie poczynają.

– Ciekawe, czy jeszcze jacyś politycy odezwą się w tej sprawie. Miałeś telefony? – zapytał Podbiał.

– Owszem. I to zarówno od polityków z partii rządzącej, jak i opozycji. Oczywiście wszyscy chcieli się tylko dowiedzieć o postępy w śledztwie. A tym Gawinem to bym się specjalnie nie przejmował. Może po prostu chce się wykazać. Z tego, co widzę w telewizji, jest bardzo aktywny. Kto wie, może chciałby zostać przyszłym ministrem spraw wewnętrznych.

– Jeśli tak, to może powinienem go posłuchać? – Kostek utkwiał spojrzenie w jakimś punkcie za oknem.

– A ja myślę, że powinienś ciągnąć tę sprawę, ile się da.

– Jesteś pewien? A może już zajmę się kradzieżami rowerów. Dzisiaj rano to wymyśliłem. Dobre, nie?

– Wyborne. Niestety, nie mogę ci już w żaden sposób pomóc, Kostek.

– Z rowerami?

– Miłej soboty – rzucił już z korytarza Kontra. – I nie narób jakichś głupstw.

– Wzajemnie. Muszę tylko odnaleźć Kornelię i odebrać kogoś z... z dworca. Prawie zapomniałem, że to już dzisiaj.

– Jakaś nowa miłość? – zainteresował się Kontra.

– Raczej stara. I tylko znajomość.

– Te dupy cię kiedyś zgubią, Kostek.

55

Młody oficer Służby Więziennej wskazał krzesło mężczyźnie, którego przed chwilą wprowadzono do jego gabinetu.

– Proszę siadać – powiedział, choć „proszę” nie było konieczne.

Gość wykonał polecenie. Nie to co jego poprzednik, który był tutaj niecały kwadrans temu. Burknął tylko, że już się nasiedział. Fakt, w papierach stało jak byk, że spędził w tym przybytku osiem i pół roku za pobicie i rozbój. Ten nie przypominał tamtego troglodyty. Gdyby młody funkcjonariusz nie wiedział, że ma przed sobą osadzonego, pewnie miałyby problem, żeby w to uwierzyć. Tak, bez wahania poprosiłby tego człowieka, żeby łaskawie rzucił okiem na bagaże w dworcowej poczekalni, podczas gdy on skoczyłby do kasy albo kiosku.

Czyżby to lata spędzone w tym miejscu zrobiły z tego gościa potulnego baranka? – zastanawiał się mundurowy. Tak naprawdę to na palcach jednej ręki mógł policzyć znane sobie przypadki udanej resocjalizacji.

Wiele wyjaśniało również to, że pełnił w tym miejscu służbę dopiero od niedawna, a los zakombinował jakoś tak, że ich drogi jak dotąd się nie skrzyżowały. Aż do dzisiaj. Do dnia, kiedy osadzonego nie będzie już można tak nazywać, bowiem odzyska wolność. To ten dzień – bez fanfar, kwiatów i toastów (przynajmniej teraz), a jakże ważny.

– Ładną będzie pan miał pogodę. – Funkcjonariusz spojrział w okno, za którym świeciło mocno słońce.

– Na to wygląda – zgodził się tamten. – Chociaż w starych filmach w takich momentach zawsze pana deszcz.

– A wie pan, że chyba rzeczywiście.

Więcej chyba nie pogadają. Zresztą nie taka była rola oficera, który zajmował ten gabinet. Odbił pieczętkę w tuszu i przystawił ją do przyniesionej obiegówki, tuż nad pieczętką więziennego lekarza. Następnie podpisał się i wstał z krzesła. To samo uczynił tamten.

– Powodzenia, panie Piotrze – powiedział, oddając parafowany dokument.

– Nie dziękuję, panie poruczniku, ale na pewno się przyda.

Mężczyzna schował druk w kieszeni dżinsowej kurtki, którą niespełna godzinę temu odebrał z więziennego depozytu. Mimo że od chwili, gdy miał ją na sobie po raz ostatni, trochę czasu minęło, leżała na nim całkiem niezłe. Inna rzecz, że nie za bardzo pasowała do jego siwiejących włosów i pierwszych zmarszczek. No ale za to nikt go chyba nie aresztuje.

Okratowane drzwi stanęły otworem. Mężczyzna nazwany Piotrem wyszedł z pomieszczenia. Szedł powoli, jakby mu się nie spieszyło. Pod pachą ścisnął papierowe zawiniątko, w które zapakował rzeczy odebrane z depozytu. Nawet długo na nie nie czekał, choć wszystko zależało od człowieka, który miał je wydać. W dodatku nic „się nie zapodziało”, bo i tak bywa. Wreszcie niewiele było tych rzeczy, ale i tak na pewno więcej niż to, co czekało go po drugiej stronie.

Ostatni raz sięgnął po obiegówkę, która zniknęła w ciemnym, okratowanym okienku, tuż przed ostatnią bramą. Kiedy jednak papierek długo nie wracał, mężczyzna poczuł niepokój. A może... nadzieję? Dopatrzone się jakichś braków, choć pieczętki zebrał wszystkie? Zupełnie jak podczas nocnych harców na harcerskim obozie, gdy był nastolatkiem.

Zazgrzytały otwierane drzwi i po chwili stanął przed nim funkcjonariusz ze sporym brzuchem, który opinał skórzany pas, i z krokiewkami starszego sierżanta na pagonach. W rękę trzymał obiegówkę Piotra.

– Wszystko w porządku? – zapytał ten obojętnym głosem.

– Tak – odpowiedział sierżant, zaraz jednak dodał: – Ale dzwonili z biblioteki.

Więzień (wciąż jeszcze nim był) w jednej chwili poczerwieniał na twarzy. Z biblioteki? Zanim jednak zdołał cokolwiek powiedzieć, funkcjonariusz parsknął śmiechem.

– Żartuję!

Dopiero teraz Piotr dostrzegł, że tamten trzyma w rękę jeszcze jakiś inny dokument.

– Proszę pilnować tego zaświadczenia, szczególnie w tym niepewnym czasie – powiedział.

– Dziękuję. – Piotr schował papier, ale już nie do kieszeni, a do pustego portfela.

– I proszę na siebie uważać, kapitanie – dodał starszy sierżant Służby Więziennej.

– Spróbuję. I dziękuję za troskę.

W odpowiedzi tamten stanął na baczność i zasalutował. Nie był to powszechny obrazek, a może nawet nie zdarzyło się to nigdy. Funkcjonariusz oddający honor osadzonemu? „Gad” walący w dach na widok „złodzieja”?! Nie, tego jeszcze nie grali. Tylko tych, którzy wiedzieli więcej o tym człowieku, ani trochę by to nie zdziwiło.

Podobnie jak wcześniejszy żart o bibliotece, który świadczył o tym, że ci dwaj są w dobrej komitywie.

- Powodzenia – rzekł mundurowy.
- Przyda się.

Otworzyły się żelazne drzwi będące częścią bramy i po chwili Piotr znalazł się na ulicy. Nie usłyszał za plecami trzaśnięcia, tak jak nie było go, gdy trafił tutaj przed laty. I wtedy, kiedy zabawił na przepustce dłużej, niż to było ustalone. Zrobił kilka kroków, wciąż w takim samym tempie jak dotychczas. Obejrzał się za siebie, by jeszcze raz spojrzeć na wysoki mur ze skłębionym drutem kolczastym, wieżyczkę, z której spoglądał na niego strażnik, a także dwuskrzydłą bramę z drzwiami. Wielu na jego miejscu pewnie splunęłoby z pogardą.

W starym filmie ktoś pewnie teraz by po mnie przyjechał – przeszło mu przez myśl.

Usłyszał pomruk silnika. W miarę jak auto się zbliżało, Piotr mocniej ścisnął pod pachą rzeczy. Nie zwolnił uścisku nawet wtedy, gdy pojazd, zdezelowany opel, minął go, a potem zniknął za rogim. Były przecież i inne filmy, na których z zatrzymujących się pod więzieniem samochodów nie wysiadali przyjaciele, ale wrogowie. A czasem padały z nich strzały, bo wreszcie można było, bez kosztownego angażowania ludzi po drugiej stronie muru, wyrównać stare porachunki. Piotr zatrzymał się w pół kroku, kilkanaście metrów od załomu muru. Instykt, który kilka razy ratował jemu i jego ludziom skórę w Ghazni czy Al-Hilli, i tym razem go nie zawiódł. Zza zakrętu wyszło dwóch mężczyzn. Obaj byli dobrze zbudowani, krótko ostrzyżeni, w dodatku mieli na sobie podobne skórzane kurtki. Za sam wygląd pięć lat.

Oparł się plecami o mur więzienia, którego tynk pękał bezgłośnie pod promieniami ostrego słońca. Wiedział, że nie zdąży dobiec do bramy, a jeśli nawet by mu się udało, to nikt mu nie otworzy. A przynajmniej nie tak od razu, bo są procedury. Obronić się też nie miał czym. Powinni mu zamiast tego glejtu dać jakiś nóż, niechby i do smarowania chleba!

Wtem lewe ucho Piotra złowiło ponownie warkot silnika. Były więzień zakładu karnego w mieście P. rozluźnił palce, które zaciskały się na papierze, przymknął oczy i...

- Przepraszam za spóźnienie – usłyszał na tle miarowego mruczenia silnika.

Naprzeciwko niego przy krawężniku stał samochód, a przez otwarte okno od strony pasażera ktoś na niego patrzył. Z sekundową przerwą, bo tyle zajęło tamtym dwóm łysolom przejście obok Piotra. Nawet na niego nie spojrzeli.

- Pan coś do mnie mówił? – zapytał Piotr.

- To ja, Kostek Podbiał. Nie wygłupiaj się, kapitanie, tylko wskazuj. Tutaj chyba jest zakaz zatrzymywania, a ja nie mam czasu ani ochoty gadać z miejscowym szeryfem.

- Chyba zaczynam wariować – powiedział były więzień, łapiąc za klamkę drzwiczek.

- Jak cały świat dokoła nas.

Uścisnęli sobie dłonie i auto ostro ruszyło z miejsca.

A jednak będzie jak w filmie – pomyślał jeszcze Piotr.

Ewa Ożóg dobrze radziła sobie w Warszawie. Rzadko prosiła rodziców o pieniądze, bo potrafiła je zarobić sama. Pracę hostessy w sali zabaw dla dzieci Kraina Krasnoludków nawet lubiła, mimo że czasami zdarzały jej się niemiłe historie. Jak choćby ta sprzed kilku dni z pedofilem, którego niechcący wpuściła do dzieci, i gliniarzem, który go namierzył. Od tamtej pory chodziła jak struta, spodziewając się konsekwencji, a może nawet awantury. Bo choć policjant obiecał, że pozostanie to między nimi, pewności nie miała. A kiedy już nie mogła wytrzymać z nerwów, po prosu wzięła jednodniowy urlop. Na szczęście nikt nie robił jej problemów.

Dzień był wolny, ale to nie oznaczało, że strawi go na bezczynności. Jako że nie była pewna jutra, zadzwoniła do swojego znajomego i zaproponowała spotkanie. Poznali się jakiś czas temu dzięki randkowej aplikacji i szybko przypadli sobie do gustu. Podobnie łatwo ustalili też, jaki układ ich połączy. Mężczyzna, na co dzień poważny biznesmen, mąż i ojciec dzieciom, pomagał jej finansowo, ona zaś starała się osłodzić mu szarą rzeczywistość.

Tak było i dzisiaj. Zrobili to na podłodze w pokoju, nie do końca nawet rozebrani. Ewa знаła jednak trochę życie i czuła, że coś jest nie tak. A jednocześnie była pewna, że ze swojej strony zrobiła wszystko jak należy.

– Jakieś kłopoty? – zapytała, usiadłszy z podkurczonymi nogami na fotelu, podczas gdy on leżał jeszcze na dywanie na wznak i z rozrzuconymi szeroko ramionami, zupełnie jak trup.

– Podaj mi lepiej papierosa – odpowiedział, krzywiąc się w uśmiechu.

Szybko spełniła prośbę. Nie miała z tym problemu. Czasem nawet bawili się w służącą i pana, chociaż bez akcesoriów i przebieranek.

– To jak? – drążyła Ewa. – Przecież widzę, że coś cię gnębi.

– Mam kłopoty w pracy. – Wypuścił dym z ust.

– Dostawa znów się opóźnia?

– Nie. To co innego.

– Pewnie skarbówka.

– Nie męcz mnie. – Wstał wreszcie z podłogi, strząsnął popiół na spodek i skierował kroki do łazienki.

Ewa nie myślała jednak kapitulować. Owszem, męczyć go nie będzie, ale i tak się dowie, o co chodzi. Na razie postanowiła, że poogląda telewizję. Od niedawna miała kablówkę, którą fundował jej ukochany. Problem w tym, że nie za bardzo miała czas, żeby ją oglądać, bo albo przychodziła zmęczona z uczelni, albo z pracy.

Nacisnęła czerwony guzik na pilocie. W tym samym momencie usłyszała charakterystyczne jęki ściszonej komórki swojego gościa. Wychyliła się z fotela, by sprawdzić, czy wraca. W łazience wciąż paliło się światło. Telefon jęczał coraz głośniej, jakby nieczułe urządzenie nagle stało się żywą istotą i cierpiało. Z bólu albo głodu. Ewa nie wytrzymała – wstała ze swojego fotela, podeszła do drugiego, na który kochanek zaraz po przyjściu rzucił marynarkę. Nie była pewna, w której kieszeni nosi telefon, więc zaczęła obmacywać wszystkie. I na tej czynności została złapana.

– Co ty robisz? – warknął.

– Dzwoni ci coś – odpowiedziała z niewinną miną.

Niemal rzucił się na fotel. Zupełnie jakby Ewa nie była jego przyjaciółką, a żoną, przed którą ma się tajemnice. Wyciągnął telefon, odebrał połączenie i ponownie wyszedł z pokoju. Ewa siedziała bez ruchu, jej serce biło niespokojnie. Mężczyzna był w kuchni i słyszała jakieś strzępki słów, ale nawet nie próbowała zrozumieć. Wszystko przez jeden przedmiot, który znalazła w kieszeni marynarki, kiedy usiłowała wyjąć komórkę. Przedmiot, którego nie spodziewała się znaleźć przy tym człowieku. Nie spodziewała się i nie chciała...

– I już po kłopotach – ogłosił Roman, stanąwszy w drzwiach pokoju.

Ujrawszy jednak minę Ewa, zrozumiał, że radość była przedwczesna. Zmusił się do uśmiechu i rzekł:

– Wszystko ci wytłumaczę...

57

Konstanty Podbiał i Piotr Duch mknęli dwupasmówką w kierunku Warszawy. Pasażer zezował na policjanta jak autostopowicz, który zaczął się już przyzwyczajać, że tę noc będzie zmuszony spędzić w przydrożnym rowie.

– Nie poznałeś mnie? – zapytał Kostek.

– Co się dziwisz. Parę lat się przesiedziało w tym sanatorium.

– Fakt. A ta prawniczka, jak ona miała na imię... – Kostek pstryknął palcami.

– Ewa.

– No właśnie, Ewa. Obiecywała cię wyciągnąć, apelować, bo w sprawie były niejasności. I co? Nic nie zrobiła?

– Próbowала, owszem. To dobra kobieta. Niestety, okazała się za krótka. Zaszkoziło mi też to, że spóźniłem się z tej cholерnej przepustki. Sąd nie miał litości i mi dołożył. Z czubeczkim.

– Jak to? – oburzył się policjant. – Przecież straciłeś pamięć! Pobili cię...

– Sam przecież wiesz, że w tym kraju najwłaściwiej jest dać się najpierw zabić, a dopiero potem się tłumaczyć.

– Święta prawda.

– I nie mówmy już o tym, dobrze?

Podbiał przytaknął niemo. Ale wciąż o tym człowieku i jego historii myślał. Szczególnie dzisiaj, kiedy Piotr zakończył odsiadywanie wyroku. Mało brakowało, a Kostek zapomniałby i nie przyjechał do P., aby go odebrać. W życiu by sobie tego nie darował.

Oto siedział przed nim były kapitan Wojska Polskiego Piotr Duch, weteran misji w Iraku i Afganistanie. Za poświęcenie dla ojczyzny (choć wielu nazywa to wciąż pazernością na kasę) zapłacił utratą rodziny. Żona nie mogła już znieść ciągłej rozłąki i odeszła z córką do innego. Było już pozamiatane, bo nawet dziecko zdążyła już tamtemu urodzić. Syna. Kapitan Duch miał wątpliwą przyjemność dowiadywać się o tym aż dwukrotnie. Pierwszy raz, gdy wrócił z kolejnej misji, na którą wyruszył zaraz po sprawie rozwodowej. To właśnie wtedy napisał sobie biedy i trafił przed sąd. A drugi raz przerobił wszystko, gdy doznał amnezji, a potem z niej wychodził.

– Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy, że po mnie przyjechałeś – powiedział Duch.

– I tak nie miałem co robić.

– Ty zawsze masz co robić, ale niech ci będzie. A ja naprawdę nie miałem pojęcia, dokąd iść. Właściwie to nadal nie wiem. Niby obiecywali w takim klubie weteranów, że się mną zajmą, ale jakoś nikt nie przyjechał dzisiaj do P. Tylko ty.

– W takim razie co zrobić z tak pięknie rozpoczętym wieczorem? Na piwo za wcześnie, ale może przydałaby się jakaś kawka na rozruch?

– Świetny pomysł – zgodził się Piotr. – Przy okazji opowiesz mi, czym się zajmujesz.

– Naprawdę cię to interesuje?

– Głównie jako odtrutka na to, co na wasz temat słyszałem codziennie pod celą.

– A to nie wiem...

Po niecałym kwadransie siedzieli w przydrożnym barze popularnej sieci. Przy pogodnej sobocie było tam tłoczno, ale udało im się zająć stolik w kącie. Kostek przyniósł dwie kawy, a potem, zgodnie z umową, zaczął opowiadać o sprawie syren.

– To one? – Piotr Duch spojrział na fotografię trzymających się za ręce dziewcząt. – Ładne.

– Prawda? Niestety, dwóch już nie ma na tym świecie, a los trzeciej jest niepewny – rzekł głucho Kostek. – Dzisiaj rano odebrano mi tę sprawę, najprawdopodobniej po to, żeby jej ukreć łeb, bo taka jest racja stanu.

W kilku zdaniach streścił swoją wizytę w domu ważnego posła w Podkowie Leśnej.

– A ty, jak się domyślam, nie zamierzasz odpuścić? – zgadywał Duch.

Jeszcze kilka godzin temu Kostek był pewien, że tak właśnie jest. Taki komunikat dostał Kontra, który odtąd miał być jak te trzy mądre małpki: Mizaru, Kikazaru i Iwazaru. Ale kiedy Podbiał tak siedział, pił kawę i spoglądał na ludzi, którzy zatrzymali się w tym miejscu w drodze w góry, nad morze albo jezioro, już nie był taki pewien. Swoje zrobił też kapitan Duch, który kilka lat wcześniej potraktował poważnie słowa żołnierskiej przysięgi, a skończył tak, jak skończyli.

– I tej fotki nie zostawiłeś sobie tylko na pamiątkę? – drażył Piotr.

– Przyniósł ją rano szef drugiej ofiary, menadżer z restauracji na placu Zbawiciela. Miałem go przesłuchać, ale nie zdążyłem – wyjaśnił Kostek.

– Czasem jedno zdjęcie mówi więcej niż tysiąc słów – stwierdził Piotr, obracając w palcach błyszczący kartonik. – A ten adres zapisany na odwrocie to...?

Podbiał potarł nerwowo czoło.

– Nie mam pojęcia. Miałem się tym zająć, ale, jak mówię, z rana trzech smutnych panów zgarnęło mi z biura wszystkie materiały. A poza tym zniknęła moja partnerka. Na dodatek nie odbiera komórki.

– Ładna?

Kostek przełknął nieco kawy, ale miał wrażenie, że nagle zgęstniała. Spojrział na siedzącego naprzeciwko oficera. No tak, przecież dopiero co wyszedł z za krat.

– Nie za bardzo – skłamał na wszelki wypadek. – Trochę się o nią martwię, bo to jeszcze siksa, świeżo po Szczytnie. Pracujemy razem od tygodnia.

– Nigdy się nie przyzwyczaiłem do babek w wojsku, szczególnie oficerów. W policji już prędzej. Kobiety służyły nawet wtedy, gdy byliśmy mali.

Chwilę milczeli. Jakaś rodzina stojąca przed dotykowym ekranem, dzięki któremu można było dokonać zamówienia bez kolejki, kłóciła się właśnie o zamówienie. Najgłośniejsze były dzieci. Kostek unikał takich miejsc, wyjątki robił tylko podczas długich tras. Co innego Kaśka. Ona potrafiła cofnąć się kilka kilometrów, by pod Płońskiem zjeść panierowane skrzydełka.

Z zamyślenia wyrwał go głos Ducha:

– Jak chcesz, to mogę ją zastąpić i trochę z tobą pojeździć. Przy okazji obejrzę Warszawę, bo dawno nie widziałem. Pokażesz mi, w jakich kebabach lubicie teraz jadać. Bo jeśli chodzi o arabskie żarcie, to wiesz, że jestem specjalistą.

No to się wpakowałem – pomyślał z trwogą Kostek.

Kapitan Duch chyba wyczuł wahanie przyjaciela. Zamachał rękami.

– Spokojnie, stary. Postaram się nikogo nie zabić – powiedział.

Ale chyba zrobił to zbyt głośno, bo kilka osób siedzących przy sąsiednim stoliku przerwało pracowite szarpanie swoich hamburgerów, a jakiś młody mężczyzna nawet się odwrócił, aby sobie obejrzeć dziwnych klientów. Piotrowi Duchowi po latach za kratkami najwyraźniej brakowało jeszcze obycia i póki co nie było opcji, by zabrać go ze sobą do opery czy teatru.

W spokoju dopili kawę i opuścili lokal. Dopiero kiedy znaleźli się na zewnątrz, Podbiał się odezwał:

– Nie chciałbym zawracać głowy, ale jak tak bardzo chcesz, to oczywiście możemy się razem pokręcić i zasięgnąć języka. Kto wie, może tobie uda się to lepiej niż mnie.

Duch aż zatarł dłonie z zadowolenia.

– No dobra, mamy dwa adresy, więc dokąd najpierw? – zapytał, by zaraz sobie odpowiedzieć: – Ja bym poszukał tej małej, skoro tak się o nią martwisz.

Kostek sięgnął po karteczkę, którą zostawiła mu Kornelia. Pokazał ją przyjacielowi.

– Chyba kojarzę tę ulicę – powiedział Duch. – To nawet będzie po drodze. Jedziemy, panie Borewicz!

– Jedziemy – powtórzył Kostek jak leniwe echo, przekręcając kluczyk w stacyjce.

– A nie zakładasz koguta na dach?

58

Rzeczywiście, ledwo minęli tabliczkę z napisem „Warszawa”, już trzeba było skręcać w boczną ulicę. Podbiał rzadko bywał w okolicach Cmentarza Północnego. Jak chyba większość ludzi, którzy do stolicy przejechali za pracą, na Wszystkich Świętych wracał zawsze w rodzinne strony. Oczywiście z biegiem lat mogło się to zmienić. Już miał tu kilku kumpli.

– Tutaj diabeł mówi dobranoc – mruknął, skręcając w kolejną, jeszcze węższą i jeszcze gorzej utrzymaną uliczkę, tak bowiem podpowiadała nawigacja.

– Szkoda, że nie widziałeś okolic Ghazni – rzekł weteran. – Tutaj przynajmniej jest czym oddychać.

Na moment oddali głos muzyce resorów.

– Czego ta Kornelia mogła tutaj szukać? – zastanawiał się głośno Kostek, rozglądając się na boki. – Przestaje mi się to podobać.

Ujrzeni sporą grupkę dzieci na placu przed wysokim budynkiem, wyglądającym na magazyn. Sekundę później zagadka została rozwiązana – kolorowy napis głosił, że znajduje się tutaj najwyższa w mieście ściana wspinaczkowa. Dzieciaki, jeżeli nie były adeptami tego modnego sportu, przybyły tu pewnie na urodziny jednego z nich, była wszak sobota.

– To chyba będzie za tamtym zakrętem – mruknął Duch.

– Chyba tak.

Minutę później zatrzymali się przed ponurym budynkiem.

– Salon tatuażu? – zdziwił się wojskowy.

– Na początku mieliśmy taki trop, ale w końcu poszliśmy w inną stronę – wyjaśnił Kostek.

– No to nie ma co gdybać, tylko trzeba sprawdzić, czy ta mała tutaj była. Kto wie, może straciła przytomność z bólu i zabrali ją do jakiegoś szpitala. A może dalej tu leży. Chociaż wygląda, jakby było zamknięte.

– Jak każdy grób. – Kostek wyciągnął kluczyki ze stacyjki. – Masz rację, nie ma co gdybać.

Pod podeszwami ich butów zachrząścił żwir, zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy bramki strzegącej wejścia do posesji. Cisza sprawiła, że Kostek poczuł w piersiach dobrze znany ucisk.

Piotr nacisnął klamkę drzwi budynku. Otwarte. Po chwili usłyszeli dźwięki ostrej muzyki.

– Dzień dobry – przywitał się grzecznie były żołnierz. – Czynne?

Pomieszczenie było pozbawione okien, a ściany pomalowano na czarno. Uwagę zwracały plakaty z osobnikami w baranich czapach i z szablami w rękach. Jakieś napisy wschodnim alfabetem, bez pudła buńczuczne. Tu i ówdzie powtarzał się motyw trójzęba. Za kontuarem siedziała dziewczyna, chociaż żeby stwierdzić, że to rzeczywiście przedstawicielka płci pięknej, trzeba było dłuższej chwili, bo i głos tego stworzenia, które wyróżniały tatuaże oraz kolczyki nie tylko w uszach i niebieskie włosy, nie był w tym wypadku wystarczająco wiarygodnym miernikiem.

– Tak, pracujemy dzisiaj do piętnastej. W czym mogę pomóc? – zapytała recepcjonistka jak tysiąc innych recepcjonistek w tym mieście, ogarniając ich obojętnym spojrzeniem.

– Chodzi o tatuaż – tym razem to Kostek okazał się szybszy.

– Ma pan jakiś gotowy projekt? – zapytała.

– Nie, wciąż się zastanawiam. W końcu to decyzja i pamiątka na całe życie. Właściwie to liczyłem na to, że znajdę coś na miejscu. Moja znajoma bardzo sobie chwaliła wasz salon.

Recepcjonistka wyjęła księgi z wzorami. Kostek zaczął je wertować, podczas gdy Duch po tym, jak wziął wizytówkę i jakąś naklejkę z motywem trupiej czaszki, rozglądał się po pomieszczeniu. Ale robił to również Podbiał, jednocześnie przekładając kolejne strony. W pewnym momencie jego wzrok zatrzymał się na pewnym szczególe w kącie pomieszczenia.

– Widzę, że moja znajoma tu jest. Co za zbieg okoliczności – rzekł z uśmiechem.

Wzrok dziewczyny również powędrował w tamtym kierunku. Nic nie powiedziała. W tym momencie muzyka zamilkła i zapanowała cisza jak na zewnątrz. Powinni spodziewać się mrużenia maszynek do tatuażu, a jeśli nie, to może strzępów rozmowy, co świadczyłoby, że ktoś tutaj, jak powiedziała dziewczyna, pracuje do piętnastej. Tymczasem wiele wskazywało na to, że są tylko we troje.

– Widzę jej torebkę – uściślił Kostek. – Tam, na parapecie. Jest bardzo charakterystyczna.

Recepcjonistka spoglądała na niego, jakby mówił w niezrozumiałym języku. W końcu jednak odzyskała głos.

– Nie, proszę pana – odrzekła. – To jest moja torebka.

– Eee, na pewno nie – wtrącił się Piotr Duch. – To nie w pani stylu.

– Masz na myśli to, jak się kto ubiera czy jak postępuje? – Kostek spojrzał na towarzysza.

– Może za chwilę się tego dowiemy.

Wtedy dziewczyna sięgnęła pod kontuar. Może po inną księgę, by rozmowa wróciła na wcześniejsze, właściwe tory, a najlepiej żeby w ogóle się od niej odczepili. Kostek i Piotr ponownie wymienili spojrzenia. Ta krótka chwila nieuwagi wystarczyła. Rozległ się trzask – w pomieszczeniu zgasło światło. Za to na powrót gruchnęła muzyka, tym razem o wiele głośniejsza. Mimo to usłyszeli trzask upadającego krzesła i tupot nóg.

– Stój! – krzyknął Kostek.

Wyszarpnął z kieszeni komórkę. W nikłym świetle ekranu zdążyli ujrzeć znikającą za drzwiami postać. W tym samym momencie Piotr naparł na drzwiczki, które znajdowały się na prawo od kontuaru.

– Zamknięte!

Nie były to jednak słowa skargi ani tłumaczenia, ale ostrzeżenie. Sekundę później rozległ się trzask pękającego drewna. Przyjaciele dopadli drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna. Nie zamknęła ich na klucz, ale pewnie i z nimi Duch by sobie poradził. Dalej była klatka schodowa.

– Ty na dół, ja na górę – rozkazał kapitan. Znow był w swoim żywiole.

Po chwili Kostek znalazł się w jakimś niewielkim pomieszczeniu. Panowała w nim niezbyt przyjemna woń, bo i tutaj nie było okien. Namacał i nacisnął włącznik światła. Rozbłysło w ściennym kinkiecie, żółte, jakby brudne. To jednak wystarczyło, by ujrzał ściany z zaciekami i podłogę z kotami kurzu. Na całe wyposażenie pokoiku składały się regał z kilkoma książkami, stolik, na którym stał talerz z resztkami jedzenia, wreszcie przykryty kocem tapczan.

Kto na nim leżał? I czy z własnej woli, czy wręcz przeciwnie? – zastanawiał się Podbiał.

– Kostek?! – dobiegło z góry.

Wzdrygnął się.

– U mnie czysto! – odkrzyknął.

– Dawaj na górę!

Jeszcze raz omiół spojrzeniem pakamerę i ruszył po schodach, sadząc po dwa stopnie naraz. Minął drzwi, zza którymi wciąż tłukły basy, by po chwili zatrzymać się

na piętrze. Duch stał ze splecionymi na piersiach rękami. Obok niego znajdowały się jakieś wąskie drzwiczki, a jeszcze bardziej na prawo przymocowana do ściany drabinka, prowadząca najprawdopodobniej na dach.

– Złapałem ptaszynę w ostatniej chwili – wyjaśnił. – W Afganie dzieciaki też zawsze uciekały na dach.

Kostek odsunął się pod przeciwległą ścianę, a potem dał znak przyjacielowi. Duch złapał za klamkę. Gdy ta nie chciała puścić, szarpnął. Po chwili dziewczyna z niebieskimi włosami leżała na podłodze w pozycji embrionalnej.

– Nie róbcie mi krzywdy – wyjęczała. – Ja nic nie wiem. Pracuję tylko na recepcji. Tych ludzi już tutaj nie ma.

Kostek pochylił się nad leżącą.

– Spokojnie, wszystko po kolei. Szukamy policjantki, która była tu wczoraj. Nie wróciła do domu, a zostawiła torebkę. Trochę dziwne, co? Coś nam powiesz na ten temat?

– Wy też jesteście z policji? – Głos dziewczyny zabrzmiał inaczej, jakby lżej.

– Owszem. Gdzie ona jest?

– Zabrali ją stąd. Dzisiaj. Wcześniej rano.

Kostek oddychał coraz szybciej. Podniósł głowę, jakby znajdował się pod wodą i chciał zaczerpnąć powietrza. Spojrzał na Ducha. Ten wziął to za pozwolenie na przyłączenie się do przesłuchania.

– Dokąd ją zabrali? – zapytał.

– Nie wiem.

– A wiesz, ile dają lat za napaść ma policjanta? – Głos Kostka zadrżał.

Dziewczyna jeszcze bardziej zbliżyła głowę do piersi, a jej ciało wykonało kilka konwulsyjnych ruchów.

– Zabrali ją do Włoch, do willi – powiedziała. – Nie pamiętam adresu, ale... mam zapisane.

59

– Nasz klient, nasz pan – mruknął pod nosem Tomasz Horn.

Oparł głowę o zagłówek, splótł ręce na piersiach i wyciągnął się wygodnie w fotelu kierowcy. Wyglądało to wszystko na przygotowywanie się do drzemki, ale przecież nie mógł sobie na nią pozwolić. Dlatego zamiast przymknąć oczy, tylko je potarł, bo już zaczynały odmawiać posłuszeństwa. A musiały jeszcze dzisiaj trochę popracować. Dzisiaj, a może i jutro, bo i po północy. I to nie tylko spoglądać na drogę, aby ich właściciel nie spowodował wypadku.

Oto bowiem znów wpadło mu zlecenie, które już kiedyś dostał – śledzenie mężczyzny, którego żona podejrzewała o niewierność. Jako że był to ciąg dalszy zabawy (głupiej, ale pewnie dochodowej), robota nie mogła przypaść nikomu innemu. Z tego więc powodu Leszek Kłós wydzwonił Horna krótko po południu i poprosił o przyjazd na Kolejową. Tomasz ledwo co wstał po nocce, ale nawet nie pisał. W dodatku stawiał się na czas. Idealny pracownik!

Wszystko odbyło się niemal tak samo jak tamtego dnia. Tylko na alei Prymasa Tysiąclecia nie było takiego dużego ruchu jak wtedy, bo przecież sobota. Tyle co po zakupy do hipermarketu albo większa wyprawa do Ikei, bo akurat skończyły się wszystkie meble. A potem to może nawet nad Zalew Zegrzyński, bo pogoda sprzyjała. Gdyby to wszystko zechciał zrobić tego dnia ów podejrzewany o niewierność mężczyzna, mąż i być może ojciec dzieciom, sprawy by nie było. Ale on oświadczył żonie, że musi skoczyć do biura, by dokończyć ważny projekt przed poniedziałkiem. Wystarczyło, żeby znów nabrała podejrzeń, a potem zadzwoniła do SND.

Horn od kwadransa czekał więc przed biurowcem. Wcześniej sprawdził, że auto tamtego stoi na parkingu. Stało. Czekał, aż jego cel skończy. Projekt.

Właściwie skąd pewność, że pan „ekant” nie posuwa sekretarek albo stażystek w swoim biurze? Sobota do tego najlepsza! Horn zaśmiał się w duchu.

Ledwo o tym pomyślał, podniósł się szlaban i z parkingu wyjechał samochód na lubuskich rejestracjach. Czyli jednak praca była tylko wymówką! Horn przekręcił kluczyk w stacyjce i wrzucił pierwszy bieg. Po chwili jechał za tamtym. Było mu obojętne, dokąd tym razem trafią i czy to będzie blisko, czy daleko. Miał pełny bak. Także i tym razem cel ani na moment nie zniknął mu z pola widzenia. Jechali na południe. Było jednak mało prawdopodobne, aby ktoś taki skojarzył, że w ślad za nim jedzie ten sam pojazd co kilka dni wcześniej. Zbieg okoliczności, nic innego.

Horn pamiętał, że tamtego dnia zrobił temu facetowi kilka zdjęć telefonem. Potem wysłał je Kłowski, ale czy ten przekazał je żonie śledzonego, tego już nie wiedział. Właściwie to chyba należało o to zapytać przed przyjęciem zlecenia.

– Ej, gdzie ty jesteś? – mruknął Tomasz.

Wystarczyła chwila nieuwagi, by śledzone auto zniknęło mu z oczu. Teraz miał przed sobą ciężarówkę z przyczepą, która wlokła się środkowym pasem. Włączył kierunkowskaz z zamiarem wyprzedzenia zawalidrogi, ale po obu skrajnych pasach pędziły w tej chwili samochody. Zrobiło mu się gorąco.

Wreszcie mógł zmienić pas. Nacisnął na gaz, rozglądając się w poszukiwaniu celu. Nigdzie go jednak nie było.

60

Pytań można było zadać jeszcze wiele. Choćby takich, które zaczynałyby się od „kto”, a nie od „dokąd”. Potem pewnie przyszłaby pora na „dlaczego”. Najważniejsze jednak było: jak najszybciej odnaleźć Kornelię Banaś? Wcześniej należało zadbać o to, aby wytatuowana recepcjonistka o niebieskich włosach trzymała się z dala od telefonu albo komputera. Dlatego Kostek postanowił oddać ją na przechowanie do „piątki” przy Żeromskiego. Na szczęście mieli tam jeszcze kilka wolnych cel.

– Cholera, skąd ja znam ten adres? – zastanawiał się głośno Piotr Duch, kiedy już mknęli Trasą Armii Krajowej na południe.

– Jak to, jeszcze nie wiesz? – zachnął się Podbiał.

– Nie. A ty wiesz?

– Od pierwszej chwili! Oczywiście nie mogłem tego dać po sobie poznać przy tej wzdziaranej dupie. Ten sam adres napisał menadżer z knajpy, w której pracowała druga z zamordowanych, na odwrocie zdjęcia. Widziałeś je. Nie wiem tylko, dlaczego to zrobił. Z zemsty? Aby kogoś umoczyć? Wiem za to, że tatuaże tych dziewczyn zostały zrobione właśnie w tym salonie na końcu świata. Wszystko zaczyna się kleić! Gdybym tylko pojechał tam pierwszego dnia, może Olena by żyła...

– Zrobiłeś, co mogłeś – odrzekł Duch.

Kostek pociągnął nosem, otarł usta wierzchem dłoni.

– Wszystko wskazuje na to, że ludzie, którzy zabili i poćwiartowali dwie Ukrainki, mają teraz w rękach Kornelię. Mam nadzieję, że jeszcze ją mają.

– Zwykle po takich słowach można usłyszeć: otwórz schowek i znajdź jakąś zabawkę.

– Stanowczo za dużo filmów się naoglądaliście w anclu, kapitanie Duch. Nie wożę ze sobą żadnych zabawek. To służbowe auto, więc mam tylko służbową kłamkę i bransoletki, a w bagażniku lewarek i jakieś plastikowe worki. Poza tym nie zapominaj, że to już nie moja sprawa.

– A zatem, jak mawiał klasyk, jesteście teraz zwykłymi bandytami – zaśmiał się weteran, chociaż rąk z zadowolenia, tak jak wcześniej, już nie zacierał.

Kostek znał Włochy jako tako. Jego była kręciła tam zdjęcia do seriali. Wiedział więc, że większość zabudowy tej dzielnicy stanowią domki jednorodzinne. Domek i policyjna akcja? Każdy stołeczny gliniarz na takie połączenie skrzywiłby się. Tak, już to przerabiali przed laty. Za akcją pod Warszawą, gdzie bandyci bronili się właśnie w takim domku, nie przebierając w środkach, wielu ludzi słono zapłaciło. Powiedział o tym Duchowi. Ten, zapytany, czy ma jakieś pomysły, tylko podrapał się po siwiejącej głowie.

– Gołymi rękami ściany nie rozwałę – mruknął po chwili i utkwiał spojrzenie w bocznej szybie, za którą zieleniał akurat Lasek na Kole.

Przejechali tunelem przy Dworcu Zachodnim i skręcili w Aleje Jerozolimskie. Kilka kilometrów dalej Kostek włączył prawy kierunkowskaz. Po kilku chwilach znaleźli się w labiryncie wąskich uliczek, zabudowanych piętrowymi domami. W pewnym momencie musiał nawet zwolnić niemal do zera, by się precyzyjnie, ktoś bowiem bardzo niefrasobliwie zaparkował tam furgonetkę. Wreszcie się zatrzymali. Podbiął nie gasił jednak silnika.

– Może jednak powinniśmy wezwać wsparcie – rzekł z wahaniem.

– Najpierw się rozejrzemy, co?

Kostek poczuł, że chyba wjechał przyjacielowi na ambicję. Gdzie chowają na cmentarzu ambitnych? Pewnie niedaleko wszystkich tych, którzy uważali siebie za niezastąpionych. A wsparcie? Niewielki, ale skuteczny oddział „czarnych”, jak wciąż mówiono na antyterrorystów, mimo że nosili się już na zielono. Na pewno by je otrzymał, bo choć sprawą już się nie zajmował, gliniarzem być nie przestał.

Nagle ich uszu dobiegło wycie syreny.

– Ktoś się spieszy po flaszkę – zaśmiał się weteran.

Ale Kostek nawet się nie uśmiechnął. Ten dźwięk był nosowy, jakby ciężki. Ciężki jak pojazd, na którym umieszczono syrenę.

– Czujesz? – Duch pociągnął kilka razy nosem, zanim Kostek zdążył powiedzieć, że nikt nie jedzie po flaszkę, tylko gdzie się pali. – Jeśli to blisko, to mamy większą szansę. Pożar może odwrócić uwagę zakapiorów, którzy pilnują Kornelii.

Wyszli z samochodu. Podbiał rozejrzał się na boki. Oczywiście zaparkował nie przed budynkiem, do którego mieli wejść, ale kilka numerów dalej. Tymczasem syrena była coraz głośniejsza i coraz bardziej przerażająca, w dodatku dołączyła do niej druga. Jacyś ludzie biegli po ulicy. Przyjaciele ruszyli w tym samym kierunku.

– Jaki to ma być numer? – zapytał Piotr.

Zamiast odpowiedzieć, policjant, tknięty złym przeczuciem, przyspieszył kroku. Po chwili złapał się za głowę. Paliło się na Tomnickiej 30. Czyli dokładnie tam, gdzie miała przebywać Kornelia! Z dwóch okien na parterze piętrowego domku buchały kłęby czarnego dymu. Gapie dopiero zaczynali się zbierać, nikt nie podchodził bliżej. Kostek obejrzał się za siebie. Wóz bojowy ze strażakami, którzy powinni się już tutaj uwijać, stał w miejscu. Blokowała go nieprawidłowo zaparkowana furgonetka, którą oni ledwo minęli, a co dopiero ciężarówka! Niebieskie światła na jej dachu obracały się, syrena wyła jak opętana. Kierowca naciskał klakson, który był niewiele cichszy, ale nie było to w stanie usunąć przeszkody.

Niewiele myśląc, Kostek runął w kierunku drzwi willi. Złapał za klamkę. Była zimna, ale co z tego, skoro drzwi zamknięte. Po chwili poczuł na ramieniu dłoń Piotra. Odsunął się. Kapitan wziął rozpęd i kopnął w drzwi. Gdy te otworzyły się z trzaskiem, nakrył bluzą głowę. Kostek zrobił to samo. Weszli do środka. Dało się jeszcze oddychać, a widoczność była dobra. Krótki przedsiónek, dalej schody w dwóch kierunkach.

– Ja parter, ty góra! – wydał rozkaz Duch.

W kilku susach Kostek znalazł się na pierwszym piętrze. Była tu spora przestrzeń. Szarpnął za klamkę pierwszych z brzegu drzwi. Zamknięte na glucho. Spróbował mocniej, ale z takim samym skutkiem. Nie, nie da rady ich wyważyć, tak jak to potrafi zrobić Duch. Te zajęcia opuścił.

– Kornelia! – zawołał. – Kornelia, gdzie jesteś?!

Coś trzasnęło, jakby pękająca szyba. Kostek nastawił uszu, ale innej odpowiedzi nie było. Nacisnął klamkę drugich drzwi. Ustąpiły. Przez wąską szparę buchnął mu jednak prosto w twarz gryzący dym. Odskoczył w tył. Miał za sobą kilka specjalistycznych szkoleń i widział, że w każdej chwili opary mogą się zamienić w kulę ognia. I że nie będzie przed nią ucieczki.

– Kornelia!

Wtedy dopadł go kaszel. Dym szczypał w oczy. Po chwili Kostek znów znalazł się na dole. Czy Piotr jest jeszcze na parterze? A może już wyszedł? Podbiał próbował znów zawołać, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Znów się rozkasłał. Powietrza! Najpierw to, a potem spróbuje jeszcze raz.

Po chwili znalazł się na zewnątrz. Zdjął z głowy kurtkę. Pierwsze, co ujrzał, to była maska i charakterystyczny kask. A jednak byli. Przedarli się.

– Nic panu nie jest? – Strażak chwycił go za ramię.

– Nie... nie – sapnął Kostek, zaraz nabrał do płuc więcej powietrza i dodał: – Jestem z policji. Tam są jeszcze co najmniej dwie osoby...

– Gdzie dokładnie?

– Nie wiem.

Usłyszał tupot kilku par buciorów, jakieś krzyki, wreszcie plusk wody – najpiękniejszą w takich chwilach muzykę. Wirowało mu przed oczami, oddychał z trudem, ale mimo to zaczął iść przed siebie. Tak, jeszcze kawałek. Może stąd zobaczy Piotra i Kornelię w którymś z okien. Stary wyga z misji, jak nazywano zwykłą wojnę, z niejednego chleba pić jadł, więc na pewno da sobie radę. Zresztą Kostek zaraz tam wróci, jeszcze chwilę. Strażacy wiedzą, kim jest.

– Lekarza! – zawołała histerycznym głosem jakaś kobieta.

Nie był pewien, czy to o niego chodzi. Ale nikt go nie zatrzymywał. Otarł łzy, wciągnął do płuc powietrze. Lepiej. Widział ludzi, którzy przyglądali się pożarowi i akcji gaśniczej. Stali na chodniku i równoległych trawnikach. Było ich już sporo, a co drugi trzymał w ręku komórkę i wszystko filmował. No tak, kurwa, inaczej pożar byłby nieważny! Chciał się odwrócić, ale wciąż opóźniał ten moment. Bał się, że zobaczy ową kulę ognia, w którą zamienią się nagromadzone w zamknięciu gazy. Ciągłe o niej myślał. Jeszcze raz potoczył wzrokiem po tłumie gapiów. Miał wrażenie, że ci ludzie go nie widzą. Pewnie za dobrze wyglądał, żeby zasłużyć na fotkę lub filmik.

W pewnej chwili dostrzegł w tłumie znajomą twarz.

Czy to nie jest aby...? – nie dokończył myśli, bo mężczyzna odwrócił się i zaczął oddalać.

– Halo! – zawołał Kostek. – Proszę pana!

Doskoczył do tłumy i zaczął się przepychać. Słyszał wrogie pomruki, ale nie zważał na to. Zaraz dostrzegł sylwetkę oddalającą się w stronę parku i Stawu Cietrzewia.

– Stój! – krzyknął.

Tamten zaczął biec. Był młodszy, o czym Kostek wiedział, więc miał większe szanse. Policjant zrozumiał to po pokonaniu zaledwie dwudziestu, może trzydziestu metrów. Już miał się zatrzymać i odpuścić, gdy nagle dostrzegł, że z boku wychynął jakiś kształt. Pół sekundy później uciekinier leżał na ziemi. Nim zdołał się podnieść, Podbiał był już kilka kroków od niego.

– No, panie Modelski. Teraz sobie porozmawiamy – powiedział, próbując zapanować nad sapaniem.

Nie widział jeszcze twarzy człowieka, który udaremnił ucieczkę podejrzanego. Ale zaraz go usłyszał:

– Ja bym kutafona raczej oddał w ręce jego żony. Już ona będzie wiedziała, co z nim zrobić.

– Horn? – zawołał zdziwiony Kostek. – Co ty tutaj robisz, do cholery?

– Wyobraź sobie, że pracuję. Tak jak ty.

61

Ten, który wymyślił siłownie pod chmurką, powinien dostać Nobla – pomyślał, zdejmując bluzę z kapturem.

Nie przepadał za zwykłymi siłowniami. Z kilku powodów. Przede wszystkim nie cierpiał smrodu potu, a w takich miejscach jest on przecież wszechobecny. Niby działa

klimatyzacja, wieszają jakieś odświeżacze, nawet takie elektryczne, a jednak nigdy nie daje się tego pozbyć. Ale chyba jeszcze gorzej niż wachać, jest słuchać tych wszystkich domorosłych Schwarzeneggerów. Gdyby za każdą rzuconą „kurwę” menadżer pobierał złotówkę, w krótkim czasie byłby bogatym człowiekiem. Tematyka rozmów, choć trudno je nazwać rozmowami, również jest ograniczona. Nie wspominając już o wszechwiedzącym trenerze, który wpięprza się między wódkę a zakąskę.

Na szczęście miejsca na wolnym powietrzu, gdzie można było o każdej porze dnia i nocy poćwiczyć na niemal profesjonalnym sprzęcie, wyrastały w Warszawie coraz gęściej. Najpierw stawiano je w parkach, potem już każde osiedle chciało mieć swoje. Rzadko ktoś te urządzenia niszczył, były zresztą tak proste, że trudno tam było cokolwiek zepsuć. Nawet dla Polaka.

Odwiesił bluzę na oparcie drewnianej ławeczki i rozejrzał się w poszukiwaniu urządzenia, od którego mógłby zacząć trening. Miejsce to, oddalone od hotelu pięć minut spacerkiem, od razu przypadło mu do gustu. Wszystkie urządzenia były pomalowane na zielono i szaro. Najważniejsze jednak było to, że na palcach mógł policzyć ludzi, których tutaj spotkał. Najczęściej byli to emeryci z najbliższej okolicy.

– Dobry wieczór – usłyszał słowa pozdrowienia wypowiedziane starym dyszkantem, zupełnie jakby ktoś czekał, aż o tym pomyśli.

– Dobry wieczór – odpowiedział.

– Mały trening przed kolacją?

– Zgadza się.

Wystarczy – pomyślał, mimo że miał słabość do starszych ludzi. Szczególnie po tym, co go niedawno spotkało.

I znów go wysłuchano. Emeryt już stawał – ostrożnie, ale z zadowoleniem – stopy na wymyślnym urządzeniu. Nazywało się orbitrek eliptyczny. Ale stary radził sobie nieźle.

On usiadł na siodełku wioślarza. Lubił go najbardziej. Wystarczy wykonać kilka ruchów, a do tego przymknąć oczy i niemal słyszy się plusk wody. Przepłynął w wyobraźni może ze dwieście metrów, gdy usłyszał dzwonek komórki. Wiedział, kto dzwoni i że nie może tego zlekceważyć. Nie spieszył się jednak. Zszedł z urządzenia, otarł dłonie o spodnie i wyłuskał telefon z kieszeni bluzy.

– Tak?

Po drugiej stronie nikt się nie odezwał. On wiedział jednak, że rozmówca tam jest. Dlatego również milczał. Czekał.

– Widzę, że sprawa się przeciąga – w słuchawce odezwał się w końcu męski głos.

– Ale wszystko jest pod kontrolą – odpowiedział spokojnie amator siłowni.

– Nie mamy już czasu. Sprawa trafiła do zamrażalnika, ale prędzej czy później ktoś ją stamtąd wyciągnie. Oczywiście doceniam to, że załatwił pan prawie całą sprawę w niecały tydzień, ale proszę jak najszybciej dokończyć zlecenie.

– Kiedy jutro się pan obudzi, będzie już po wszystkim. Wtedy będzie równy tydzień.

– Cieszę się.

Mimo że wszystko było jasne, tamten człowiek nie rozłączał się. Odezwał się po chwili:

– Być może będzie jeszcze jedno zlecenie dla pana. Tym razem na psa.

– Dużego?

– To osobnik raczej średniej wielkości. Za to bez wątpienia rasowy. Odezwe się.

62

Wahał się, w którą stronę powinien biec, ale krótko. Po chwili Kostek z mocno bijącym sercem przedzierał się przez tłum gapiów stojący przed willą przy Tomnickiej 30. Strażacy dobrze radzili sobie z pożarem. Już właściwie go dogaszali.

– Proszę się cofnąć. – Droge zagroził mu strażnik miejski, bo i patrol tych tuzów się napatoczył; na stojącym nieopodal samochodzie obracały się niebieskie koguty.

Podbiął sięgnął po odznakę, w ostatniej chwili powstrzymując się od wzmocnienia sygnału ciężkim słowem. Tamten go przepuścił. Przed willą stała karetka pogotowia. Właśnie wsuwano do niej nosze. Kostek ujrzał przy nich Piotra. W kilku susach dopadł tylnych drzwi.

– Spokojnie, żyje – powiedział weteran na widok przyjaciela.

Kornelia była okryta, Podbiął zdołał dostrzec na jej twarzy maskę aparatu tlenowego, zanim sanitariusz zatrzasnął za nią drzwi. Potem z Piotrem odsunęli się, aby ułatwić karetce wyjazd na ulicę. Kierowca włączył syrenę.

– Mów, jak było – rzucił Kostek do Ducha.

– Znalazłem ją w piwnicy, leżała na łóżku, związana i zakneblowana. Była przytomna, usiłowała się uwolnić. Oczywiście nie wiedziała, kim jestem, więc w pierwszej chwili zaczęła się szarpać. A potem kaszleć. Straciła przytomność. Prawdopodobnie gdybyśmy dotarli na miejsce parę minut później, byłoby po ptokach. Nie dało się oddychać od dymu, było gorąco jak w piecu.

Mimo woli Kostek pomyślał o biednej Rozalce z *Antka* Prusa, która w piecu spędziła o jedną zdrowąskę za długo. Nigdy nie mógł pojąć, dlaczego znachorka nie poniosła za to żadnych konsekwencji.

– Dzięki, Piotr – powiedział.

Ale kapitan też nie wyglądał za dobrze – był okopcony, a na twarzy miał krwawiącą ranę. Właściwie to ledwo trzymał się na nogach.

– Jak ją wynosiłem – zaczął się tłumaczyć – dostałem jakąś belką w głowę i przez dobrą chwilę nie wiedziałem, co się dzieje. Wydawało mi się nawet, że słyszę, jak ktoś bulgocze po arabsku. Na szczęście przeszło. Najważniejsze, że się nam udało.

Podeszli do nich ratownicy.

– To pan wyniósł tę dziewczynę? – zapytał Ducha jeden z nich.

– Tak.

Medyk zaczął go oglądać. Pokręcił głową. A potem wydał werdykt:

– Zabieramy pana.

– Ale ja się dobrze czuję – próbował protestować kapitan, jednak w końcu machnął ręką. – Przypilnuję Kornelii – powiedział do Kostka.

Po chwili spod willi odjechała druga karetka. Strażacy zwijali węże.

Teraz Kostek mógł się zająć drugą sprawą. Cezary Modelski siedział na tylnym siedzeniu samochodu, przykuty kajdankami do jednej z rurek zagłówka fotela pasażera. Policjant zajął miejsce za kółkiem, ale nie zamierzał nigdzie jechać. Tym bardziej że w otwartych drzwiach do auta stał drugi z oprawców, Horn. Kilka chwil wcześniej Tomasz opowiedział o swoim nietypowym zleceniu. Może nie powinien tego robić, tym bardziej w obecności celu, za którym jeździł, ale emocje były zbyt silne i poszło. Nie wspomniał jednak, że jest zwyczajnym szoferem, właściwie to chłopcem na posyłki, więc można było wziąć jego działania za pracę detektywa.

– Wszystko jej dałem – fuknął Modelski. – Kiedy się poznaliśmy, w podartych majtkach chodziła. Rozwiódę się z suką!

– Prędeż ona z tobą – skomentował Kostek, patrząc w przednią szybę. – Nie będzie chciała mieć nic wspólnego ze zwyrolem, który morduje i ćwiartuje dziewczyny.

– Co?! Ja niczego nie zrobiłem!

– Wątpię.

– Przecież rozmawialiśmy o tym poprzednim razem.

– To w takim razie czego szukałeś w tej willi?

– Niczego. Przejeżdżałem obok, patrzę, pali się, to wysiadłem popatrzeć jak inni.

– Łże – wtrącił Horn.

– Nie wtrącaj się, człowieku! – krzyknął Modelski i szarpnął się, aż zabrzęczały kajdanki.

Tomasz przeniósł spojrzenie na policjanta i rzekł spokojnym głosem:

– On był tutaj kilka dni temu, ale pocałował kłamkę.

Cezary Modelski nic na to nie powiedział. Spojrzał na Horna ciężko, tak jak powinno się spoglądać na konfidenta. Właściwie to dziennikarz był nim po części. Na pewno sprzeniewierzył się ideałom męskiej solidarności. Żeby tak facet sypał faceta? I co z tego, że za pieniądze? Kto wie, czy śledzony nie zapłaciłby więcej za milczenie? Tylko że wtedy oznaczałoby to współudział. Ale właściwie w czym? Horn z zaciekawieniem nadstawił uszu i skupił uwagę, aby jak najwięcej zapamiętać z tej rozmowy, a właściwie to przesłuchania. Tak, znów był dziennikarzem całą gębą.

– Co to ja mówiłem? – Kostek podrapał się po głowie. – A, było o twojej żonie. Nie znam jej osobiście, a nawet nie wiedziałem, że jesteś żonaty. Myślę jednak, że nie będzie chciała mieć nic wspólnego z kimś, kto zabija kobiety.

Modelski aż się zatrząsł. Ale Kostek bezlitośnie mówił dalej:

– Tak się bowiem składa, że znałeś i umawiałeś się z jedną z nich, Ludmiłą Szewczenko. Druga, również Ukrainka, Ołena Hawryluk, której nogi znaleźliśmy parę dni po Ludmile, podała w pracy ten adres jako miejsce zamieszkania – po tych kłamstwach zawiesił na chwilę głos. – A ty kręcisz się tutaj już któryś dzień jak mucha wokół gówna. Wytłumaczysz mi łaskawie, dlaczego to robisz? A nuż uzasadnienie jest dziecinnie proste, a ja niesłusznie cię skułem. Oszczędzimy na nerwach i benzynie. Do Kampinosu stąd kawał drogi.

– Dlaczego do Kampinosu? – zapytał Modelski.

– A dlaczego nie? Oglądasz wiadomości i wiesz, że gliniarze się teraz nie pierdola z zatrzymanymi.

Horn spojrział na Kostka spod ściągniętych brwi.

Oby żartował – przeszło mu przez myśl.

Ale Modelski nie doszukał się w tym ani cienia przesady.

– Ja... ja nic nie zrobiłem. Nie zabiłem tych dziewczyn... – wyjął.

– Ale bywałeś wcześniej w tym domu? – Horn wbił spojrzenie w przesłuchiwanego.

– Tak. Kilka razy. Teraz też chciałem, ale było zamknięte.

– Co tu było? Dom schadzek?

– Tak. Mieli tu naprawdę świetne dziewczyny.

Podbił przeciągnął dłoń po twarzy.

– A Ludmiłę poznałeś tutaj czy najpierw była randkowa aplikacja? – zapytał po chwili.

– Aplikacja.

– Kiedy rozmawialiśmy poprzednio, mówiłeś o jakichś dwóch typach, którzy się wam przypatrywali. Pamiętam, że jeden z nich, który miał złote zęby, zapytał, czy masz wystarczająco dużo kasy, aby cieszyć się towarzystwem tej dziewczyny. Tak rzeczywiście było?

Modelski zwiesił głowę jak uczeń.

– Nie. Wymyśliłem to. Oni... oni pracowali tutaj jako ochroniarze.

Kostek aż zagwizdał.

– Czyli mamy składanie fałszywych zeznań na papier.

– Po prostu się bałem. Co innego randka z aplikacją, a co innego regularne wizyty w małym, czerwonym domku we Włochach, prawda?

– Tego to już nie wiem, ale zapytam naszego psychologa.

W pewnej chwili wokół nich zrobiło się gęsto. To okoliczni mieszkańcy wracali do domów po zakończonym przedstawieniu. Ktoś nawet zajrzał do środka, ale chyba nie dostrzegł niczego godnego uwagi. Szkoda, bo przy kolacji można by opowiadać o czymś więcej niż tylko o pożarze.

– Ciekawe, czy oni wszyscy wiedzieli, co tam się mieści – zastanawiał się głośno Podbił.

– Myślę, że wielu wiedziało – rzekł Horn. – A jak nie wiedzieli, to się właśnie dowiedzieli. Idę o zakład, że część z tych ludzi jest zawiedziona, że nie mogli oglądać gołych dziwek skaczących z okien.

– Nawet nie wiem, co się stało, że nagle zlikwidowali ten interes – powiedział Modelski. – Kiedyś przyjechałem i było zamknięte na głucho. Telefon też nie odpowiadał. Potem byłem jeszcze raz. To silniejsze ode mnie, co ja na to poradzę? Chyba jeszcze za to nie sadzają, co?

– Jeszcze nie – mruknął Kostek.

– A może to konkurencja ich wykończyła? Jak pan myśli?

Nigdy żadna konkurencja nie wyrzynała prostytutek – odpowiedział w myślach Podbił. A może wróci do tej willi i rozejrzy się po niej ze strażakami? Może znalazłby jakiś ślad albo, nie daj Boże, nadpalonego trupa? Wypadałoby też pogadać z dzielnicowym.

Do wnętrza samochodu wpadł zablakany promień słońca. Kostek wzdrygnął się, spojrzął na zegarek. Miał wrażenie, że od chwili, kiedy tu przyjechali, minęło kilka minut. A tymczasem kończył się dzień. Każdy bezdomny pies zaczynał o tej porze szukać miejsca, które należałoby udeptać, aby móc się na nim położyć.

Odezwała się komórka. Horn, który przez cały czas stał w tym samym miejscu, oddalił się od samochodu, by odebrać połączenie. Modelski zaczął się wiercić.

– Spieszysz się do żony? – zapytał Kostek.

– Jeszcze tam mieszkam. Nie wiem tylko, co zrobi ten kapuś. – Spojrzął w kierunku, w którym udał się Horn.

Podbił wzruszył ramionami.

– Pogadaj z nim. Nie wiem, może trzeba będzie trochę posmarować. To nie jest urzędnik państwowy, więc raczej nic za to nie grozi. Ale ja osobiście uważam, że czasem lepiej zrobić jedno szybkie cięcie, zamiast męczyć się latami pod jednym dachem.

– Czyli mi pan wierzy? Że nie mam nic wspólnego z morderstwami tych dziewczyn?

Zamiast odpowiedzieć, policjant sięgnął do kieszeni, skąd wydobył fotografię od Sambora. Pokazał ją Modelskiemu.

– Poznajesz je?

– Tak. To Ludmiła i Ołena.

– A ta trzecia?

– Nie pamiętam, jak jej na imię. Ale ją też tutaj widywałem.

– Tak się teraz mówi o ruchaniu?

Kostek schował zdjęcie z powrotem. Po chwili podał Modelskiemu kluczyk od kajdanek, ten zaś sam rozkuł się z zastanawiającą wprawą. Chwilę rozcierał nadgarstki.

– Jesteś wolny – powiedział policjant. – I będzie lepiej, jak nie powiemy sobie „do widzenia”.

Modelski wygramolił się z samochodu. Kiedy był już na chodniku, spojrzął w kierunku Horna, który wciąż na stronie rozmawiał przez telefon. W końcu z rezygnacją machnął ręką.

DZIEŃ SIÓDMY

63

Z samochodowego radia dobiegła melodia *Mazurka Dąbrowskiego*.

– Nawet nie wiedziałem, że w radiu jeszcze grają o północy hymn – zdziwił się Podbiał.

– Ja też nie – odrzekł Tomasz Horn. – W ogóle przez kilka dni pracy w tej firmie dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy.

– A nawet zostałeś detektywem!

– Raczej szpiclem.

Siedzieli w służbowym samochodzie Horna. Dziennikarz knykciami potarł zmęczone oczy.

– Ciekawe – podjął po chwili policjant – czy ten Modelski zapłaciłby ci za to, żebyś nie wydał go przed żoną.

– Pewnie już się tego nie dowiemy.

– Właściwie to jeszcze nie zdążyłem ci podziękować, że pomogłeś mi go złapać. Niestety, nie okazał się mordercą, którego szukam, ale czegoś się dowiedziałem.

– To ja ci dziękuję, że zgodziłeś się ze mną tutaj przyjechać.

– Podziękujesz, jak będzie po wszystkim.

Telefon, który dziennikarz odebrał kilka godzin wcześniej w pobliżu dogasającej willi przy Tomnickiej, nie był miły. Dzwonili z firmy. Nie, nie niepokoiłi się, co się z nim dzieje i dlaczego tak długo się nie odzywa. Na to miałby nie tylko świetną wymówkę, ale nawet ciekawą historię do opowiedzenia. Chodziło o coś innego. Po drugiej stronie odezwał się sam szef firmy SND, Leszek Kłos. Okazało się, że parę chwil wcześniej zadzwonili do niego wczorajsi klienci. Podobno z samochodu, który odstawił Horn, coś zginęło. Tomasz miał jak najszybciej wrócić na Kolejową i wyjaśnić sprawę. To powiedziawszy, Kłos po prostu się rozłączył. Bez żadnego „cześć” ani „na razie”. Nie wyglądało to dobrze, o nie...

Horn czuł, jak świat wokół niego zaczyna wirować. Kiedy wrócił do samochodu Podbiała, bo przynajmniej z nim chciał się pożegnać jak człowiek, wyglądał tak, jakby za chwilę miał dostać rozległego zawału serca. Kostek najpierw kazał mu usiąść, a dopiero potem zaczął wypytywać, co się dzieje. Wtedy Horn opowiedział mu o wszystkim: lichwiarskim kredycie, wizycie egzekutorów długów, groźbach i wywiezieniu za miasto. Na końcu wspomniał o przypadkowym spotkaniu przed klubem na Żurawiej. Nie był w stanie odpowiedzieć na pytanie, czy tamci go rozpoznali. Wiedział za to, co było w skórzanej teczce, która leżała na podłodze beemki. Były to

pieniądze, pliki dolarów o wysokich nominałach, ale nie miał pojęcia, jaka to mogła być suma.

– A zatem jeszcze raz – powiedział Podbiał. – Teczkę zamknąłeś i odłożyłeś na miejsce, czyli na podłogę.

– Zgadza się.

– I była tam, kiedy na miejscu oddawałeś kluczyki jednemu z tych facetów.

– Tak. Przecież jej po drodze nie wywiało! – żachnął się Tomasz.

– A teraz oni mówią, że zginęła. No tak, byłoby słowo przeciwko słowu, gdyby nie to, że oni mają jeszcze kij do baseballu, a może nawet coś na kulki.

Tym razem dziennikarz potwierdził niemo. Mówienie przychodziło mu z trudem, nawet oddychanie nie było łatwe. Bał się. Zwyczajnie po ludzku bał się tego, co będzie. Jeśli do długu, który ma, doliczą mu jeszcze to, pozostanie mu chyba tylko zrobić to, co w pierwszej rozmowie z nim planował szantażowany Roman: pojechać na jeden z mostów i skoczyć do Wisły. Oczywiście gwarancji sukcesu też nie było.

– Swoją drogą trzeba mieć naprawdę gówniane szczęście, żeby trafić znów na tych samych zakapiorów – powiedział Kostek.

– Umiesz pocieszać.

– Przepraszam – zmitygował się policjant. – Tak jak już powiedziałem, wygląda mi to na klasyczną podpuchę. Słuchaj, czy oni wczoraj byli naprawdę nawaleni, czy może tylko udawali?

– Wydawało mi się, że naprawdę. Ale pewnie trzeba by było zapytać o to Skoczka. To gość, z którym pojechałem na zlecenie. On ich wiozł. Cholera, mogłem jednak ja to zrobić. – Horn kilka razy uderzył się obiema pięściami w czoło.

– Wtedy pewnie i tak by się zgłosili do firmy – zauważył Kostek.

– Ale nie do mnie.

– Uciekamy z tonącego okrętu?

– Nie, po prostu to pierdołę.

– Tak czy siak, trzeba teraz umiejętnie wszystko rozegrać. O, to mogą być oni...

Rzeczywiście, ulicą Przyokopową zbliżał się jakiś samochód. Był już na tyle blisko, że można było rozpoznać markę. Tak, właśnie tym autem Horn jechał wczoraj. Po raz pierwszy i pewnie ostatni w życiu.

– Punktualni – mruknął Podbiał, spojrzawszy na zegarek.

Następnie sięgnął po komórkę leżącą na desce rozdzielczej, zaraz ją jednak odłożył. Splótł ręce na piersiach gestem kogoś, kto na coś czeka, a jednocześnie niewiele go obchodzi. Nie można było tego powiedzieć o Hornie, którego już niemal nie było widać za kierownicą.

Samochód z jego „znajomymi” był może ze czterdzieści, najwyżej pięćdziesiąt metrów od parkingu przed firmą, gdy nagle ktoś otworzył od wewnątrz drzwi jej siedziby. Pół sekundy później próg przekroczył osobnik w zielonym kombinezonie, w hełmie z goglami na głowie i karabinkiem beryl w rękach. Stanął pod ścianą i rozejrzał się. W tej samej chwili oświetliły go silne reflektory i pod drzwi podjechała tyłem, dotąd niewidoczna, policyjna furgonetka. Niebieskie światło obracających się na dachu sygnalizatorów polizało stare mury z czerwonej cegły. Z auta wyskoczył funkcjonariusz w mundurze i otworzył tylne drzwi z okratowaną szybą.

Po chwili inny policjant wyprowadził z budynku zgiętego w pół, skutego mężczyznę. Tomasz rozpoznał Leszka Kłosa. Za nim drobił kroki Skoczek, również trzymany fachowym chwytem, a także dwóch innych kierowców. Wszyscy po kolei znikali we wnętrzu radiowozu. Pochód zamykało dwóch mężczyzn: jeden w takim samym zielonym kombinezonie jak ten z awangardy, ale już bez długiej broni, drugi po cywilnemu.

– O ja pierdołę... – mruknął Tomasz.

Wszystko to, choć z innej perspektywy, oglądali oczywiście także tamci dwaj. Gdy za aresztowanymi pracownikami firmy Kłosa zatrzasnęły się drzwi policyjnej furgonetki, a jej światła zgasły, bandzior siedzący za kółkiem wrzucił wsteczny bieg. Auto z wyciem silnika i piskiem opon zawróciło „na trzy”, podskakując na krawężnikach. Być może kierowca przeklinał teraz sam siebie za zbyt nerwową reakcję, ale stało się. Beemka ruszyła, już spokojniej, w kierunku Towarowej. Nagle z bocznej uliczki wyjechał kolejny radiowóz na sygnale. Świecący na czerwono podłużny przedmiot w ręku policjanta nie pozostawiał wątpliwości.

– Jedź! – rzucił Kostek do Horna.

Minęli radiowóz z zatrzymanymi, który wciąż nie ruszył spod siedziby firmy. Po chwili Podbiał kazał Tomaszowi zatrzymać się za stojącą na awaryjnych światłach limuzyną.

– Siedź. I żeby cię nie widzieli – powiedział i założył na szyję łańcuszek z odznaką, po czym wysiadł z samochodu. – Cześć! – rzucił do mundurowych, z których jeden, młodziutki sierżant, już stał przy drzwiach zatrzymanego samochodu.

– O co chodzi? – zapytał mężczyzna siedzący za kierownicą.

– Rutynowa kontrola. Poproszę prawo jazdy, dowód rejestracyjny, ubezpieczenie OC – wyrecytował sierżant.

Kierowca zaczął grzebać w zanadru, podczas gdy Kostek oglądał samochód, jakby ten stał w komisie, a on był klientem, który ciułał, ciułał, aż w końcu uciułał.

– Dokąd panowie jadą o tej porze? – zapytał przez uchylone okno drugiego z mężczyzn, który siedział na fotelu pasażera, ten zaś odpowiedział szybko:

– Na Dworzec Zachodni.

– A czasem nie do firmy SND?

Bandzior opuścił szybę.

– Jakiej? Może pan powtórzyć?

– SND. Super Night Driver.

– Skąd?! Pierwszy raz słyszymy o czymś takim. Kuzyn odwozi mnie na pociąg do Wrocławia. A co? To ich właśnie zwinęliście? – zapytał i mrugnął okiem, by zaraz uprzedzić kolejne pytanie, które nie mogło nie paść: – Nie chcieliśmy panom przeszkadzać, wchodzić na linię strzału. Dlatego kuzyn zawrócił. Nie lubimy awantur.

– Aha – bąknął Kostek.

– W porządku. – Sierżant oddał dokumenty kierowcy, po czym spojrzął na oficera.

– Jeszcze chwilę – rzekł Podbiał. – Proszę otworzyć bagażnik.

– Trochę się spieszymy – powiedział kierowca. – Kuzyn ma zaraz pociąg.

W tej samej chwili minęła ich suka z aresztowanymi, a po niej jeszcze jeden samochód.

– To nie potrwa długo – uspokajał Kostek. – Proszę otworzyć.

Zakapior wykonał polecenie i nacisnął przycisk w kokpicie. Policjant zbliżył się do unoszącej się powoli pokrywy. W tej samej chwili dostrzegł, jak ręka sierżanta powoli wędruje do kabury. A potem pochylił się i zajrzał do bagażnika. Szybko się wyprostował.

– Proszę wysiąść z samochodu – polecił stanowczym głosem sierżant, podczas gdy drugi z mundurowych, dotąd pozostający w radiowozie, wysiadł i szybko zbliżył się do przednich drzwi pasażera.

Ostatni wolny pracownik Kłosa, Tomasz Horn, wciąż siedzący za kierownicą, śledził każdy ruch swoich wrogów. Po chwili obaj stali na szeroko rozstawionych nogach, z rękami na masce samochodu.

– Już możecie sobie nowej roboty szukać – zabulgotał kierowca, kiedy go skuwali.

Gdy obu zapakowano do radiowozu, Kostek dyskretnym ruchem głowy przywołał Horna. Tomasz nacisnął na głowę czapkę z daszkiem, wysiadł z samochodu i zbliżył się do bagażnika.

– Nie pękaj, nie widzą cię – uspokoił go policjant, a potem znów pochylił się nad bagażnikiem. – Ostatnio skarżyłeś się, że dawno nie byłeś na północnych krańcach Polski i nie rozwiązałeś żadnej emocjonującej historycznej zagadki.

– Może tak mówiłem. A co?

– A to, że masz farta, bo zagadka właśnie przyjechała do ciebie.

Horn nie za bardzo rozumiał, co mówi do niego przyjaciel. Za dużo doznań jak na jeden wieczór, a właściwie to cały kończący się tydzień. Dopiero gdy on również zajrzał do bagażnika, zrozumiał. Musiał się mocno powstrzymywać, by nie krzyknąć.

W środku leżały dwa duże plastikowe worki wypełnione kawałkami kopalnego bursztynu.

64

Z każdą minutą czuł narastające podniecenie. Zawsze tak miał, gdy zbliżała się walka. W przeciwieństwie do wielu innych potrafił ją wyczuć. To chyba sprawa jakiegoś dodatkowego zmysłu. Może dzięki temu jeszcze żył.

Za oknami od kilku godzin było ciemno. Odkąd znów zjawił się w Warszawie, wychodził najczęściej wieczorami i nocami. Nawet po to, aby poćwiczyć na siłowni pod chmurką. Wczorajsza wizyta przed zapadnięciem zmroku była wyjątkiem. I ryzykiem, bo można się było natknąć na różne szumowiny, takie jak ten kozak, który zaczął go na Grzybowskiej, biorąc za gościa z Izraela. Może niejeden na jego miejscu przełknąłby zniewagę i wykonał przepisowy w tył zwrot. Może nawet i on sam by to zrobił, gdyby był w innym momencie życia. Ale stało się, jak się stało. Ryzyko było takie, że trup został znaleziony blisko hotelu. Jednak psom nie przyszło nawet do głowy, żeby węszyć za sprawcą zabójstwa w takim eleganckim miejscu.

Jego pobyt tu powoli zmierzał ku końcowi. Dzisiaj do tej układanki dołoży ostatni element. A potem odbierze ostatnią ratę honorarium. Co dalej? Jeszcze nie wiadomo,

choć najprawdopodobniej wyjedzie z Polski. To nie jest dobre miejsce do życia. No chyba że jeszcze dostanie to zlecenie na psa.

– Dobry wieczór panu – usłyszał głos czujnej recepcjonistki.

Mimo że było już po północy, w lobby barze siedziało jeszcze kilku klientów i grała nastrojowa muzyka. W drzwiach jakaś kobieta w średnim wieku szarpała się z wielką walizką – kółka najpewniej zaczepiły o dywan. W pobliżu nie było akurat nikogo, kto mógłby rozwiązać ten problem – szwajcara czy przytomnego konsjerża. Wydłużył więc krok i po chwili był przy niej.

– O, dziękuję panu bardzo – powiedziała kobieta z wyczuwalnym angielskim akcentem.

– Drobiazg.

Kiedy zbliżała się do recepcji, spojrzął na zegarek. Powinien się spieszyć. Znalazłszy się na zewnątrz, poprawił na ramieniu rzemień niewielkiego plecaka. Był gotowy. Wciągnął chłodne powietrze, dzięki czemu udało mu się ostatecznie pozbyć senności. Wciąż jednak czuł podniecenie. Wiedział, że będzie mu towarzyszyło do końca...

65

Kiedy kwadrans później wpadli do siedziby firmy, zastali Zosię we łzach. Dyspozytorka, ujrawszy Horna, spojrzała na niego jak na mordercę swoich dzieci. Potem dostrzegła odznakę, którą Kostek Podbiał wciąż miał zawieszoną na szyi.

– Proszę bardzo, aresztujcie również mnie! – zawołała, wyciągając teatralnym gestem ręce ku przodowi. – Jak wszyscy, to wszyscy! Ja też tutaj pracowałam.

– Uspokój się – powiedział Horn. – I nie „pracowałam”, ale nadal „pracuję”. Leszek i chłopaki za chwilę będą z powrotem.

– Co?!

– Muszą zrobić kółko po Woli – wyjaśnił policjant. – Dla niepoznaki.

Zosia nie została wtajemniczona w intrygę, podobnie zresztą jak kierowcy. O wszystkim wiedział tylko Kłos. Gdy krótko po dziewiątej wieczorem Tomasz wraz z Kostkiem zjawili się na Kolejowej, nie za bardzo chciał z nimi gadać. Miał już swoje zdanie, a przede wszystkim winnego. Coś tam było o zaufaniu i żmii wyhodowanej na własnej piersi. Jeszcze przed chwilą Horn był bohaterem, który wziął udział w ważnej akcji, a teraz jest złodziejem. Bywa i tak.

Tomasz jakoś przełknął oskarżenie, a potem oddał głos przyjacielowi. Wtedy Kostek opowiedział o swojej teorii. Że według niego tamci próbują zrobić Horna w kradzież, a tak naprawdę firmę, żeby przejąć nad nią kontrolę. Po co? To proste. Skoro kierowcy babrali się w ludzkich brudach, to dlaczego nie mieliby skorzystać z tego takie cwane bandziorki? Choćby po to, żeby za kompletnie pijanym klientem wejść do mieszkania, aby je obrobić. Nie mówiąc już o pijanych w sztok kobietach.

„Nigdy by mi coś takiego nie przyszło go głowy” – rzekł na to Kłos.

Na akcję się zgodził. Trochę zadziałał na pewno autorytet władzy. Mimo wszystko. Kłos zaprosił telefonicznie wczorajszych klientów na rozmowę w siedzibie firmy. Zgodzili się, być może już pewni zdobywcy. Nie zdziwiła ani nie zniechęciła ich nawet

późna pora. Wtedy Kostek wydzwonił znajomą ekipę. Wszystko wyglądało bardzo wiarygodnie. Oczywiście nie oznaczało to, że widząc scenę aresztowania, tamci na sto procent się odczepią. Ale trzeba było spróbować – jak Robert Redford i Paul Newman w niezapomnianym *Żądle*. A potem na wszelki wypadek prztrześć również ich samochód. Bonus zaskoczył wszystkich.

– A Oskara otrzymuje...! – dobiegło od drzwi.

To był Kłos, uśmiechnięty od ucha do ucha. Za nim kroczyli pozostali „aresztowani”. Biedna Zosia patrzyła na nich jak na korowód upiorów.

– Prawdę mówiąc, nie wierzyłem, że ta cała maskarada się uda. – Leszek uściśnął mocno prawicę policjanta.

– Mam nadzieję, że moi koledzy nie za bardzo wczuli się w role – zaśmiał się Podbiał.

– Dało się wytrzymać – powiedział któryś z kierowców.

– Po meczach bywa gorzej – dodał inny.

Dyskusja zaczęła zmierzać ku trochę niebezpiecznym, a już na pewno drażliwym (przynajmniej w ostatnim czasie) rejonom. Na szczęście zadzwonił telefon. Zosia, która już doszła do siebie, jak zwykle z gracją i kompetencją odebrała połączenie. Chwilę coś zapisywała.

– Z tego, co widzę, firma działa nadal! – powiedziała postawionym głosem. – Przypominam, że trwa noc z soboty na niedzielę, która jest dla nas czasem zbiorów. Właśnie otrzymaliśmy zlecenie. Którzy kierowcy chętni?

– Ja! – Tomasz Horn ochotczo podniósł rękę.

– I ja – przyłączył się Podbiał, a widząc, jak skupiają się na nim pytające spojrzenia, dodał: – No co? Muszę powoli zacząć się rozglądać za jakimś zajęciem na emeryturze.

Nie wiadomo, czy oklaski, które rozległy się po chwili, były za te słowa, czy może jednak za pomoc w załatwieniu sprawy nie do załatwienia.

Kurs był na Dolny Mokotów. Za kierownicą usiadł Kostek. Horn zrobił mu tę grzeczność, mimo że nie miał pewności, czy policjant nie robi sobie żartów. Zostać na emeryturze chłopcem na posyłki, niechby i zmotoryzowanym? Nie, to chyba nie jest szczyt marzeń tego faceta. Pomijając już to, że w ogóle jakoś sobie go nie wyobrażał poza służbą.

– Ciekawa robota – ocenił policjant. – Są w ogóle jakieś granice waszej działalności?

– Co masz na myśli?

– To, że śledzenie niewiernego męża, którym się zajmowałeś, chyba nie jest wpisane w regulamin firmy.

– Coś mi grozi? – przestraszył się Horn.

– Nie. Tylko się zastanawiam, ile Kłos jest w stanie zrobić. Czy pewnego dnia nie usłyszysz: „Panie Tomaszu, podjedziemy do Pałacu Prezydenckiego, zostawię tam tę małą, czarną walizeczkę. I możemy wracać”.

Po chwili Tomasz wrócił do niedawnych wydarzeń.

– Jak myślisz, ile może grozić tym dwóm gnojom? – zapytał.

– Nie wiem, ale wygląda to poważnie – odpowiedział policjant. – Złodziej nie lubi, gdy okrada go inny złodziej.

– Co masz na myśli?

– Przecież wiesz, redaktorze!

Zbliżała się pierwsza. Kostek, mimo że nie pamiętał już, kiedy ostatnio miał okazję spać, prowadził pewnie i płynnie. Auto wjechało właśnie w jeden z tuneli na Trasie Łazienkowskiej i po chwili wyprzedziło nocny autobus.

Klient czekał na nich dokładnie tam, gdzie miał czekać – na rogu ulic Gagarina i Sieleckiej, od strony szpitala Czerniakowskiego. Stał oparty chwacko o samochód, toyotę, na szeroko rozstawionych nogach, z rękami w kieszeniach. Przy tym wszystkim nie potrafił jednak zapanować nad głową, która mu co chwila opadała.

Konstanty Podbił i Tomasz Horn jeszcze nie umawiali się, jaki będzie podział ról: kto pojedzie z klientem, a kto zajmie się samochodem. Teoretycznie ten z większym doświadczeniem (cały tydzień jeżdżenia!) powinien usiąść za kółkiem odprowadzanego pojazdu. A może to jednak klient był ważniejszy? W dzisiejszych czasach wcale nie było to takie oczywiste. Tak czy owak, nie wiadomo, co dalej. Może powinni zagrać w margaryta?

– Panowie z firmy...? – tu zamiast nazwy z ust klienta wydobył się bełkot.

– SND – odpowiedział Horn przez upuszczone okno. – Dobry wieczór panu.

Szybko otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu, tym samym dokonując wyboru. Wyciągnął w kierunku klienta rękę, ten jednak spojrzał na niego, jakby nie do końca kontaktował. Chyba rzeczywiście za kołnierz dzisiaj nie wylewał, co potwierdzał również wyraźny zapach alkoholu.

– Kluczyki poproszę – sprecyzował Horn.

– A, rzeczywiście. – Pijak uderzył się dłonią w czoło. – Przecież po to was wezwałem. Nawet szybko żeście się uwinęli. Zdążyłem tylko wypić z kolegami strzemiennego.

Tomasz nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Ręki już nie wyciągał, bo wyglądało to trochę, jakby o coś prosił. A przecież nie musiał. Miał robotę, a po tej dzisiejszej historii to już na pewno może być spokojny, że nic mu nie grozi, żadne pieprzone redukcje etatów.

– Staramy się – bąknął.

Wreszcie klient wydobył z kieszeni pęk kluczyków.

– Zamek się trochę zacina – powiedział jeszcze i czknął boleśnie.

Horn odebrał kluczyki, ale nie wsiadał do toyoty. Wolał poczekać, aż mężczyzna odjedzie z Kostkiem. Miał trochę wyrzuty sumienia, że zostawia przyjaciela z pijakiem.

A niech się młody uczy – pomyślał. Chciał, to ma! Gdyby zapytał, czy Horn nie wolałyby się zamienić, może by to zrobili.

– Proszę, niech pan wsiada. – Otworzył przed klientem tylne drzwiczki. – Oczywiście można również z przodu – dodał szybko, ale tamten znów coś wybełkotał i wsiadł do środka.

Trzasnęły zamykane drzwiczki. Kostek wrzucił pierwszy bieg i zapytał:

– Dokąd jedziemy?

– Wilanów – odpowiedział tamten.

Ruszyli z miejsca. Kostek przez chwilę obserwował oddalającego się Horna. Dziennikarz z jakiegoś powodu wciąż stał przed toyotą.

– Potem powiem dokładniej – dodał klient.

– Oczywiście. Nie ma problemu.

Czy korzystając z taksówek, nie trzeba aby podać dokładnego adresu? – przeszło przez myśl Podbiałowi. W przypadku innych przewoźników podawało się go chociażby po to, aby wiedzieć, ile będzie kosztował kurs.

Cicho grało radio. Ruch uliczny był o tej porze niemal bliski zera, jeśli nie liczyć taksówek, więc dojechali w dziesięć minut. Wtedy pasażer kazał skrócić z Wiertniczej w prawo. Znaleźli się na jednej z uliczek Niskiego Wilanova. Następnie mężczyzna polecił zatrzymać się u wylotu uliczki zabudowanej z dwóch stron willami. Podbiał przeczytał napis na tabliczce. Uliczce patronował niejaki królewicz Jakub. Nigdy nie był dobry z historii, ale skoro to Wilanów, to pewnie ktoś z rodziny Sobieskich.

Nawet nie wiem, ile i czy w ogóle mam zaśnieć za kurs – przestraszył się. Nie zdążyli tego ustalić. A może to już jest zapłacone przelewem? W razie czego mają jego samochód.

Po chwili okazało się jednak, że to jeszcze nie koniec zabawy.

– Prosz... proszę poczekać – wybełkotał pasażer i zaczął gramolić się z samochodu.

– Oczywiście – odparł grzecznie Kostek.

Kurwa, może jeszcze kelnerem zostaniesz? – zbluzgał w duchu sam siebie. Jednego menadżera na Zbawiksie już znał.

Mężczyzna lekkim skosem, z rękami w kieszeniach, oddalał się uliczką. Oby nie skończyło się tak, że za chwilę wróci do domu i zapomni, że kazał czekać. Na szczęście za moment powinien tutaj dotrzeć Tomasz Horn.

Podbiał oparł głowę o zagłówek. Przymknął oczy, ale zaraz je otworzył. Nie, lepiej będzie, jak nie zaśnie. Kiedyś mówiło się: nie śpij, bo ci dziecko podrzucą! Dziecko... Tak, musi jutro koniecznie zadzwonić do Kaśki. Może już wyszła ze szpitala, ale czy się pozbierała? Wątpliwe. A potem pomyślał, że właśnie mija tydzień od chwili, gdy zamordowano Ludmiłę Szewczenko. Chyba rzeczywiście najlepiej będzie jak najszybciej zapomnieć o tej sprawie.

Zaszczekał pies, ktoś domknął okno. A potem jeszcze raz, jakby było stare i wypaczone. I jeszcze raz, i jeszcze. Co jest? Każdy kolejny trzask wydawał się Kostkowi głośniejszy od poprzedniego, wręcz nie do zniesienia. W pewnej chwili poczuł, że zaczyna mu brakować tchu. Dotknął lewą ręką przycisku na drzwiach, aby otworzyć okno, ale bez skutku. Silnik był wyłączony. Jeszcze raz spojrzął za okno, na tabliczkę z nazwą ulicy. Litery przesuwają się niczym pasek z newsami w kanale informacyjnym. Chciał sięgnąć prawą ręką do kluczyków, ale nie był w stanie jej unieść. W uszach słyszał modulowany pisk. Świat wokół niego zaczął wirować.

Wreszcie ujrzał pochylającą się nad nim, przerażającą twarz z wielkimi szklanymi oczami i wszystko zniknęło.

Tomasz Horn czuł się jak dziecko, które zgubiło się w wielkim mieście. Był bezradny, chociaż niejeden na jego miejscu pewnie zareagowałby wzruszeniem ramion. Nie mój biznes, niech się kto inny martwi. I tylko nieprzespanej nocy szkoda.

Kilka minut temu odprowadził wzrokiem oddalający się ulicą Gagarina samochód, w którym znajdował się Konstanty Podbił i zawiany klient – jego auto należało teraz dostarczyć pod wskazany adres. I wtedy uświadomił sobie, że przecież pijaczek mu go nie podał! Na domiar złego nie znał numeru telefonu gliniarza, mimo że od tygodnia co chwilę na siebie wpadali, a w ciągu ostatnich godzin nawet współpracowali. Na szczęście miał przy sobie komórkę, więc mógł zadzwonić do Zosi, a ona przecież musiała znać adres klienta. Tak zrobił.

Okazało się, że dziewczyna nie znała adresu, a jedynie numer telefonu, z którego facet dzwonił do firmy. Za chwilę miała go przesłać esemesem. Horn podziękował za pomoc i rozłączył się. Zbliżała się druga w nocy. Za moment miała się rozpocząć tak zwana psia wachta. Robiło się coraz zimniej. Tomasz spojrzął na samochód, który miał odprowadzić.

– Dlaczego jeszcze nie siedzę w środku? – mruknął.

Sięgnął do kieszeni po kluczyki i nacisnął guzik na pilocie, by dezaktywować alarm. Cisza. Światła pojazdu też nie zamrugały. Ponowił próbę, ale z takim samym skutkiem.

Trochę techniki i już się gubimy – pomyślał, mimo wszystko z rozbawieniem, po czym wsunął kluczyk do szczeliny pod klamką drzwiczek. Nie dało się go jednak przekręcić. W żadną stronę. Wyjął i spróbował jeszcze raz. Bez efektu.

– Co pan tam robi? – usłyszał męski głos.

Nie spojrzął na intruza, ale mógł iść o zakład, że to jakiś ciekawski facet z trzęsącym się pieskiem na smyczy.

– Nie pańska sprawa – warknął.

Tamten już nie odpowiedział. Horn odwrócił się i oparł plecami o bok pechowego auta. Usłyszał sygnał komórki. Wyjął ją i po chwili wybrał numer, który przesłała mu dyspozytorka. Już układał w głowie litanię, którą usłyszy tamten gość. Oczywiście wszystko w pewnych granicach. Takich żartów nie powinno się przecież tolerować. Zamiast bełkotliwego głosu odezwała się jednak poczta głosowa. W tym samym momencie krótko jęknęła syrena radiowozu, który zatrzymał się przy krawężniku, ledwo metr od Horna.

67

Tuż przed sobą widział oczy tej dziewczyny. Wpatrywały się w niego z napięciem. Zamrugał powiekami, ale obraz nie zniknął. Chciał się odezwać, ale nie mógł otworzyć ust. Coś je skutecznie unieruchomiło. Dopiero po chwili poczuł charakterystyczny posmak kleju i ból, jaki powoduje ciągnięcie za odrastający zarost. W tym momencie w głowie Kostka przeskoczyła niewidoczna iskra. W jednej chwili wróciły wypadki ostatnich godzin i tych kilku sekund zanim stracił świadomość. Dał się uśpić – najprawdopodobniej gazem z ampułki, którą tamten człowiek zostawił w samochodzie.

Tylko po co?

Owszem, słyszało się o takim sposobie kradzieży samochodów, ale Kostek czuł, że to nie o to chodzi. Poza tym nie ta klasa samochodu, umówmy się – flota Leszka Kłosa to nie była nawet średnia półka. No i żaden złodziej nie woziłby ze sobą okradzionego właściciela, bo i po co? Chyba tylko po to, żeby mieć podkładkę w razie zatrzymania przez patrol. Zawsze mógłby powiedzieć: wiozę wujka do domu, bo zabalował.

Problem w tym, że okradziony miał usta zaklejone taśmą i ręce unieruchomione na plecach, prawdopodobnie tą samą taśmą. Leżał na boku, z podwinętymi nogami, na tylnej kanapie samochodu. Auto było w ruchu. Kostek czuł to w żołądku. A może to jeszcze pozostałości działania tego świństwa, którym ten człowiek go załatwił. Światła ulicznych latarni tańczyły po wnętrzu pojazdu. A także po tej twarzy i oczach, które nie przestawały się w niego wpatrywać. Przez chwilę myślał nawet, że zamknie je dopiero litościwa dłoń. Na zawsze.

Ale dziewczyna żyła. Leżała równolegle do Kostka, z ustami również zaklejonymi taśmą i głową zwróconą w tym samym kierunku. Leżała na podłodze, wciśnięta między przednie fotele a krawędź siedziska tylnej kanapy niczym torba, dla której zabrakło miejsca w bagażniku.

– Co? Duszno wam? – dobiegło z przodu. Złoczyńca pewnie ujrzał we wstecznym lusterku jakiś ruch za plecami. – Za chwilę dojedziemy tam, gdzie świeżego powietrza jest pod dostatkiem. Jeszcze się nacieszycie, gołąbeczki.

Na te słowa dziewczyna zaczęła wierzgać, a spod taśmy dobiegły niezrozumiałe dźwięki.

– Nie do mnie miej pretensje, mała – rzekł człowiek za kierownicą. – Możesz podziękować swojemu opiekunowi. Dał się podejść jak amator.

Porwanie dla okupu czy może porachunki z byłą? – zastanawiał się Kostek, nie spuszczać wzroku z dziewczyny. Lekko poruszył głową i na chwilę przymknął oczy, co miało oznaczać: nic się nie bój. Odpowiedziała mu tym samym, a może tylko mu się tak zdawało za sprawą gry świateł.

W pewnej chwili auto się zatrzymało – i to akurat pod latarnią. Spojrzał znów na dziewczynę. Wzdrygnął się. Gdyby nie taśma, która sklejała mu wargi, pewnie krzyknąłby w tej chwili.

To była dziewczyna z fotografii, na której trzymała się za ręce z Ludmiłą i Oleną! Trzecia syrena, którą on miał ochronić przed szaleńcem! I oto miał oboje na wyciągnięcie ręki, choć nie mógł ruszyć ani lewą, ani prawą. Tomy raportów i protokołów z sekcji zwłok, przesłuchania świadków i podejrzanych, nerwy i ból głowy – a sprawę i tak rozwiązuje na końcu pan przypadek. W dodatku w chwili, gdy on, Kostek Podbiał, nie jest policjantem, ale nocnym szoferem.

Próbował sobie przypomnieć twarz człowieka, którego wioził. Czy czymkolwiek się zdradził podczas drogi na Wilanów? Policjant wiedział teraz jedynie tyle, że tamten dobrze udawał podpitego. No i coś musiało być nie tak z Hornem, skoro nie przyjechał na miejsce i nie zapobiegł wszystkiemu. Ale czy on w ogóle wiedział, dokąd ma jechać? Przecież Kostek dowiedział się o tym, dopiero gdy ruszyli! Mistrzowska robota, nie ma co.

A może to jednak nie jest zabójca syren? Może to ktoś z salonu tatuażu? Albo willi przy Tomnickiej? I jedyne, co grozi tej małej, to powrót do zawodu wbrew swojej woli?

Spojrzał na nią. W świetle latarni błysnęła spływająca po policzku łza. Napiął mięśnie i próbował rozluźnić więzy, ale taśma trzymała mocno. Widać było, że użył jej specjalista. Poza tym szeleściła.

– Jeszcze chwilka – uspokajał prześladowca.

Samochód musiał w tej chwili jechać po wybojach, bo trzęsło. Było też o wiele ciemniej niż dotąd, a więc pewnie dojechali gdzieś na ubocze. Wreszcie się zatrzymali. Kierowca wysiadł. Serce Kostka biło coraz szybciej. Ponowił próbę rozerwania taśmy, tym razem nie dbając o to, czy robi hałas. Ale skutek był taki sam. Na dodatek dziewczyna, która również dostrzegła szansę, zaczęła się wiercić. Kres tym próbom przyniosło otwarcie tylnych drzwi. Prześladowca złapał za stopy dziewczyny i bez większego trudu, jakby rzeczywiście była turystyczną torbą, w dodatku wypełnioną lekkimi ciuchami, wyciągnął ją z samochodu. Upadła na ziemię. Kostek usiłował kopnąć wroga, ale „nie starczyło mu nóg”.

– Nie rzucaj się – rzekł ze spokojem tamten. – Czeka cię niezłe widowisko. Mam nadzieję, że lubisz krwawe horrory, co?

To on... – myśl ta uderzyła w głowę Podbiała niczym obuch siekiery. Poczul, jakby nagle przyłożył twarz do rozgrzanego pieca.

68

Piotr Duch nie mógł spać. Nic go nie bolało, chociaż lekarze, którzy zajęli się nim w szpitalu na Wołoskiej, doliczyli się kilku ran, a nawet wstrząsu mózgu. Łóżko dostał wygodne, a w sali było ich tylko dwóch. Prócz Piotra leżał tam jakiś starszy mężczyzna. Na szczęście nie chrapał. Tego byłoby już za wiele. A tak w ogóle to gdyby mu powiedzieli, że niemal prosto z więzienia trafi na oddział szpitala MSWiA, Piotr pewnie tylko by się zaśmiał. Kto wie, może jutro ktoś się dopatrzy, gdzie bohater ostatniej akcji spędził ostatnie kilka lat, a wtedy już nie będą tacy mili. Tym bardziej powinien korzystać i próbować spać. Ale jakoś nie szło.

Zaklął pod nosem po arabsku, nie wiadomo już który raz przewracając się na drugi bok. Sąsiad coś wymamrotał przez sen. Duch wstrzymał oddech. Nie chciał go obudzić. Wychylił się z łóżka, aby sprawdzić godzinę. Było stąd widać, przez szybę nad drzwiami, zegar wiszący na korytarzu, na którym nikt nie gasił światła. Prawie wpół do trzeciej.

Usiadł i opuścił nogi na podłogę. Miał na sobie dobrze wykrochmaloną, znajomą, resortową piżamę w niebieskie i białe pasy. Taką samą pewnie dostałby w szpitalu wojskowym na Szaserów, gdzie bywał już kilka razy, najczęściej po powrocie z zagranicznych misji.

Wzuł laczki. Był już przy drzwiach, gdy dogonił go głos drugiego pacjenta.

– Wszystko w porządku? – zapytał tamten całkiem przytomnie.

– Tak – odpowiedział weteran. – Niech pan śpi.

Wyszedł z sali. Laczki zaklaskały cicho na gumoleum, ale nawet ten słaby dźwięk nie mógł nie dotrzeć do czujnych uszu pielęgniarki. Fragment białego czepka wychynął zza

ściany niczym róg jakiegoś zwierzęcia, a potem pokazała się reszta, całkiem zresztą atrakcyjna.

– Nie może spać?

– Tak – odparł Piotr.

– Zaraz dam coś, po czym zaśnie. Trzeba było mnie wezwać. Nie powinien wstawać z łóżka w tym stanie.

A łazienka sama przyjdzie – pomyślał ze złością. Kilka razy leżał już w szpitalu, ale jeszcze nigdy nie odlał się do kaczki. Nie wspominając o basenie.

Piotr włożył podaną mu przez wciąż siedzącą na obrotowym krześle pielęgniarkę tabletkę do ust, a że nie miał czym popić, wskazał na tę część korytarza, gdzie znajdowały się łazienki. Kiedy się tam znalazł, wypluł proszek do umywalki i splukał ją. Wyjrzał z łazienki. Na szczęście zadzwonił telefon i kobieta zajęta była rozmową. Idąc blisko przy ścianie korytarza, opuścił oddział. Nie wiedział, gdzie położyli Kornelię, a co gorsza, nie miał pojęcia, w jakim jest stanie. Pytanie o to personelu mijało się z celem, bo nawet gdyby z policjantką było źle albo bardzo źle, nie powiedzieliby mu tego.

Po chwili znalazł się na klatce schodowej. Było tu o wiele chłodniej niż na oddziale, więc ścisnął dłonią kołnierz piżamy. Nacisnął klamkę drzwi naprzeciwko i niemal zderzył się z inną pielęgniarką, straszą niż ta, która dała mu środek nasenny. Spodziewał się reprimendy, ale kobieta uśmiechnęła się. To go ośmieliło.

– Szukam policjantki, którą przywieziono wieczorem z pożaru – wyrzucił z siebie jednym tchem.

– Jest u nas.

Pomyślał, że gdyby nie miał na sobie piżamy, pewnie kobieta odesłałaby go do diabła. A dzięki temu pasiakowi był swój.

– Pan może z ten samej akcji? – zapytała.

– Tak. Nazywam się Duch. Kapitan Piotr Duch.

– Chce pan ją zobaczyć? Zapraszam. Tylko proszę być cicho. Wszyscy śpią.

Człapiąc za miłą pielęgniarką, uświadomił sobie, że ta być może bierze go za strażaka. I że ichniejszy kapitan to w wojsku tylko porucznik, czyli niejako sam się zdegradował. Trudno.

Chwilę później zajrzał przez szybę do sali, w której leżała dziewczyna. Spała i na pierwszy rzut oka wyglądała dobrze. Przeniósł wzrok na aparaturę, do której była podłączona. Tam też panował spokój.

– Miło cię widzieć, Duchu – usłyszał za plecami. W szybie ujrzał odbicie postaci w lekarskim kitlu.

Piotr odwrócił się powoli. Rzeczywiście stał przed nim i uśmiechał się lekarz. Twarz znajoma.

– Major Radzikowski? – zapytał niepewnie Piotr.

– We własnej osobie – potwierdził tamten. – Pamięć już cię nie zawodzi.

– Jak widać. – Piotr chrząknął z zakłopotaniem, bo raczej niechętnie wracał do tamtego epizodu w swoim życiu. – Co robisz w tym szpitalu?

– To samo. Niedawno przeniosłem się tutaj z Szaserów, ale mundur w szafie wisi ten sam. Chodź, bohaterze, do gabinetu na herbatkę.

Minutę później siedzieli przy stoliku i rozmawiali. Poznali się jakiś czas temu, gdy Duch trafił do specjalnego ośrodka, w którym leczono weteranów misji wojskowych poza granicami kraju. Nie tylko ich ciała, ale też, a może przede wszystkim, dusze. Radzikowski wiedział, gdzie kapitan spędził ostatni czas. Sprawa była głośna, wiele ciał interweniowało, ale, jak to często bywa, na gadaniu się skończyło, a Duch za wierność zasadom musiał odsiedzieć karę do końca.

– Wciąż pracujesz w tym ośrodku? – zapytał Piotr.

– Tak. I wyobraź sobie, że miałem tam niedawno pacjenta. Rozmawialiśmy i tak od słowa do słowa wyszło, że cię zna.

– Niemożliwe. Przecież jestem duchem.

– A jednak! Starszy sierżant Robert Klatt.

Na dźwięk tego nazwiska Duch poczuł gdzieś w głębi nieprzyjemne ukłucie. Tak, znał go z jednej ze zmian w Afganistanie. Bardzo dobry był z niego żołnierz, zawsze chętny do wyjazdu na patrole i zagładania do każdej dziury. Ale nieszczęśliwy człowiek. Piotr doskonale pamiętał tamten dzień, gdy Klatt otrzymał wiadomość, że jego ojciec nie żyje. Od dawna chorował na cukrzycę, a że palił przy tym jak smok, to się jeszcze przyplątała choroba Buergera. Konieczna była amputacja nogi. Najpierw stracił jedną, ale nie od razu – cięli go po plasterku. Przy każdej operacji mówili, że to najprawdopodobniej ostatnia i choroba powinna się zatrzymać. A potem lekarze zabrali się za drugą nogę. Byli już przy kolanie, gdy stary Klatt zmarł.

W Robertcie coś wtedy pękło. O wszystko winił konkubinę ojca, kobietę młodszą nawet od niego. Związała się z ojcem jakiś czas po tym, jak jego żona, matka Roberta, zmarła. Mówił, że kurwa poleciała na kasę, że wszystkie są takie same i należałoby je pozabijać (sam rodziny nie założył, a nawet nie miał dziewczyny). Miotał się po placu apelowym i wygrażał nożami. Był bardzo dobry w posługiwaniu się tą bronią. Na szczęście lekarz w porę dał mu zastrzyk na uspokojenie. Potem niby wszystko było dobrze, pojechał na kilka patroli. Podczas jednego z nich doszło do potyczki z talibami, w tym do walki wręcz. Robert Klatt zmasakrował wtedy człowieka, z którym walczył. Okaleczył nożem jego martwe ciało. Niejeden stary wiarus byłby w szoku. To głównie z tego powodu musiał wrócić do kraju i już nigdy więcej nie wyjechał na misję.

– Mam nadzieję, że mu pomogliście – powiedział kapitan.

Woda w elektrycznym czajniku szumiała coraz głośniejsze. Wreszcie przeskoczył włącznik. Doktor Radzikowski wstał z krzesła i z uwagą zaczął rozlewać wrzątek do kubków.

– Niestety, ten człowiek niedawno zniknął – powiedział, odstawiwszy czajnik na miejsce. – I obawiam się, że może być niebezpieczny.

Jedno bardzo mocne szarpnięcie i Kostek również znalazł się na zewnątrz samochodu. Na szczęście zanim dosięgnął ziemi, w porę napiął mięśnie, aby upadek był jak najmniej dotkliwy. Ale i tak trafił kością lewego biodra na jakiś kamień. Mimo bólu rozejrzał się dookoła. Wciąż paliły się światła samochodu, więc dostrzegł jakieś

chaszczce, dalej zaś kilka drzew. Pociągnął kilka razy nosem. Znajdowali się nad brzegiem rzeki.

Wtedy dziewczyna zaczęła pełznąć. Rozpaczliwie i pojękując, ale posuwała się do przodu. Musiało to wyglądać komicznie, no i nie miało najmniejszych szans na powodzenie, ale tak pewnie podpowiadał jej instynkt. Może odezwał się w niej duch kozackich potomków znad Donu?

Morderca w pierwszej chwili zdawał się nie dostrzegać tych działań, bo jeszcze chwilę czegoś szukał w samochodzie. Ale jej udało się po chwili zmienić pozycję – już nie leżała, ale klęczała. Ani jej, ani Kostkowi człowiek ten nie związał bowiem nóg.

– Wybierasz się gdzieś, mała kurwo? – zapytał obojętnym głosem.

Uparta dziewczyna już podnosiła się z kolan. Wciąż chyba wierzyła w powodzenie tego, co robi. Jednak nogi musiały jej ścierpnąć podczas podróży w niewygodnej pozycji, bo pierwsze kroki wyszły pokracznie. Prześladowca dopadł ją w kilku susach i umiejętnie podciął. Runęła na trawę. Wtedy kopnął ją w bok. Dziewczyna wydała z siebie kilka jęków, by po chwili zamilknąć i znieruchomieć.

Podbiał zacisnął zęby. Jego oczy zaczęły łzawić. Ze złości, ale i bezsilności. Tymczasem zabójca wrócił do samochodu. Po chwili wyciągnął z niego białą kartkę i mazak, które zaraz położył na masce. Następnie podszedł do Kostka od tyłu i nożem rozciął taśmę na przegubach jego rąk. Sekundę później policjant ujrzał pistolet wycelowany w swoją głowę.

– Podejdź spokojnie do maski samochodu. Tylko bez numerów, jeśli nie chcesz, żebym ci z mózgu zrobił gulasz.

Podbiał wykonał polecenie.

– Weź do ręki mazak i pisz. Wyraźnie, żeby cię mogli rozczytać – kontynuował szalenię, nie opuszczając broni, a kiedy Kostek zrobił i to, zaczął dyktować: – To ja zabiłem trzy ukraińskie prostytutki, aby oczyścić tę ziemię. Teraz mogę spokojnie odejść. Podpis.

Ręka Kostka nawet nie drgnęła. Zamiast tego wpatrywał się uporczywie w człowieka, który trzymał go na muszce. Szalenię wyciągnął przed siebie lewą rękę i jednym ruchem zdarł z ust zakładnika taśmę. Podbiał syknął z bólu.

– Dlaczego to robisz? – zapytał.

– Bo mi za to płacą – odparł zabójca, oddalając się na odległość uniemożliwiającą atak.

– Złapią cię. Policja jest blisko.

– A niby skąd ty możesz o tym wiedzieć?

Kostek nie odpowiedział. Mimo kiepskiej widoczności, dostrzegł skurcz, który przebiegł po twarzy tamtego. Ale równie dobrze mogło mu się tylko wydawać, tym bardziej że mężczyzna zaraz podniósł nieco wyżej rękę z pistoletem. Był bardzo pewny swego. Chyba każdy by był.

– To ja zabiłem trzy ukraińskie prostytutki, aby oczyścić tę ziemię – powtórzył. – No, pisz!

Flamaster zaczął pisać na powierzchni papieru. Nie było to łatwe, bo Podbiałowi trzęsły się ręce. I chyba bardziej ze złości niż ze strachu.

– Teraz mogę spokojnie odejść – dyktował zabójca.

– Co to znaczy?

– Zobaczysz. Najpierw obejrzysz sobie, jak to robię z nią. – Wskazał ruchem głowy na dziewczynę, która wciąż leżała bez ruchu. – Idę do zakładu, że nie widziałeś czegoś takiego w żadnym filmie. A może nawet pozwolę ci się przy tym wytrześcić.

Kostek przeknął ślinę.

– Myślę, że jest ci potrzebna pomoc – powiedział. – Jeszcze nie jest za późno.

– Podpisz i nie pierdol. Tylko wyraźnie. Nikt nie powinien mieć wątpliwości, czyja to była robota.

– I tak cię znajdą.

– Nie sądzę. Prędzej dotrą do tego, kto zapłacił mi za posprzątanie. Bo musisz wiedzieć, że jestem tylko skromnym podwykonawcą. Ale wtedy będę już daleko. A nawet jak nie, jak mi się coś złego przytrafi, to i tak do niego dotrą, bo się zabezpieczyłem. No, dawaj autograf!

Ale Kostek nie podpisywał listu. Nie dlatego, że był hardy czy szydził sobie ze śmierci, która go czekała. Po prostu zastanawiał się, czy użyć prawdziwych danych. Nie wiedział, czy ten człowiek zdążył go zrewidować, gdy on stracił przytomność, czy znalazł policyjną blachę. Było też już za późno, by zostawić na liście jakąś wskazówkę, dzięki której policja trafi na ślad prawdziwego zabójcy. Jakiś kod, jak w modnych sensacyjnych powieściach. Przecież i tak prędzej czy później zidentyfikują jego trupa, tak jak on zidentyfikował te dwie nieszczęsne dziewczyny. I kto wie, może nawet komuś ułoży się to wszystko w zgrabną całość. Choćby tym ważnym gnojkom z CBŚP, którzy wczoraj buszowali po jego pokoju. Wtedy tym bardziej śledztwo będzie można oficjalnie zamknąć, a przy okazji być może poleci jeszcze kilka głów.

– Szybciej – warknął zabójca.

– Pierdol się – odpowiedział Kostek. – Chcesz mnie kropnąć, to zrób to teraz. Chyba że sam lubisz się trzepać, oglądając wisielców. Bo chyba takie atrakcje dla mnie przygotowałeś, co? Masz sznur w tym pedalskim plecaczku, zwyrolu?

Cios był szybki i precyzyjny. Policjant pochylił się, złapał za uderzoną krtań. Przez chwilę łapczywie chwycił powietrze. Ale po chwili zmusił się do uśmiechu i mówił dalej:

– Być może twój plan by się powiódł, gdybyś nie popełnił kilku błędów. A przede wszystkim sprawdził, czy wezwany na miejsce szofer rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje...

Teraz już wyraźnie widział, że z twarzą tego człowieka dzieje się coś dziwnego, a to dzięki światłu samochodowych reflektorów.

– ...a pojazd – ciągnął – którym się poruszacie, jest czysty. Wiesz, co mam na myśli?

– Kim ty jesteś? – Lufa pistoletu zbliżyła się do głowy Kostka.

– Kimś, kto wie wszystko o tym, co zrobiłeś. O Ludmile i Olenie...

Wtem zaszeleściła trawa. Podbiał spojrział w dół. To dziewczyna, posiadaczka trzeciego imienia, a jednocześnie tułowia do makabrycznej kolekcji, ocknęła się i znów próbowała odpełznąć. Nie spuszczając wzroku z zakładnika, morderca wykonał szybko półobrót, prostując jednocześnie rękę trzymającą broń. Huknął strzał. Ukrainka jęknęła krótko.

– Ty skurwielu! – ryknął Podbiał i zrozumiałwszy, że to jego jedyna szansa, rzucił się na mordercę.

Upadli na trawę, podobnie jak pistolet, który Kostkowi udało się wytrącić mordercy z ręki. Przez chwilę mocowali się jak równy z równym, ale policjant szybko przekonał się, że nie ma do czynienia z kimś, kto napada tylko na słabsze kobiety, w dodatku z zaskoczenia, ale z zawodowcem. Znów poczuł się, z jaką tamten wyciągnął ich z auta, a wcześniej umieścił w środku. Zabójca szybko zyskiwał przewagę. Gdy po chwili znalazł się na górze, na głowę policjanta spadł pierwszy cios. Po nim kolejny, po którym Kostek ujrzał gwiazdy, o wiele jaśniejsze niż te, które świeciły w tej chwili nad nimi. Głowa opadła mu na ziemię. Wtedy zabójca wstał, sapnął i powtórzył:

– Podpisz list!

Nagle coś zafurkotało w powietrzu, a potem rozległo się głucho uderzenie. Mężczyzna wyprężył się i znieruchomiał. Gdy jego ciało wykonało półobrót, Kostek, któremu udało się podnieść głowę z trawy, ujrzał wystającą z pleców tamtego rękojęść. Wtedy dźwięki powtórzyły się i w ciało, kilka centymetrów pod lewą łopatką, wbił się kolejny rzucony z impetem nóż. Zabójca szepnął coś i runął na ziemię.

– Nie... – jęknął Kostek, w którym odezwała się natura gliniarza.

Rozległy się kroki i dwa cienie przypadły do leżącej dziewczyny.

– Żyje – stwierdził jeden z nich.

Podbiał nie zdążył nawet pomyśleć, że być może właśnie wpadł z deszczu pod rynnę, gdy jeden z cieni wyprostował się. Podeszedł do zabójcy i trącił nogą ciało.

– *Job twoju mat'!* – rzucił, po czym wyjął z pleców trupa noże, a potem na niego splunął.

Podeszedł do Kostka. Był wysoki, potężny, z czarną brodą, w podkoszulku z wizerunkiem jakiegoś demona, skórzanej kurtce i podobnych spodniach.

– Nie wiem, kim jesteście, ale mogliście się pospieszyć – powiedział Kostek, ocierając krawędzią dłoni z ust krew pomieszaną ze śliną.

Nagle rozległ się warkot samochodowego silnika. Brodacz pokręcił nieznacznie głową, na co Kostek swoją skinął potakująco. Pakt został zawarty.

– Ona musi żyć – powiedział jeszcze tamten.

Po chwili wybawcy rozplynęli się w mroku. Konstanty Podbiał nie bez trudu dźwignął się z ziemi. Ujrzał światła jakiegoś zbliżającego się samochodu. Czuł, że w środku siedzi przyjaciel.

70

Nie od razu rozpoznał miejsce, w którym się ocknął. Uniósł głowę i rozejrzał się dookoła. Jasne ściany, kanapa, kraciasty koc, którym ktoś go litościwie przykrył. Pamięć wróciła wraz z bólem. Dotknął ręką twarzy i aż syknął.

– Nie ruszaj.

Spojrzał w kierunku, z którego dobiegł głos, co kosztowało go kolejny ból, tym razem od szyi w dół. W fotelu siedział kapitan Duch, ubrany w granatowy szlafrok, spod którego wystawały spodnie pasiastej piżamy.

– Od tygodnia odwiedzam różne warszawskie szpitale i do kompletu brakowało mi jeszcze Wołoskiej – powiedział Kostek. – Nie myłę się, co?

– Strzał w dziesiątkę – potwierdził weteran z Iraku i Afganistanu.

Policjant usiadł na tapczanie, odłożył na bok koc.

– Co z Kornelią? – zapytał.

– Dochodzi do siebie. Zaraz do niej pójdziemy. Najpierw jednak opowiedz mi o swoim spotkaniu z Robertem Klatterem.

– Tak się nazywał? – zdziwił się Kostek. – Znaleźli przy nim jakieś papiery?

– Nie wiem, co przy nim znaleźli. Ale że to może być on, wiedziałem zanim cię zaatakował.

Podbiął wstał ostrożnie z kanapy. Asekuracyjnie rozprostował obie ręce, ale na szczęście nie działo się nic złego.

– To chodźmy w takim razie do dzielnej pani podkomisarz. Nie ma nic gorszego, niż dwa razy opowiadać to samo. Mam tylko nadzieję, że jest już po obchodzie i nikt nas nie wygoni. Czasem płatny zabójca to pikuś w porównaniu z siostrą oddziałową.

Jak powiedział, tak zrobili. Nie zatrzymywani przez nikogo, dotarli do sali, gdzie leżała Kornelia Banaś. Rzeczywiście, czuła się dobrze, nie była podłączona do żadnej świecącej kolorowo i piszczącej aparatury i lada chwila mieli ją przenieść na salę ogólną, co zapowiedział ordynator podczas obchodu. Tym bardziej więc należało wykorzystać okazję, że są sami, i wyjaśnić wszystkie sprawy.

Na początku Kostek przedstawił partnerce jej wybawcę. Prawie udało mu się nie skłamać.

– Kapitan Duch właśnie wrócił z misji poza granicami kraju i trochę mi pomagał, jak cię nie było – dodał i odchrząknął, widząc minę oficera.

– Dziękuję panu – powiedziała Kornelia.

– Po prostu Piotrze – sprostował weteran. – I nie ma za co. Każdy zrobiliby to samo.

Usiedli na taboretach z dwóch stron łóżka.

– To teraz ty opowiedz, co się stało. – Podbiął utkwił spojrzenie w policjantce, ta zaś momentalnie spiekła raka.

Już otwierała usta, gdy otworzyły się drzwi sali i do środka wśliznął się Krzysztof Kontra.

– Dzień dobry, wybaczenie spóźnienie – rzucił półgłosem i z przeproszającym uśmiechem.

Był to prawdopodobnie jedyny taki moment, że to szef się tłumaczył, a nie jego podwładni. Taboretów już więcej nie było, więc podszedł do okna. Najpierw postawił na parapecie dwa słoiki z kompotem, a potem oparł się plecami o jego krawędź. Glaca, świeżo ogolona przy niedzieli, lśniła w słońcu, które podnosiło się nad Mokotowem.

– Czy coś mnie ominęło? – zapytał niewinnie, przyglądając się po kolei wszystkim obecnym. Jego wzrok na dłuższą chwilę zatrzymał się na nieznanym mu Duchu.

– Nie, dopiero zaczęliśmy – odpowiedział Kostek.

Kornelia opowiedziała o tym, jak postanowiła sprawdzić trop salonu tatuażu na północy Warszawy. Nie przemilczała też tego, jak się zdekonspirowała.

– Myślałam, że mnie załatwią, ale tego nie zrobili – westchnęła. – Pewnie sami nie wiedzieli, co mają ze mną począć. Przenieśli mnie tylko do tej willi we Włochach.

– To kto ją podpalił? – zapytał przytomnie Piotr Duch.

– Nie wiem, ale nie sądzę, żeby to byli oni – upierała się panna Banaś. – Słyszałam ich rozmowę, z której wynikało, że komuś z miejscowych parafian to miejsce się nie podoba, więc pewnie będą tam tylko przez chwilę.

– Chwila mogła stać się wiecznością – mruknął Kostek. – Powiesz nam w końcu, kim są ci „oni”?

– To Ukraińcy. Prowadzą czy może raczej prowadzili salon tatuażu. Tak naprawdę było to jednak miejsce, gdzie pomoc mogli otrzymać ich rodacy, którzy znaleźli się w podbramkowej sytuacji. Ten adres przekazywali sobie w tajemnicy, ale i z nadzieją, że właśnie tam spotka się ludzi, którzy pomogą w potrzebie. Gdy wybuchła pandemia, pracownicy zza wschodniej granicy z dnia na dzień zaczęli tracić pracę. Nie wszyscy chcieli wracać do siebie, bo dla wielu była to sprawa honorowa, a może po prostu spalili za sobą wszystkie mosty? Tak czy siak, zostawali w Polsce. Ale za wynajęte mieszkanie w Warszawie trzeba było płacić, i to nie mało. Poza tym coś jeść, w coś się ubrać. Część dziewcząt, które szukały tam pomocy, zgodziła się rozpocząć pracę w agencji towarzyskiej.

– Trochę mi to nie gra z dumnymi narodowymi hasłami i symbolami, które widziałem w tym salonie, ale niech będzie – powiedział kapitan Duch.

– A ja próbuję sobie przypomnieć, jak było z agenturami w czasie zarazy. – Kostek podrapał się po głowie, a potem pytająco spojrzął na zwierzchnika.

Kontra nadął policzki.

– Z tego, co wiem, to część działała jak dawniej – rzekł po chwili. – Faceci jakoś się nie bali. Część pewnie nie wierzyła, że coś się w ogóle dzieje, twierdząc, że to spisek Chińczyków i Amerykanów. A część może chciała jeszcze skorzystać. Chyba coś w tym jest, że jak się czuje poważne zagrożenie, to człowiek myśli tylko o... o jednym.

Podinspektor Kontra w ostatniej chwili ugryzł się w język, co spowodowała obecność kobiety w towarzystwie, choć tak naprawdę nie każdy policjant na jego miejscu miałby obiekcje.

– To właśnie tam – ciągnęła Kornelia – spotkały się Ludmiła Szewczenko, Ołena Hawryluk i Swietłana Hładka, zwana Martą. I kto wie, może byłyby tam do dzisiaj, gdyby nie pewne zdarzenie. Jeden z szefów, Marko Horbunow, został zamordowany. Dokładnie zastrzelony.

Kontra potwierdził niemo. Było takie zdarzenie.

– A wtedy drugi, Timur Knysz, zamknął interes, a dziewczyny rozgonił. Na szczęście wtedy wszystko zaczęło już wracać do normy i szybko znalazły pracę. Ludmiła w sklepie, a Ołena w restauracji. Tylko Marta została w zawodzie, ale oczywiście pracowała już dla kogoś innego. Była elegancką panią do towarzystwa.

– Co z nią? – zapytał Kostek, choć nikogo konkretnie.

Kontra znów poczuł się w obowiązku odpowiedzieć.

– Na szczęście kiler chybił i postrzelił ją tylko w ramię. Jest w szpitalu Czerniakowskim.

– Pytała o mnie? – Kostek podniósł brew.

– Tylko o Kamila. To jej ochroniarz, co dostał w łeb od Klatta – wyjaśnił podinspektor.

Kornelia dokończyła opowieść. Gdy dziewczyny zaczęły ginąć, Timur Knysz zaczął się bać o swoją skórę. Nie wiedział, co się dzieje. W pewnym momencie zapytał o to ochroniarzy, których zatrudniał, dwóch Gruzinów. Początkowo udawali głupich. Ale Knysz nie wyglądał na takiego, który lubi żartować (gdy Kornelia go opisała, Kostek już wiedział, kto kilkanaście godzin temu przyszedł mu z odsieczą i komu zawdzięcza życie). Gdy wziął ich w obroty, zaczęli mięknąć. Okazało się, że nagrywali gości agencji, aby ich potem szantażować. Stary numer.

Podbiał, wykorzystując pauzę w opowieści partnerki, wspomniął o sprawie szantażowanego sprzedawcy wind, niejakiego Romana, którego przed paroma dniami woził Horn, i kogoś jeszcze, kto dał okup, ale też cynk policji.

– Ktoś się musiał bardzo zdenerwować, skoro zginął Marko Horbunow, a potem dwie dziewczyny – powiedziała Kornelia. – Gdyby zabójca dopadł również Martę-Swietlanę, byłoby pozamiatane. Timur Knysz wiedział doskonale, co się dzieje. Dlatego zamknął się w swoim salonie tatuażu i prawie stamtąd nie wychodził. Jednak w pewnym momencie zrozumiał, że musi zrobić wszystko, by ocalić ostatnią z dziewczyn. To nie było łatwe, bo wtedy musiałby dogadać się z jej obecnym pracodawcą, a tego nie chciał. Żeby za nią jeździć, też nie miał wystarczających środków i odpowiednich ludzi. Ale mógł pilnować willi przy Królewicza Jakuba, w której mieszkała. No i zabójca się pojawił.

– Szkoda tylko, że Timur i jego drużyna tak się ociągali – powiedział Kostek, dotykając obolałych policzków. – Wszystko się wreszcie zaczyna kleić. Panowie Gruzini hasali sobie jeszcze długo po zamknięciu agencji towarzyskiej. Problem w tym, że ich o to nie zapytamy, bo ślad po nich zaginął tamtej nocy, gdy próbowali odebrać okup od Romana.

– Podobnie jak po filmach, którymi szantażowali ludzi. Jeśli w ogóle one istnieją... – wtrąciła Kornelia.

– Niestety, najprawdopodobniej już się nie dowiemy, jak wyglądał ostatni spacer nad Wisłą Ludmiły Szewczenko – powiedział Podbiał.

Zapadła cisza.

– Przypominam, że sprawa już nie należy do nas i będę się musiał sporo napocić, żeby to wszystko wytłumaczyć swoim zwierzchnikom – powiedział podinspektor Kontra.

– Nie pierwszy raz i nie ostatni – odrzekł lekkim tonem Kostek. – A jakby co, to już mam miejsce, gdzie przyjmą mnie z otwartymi ramionami.

– Mówisz o tym poszukiwaniu rowerów? – przypomniał sobie szef.

Ale Kostek, zamiast odpowiedzieć, tylko się uśmiechnął.

Kontra miał rację: sprawa nie należała do nich, a mimo to dociągnęli ją do końca. Dziewczyna żyła, nie żył za to zwyrodnialec, o którym, jak się okazało, coś do powiedzenia miał milczący do tej pory Duch. Czy znając już zabójcę, będą teraz próbowali szukać brakujących części ciał nieszczęsnych Ołeny i Ludmiły, jeszcze nie było wiadomo. Może to robota dla waśniaków CBŚP, a może innych specjalistów, choćby biegłych psychiatrów. Wciąż też nie wiadomo było, na czyje zlecenie i za czyje pieniądze działał Robert Klatt, starszy sierżant rezerwy Wojska Polskiego, zabity przez Timura Knysza.

Nieformalna odprawa dobiegła końca, ale to nie najstarszy w tym towarzystwie stopniem ją zakończył, ale sroga siostra oddziałowa, która wkroczyła do sali. Nie musiała nic mówić. Wystarczyło, że potoczyła wzrokiem po obecnych. Żaden z czworga dumnych posiadaczy oficerskich gwiazdek, tak ośmio-, jak i pięcioramiennych, nie śmiał odezwać się słowem.

71

Podbiał umówił się z Tomaszem Hornem w niedzielne południe na skwerku przez kinem Muranów. Dziennikarz wyszedł ze stacji metra, a znalazłszy się na miejscu, rozglądał się nerwowo. Policjant zaś, jak można się było spodziewać, zbliżył się od strony Pałacu Mostowskich. W rękę trzymał plastikową reklamówkę.

– Dla ciebie. – Podał ją Hornowi chwilę po tym, jak się powitali. – Powinien być prezencik w dowód wdzięczności za uratowanie skóry. Ale jest niedziela, zakaz handlu. Udało mi się znaleźć tylko to.

Tomasz zajął ostrożnie do środka, jakby spodziewał się żab, i zaraz parsknął śmiechem. Po chwili trzymał w rękę swój aparat fotograficzny, który pożyczył policjantowi niemal tydzień temu, gdy nad brzegiem Wisły znaleziono pierwszą ofiarę.

– Dzięki, przyda mi się – powiedział. – Jutro mam rozmowę o pracę w jednej redakcji.

– Naprawdę? Super! – ucieszył się Kostek.

Usiedli na ławeczce. Woda w fontannie szemrała cicho. Ze Starego Miasta doszedł dźwięk kościelnych dzwonów.

– Nic wielkiego, ale jest szansa na umowę o pracę. A w moim przypadku to się bardzo liczy. Odezwał się też facet, z którym gadałem w poniedziałek. Chce mi dać robotę operatora wózka widłowego, ale chyba jednak zostanę dziennikarzem. Tym bardziej że mam do opowiedzenia kilka ciekawych historii.

– Podejrzewam, że jako pierwsi usłyszeli je moi koledzy. Mam nadzieję, że mocno cię nie maglowali?

– Dało się przeżyć.

Kiedy przed dziesięcioma godzinami patrol policji, powiadomiony przez obywatela o próbie kradzieży samochodu z ulicy Gagarina, zjawił się na miejscu i rzeczywiście zauważył osobnika grzebiącego przy zamku, żaden z mundurowych nie miał wątpliwości, z kim ma do czynienia. I że rybka za chwilę wpadnie do sieci. Problem w tym, że rybka nie uciekała. Mało tego! Gdy do niego podeszli, przywitał się i poprosił o pomoc w otwarciu samochodu.

W tej samej chwili nadszedł inny, z którego wysiedli Skoczek i Leszek Kłos. Szef nie przejął się sytuacją, za to szybko przejął inicjatywę. I dalej tłumaczyć, na czym polega działalność jego firmy. Potem wszystko zaczęło się dziać jak w filmie: z policyjnego radia dowiedzieli się o porwaniu (zgłosił to ochroniarz Kamil, kiedy się ocknął, a Martę pakowaną do auta widział jeden z sąsiadów z ulicy Królewicza Jakuba), w którym brał udział pojazd należący do firmy. I tutaj Kłos wyciągnął z rękawa asa – grat miał system namierzania.

Kiedy dotarli na miejsce niedoszłej kaźni dziewczyny i Kostka Podbiała, czyli w okolicy mostu Siekierkowskiego, zastali tam dwa leżące ciała i siedzącego na ziemi Kostka.

– Piękna historia – ocenił policjant. – Czuję, że bursztynem również się zajmiesz.

– To oczywiste! – rzekł Tomasz. – Bursztyn to moja specjalność.

Zaraz jednak zmarkotniał. Kostek to zauważył.

– Co jest? – zapytał.

– Nic. Zastanawiam się tylko, ile może grozić tym bandziorom od kredytu. Wiem, już o to pytałem. I jak znam życie, to jakiś cwany papuga szybko ich wyciągnie. Może będą się trzymać z dala od wszelkich kopalin, ale pewnie dalej będą zatruwać ludziom życie.

– Może nie będzie tak źle – rzekł z uśmiechem Kostek.

– Oczywiście, że będzie! – Horn aż zerwał się z ławki i zrobił kilka kroków po skwerze. – Wyjdą i mnie dorwą. Albo robi to ktoś inny, komu sprzedadzą mój dług. Przecież dzisiaj spokojnie można z za krat prowadzić interesy, a co dopiero działalność przestępczą.

– A co, jeśli to ja mam rację? – Kostek wsunął rękę za pazuchę i po chwili wyjął złożony niedbale na czworo plik jakichś dokumentów.

Tomasz wbił wzrok w papier, przełknął ślinę. Wreszcie Kostek podał mu dokumenty. Dziennikarz przeleciał po nich wzrokiem. Miał w ręku umowę swojego lichwiarskiego kredytu.

– Jak to zrobiłeś? – zapytał.

– Mam swoje sposoby, a do tego paru zycziwych i zaufanych ludzi. – Podbiał uśmiechnął się niewinnie. – Trzymaj głęboko. I już nigdy nie bierz kredytów! Obiecujesz?

– Tak jest, panie nadkomisarzu. – Tomasz Horn stanął regulaminowo na baczność i energicznie skinął głową, by następnie upchać dokumenty w kieszeni.

Usiadł na ławce. Przez chwilę milczeli.

– Będziesz szukał tego człowieka, na którego zlecenie działał zabójca? – zapytał Horn.

– Chyba mnie trochę znasz.

– Masz jakieś podejrzenia? Bo jak dla mnie, to bankowo musi być ktoś, kogo szantażowali tymi nagraniami z agencji towarzyskiej.

– Czyżbyś miał kogoś konkretnego na myśli?

72

– Cześć, szefie – dobiegło z boksu, który właśnie mijał.

– Cześć – odpowiedział, chociaż nie miał pojęcia komu.

Pewnie to się zaraz wyjaśni. Taki korpoludek, który przyjeżdża do biura na Mordorze, zamiast dzień święty święcić, nie może nie skorzystać z okazji, by dowiedzieć się o tym jego szef. Punktować trzeba na każdym kroku. Problem w tym, że Roman Bilski, przedsiębiorca zajmujący się importem i instalacją wind w warszawskich

budynkach, nie miał dziś ochoty na towarzystwo. Nie po to przyjeżdżał aż z Białoleki, żeby teraz nie być w biurze samemu!

Może zaraz go pogonię, nadgorliwca pierdolonego – postanowił w duchu.

Cofnął się, by sprawdzić, kto to jest. Pracownik wychylił się zza monitora i wesoło pomachał mu ręką. Roman nie potrafił sobie przypomnieć, jak ten człowiek ma na imię. Pamiętał za to, że nie było go w poniedziałek w pracy, bo musiał składać zeznania na policji. Papier nawet przyniósł. Jakaś nocna awantura nad Wisłą czy coś w tym stylu. Romana to specjalnie nie interesowało, bo miał swoje problemy. Szantażyści mocno już wtedy na niego naciskali.

– Nie siedź długo – rzucił do pracownika, zmusiwszy się do uśmiechu.

– Jasne, szefie.

Wszedł do swojego gabinetu i zamknął starannie drzwi. Położył teczkę na biurku, obok niej zaś pistolet, który zaczął nosić, a który wczoraj tak przestraszył Ewę. Na szczęście dała się przekonać, że to nic złego. Ot, dla bezpieczeństwa.

Włączył komputer. Podeszedł do okna i przez chwilę spoglądał na zagłębienie biurowe. Pamiętał jeszcze czasy, gdy Służewiec Biurowy nazywał się Przemysłowym. Chyba nadal tak jest, choć żaden zakład się nie uchował. Lubił to miejsce, ale coraz bardziej doskwierały mu dojazdy. Może jednak powinien zastanowić się nad przeniesieniem firmy gdzieś bliżej?

Komputer był gotowy do pracy. Bilski zamknął drzwi gabinetu na klucz. Następnie wyjął zteczki pudełko z płytą DVD. Chwilę obracał ją w palcach, jakby był w sklepie muzycznym i zastanawiał się, czy ją kupić. Wreszcie wsunął płytę do szczeliny. Wstrzymał oddech. Za chwilę okaże się, czy właściwie wydał pieniądze, a dokładnie część kwoty, którą udało mu się ocalić tamtej nocy. Szantażystów przymknięto, jednak w przyrodzie nic nie ginie, więc wczoraj odezwał się ktoś, kto zaproponował mu odkupienie filmu. Roman się zgodził. Dzisiaj rano odebrał zamówienie. Mimo to wciąż czuł niepokój.

Film ruszył. Roman rozpoznał miejsce, w którym lubił spędzać czas, czyli jeden z pokojów w willi przy Tomnickiej we Włochach. Szerokie łóżko z czerwoną, lśniąca niczym tafla wody pościelą. Po chwili w nieruchomym kadrze pojawiła się Ołena w czarnej, koronkowej bieliźnie. Po niej druga z prostytutek, Ludmiła, która z kolei miała na sobie czerwoną haleczkę.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Coś było nie tak. Kilka sekund później ujrzał bowiem trzecią dziewczynę. Nie, nigdy nie korzystał z usług trzech jednocześnie. Nie to, że nie było go stać. Po prostu uważał, że to już lekka przesada. Dziewczyna trzymała koniec krawata, który zawiązany był na szyi jakiegoś faceta. Stał tyłem. I to na pewno nie był on, Roman Bilski!

– Pomylili się! – ryknął na całe gardło, uderzając pięściami w biurko.

Do bólu zacisnął powieki. Kiedy po dłuższej chwili otworzył oczy, facet na filmie był już goły. Wyglądał na pijanego, chwiał się, gestykułował i coś mówił, podczas gdy dziewczyny zabierały się do roboty.

Roman skądś znał tę twarz. Nacisnął klawisz na klawiaturze i zrobił głośniejsze. Znał również dobrze ten głos.

Samochód dostawczy zatrzymał się przed niepozornym domkiem. Kurier jeszcze raz sprawdził adres. Wszystko się zgadzało. Dopiero wtedy wyłączył silnik. Wysiadł z samochodu, otworzył tylne drzwi i spojrzął na dwa solidne pudła.

– Za jakie grzechy... – jęknął. Nie lubił się przemęczać, szczególnie przy niedzieli.

Ale zlecenie było jasne: dostarczyć przesyłkę pod wskazany adres bez względu na dzień, jeśli tylko zleceniodawca nie zadzwoni w samo południe i każe tego nie robić. Dziwne. Nawet bardzo dziwne. Jak w filmie sensacyjnym. Ale firma kurierska nie wnikała, o co chodzi, tylko przyjęła zlecenie. Konkurencja była zbyt duża, by kręcić nosem. A potem zainkasowała opłatę. Dzisiaj ów dziwny klient nie zadzwonił, więc trzeba było się ruszyć z Warszawy. Może to jakaś gra, na przykład erotyczna? Ludziom od tego bogactwa już się w głowach przewraca.

Kurier wyjął pierwsze pudło i postawił na ziemi. Potem drugie. Zamknął furgonetkę. Ogarnął spojrzeniem żywopłot i wysokie ogrodzenie, a następnie ruszył z pierwszym pudłem w kierunku drzwi posesji. Nacisnął przycisk dzwonka. Po chwili w głośniczku odezwał się kobiecy głos:

– Słucham.

– Przesyłka – powiedział zgodnie z prawdą.

Przybysz otworzył furtkę, oparł o nią pudło, by wrócić po drugie, które wciąż stało przy samochodzie. Gdy dotaczał je do furtki, w długim i wąskim tunelu, który tworzyły pałaki obrośnięte winną latoroślą, ujrzał jakąś kobietę. Adresatem był mężczyzna, ale kurier nie zamierzał bawić się w drobiazgi. Byle nazwisko się zgadzało.

– Dzień dobry – przywitał się pogodnie.

Kobieta przyglądała mu się z niepokojem. Jemu i przywiezionym przez niego kartonom.

– Proszę tutaj pokwitować. – Wyjął dokumenty i długopis.

Kobieta złożyła podpis. W tej samej chwili mężczyzna usłyszał tupot kilku par nóg i głosy dzieci. Kilka sekund później przy furtce znalazło się dwóch odświętnie ubranych chłopców w wieku około siedmiu, może ośmiu lat i dużo młodsza od nich dziewczynka z lalką w ręku.

– Co to jest, mamó? Prezenty? Co nam z tatą kupiliście?! – dopytywali jedno przez drugie hałaśliwie, a przecież jakże słodko.

Kobieta usiłowała zapanować nad rozkrzyczaną hałastrą, a jednocześnie wciąż przyglądała się dostarczonemu pakunkom. Wreszcie chwyciła za jeden z nich. Skrzywiła się z wysiłku, ale uniosła ciężar.

– Pomogę – zaoferował się kurier i ochoczo złapał za drugi.

Zanieśli przesyłki do salonu, wspomagani przez uradowanych z niespodzianki chłopców. Ci, ledwo jedno z pudeł znalazło się na podłodze, zabrali się za jego otwieranie. Nawet dobrze im to szło. Zachrobotą rozrywana taśma klejąca. Ich matka wciąż sprawiała wrażenie nieobecnej.

Wtedy w głębi mieszkania trzasnęły drzwi. Po chwili kurier ujrzał gospodarza tego domu i jednocześnie adresata przesyłek. Znał go z telewizji, z Sejmu, a ostatnio z transmisji obrad nadzwyczajnej komisji.

– Dzień dobry – przywitał się, ale tamten chyba tego nie dosłyszał.

Mężczyzna, zapinając złotą spinką mankiet białej koszuli, podszedł powoli do przyniesionych kartonów. Synowie właśnie otworzyli jeden z nich. Pochylił się nad jednym z nich i zaraz gwałtownie wyprostował. Jego twarz wykrzywił skurcz. W tej samej sekundzie jego żona, która zrobiła to samo, zachwiała się w miejscu i strasznie pobladła.

– Boże... – jęknęła.

Tylko dwaj chłopcy i ich młodsza siostra dalej z zaciekawieniem przyglądali się temu, co znaleźli w kartonie, a co było częścią większej całości: złotej, tu i ówdzie brązowiejącej, obciągniętej grubą folią twarzy kobiety.

Miała zamknięte oczy.

Zupełnie jak Matka Boska ze złotego ryngrafu, wiszącego na łańcuszku na jednej ze ścian salonu, tuż pod skrzyżowanymi szablami...

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387


OFICYNKA
WYDAWNICTWO

SPIS TREŚCI

Okładka

Strona tytułowa

DZIEŃ PIERWSZY

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

DZIEŃ DRUGI

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

DZIEŃ TRZECI

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

DZIEŃ CZWARTY

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

DZIEŃ PIĄTY

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

DZIEŃ SZÓSTY

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

DZIEŃ SIÓDMY

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Rozdział 70

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 73